

China Miéville

MIASTO I MIASTO

Przełożył Michał Jakuszewski



2010

Tytuł oryginału
THE CITY & THE CITY

Wydanie I
Poznań 2010

ISBN 978-83-7506-556-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (0-61) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

NSB eBook 2010

*Poświęcam pamięci matki,
Claudii Lightfoot*

„Otwierają się w głębi miasta, żeby tak rzec, ulice
podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne”.

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*

PODZIĘKOWANIA

Jestem bardzo wdzięczny za pomoc przy pisaniu tej książki następującym osobom: Stefanie Bierwerth, Markowi Bouldowi, Christine Cabełło, Micowi Cheethamowi, Julie Crisp, Simonowi Kavanaghowi, Penny Haynes, Chloe Healy, Deannie Hoak, Peterowi Lavery'emu, Farah Mendlesohn, Jemimie Miéville, Davidowi Moenchow, Sue Moe, Sandy Rankin, Marii Rejt, Rebecce Saunders, Maksowi Shaeferowi, Jane Soodalter, Jesse Soodalter, Dave'owi Stevensonowi i Paulowi Tauntonowi. Na wdzięczność zasługują również moi redaktorzy: Chris Schluep i Jeremy Trevathan. Serdecznie dziękuję wszystkim w wydawnictwach Del Rey i Macmillan, a także Johnowi Curranowi Davisowi za jego cudowne tłumaczenia Brunona Schulza.

Wśród niezliczonych pisarzy, u których zaczerpnałem dług, jest garstka takich, którym jestem szczególnie wdzięczny, gdy chodzi o tę książkę. Są wśród nich Raymond Chandler, Franz Kafka, Alfred Kubin, Jan Morris i Bruno Schulz.

Część pierwsza

BESZEL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie widziałem ulicy ani większej części osiedla. Otaczały nas bloki koloru ziemi. Przez okna wyglądali mężczyźni w podkoszulkach oraz potargane kobiety z pełnymi napojów kubkami w dłoniach. Wszyscy gapili się na nas, jedząc śniadanie. Otwartą przestrzeń między budynkami ukształtowano kiedyś na podobieństwo pola golfowego – rzeźba terenu w dziecięcej wersji. Może mieli zamiar posadzić tu drzewa i wykopać staw. Był tu niewielki zagajnik, ale wszystkie drzewka uschły.

Trawniki zaniedbano, przecinały je ścieżki wydeptane między stertami śmieci i ślady pozostawione przez koła. Zauważyłem kilku zajętych różnymi czynnościami policjantów. Nie przybyłem tu pierwszy – widziałem Barda Naustina i paru innych – ale byłem najstarszy stopniem. Poszedłem za sierżantem tam, gdzie zgromadziła się większość moich kolegów – między niską, walącą się wieżę a skatepark otoczony wielkimi pojemnikami na śmieci w kształcie bębnow. Naprzeciwko stojących funkcjonariuszy na murku siedziała zgraja dzieciaków. Nad wszystkim krążyły mewy.

– Inspektorze.

Odpowiedziałem na to powitaniem skinieniem głowy. Ktoś zaproponował mi kawę, ale potrząsnąłem głową i spojrzałem na kobietę, którą przyszedłem tu zobaczyć.

Leżała obok rampy. Nic nie może być bardziej nieruchome od trupów. Wiatr porusza ich włosami, tak jak robił to teraz, a one w ogóle na to nie reagują. Leżała w brzydkiej pozie – nogi miała skrzyżowane, jakby próbowała wstać, ręce dziwnie wygięte, a twarz zwróconą ku ziemi.

Młoda kobieta. Brązowe włosy związała sobie w warkoczyki sterczące jak łodygi roślin. Była prawie naga. Zasmuciłem się na widok gładkiej, gołej skóry, pozbawionej gęsiej skórki mimo zimnego poranka. Miała na sobie tylko pończochy ze spuszczoneymi oczkami i jeden but na wysokim obcasie. Sierżant zauważyła, że mu się przyglądam, i przywołała mnie skinieniem dłoni w miejsce, gdzie leżał drugi.

Od chwili znalezienia ciała minęło około dwóch godzin. Zerknąłem raz jeszcze na zwłoki i pochyliłem się, wstrzymując oddech, by przyjrzeć się twarzy. Zobaczyłem tylko jedno, otwarte oko.

– Gdzie Shukman?

- Jeszcze tu nie dotarł, inspektorze.
- Niech ktoś do niego zadzwoni i każe mu się pośpieszyć.

Stuknąłem palcami w zegarek. Odpowiadałem za to, co nazywamy miejscem zbrodni. Nikt nie ruszy stąd zwłok, dopóki nie zjawi się patolog, Shukman, mieliśmy też jednak inne rzeczy do roboty. Sprawdziłem, czy jesteśmy dobrze widoczni. Staliśmy na uboczu i zasłaniały nas puszkę na śmieci, ale i tak czułem spojrzenia gapiów, jakby chodziły po mnie owady. Kręciliśmy się w kółko bez celu.

Między dwoma pojemnikami postawiono na boku wilgotny materac. Obok leżały zardzewiałe kawałki żelastwa pomieszane ze starymi łańcuchami.

– Tym ją przykryto – wyjaśniła Lizbyet Corwi, młoda, inteligentna policjantka, z którą współpracowałem już w paru sprawach. – Trudno powiedzieć, by była dobrze ukryta, ale pewnie na pierwszy rzut oka wyglądała jak kupa śmieci.

Zauważyłem ciemniejszy prostokąt otaczający zabity – pozostałość skapującej z materaca rosy. Naustin przykucnął obok niego, wpatrując się w ziemię.

- Dzieciaki, które odkryły ciało, zdjęły go w połowie.
- Jak je znalazły?

Corwi wskazała na ślady łap.

– Spłoszyły padlinożerców i uciekły w diabły, gdy się zorientowały, co to jest. Zawiadomiły policję, a kiedy nasi ludzie tu dotarli...

Zerknęła na dwóch nieznanych mi posterunkowych.

- Zdjęli materac?

Skinęła głową.

- Mówią, że chcieli sprawdzić, czy ofiara jeszcze żyje.

- Jak się nazywają?

– Shushkil i Briamiv.

– A to są odkrywcy? – zapytałem, wskazując głową na pilnowanych przez policjantów nastolatków, dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Wszyscy pochylali głowy, wlepiając w ziemię zimne spojrzenia.

- Tak. To żujki.

- Wczesnoporanni poszukiwacze?

– Tak to się nazywa? – zapytała. – Może ubiegają się o tytuł ćpuna miesiąca albo jakiś inny syf. Byli tu sporo przed siódmą. Najwyraźniej tak jest zorganizowany skatepark. Zbudowano go dopiero parę lat temu, wcześniej nic tu nie było, ale miejscowi zdążyli już sporządzić harmonogram. Od północy do dziewiątej rano tylko żujki; od dziewiątej do jedenastej miejscowy gang układa plan dnia; od jedenastej do północy deskorolki i łyżworolki.

- Znaleźliście coś przy nich?

- Jeden chłopak miał mały kozik. Naprawdę maleńki. Nie załatwiłby nim nawet szczura

mlecznego. To zabawka. I wszyscy mieli po działce. Nic więcej. – Wzruszyła ramionami. – Nie mieli towaru przy sobie. Znaleźliśmy go pod murem, ale... – znowu wzruszyła ramionami – nie było tu nikogo innego.

Przywołała jednego z policjantów i otworzyła jego torbę.

W środku były małe wiązki zlepionej żywicą trawy. W ulicznym slangu mówią na to „feld”. Stanowi mieszankę *Catha edulis* doprawionej tytoniem, kofeiną i czymś mocniejszym oraz włókien szklanych albo czegoś w tym rodzaju, co kaleczy dziąsła, wprowadzając narkotyk do krwi. Ta nazwa to gra słów w trzech językach. Tam gdzie rośnie, narkotyk nazywa się „khat”, a „cat” to angielskie określenie zwierzęcia, które w naszym języku nazywa się „feld”. Powąchałem towar. Był kiepskiej jakości. Potem podszedłem do czworga nastolatków, drżących z zimna pomimo puchowych kurtek.

– *Sup, policeman?* – zapytał jeden z chłopców, próbując przemawiać w hiphopowym angielskim z silnym beszańskim akcentem. Uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy, ale twarz miał bladą. Ani on, ani jego towarzysze nie wyglądali za dobrze. Z miejsca, w którym siedzieli, nie było widać martwej kobiety, ale nawet nie próbowali patrzeć w jej stronę.

Z pewnością zdawali sobie sprawę, że znaleźliśmy feld i wiemy, że należy do nich. Mogli nas nie zawiadamiać, a po prostu uciec.

– Jestem inspektor Borlú – przedstawiłem się. – Z Brygady Najpoważniejszych Zbrodni.

Nie powiedziałem: „Jestem Tyador”. Świadców w tym wieku trudno jest przesłuchiwać. Są już zbyt dojrzały na mówienie po imieniu, eufemizmy i zabawki, ale jeszcze za młodzi, by być regularnymi przeciwnikami w grze o jasno określonych regułach.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

Chłopak zawahał się, zastanawiając się, czy użyć ulicznej ksywki, ale postanowił tego nie robić.

– Vilyem Barichi.

– Wy ją znaleźliście? – Skinął głową i pozostali zrobili to samo. – Opowiedz mi o tym.

– Przyszliśmy tu, bo, no wie pan, i... – Vilyem zaczekał chwilę, ale nie wspomniałem ani słowem o narkotykach. Opuścił wzrok. – Zobaczyliśmy, że pod tym materacem coś jest i ściągnęliśmy go. Były tam...

Pozostała trójka spojrzała na Vilyema, który zawahał się, najwyraźniej pod wpływem przesadnego strachu.

– Wilki? – odpowiedziałem. Popatrzyli na siebie.

– Aha. Kurde, małe, parszywe stado węszyło tu i...

– Pomyśleliśmy sobie...

– Ile czasu minęło od tej chwili? – zapytałem.

Vilyem wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Dwie godziny?

– Był tu ktoś jeszcze?

– Widzieliśmy paru facetów, jakiś czas przedtem.

– Dilerów?

Znowu wzruszył ramionami.

– Była też furgonetka. Podjechała tu po trawie, zatrzymała się i zaraz potem odjechała. Z nikim nie rozmawialiśmy.

– Kiedy przyjechała ta furgonetka?

– Nie wiem.

– Było jeszcze ciemno – zaoferowała się z pomocą jedna z dziewczyn.

– Dobra. Słuchajcie wszyscy. Dostaniecie śniadanie i coś do picia, jeśli chcecie. – Skinąłem na ich strażników. – Rozmawialiśmy z rodzicami?

– Są już w drodze, szefie. Tylko z jej starymi... – wskazał na jedną z dziewczyn – nie możemy się skontaktować.

– Próбуйте dalej. Zawieźcie ich do nas.

Czworo nastolatków popatrzyło na siebie.

– Kurde, no co jest – sprzeciwił się niepewnym głosem chłopak, który nie był Vilyemem. Wiedział, że obowiązujące w jego środowisku zasady żądają, by sprzeciwił się moim poleceniom, ale chciał pojechać z policjantami. Czarna herbata, chleb, wypełnianie papierów, nuda i blask świetlówek, wszystko to bardzo się różniło od ściągania z trupa ciężkiego od wilgoci, nieporęcznego materaca na pograżonym w mroku podwórku.

* * *

Zjawili się Stepen Shukman i jego asystent, Hamd Hamzinic. Spojrzałem znacząco na zegarek, ale patolog mnie zignorował. Pochylił się, charcząc, nad ciałem, stwierdził zgon i zaczął dyktować spostrzeżenia Hamzinicowi.

– Ile czasu minęło? – zapytałem.

– Około dwunastu godzin – odparł Shukman, naciskając na jedną z kończyn kobiety. Ciało się zakotłosało. Zdążyło już zeszywnieć, a ponieważ jego pozycja nie była stabilna, zapewne zaraz po śmierci ofiara leżała na innym podłożu. – Nie zabito jej tutaj.

Nieraz już słyszałem, że jest świetnym patologiem, ale osobiście nigdy nie zauważyłem, by był więcej niż kompetentny.

– Gotowe? – zapytał kobietę z ekipy technicznej. Zrobiła jeszcze dwa różne ujęcia, a potem skinęła głową. Shukman z Hamzinikiem przetoczyli ciało. Wydawało się, że zeszywniała ofiara stawia im opór. Po przewróceniu na plecy wyglądała niedorzecznie, jak ktoś, kto udaje martwego owada. Kołysała się na plecach, unosząc ku górze wykrzywione kończyny. Spoglądała na nas spod uchylonych powiek. Jej twarz zamarała w grymasie wysiłonego zdumienia, jakby bez końca dziwiła się samej sobie. Była młoda, a intensywny, rozmazany teraz makijaż nadawał jej twarzy wygląd posiniaczonej. Nie sposób było określić,

jak wyglądała za życia, jaką twarz ujrzą oczyma duszy znajomi, gdy usłyszą jej nazwisko. Potem, gdy sztywność minie, może łatwiej będzie to zobaczyć. Przd jej ciała pokrywała krew, ciemna jak ziemia. Błysnęły flesze.

– Hej, witamy przyczynę zgonu – odezwał się Shukman, przemawiając do ran na klatce piersiowej. Lewy policzek przeszywała długa, czerwona szrama, zakrzywiająca się poniżej żuchwy. Całą twarz przecięto wzdłuż. Na długości kilku centymetrów rana była gładka, biegła wzdłuż zarysów ciała jak pociągnięcie pędzlem. Gdy jednak zbiegała na szyję, poniżej rozwartych ust, robiła się paskudnie poszarpana. Kończyła się – albo zaczynała – głęboką dziurą, wyszarpaną w miękkiej tkance za kością. Kobieta kierowała na mnie niewidzące oczy.

– Zróbcie też parę zdjęć bez fleszy – poleciłem.

Podobnie jak kilku innych, odwróciłem wzrok, gdy Shukman zaczął szeptać. Podglądanie go przy podobnych czynnościach wydawało się nieprzyzwoitością. Umundurowani eksperci z ekipy pracującej na miejscu zbrodni – w naszym slangu zwaliśmy ich „mektekami” – przeszukiwali teren we wciąż się poszerzającym kręgu. Zaglądali pod walające się na ziemi odpadki i sprawdzali ślady pozostawione przez pojazdy. Wszędzie stawiali znaczniki i robili zdjęcia.

– No dobra. – Shukman wstał. – Zabierzmy ją stąd.

Dwóch mężczyzn ułożyło ciało na noszach.

– Jezu, zakryjcie ją – odezwałem się. Ktoś wyciągnął koc, nie wiem skąd, i wszyscy ruszyli w stronę samochodu Shukmana.

– Wezmę się do roboty po południu – zapowiedział patolog. – Zajrzysz do mnie?

Pokiwałem niezobowiązująco głową i ruszyłem w stronę Corwi.

– Naustin – zawołałem, ustawiając się tak, by kobieta znalazła się w zasięgu naszej rozmowy. Uniosła wzrok i zbliżyła się nieco.

– Słucham, inspektorze.

– Co o tym sądzisz?

Popił łyk kawy, spoglądając na mnie nerwowo.

– To chyba dziwka – stwierdził. – Tak mi przynajmniej wygląda na pierwszy rzut oka, inspektorze. W tej okolicy, naga, pobita? I... – Wskazał na przesadnie umalowaną twarz. – Dziwka.

– Pobiła się z klientem?

– Ehe, ale... No wiesz, gdyby chodziło tylko o rany na ciele, można by pomyśleć, że może nie zrobiła tego, czego od niej żądał, i wkurzył się albo coś. Ale to. – Znowu dotknął swego policzka z niespokojną miną. – To wygląda inaczej.

– Psychol?

Wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. Pociął ją, zabił i wyrzucił ciało. Bezcelny skurczybyk. Guzik go obchodziło, że ją znajdziemy.

– Bezczelny albo głupi.

– Albo bezczelny i głupi.

– Bezczelny, głupi sadysta – skwitowałem. Spojrzał na mnie. „Niewykluczone”. – W porządku – ciągnąłem. – To możliwe. Pogadaj z miejscowymi dziewczynami. Wypytaj mundurowych, którzy znają okolicę. Dowiedz się, czy mieli ostatnio z kimś kłopoty. Zrób jej zdjęcia. Musimy poznać nazwisko Fulany* N.N. – oznajmiłem, używając nazwiska rutynowo nadawanego nieznanym kobietom. – Na początek pogadaj z Barichim i jego kolegami. Bądź uprzejmy, Bardo, nie musieli nas zawiadamiać. Mówię poważnie. Weź ze sobą Ramirę. – Ramira Yaszek świetnie umiała zadawać pytania. – Zadzwonisz do mnie po południu? – Gdy oddalił się poza zasięg słuchu, powiedziałem do Corwi: – Jeszcze kilka lat temu zabójstwo ulicznej dziewczyny przyciągnęłoby znacznie mniej policjantów.

– Wiele się zmieniło – odparła. Była niewiele starsza od ofiary.

– Naustin pewnie nie był zachwycony, że wysyłam go na ulicę, ale nie skarżył się, jak zauważyłaś.

– Wiele się zmieniło – powtórzyła.

– Czyżby?

Uniosłem brew, spoglądając na Naustina, i czekałem, co powie Corwi. Pamiętałem, jak się przyczyniła do rozwiązania sprawy zniknięcia Shulbana, która okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż się początkowo spodziewaliśmy.

– No wiesz, nie możemy zapominać o innych możliwościach.

– To znaczy?

– Jej makijaż – odparła. – No wiesz, to wszystko matowe brązy. Warstwa jest gruba, ale to nie... Wydeła usta jak wamp. – A czy zauważyłaś jej włosy? – Zauważyłem. – Nie są farbowane. Przejedź się ze mną GunterStrász, tam, gdzie kręcą się dziewczyny. Pewnie ze dwie trzecie są zrobione na blond, a reszta na czarno, krwawoczerwono albo inny taki syf. I... – Poruszyła palcami, jakby obracała w nich włosy. – Są brudne, ale poza tym w znacznie lepszym stanie od moich.

Przesunęła dłonią po swoich włosach o rozdwojonych końcach.

Dla większości prostytutek w Beszel, zwłaszcza w takich okolicach jak ta, najważniejsze było jedzenie i ubrania dla dzieci, feld albo crack dla nich, jedzenie dla nich, a dopiero potem różne inne rzeczy. Odżywka do włosów zajmuje dość dalekie miejsce na tej liście. Spojrzałem na resztę funkcjonariuszy. Naustin szykował się już do wyruszenia w drogę.

– No dobra – skwitowałem. – Znasz tę okolicę?

– Leży raczej na uboczu, tak? To pogranicza Beszel. Mój rejon to Lestov. Sprowadzili kilkoro z nas, kiedy wiadomość do nich dotarła. Ale parę lat temu przenieśli mnie tutaj, więc trochę się orientuję.

Lestov również było właściwie przedmieściem. Od śródmieścia dzieliło je około sześciu

* Fulana (hiszp.) – slangowe określenie oznaczające kobietę o nieznanym imieniu i nazwisku (przyp. red.).

kilometrów. My znajdowaliśmy się jeszcze dalej na południe, za Mostem Yovica, na wąskim pasemku lądu między zatoką Bulkya a pobliskim ujściem rzeki. Formalnie rzecz biorąc, była to wyspa, choć przemysłowe ruiny łączyły ją z kontynentem tak ściśle, że trudno ją było za taką uznać. W Kordvennie znajdowały się domy mieszkalne, magazyny oraz tanie sklepiki, pomazane niezliczonymi graffiti. Dzielnica leżała tak daleko od serca Beszel, że łatwo było o niej zapomnieć. Nie tak, jak o slumsach położonych bliżej śródmieścia.

– Długo tu siedziałas? – zapytałem.

– Standardowo, pół roku. Widziałam głównie to, czego można się spodziewać: uliczne kradzieże, bójkę między naćpanymi dzieciakami, narkotyki i prostytutka.

– A morderstwa?

– Przez ten czas zdarzyły się dwa albo trzy. Chodziło o prochy. W większości przypadków gangi nie posuwają się tak daleko. Potrafią walczyć ze sobą bez zwracania na siebie uwagi BNZ.

– To znaczy, że ktoś spieprzył sprawę.

– Ehe. Albo nie bał się nas.

– Dobra. Chcę, żebyś się zajęła tą sprawą. Co masz obecnie na głowie?

– Nic, co nie mogłoby zaczekać.

– Chcę, żebyś przeniosła się tu na pewien czas. Masz jeszcze jakieś kontakty w dzielnicy?

– Wydeła wargi. – Odszukaj je, jeśli zdołasz. Jeśli się nie uda, pogadaj z miejscowymi gliniarzami i poznaj nazwiska ich informatorów. Chcę, żebyś ruszyła w teren. Rozejrzyj się po... jak właściwie się nazywa ta okolica?

– To wioska. – Roześmiała się bez śladu wesołości. – Nazywa się Pocost.

– Faktycznie wioska – przyznałem. – Zobaczymy, co uda ci się znaleźć.

– Mój komisarz nie będzie zadowolony.

– Pogadam z nim. To Bashazin, tak?

– Załatwisz mi oddelegowanie?

– Na razie tak tego nie nazywajmy. Chciałbym po prostu, żebyś się skupiła na tej sprawie. Wszystkie informacje przekazuj bezpośrednio mnie. – Podałem jej numery na komórkę i do biura. – Później będziesz mogła mi pokazać atrakcje Kordvenny. I... – Zerknąłem na Naustina, a ona to zauważyła. – Miej wszystko na oku.

– On zapewne ma rację, szefie. To najprawdopodobniej był bezczelny sadysta.

– Najprawdopodobniej. Ale dowiedzmy się, dlaczego miała takie zadbane włosy.

Mamy własną klasyfikację instynktu. Wszyscy wiemy, że w czasach, gdy jeszcze patrolował ulice, komisarz Kerevan rozwiązał kilka spraw, podążając za tropami całkowicie pozbawionymi logicznego sensu, natomiast głównemu inspektorowi Marcobergowi taka sztuka nie udało się nigdy i swe niezłe wyniki zawdzięcza wyłącznie żmudnej pracy. Nigdy nie zwaliśmy tych niewyjaśnionych domysłów „przecuciami”, obawiając się, że przyciągnęłyby to uwagę wszechświata. Niemniej owe domysły się zdarzały i wiedzieliśmy,

że jeden z nich się zbliża, gdy któreś z nas nagle całowało własne palce i dotykało piersi w miejscu, gdzie teoretycznie mógłby wisieć amulet Warszki, świętego patrona niewy tłumaczalnych olśnień.

Gdy zapytałem Shushkila i Briamiva, dlaczego przesunęli materac, byli zaskoczeni, potem zaczęli się bronić, a na koniec się obrazili. Kazałem im stanąć do raportu. Gdyby przeprosili, zapomniałbym o sprawie. Przygnębiająco często spotykałem się ze śladami policyjnych butów rozdeptujących plamy krwi, zamazanymi odciskami palców czy zanieczyszczeniem albo zagubieniem próbek.

Na granicach otwartego terenu zebrała się grupka dziennikarzy. Petrus Jakiśtam, Valdir Mohli, młody facet nazwiskiem Rackhaus i kilku innych.

Wołali do mnie: „Inspektorze!”, „Inspektorze Borlú!”, a nawet „Tyador!”.

Większość dziennikarzy zawsze była uprzejma i słuchała mnie, gdy kazałem im się odsunąć. W ostatnich latach pojawiło się też jednak trochę bardziej agresywnych, nieobyczajnych gazet, inspirowanych, a w niektórych przypadkach kontrolowanych, przez brytyjskich albo północnoamerykańskich właścicieli. To było nieuniknione. Szczerze mówiąc, nasze stare gazety były niezbyt ciekawe, a niekiedy wręcz nudne. Niepokoił mnie nie tyle trend w kierunku poszukiwania sensacji czy nawet irytujące zachowanie młodych reporterów, ile raczej cechująca ich tendencja do trzymania się scenariuszy napisanych jeszcze przed ich przyjściem na świat. Jednym z przykładów był Rackhaus, piszący dla tygodnika o nazwie „Rejal!”. Z pewnością, gdy próbował ze mnie wyciągnąć pewne fakty, mimo że wiedział, iż nie mogę mu ich zdradzić, albo próbował przekupić młodszych rangą funkcjonariuszy, co czasami mu się udawało, nie musiał ciągle powtarzać: „Czytelnicy mają prawo wiedzieć”.

Gdy pierwszy raz usłyszałem od niego te słowa, nawet ich nie zrozumiałem. Po beszańsku słowo „prawo” ma tak wiele znaczeń, że zamierzony sens wymykał mi się. Musiałem przetłumaczyć zdanie w myślach na angielski – władam tym językiem całkiem nieźle – by zrozumieć, co chciał powiedzieć. Wierność utartej frazie była dla niego ważniejsza niż jasność przekazu. Zapewne nie poczułby się usatysfakcjonowany, dopóki nie warknąłbym na niego, nazywając go „sępem” albo „padlinożercą”.

– Wiecie, co wam powiem – oznajmiłem reporterom. Oddzielała nas od siebie rozciągnięta przez policję taśma. – Dziś po południu odbędzie się konferencja prasowa w budynku BNZ.

– O której godzinie?

Zrobili mi zdjęcia.

– Zawiadomimy cię, Petrus.

Rackhaus powiedział coś, co zignorowałem. Odwróciłem się i spojrzałem na koniec GunterStrász, widoczny między brudnymi, ceglanymi budynkami. Na wietrze unosiły się śmieci. Takie widoki ogląda się wszędzie. Jakaś staruszka powoli oddalała się kołyszącym

krokiem. Odwróciła głowę, oglądając się na mnie, i spojrzała mi w oczy. Zastanawiałem się, czy chciała mi coś powiedzieć. W mgnieniu oka zauważyłem jej strój, sposób chodzenia, postawę i spojrzenie.

Nagle uświadomiłem sobie, że wcale nie jest na GunterStrász i nie powinienem jej zobaczyć.

Natychmiast odwróciłem się zawstydzony. Ona postąpiła tak samo, równie szybko jak ja. Uniosłem głowę, spoglądając na opadający do lądowania samolot. Po kilku sekundach znowu zerknąłem w tamtą stronę, przeoczając oddalającą się pośpiesznie staruszkę. Zamiast patrzeć na nią i jej cudzoziemską ulicę, z uwagą kierowałem spojrzenie na GunterStrász i fasady budynków tej zubożalej dzielnicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kazałem jednemu z policjantów zawieźć mnie na północ od Lestov, nieopodal mostu. Nie znałem tej okolicy zbyt dobrze. Rzecz jasna bywałem już na wyspie. Zwiedzałem ruiny ze szkolną wycieczką i później też od czasu do czasu tu zaglądałem, ale rejony mojej pracy znajdowały się gdzie indziej. Znaki wskazujące drogę do ważniejszych punktów okolicy przybito do murów cukierni i małych warsztatów. Kierując się nimi, dotarłem na przystanek tramwajowy położony na ładnym placu. Stałem w miejscu między domem opieki oznaczonym klepsydrą a sklepem z przyprawami. W powietrzu unosił się zapach cynamonu.

Po chwili zabrzmiał metaliczny dzwonek i nadjechał kołyszący się na torach tramwaj. Nie usiadłem, choć połowa miejsc w wagonie była wolna. Wiedziałem, że w miarę posuwania się na północ, ku śródmieściu Beszel, liczba pasażerów będzie się zwiększała. Stałem blisko okna, przyglądając się nieznanym mi ulicom.

Pomyślałem o zwiniętej pod materacem kobiecie obwąchiwanej przez padlinożerców. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Naustina.

– Czy szukają śladów na materacu? – zapytałem.

– Powinni szukać, szefie.

– Sprawdź to. Jeśli techniczni wzięli się do roboty, to w porządku, ale Briamiv i ten jego pieprzony kumpel potrafiliby zapomnieć o kropce na końcu zdania.

Może była nowa w branży. Może gdyby spotkało ją to tydzień później, włosy miałyby zrobione na seksowny blond.

Nadrzeczne dzielnice mają mieszaną zabudowę. Wiele budynków pochodzi sprzed stulecia albo nawet sprzed kilku. Tramwaj jechał wąskimi zaułkami, w których Beszel – co najmniej połowa wszystkiego, co mijaliśmy – otaczało nas ciasno ze wszystkich stron. Pojazd zwolnił, posuwając się chwiejnie za samochodami – miejscowymi i tymi, które były gdzie indziej – aż wreszcie dotarł do przepłotu, gdzie wszystkie beszańskie budynki były sklepami z antykami. Interes szedł niezłe, biorąc pod uwagę sytuację panującą od kilku lat w mieście. Ludzie wystawiali na sprzedaż eleganckie meble na wysoki połysk, za kilka beszańskich marek opróżniając mieszkania z rodzinnych pamiątek.

Niektórzy autorzy wstępniaków okazywali optymizm. Choć przywódcy wydzielali się na siebie w Ratuszu równie zapamiętale jak zawsze, wielu młodszych działaczy wszystkich

partii nauczyło się współpracować, dbając przede wszystkim o dobro Beszel. Każda kropla zagranicznych inwestycji – a ku zdumieniu wszystkich te krople się zdarzały – przybliżyła ożywienie gospodarki. Do miasta wprowadziło się nawet kilka firm specjalizujących się w zaawansowanych technologiach, choć wątpię, by miało to cokolwiek wspólnego z niedawną nieudolną kampanią, próbującą promować Beszel jako „Deltę Krzemową”.

Wysiadłem przy pomniku króla Vala. W śródmieściu było tłoczno. Przepychałem się przez tłum, przepaszając obywateli i miejscowych turystów, innych zaś starannie przeoczając, aż wreszcie dotarłem do budynku BNZ. Obok spotkałem dwie grupy turystów, prowadzone przez beszańskich przewodników. Przystanąłem na schodach, spoglądając wzdłuż UropaStrász. Musiałem próbować kilka razy, nim wreszcie złapałem sygnał.

– Corwi?

– Słucham, szefie?

– Znasz tę okolicę. Czy istnieje możliwość, że mamy do czynienia z przekroczeniem?

Nastąpiła chwila ciszy.

– To nie wydaje się prawdopodobne – odpowiedziała wreszcie kobieta. – Ta okolica jest niemal jednorodna. A już z całą pewnością wioska Pocost.

– Niemniej niektóre odcinki GunterStrász...

– Ehe, ale najbliższy przeplot dzieli od tego punktu kilkaset metrów. Nie mogliby... – Sprawca albo sprawcy musieliby podjąć straszliwe ryzyko. – Chyba możemy to wykluczyć – zakończyła.

– Dobra. Zawiadom mnie, jak ci idzie. Niedługo zadzwonię.

* * *

Miałem sporo papierkowej roboty przy innych trwających nadal śledztwach. Dokumenty czekały w kolejce jak samoloty krążące nad lotniskiem. Kobieta pobita na śmierć przez swego chłopaka, któremu do tej pory udawało się wymykać nam, mimo że na lotnisku znali jego nazwisko i odciski palców. Styelim – staruszek zaskoczył ćpuna włamującego się do jego mieszkania i otrzymał śmiertelny cios kluczem do nakrętek, za który sam złapał. Tej sprawy również nie mogliśmy zamknąć. Młody mężczyzna nazwiskiem Avid Avid, który wykrwawił się z rany w głowie po ciosie zadany przez rasistę. Na ścianie nad nim napisano „Śmierdzący ébru”. W tej sprawie współpracowałem z kolegą z wydziału specjalnego, Shenvoim, który już od czasów poprzedzających zabójstwo Avida był naszą wtyczką w skrajnie prawicowych organizacjach działających w Beszel.

Kiedy jadłem obiad za biurkiem, zadzwoniła Ramira Yaszek.

– Właśnie skończyłam przesłuchiwać dzieciaki, szefie.

– I co?

– Powinieneś się cieszyć, że nie znają lepiej swoich praw. Gdyby je znały, musielibyśmy

przedstawić Naustinowi zarzuty.

Potarłem powieki i przełknąłem trzymany w ustach kęs.

– Co takiego zrobił?

– Kumpel Barichiego, Sergev, próbował pyskować, więc Naustin zadał mu pytanie pięścią w usta, a potem poinformował go, że jest głównym podejrzanym. – Zakląłem. – Cios nie był za mocny. Dzięki niemu łatwiej mi było gudcopować. – Ukradliśmy słowa *gudcop* i *badcop* z angielskiego, a potem zrobiliśmy z nich czasowniki. Naustin był jednym z gliniarzy, którzy zbyt łatwo uciekali się do brutalnych metod. Niekiedy okazują się one skuteczne. Są podejrzani, którzy muszą spaść ze schodów podczas przesłuchania, ale raczej nie ma wśród nich nadąsanych nastoletnich żujków. – Tak czy inaczej, nic wielkiego się nie stało – skwitowała Yaszek. – Ich zeznania się zgadzają. Siedzieli we czwórce na tych drzewach. Pewnie brzydko się zabawiali. Tkwili tam parę dobrych godzin. W pewnej chwili, nie pytaj, o której, bo nie usłyszysz nic więcej niż „było jeszcze ciemno”, jedna z dziewczyn zauważyła furgonetkę jadącą po trawie do skateparku. Nie przejęła się tym zbyt, bo tam ciągle ktoś załatwia jakieś interesy, coś wyrzuca i tak dalej. Samochód okrążył skatepark, wrócił, a potem przyśpieszył i odjechał.

– Przyśpieszył?

Zapisywałem to w notesie, jednocześnie próbując drugą ręką sprawdzić na komputerze pocztę. Połączenie ciągle się zrywało. Załączniki były za duże na możliwości systemu.

– Ehe. Musiało im się śpieszyć. Mieli w dupie zawieszenie. To właśnie przyciągnęło jej uwagę.

– Opis?

– Szary. Dziewczyna nie zna się na markach.

– Pokaż jej zdjęcia, może zidentyfikuje typ.

– Już się robi, szefie. Zawiadomię cię. Później przyjechały jeszcze dwa wozy. Barichi mówi, że chodziło o interesy.

– To może utrudnić odczytanie śladów kół.

– Po jakiejś godzinie obmacywania dziewczyna powiedziała reszcie o tej furgonetce i wszyscy poszli sprawdzić, czy czegoś nie wyrzuciła. Powiedziała, że czasami można znaleźć stare odtwarzacze, buty, książki i inny taki syf.

– Ale tym razem znaleźli zwłoki.

Niektóre wiadomości wreszcie przeszły. Jedna z nich pochodziła od naszych fotografów. Otworzyłem ją i zacząłem oglądać zdjęcia.

– Tak, znaleźli zwłoki – potwierdziła kobieta.

* * *

Wezwał mnie komisarz Gadlem. Jego cichy głos o teatralnym brzmieniu i wystudiowana

łagodność były pozbawione wszelkiej subtelności, ale zawsze pozwalał mi prowadzić sprawę po swojemu. Siedziałem i słuchałem, jak przeklina, stukając w klawiaturę. Na skrawkach papieru przyczepionych z boku ekranu miał zapisane hasła do baz danych.

– To było na blokowisku? – zapytał.

– Tak.

– Gdzie?

– Na południowych przedmieściach. Młoda kobieta, rany zadano ostrym narzędziem. Zabrał ją Shukman.

– prostytutka?

– Niewykluczone.

– Niewykluczone – powtórzył, otaczając ucho dłonią. – Ale... Słyszę to „ale”. No dobra, kieruj się nosem. Jeśli kiedyś uznasz za stosowne zapoznanie mnie z przyczynami swych wątpliwości, zrób to, dobra? Kto jest twoim zastępcą?

– Naustin. Mam też do pomocy posterunkową Corwi. To świetna policjantka i zna okolicę.

– To jej rejon?

Skinałem głowę. Był całkiem niedaleko.

– Co jeszcze masz otwartego?

– W tej chwili?

Powiedziałem mu. Komisarz skinał głowę. Choć nie zakończyłem tamtych spraw, pozwolił mi się zająć Fulaną N.N.

* * *

– Widziałeś cały ten interes?

Była już prawie dziesiąta wieczorem, od chwili znalezienia ofiary minęło przeszło czterdzieści godzin. Jechaliśmy ulicami w pobliżu GunterStrász. Siedząca za kierownicą Corwi nie próbowała ukrywać munduru, mimo że jechaliśmy nieoznakowanym samochodem. Wczoraj wróciłem do domu bardzo późną nocą, potem spędziłem rano na tych ulicach i teraz wróciłem tu znowu.

Na szerszych ulicach i w paru innych miejscach można się było natknąć na przeploty, ale tak daleko od śródmieścia większa część okolicy była jednorodna. Garstka budynków w staroświeckim beszańskim stylu, kilkustopniowe dachy i wielokomorowe okna. To były podupadłe fabryki i magazyny. Niektóre z nich miały po kilkadziesiąt lat. W wielu wybito szyby. Były zamknięte albo wykorzystywano je tylko do połowy. Zasłonięte deskami fasady. Sklepy spożywcze o zadrutowanych drzwiach. Starsze, walące się frontony w klasycznym beszańskim stylu. Niektóre przerobiono na kaplice albo apteki, inne były wypalone i wyglądały jak kiepsko wykonane kopie samych siebie.

Nie mieszkało tu wielu ludzi, ale okolica z pewnością nie była opustoszała. Kręcący się po ulicach mieszkańcy wyglądali jak elementy krajobrazu, jakby byli tu od zawsze. Dziś rano było ich mniej niż zazwyczaj, ale tylko nieznacznie.

– Widziałeś, jak Shukman robił sekcję?

– Nie. – Patrzyłem na mijane domy, sprawdzając na planie, gdzie jesteśmy. – Kiedy tam dotarłem, było już po wszystkim.

– Brzydzisz się? – zapytała.

– Nie.

– Hm... – Uśmiechnęła się i skrzyła. – Musiałbyś tak odpowiedzieć, nawet gdyby to była nieprawda.

– Masz rację – odparłem, choć wcale tak nie było.

Co chwila pokazywała mi punkty orientacyjne. Nie powiedziałem jej, że byłem już dziś rano w Kordvennie i orientuję się w okolicy. Nie próbowała ukrywać munduru, ponieważ w przeciwnym razie niektórzy mogliby pomyśleć, że próbujemy ich wciągnąć w pułapkę. Dzięki temu będą wiedzieli, że tak nie jest, a fakt, iż nie przyjechalibyśmy tu siniakiem, jak nazywaliśmy czarno-granatowe radiowozy, powie im, że nie mamy zamiaru ich nękać. To było skomplikowane!

Większość otaczających nas ludzi była w Beszel i ich widzieliśmy. Nędza dodatkowo szpeciła beszańskie stroje, tradycyjnie już bezbarwne i nieciekawie skrojone. Mówiono, że w Beszel zawsze panuje niemodna moda. Zdarzały się jednak wyjątki. Niektóre z nich znajdowały się gdzie indziej, przeoczałyśmy je więc zaraz po zauważeniu, ale młodzi beszanie również często wkładali stroje barwniejsze od noszonych przez rodziców.

Większość beszańskich mężczyzn i kobiet – czy powtarzanie tej frazy ma sens? – nie robiło nic poza wałęsaniem się po ulicach, wracaniem z późno kończącej się zmiany, łażeniem z jednego domu do drugiego albo chodzeniem do sklepów. Niemniej jednak patrzyliśmy na to wszystko jak na panoramę pełną zagrożeń. Działo się tu wystarczająco wiele podejrzanych rzeczy, byśmy nie musieli uznawać owej reakcji za czystą paranoję.

– Dziś rano znalazłam kilku miejscowych, którzy kiedyś ze mną rozmawiali – poinformowała mnie Corwi. – Zapytałam ich, czy o czymś słyszeli. – Wjechała w ciemniejszy obszar, gdzie równowaga przepływu przesuwiała się na drugą stronę. Umilkliśmy na pewien czas, dopóki znowu nie otoczyły nas wyższe latarnie w znajomym stylu art deco. W ich świetle, na zakrzywiającej się ulicy przed nami, widzieliśmy stojące pod murami kobiety sprzedające seks. Wszystkie przyglądały się nam z uwagą. – Ale szczęście mi nie sprzyjało – dokończyła.

Podczas poprzedniej wyprawy nie miała nawet zdjęcia ofiary. W tak wczesnej fazie korzystało się tylko z jawnych kontaktów: sprzedawców w sklepach monopolowych, księży z pobudowanych tu przysadzistych kościółków, garstki ostatnich księży-robotników, odważnych staruszków z sierpem i krzyżem wytatuowanym na bicepsie bądź przedramieniu i

pólkami pełnymi beszańskich przekładów książek Gutiérreza, Rauschenbuscha i Canaana Banany. Wszyscy spędzali teraz swój czas, siedząc na gankach. Corwi mogła jedynie zapytać, co potrafią jej opowiedzieć o wydarzeniach w wiosce Pocost. Słyszeli o morderstwie, ale nie wiedzieli nic więcej.

Teraz mieliśmy zdjęcie. Dostałem je od Shukmana. Wymachiwałem nim, kiedy wysiedliśmy z samochodu. Dosłownie wymachiwałem, by kobiety widziały, że chcemy im coś pokazać i nie mamy zamiaru ich aresztować.

Corwi znała niektóre z nich. Przyglądały się nam, paląc papierosy. Było zimno i jak wszyscy, którzy je zobaczyli, zastanawiałem się, czy nogi nie marzną im w samych pończochach. Rzecz jasna płoszyliśmy im klientów. Mnóstwo miejscowych odwracało spojrzenia na nasz widok. Zauważyłem, że mijający nas siniak zwolnił nagle, hamując ruch. Z pewnością liczyli na łatwe aresztowanie, ale potem kierowca oraz pasażer zauważyli mundur Corwi. Zasalutowali tylko i odjechali. Pomachałem im.

– Czego chcecie? – zapytała kobieta w tandetnych butach na wysokich obcasach.

Pokazałem jej zdjęcie.

Oczyścili twarz Fulany N.N., ale pozostały widoczne pod makijażem obrażenia. Mogli całkowicie usunąć je z fotografii, ale szok wywołany widokiem ran nieraz pomaga w przesłuchaniu. Zrobili zdjęcia przed ogoleniem głowy. Zmarła nie wyglądała spokojnie. Robiła wrażenie niecierplivej.

– Nie znam jej – odpowiadały kolejne kobiety. Nie dostrzegałem w ich twarzach wyrazu pośpiesznie ukrytego rozpoznania. Zbierały się w bladym świetle lampy ku konsternacji gapiów czających się na granicy ciemności, i przekazywały sobie zdjęcie. Niektóre okazywały współczucie, inne nie, ale żadna nie znała Fulany.

– Co się stało?

Podaliśmy wizytówkę kobiecie, która zadała to pytanie. Miała smagłą twarz świadczącą o semickich bądź tureckich przodkach, ale mówiła po beszańsku bez śladu akcentu.

– Próbujemy się tego dowiedzieć.

– Czy mamy powody do obaw?

– Hm...

Umilkłem.

– Jeśli dojdziemy do wniosku, że tak, zawiadomimy was, Sayra – uratowała mnie Corwi.

Zatrzymaliśmy się przy grupce młodych mężczyzn pijących mocne wino przed salą bilardową. Corwi wysłuchiwała kilku sprośnych uwag, a potem podała im zdjęcie.

– Po co tu przyszliśmy? – zapytałem cicho.

– To początkujący gangsterzy, szefie – wyjaśniła. – Obserwuj ich reakcję.

Nawet jeśli coś wiedzieli, niczym się nie zdradzili. Oddali zdjęcie i obojętnie przyjęli moją wizytówkę.

Powtórzyliśmy tę samą procedurę z innymi grupami. Za każdym razem czekaliśmy potem

przez kilka minut w samochodzie, by – jeśli ktoś poczuje się zaniepokojony – miał czas na odłączenie się od reszty i przekazanie nam informacji będącej jakimś elementem układanki, mogącym przybliżyć nas do ustalenia tożsamości ofiary. Nikt tego nie zrobił. Rozdałem wiele wizytówek i zapisałem w notesie nazwiska oraz opisy kilku osób, które według Corwi były ważne.

– To już właściwie wszyscy, których znałam – stwierdziła wreszcie. Niektórzy z wypytywanych ją poznawali, ale nie wpływało to na ich reakcję w żaden dostrzegalny sposób. Gdy zgodziliśmy się, że pora kończyć, minęła już druga w nocy. Księżyc w kwadrze świecił blado. Po ostatniej rozmowie przystanęliśmy na całkowicie już opustoszałej ulicy.

– Ofiara nadal pozostaje zagadką – stwierdziła ze zdumieniem Corwi.

– Każę rozwiesić tu jej zdjęcia.

– Naprawdę, szefie? Komisarz się na to zgodzi?

Rozmawialiśmy cicho. Wplatałem palce w otwory drucianego płotu otaczającego posesję, na której nie było nic poza betonem i chaszczami.

– Ehe – potwierdziłem. – Pójdzie mi na rękę. To nic wielkiego.

– Zajmie kilku mundurowym parę godzin pracy. Nie zrobi tego. Nie dla...

– Musimy ją zidentyfikować. Kurwa, sam je rozwieszę.

Postaram się, by zdjęcia dotarły do wszystkich komisariatów w mieście. Gdy już poznamy nazwisko Fulany, to jeśli nasze pierwsze podejrzenia okażą się prawdziwe, nieliczne środki przeznaczone na tę sprawę znikną bez śladu. Musimy wykorzystać szansę, bo niedługo się ulotni.

– Ty jesteś szefem, szefie.

– Nie do końca, ale na tym małym odcinku tak.

– Jedziemy? – zapytała, wskazując na samochód.

– Wrócę tramwajem.

– Naprawdę? Daj spokój, to potrwa parę godzin.

Odesłałem ją jednak skinieniem dłoni i ruszyłem w stronę przystanku, słysząc tylko odgłos własnych kroków i odległe ujadanie jakiegoś kundla. W pewnej chwili szare światło naszych latarni zniknęło i otoczył mnie cudzoziemski, pomarańczowy blask.

* * *

Shukman w swym laboratorium zachowywał się spokojniej niż w świecie zewnętrznym. Gdy rozmawiałem przez telefon z Ramirą Yaszek, prosząc ją o przesłanie filmu z wczorajszego przesłuchania dzieciaków, zadzwonił do mnie na komórkę, prosząc, bym zaraz przyszedł. W prosektorium rzecz jasna było zimno i śmierdziało chemikaliami. W wielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu było równie wiele ciemnego, pokrytego plamami drewna, co stali. Na ścianach wisiały tablice ogłoszeń, każda z nich pokryta istnym lasem kartek.

Odnosiłem wrażenie, że w kątach pomieszczenia i na krawędziach stołów roboczych czai się brud, gdy jednak przesunąłem palcem wzdłuż ciemnego rowka obok zatkanego odpływu, nic na nim nie zostało. To wszystko były stare plamy. Shukman stał obok stalowego stołu sekcyjnego. Leżała na nim nasza Fulana, przykryta lekko pobrudzonym prześcieradłem. Jej twarz nic nie wyrażała, a oczy wpatrywały się w pustkę.

Zerknąłem na Hamzinica. Podejrzewałem, że jest tylko kilka lat starszy od zabitej. Przystanął obok nas w wyrażającej szacunek pozie. Dłonie spletał przed sobą. Przypadkiem albo celowo stanął obok tablicy, do której między pocztówkami i notatkami przypięto małą, barwną szahadę. Hamd Hamzinic należał do grupy, którą zabójcy Avida Avida nazywają „ébru”. W dzisiejszych czasach tego słowa używają tylko ludzie staromodni, rasiści albo – celem prowokacji – ci, których dotyczy ten epitet. Jeden z najpopularniejszych hiphopowych zespołów w Beszel nazywa się „Ébru W.A.”.

Rzecz jasna, formalnie rzecz biorąc, owo określenie było zupełnie nietrafne w przypadku co najmniej połowy tych, których tak zwano. Ale od co najmniej dwustu lat, gdy w Beszel zaczęli szukać schronienia uchodźcy z Bałkanów, szybko powiększając muzułmańską populację miasta, słowo ébru, dawne beszańskie określenie Żyda, przypisano również nowym imigrantom. Obecnie określa ono obie grupy, ponieważ muzułmańscy uchodźcy z reguły osiedlali się w dawnych żydowskich gettach miasta.

Jeszcze przed przybyciem uchodźców obie mniejszości były tradycyjnymi sojusznikami. Zwykły żartować z siebie nawzajem albo czuć przed sobą strach, zależnie od aktualnej sytuacji politycznej. Tylko niewielu z mieszkańców miasta zdaje sobie sprawę, że nasze tradycyjne kawały o głupocie drugiego z trojga dzieci wywodzą się z odbytej przed stuleciami rozmowy między głównym rabinem a naczelnym imamem miasta, w której obaj duchowni drwili z nieumiarkowania miejscowego Kościoła prawosławnego. Zgodzili się wówczas, że brak mu zarówno mądrości najstarszej z abrahamowych wiar, jak i wigoru najmłodszej.

Od stuleci popularna w Beszel była formuła *DöplirCaffé* – dwie kawiarnie, muzułmańska i żydowska, mieszczące się w sąsiednich lokalach, każda z własną kasą oraz kuchnią, koszerną i halal, ale mające wspólną nazwę, szyld oraz stoliki ustawione w sali, z której usunięto ściankę działową. Mieszane grupy przychodziły do lokalu, witały obu właścicieli i siadały razem, oddzielone graniczną linią tylko na czas potrzebny, by zamówić dozwolone przez ich religię potrawy po odpowiedniej stronie. Wolnomyśliciele ostentacyjnie spożywali i jedno, i drugie. To, czy *DöplirCaffé* stanowiła jeden, czy dwa lokale, zależało od interpretacji. Urząd podatkowy zawsze traktował je jako jeden.

W dzisiejszych czasach beszańskie getto odróżniało się od reszty miasta jedynie architekturą. Nie istniały już żadne oficjalne granice. Walące się i świeżo odnowione domy mieszały się ze sobą między dwiema, bardzo się od siebie różniącymi cudzoziemskimi alteracjami. Niemniej było to tylko miasto, nie alegoria, i Hamd Hamzinic z pewnością nieraz miał w pracy nieprzyjemności. Moja opinia o Shukmanie poprawiła się nieco. Trochę mniej

zdziwiło, że człowiek w tym wieku i o takim temperamencie pozwala Hamzincowi swobodnie eksponować symbol swej wiary.

Shukman nie odkrył ciała Fulany. W jakiś sposób zdołali ułożyć ją na plecach.

– Wysłałem ci raport mailem – oznajmił. – Dwudziestoczero – albo dwudziestopięcioletnia kobieta o niezłym stanie zdrowia. Czas zgonu około północy poprzedniej doby. W przybliżeniu, rzecz jasna. Przyczyna, rany klute piersi. W sumie cztery ciosy, w tym jeden przebił serce. Jakiś szpikulec, sztylet albo coś w tym rodzaju. Ma też paskudną ranę głowy i mnóstwo dziwnych otarć. – Uniosłem wzrok. – Niektóre na owłosionej skórze głowy. Dostała kilka razy po czaszce. – Uniósł rękę, naśladując ciosy w zwolnionym tempie. – Oberwała w lewą skroń. Przypuszczam, że straciła przytomność albo przynajmniej była zamroczona. Rany w pierś tylko ją dobiły.

– A czym ją uderzono?

– Jakimś ciężkim, tępym narzędziem. Nie można wykluczyć pięści, jeśli była wystarczająco wielka, ale bardzo w to wątpię. – Uniósł róg prześcieradła, wprawnym ruchem odsłaniając skroń. Skóra miała paskudny kolor trupiego siniaka. – *Voilà.*

Skinął dłonią, każąc mi podejść bliżej.

Poczułem mocną woń środka konserwującego. Wśród brązowej szczeciny porastającej ogoloną czaszkę można było zobaczyć kilka pokrytych strupami ranek.

– Skąd się wzięły?

– Nie wiem – przyznał. – Nie są zbyt głębokie. Może na coś upadła?

Obrażenia wyglądały jak ślady pozostawione przez wbijany w skórę ołówek. Pokrywały obszar w przybliżeniu równy powierzchni mojej dłoni. W niektórych miejscach układały się w długie na kilka milimetrów linie i były głębsze w ich środku niż na końcach, gdzie stopniowo zanikały.

– Ślady po stosunku?

– Nie niedawnym. Jeśli rzeczywiście była profesjonalistką, może nie chciała czegoś zrobić i dlatego ją to spotkało. – Skinąłem głową. Czekał, aż coś powiem. – Umyliśmy ją – podjął wreszcie. – Miała na sobie piasek, ziemię, plamy od trawy, wszystko to, czego można by się spodziewać po zwłokach znalezionych w takim miejscu. A także rdzę.

– Rdzę?

– Na całym ciele. Cała kupa otarć, skaleczeń i zadrapań, głównie pośmiertnych, i mnóstwo rdzy.

Znowu pokiwałem głową, marszcząc brwi w zamyśleniu.

– A rany świadczące o tym, że się broniła? – zapytałem.

– Nie ma żadnych. To się stało szybko. Zaskoczono ją albo zaatakowano od tyłu. Na ciele jest mnóstwo zadrapań. – Shukman wskazał na ślady na skórze. – To sugeruje, że ciało ciągnięto. Typowe ślady morderstwa.

Hamzinc otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zerknąłem na niego. Potrząsnął ze

smutkiem głową: „Nie, nie”.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rozwiesiliśmy zdjęcia. Najwięcej w okolicy, gdzie znaleziono Fulanę, ale trochę również na głównych i handlowych ulicach, w Kyezov, Topiszy i innych podobnych rejonach. Jedno widziałem nawet na własne oczy po wyjściu z mieszkania.

To wcale nie było tak blisko śródmieścia. Niedaleko na południowy wschód od starówki, na przedostatnim piętrze pięciopiętrowego budynku przy VulkovStrász. Na ulicy było mnóstwo przeplotów. Alteracje przerywały jej ciągłość co kilka gmachów, a w niektórych miejscach nawet dom po domu. Miejscowe budynki są wyższe od tamtych o jedno do trzech pięter, więc Beszel sterczy w górę w nieregularnych odstępach, a obraz dachów przypomina niemal machikuły.

Na końcu VulkovStrász wznosi się kościół Wniebowzięcia. Padają na niego cienie wspartych na dźwigarach wieżowców. Gmachy przytłaczałyby go, gdyby znajdowały się tutaj. Jego okna chronią kraty, ale niektóre szybki witraży są wybite. Co kilka dni odbywa się pod nim targ rybny. Podczas śniadania często słyszę krzyki sprzedawców stojących przy wiadrach z wodą i koszach z żywymi mięczakami. Nawet młode dziewczyny ubierają się jak ich babcie, gdy stają za straganami, dając wyraz fotogenicznej nostalgii. Na włosy zakładają chustki koloru ścierek do naczyń i wdziewają fartuchy w szaroczerwone wzory, by plamy od czyszczenia ryb nie rzuciły się w oczy. Mężczyźni robią wrażenie – mylne bądź nie – jakby przed chwilą zeszli z łodzi i opróżnili zawartość sieci dopiero po dotarciu na brukowaną ulicę pod moim domem. W Beszel kupujący zatrzymują się na dłużej przy straganach, dotykając towaru i wachając go.

Rankiem po nasypie odległym kilkanaście metrów od mojego okna przejeżdżały pociągi. Nie znajdowały się w moim mieście. Wagony były tak blisko, że mógłbym zajrzeć do środka i spojrzeć w oczy cudzoziemskim pasażerom, ale rzecz jasna nie robiłem tego.

Zauważyliby tylko chudego, wkraczającego już w wiek średni mężczyznę w szlafroku, siedzącego przy porannym jogurcie z kawą i trzymającego w ręku złożoną gazetę. Mógł to być „Inkyistor”, „Iy Déurnem”, albo poplamiony „Beszel Journal”, na którym ćwiczyłem swój angielski. Z reguły byłem sam, niekiedy towarzyszyła mi któraś z dwóch kobiet mniej więcej w moim wieku. Jedna była historykiem ekonomicznym z beszańskiego uniwersytetu, a druga dziennikarką z poświęconego sztuce czasopisma. Nie wiedziały o sobie nawzajem, ale

nie miałyby nic przeciwko temu.

Niedaleko od wyjścia czekała na mnie zawieszona na słupie ogłoszeniowym podobizna Fulany. Choć oczy miała zamknięte, wyretuszowali zdjęcie tak, by nie wyglądała na martwą, a tylko oszołomioną. Plakat był czarno-biały, wydrukowany na matowym papierze. Tekst głosił: „Jeśli ktoś poznaje tę kobietę, prosimy o zawiadomienie Brygady Najpoważniejszych Zbrodni”. Dalej podano nasz numer. Obecność plakatu mogła świadczyć, że miejscowi gliniarze są szczególnie pracowici i rozwiesili je po całej dzielnicy. Niewykluczone jednak, że wiedzieli, gdzie mieszkam, i zawiesili je w jednym albo dwóch strategicznych miejscach, żebym się ich nie czepiał.

Do budynku BNZ jest stąd parę kilometrów. Chodziłem do pracy na piechotę, mijając ceglane łuki: ich szczyty, któredy prowadziły tory, znajdowały się gdzie indziej, ale nie wszystkie ich podstawy leżały za granicą. Przy tych, które mogłem zobaczyć, ulokowano małe sklepiki, znajdowały się tam też zajęte przez dzikich lokatorów pustostany, ozdobione barwnymi graffiti. W Beszel była to spokojna dzielnica, ale na ulicach rojło się od tych, którzy przebywali gdzie indziej. Przeoczałem ich, ale omijanie wszystkich zajmowało sporo czasu. Nim skręciłem w Via Camir, Yaszek zadzwoniła do mnie na komórkę.

– Znaleźliśmy furgonetkę.

* * *

Wziąłem taksówkę i ruszyłem powoli przez korki. Ruch na Pont Mahest był intensywny, miejscowo i gdzie indziej. Gdy posuwaliśmy się ospale ku zachodniemu brzegowi, przez kilka minut nie miałem nic do roboty poza wpatrywaniem się w zanieczyszczoną rzekę, dym i brudne statki lśniące w odbitym blasku wieżowców o lustrzanych ścianach, stojących na cudzoziemskim brzegu, gdzie znajdowała się budząca zazdrość dzielnica finansowa. Beszańskie holowniki kołysały się na falach za ignorowanymi przez nie taksówkami wodnymi. Furgonetka stała na ukos między budynkami. To nie było podwórko, lecz przejście położone między terenem firmy importowo-eksportowej a budynkiem biurowym, zaułek pełen śmieci i wilczych kup, łączący dwie większe ulice. Oba jego wyloty zamknięto taśmą. Stanowiło to lekkie pogwałcenie zasad, jako że zaułek w zasadzie leżał w przeplocie, ale korzystano z niego rzadko i można było sobie pozwolić na tego typu nadużycie. Wokół pojazdu kręcili się moi koledzy.

– Witaj, szefie – rzekła Yaszek.

– Czy Corwi już tu jedzie?

– Ehe, zawiadomiłam ją.

Yaszek nie skomentowała ani słowem faktu, że zarekwirowałem młodszą policjantkę. Podeszła do samochodu. To był stary volkswagen w bardzo kiepskim stanie, raczej białawy niż szary, ale ciemny od brudu.

– Zebraliście odciski palców? – zapytałem, wkładając gumowe rękawiczki. Otaczający mnie mekcecy pokiwali głowami.

– Drzwi były otwarte – poinformowała mnie Yaszek.

Zajrzałem do środka i dotknąłem popękanej tapicerki. Na desce rozdzielczej umieszczono maskotkę – plastikową świętą tańczącą hula. Otworzyłem schowek. Był w nim wystrzępiony atlas samochodowy i pełno kurzu. Przerzuciłem kartki atlasu, ale nic w nim nie znalazłem. To był typowy beszański atlas, do tego stare, czarno-białe wydanie.

– Skąd wiemy, że to ten samochód? – Yaszek zaprowadziła mnie do tylnych drzwi i otworzyła je. Tu również było pełno brudu. Poczułem stęchły, ale niepowodujący mdłości zapach, w którym nuta rdzy przeważała nad wonią pleśni. Zobaczyłem stertę złomu oraz zwój nylonowej liny. – Co to jest?

Dotknąłem kilku elementów. Był tam jakiś mały silnik, kołyszący się na podłodze, zepsuty telewizor, szczątki niemożliwych do zidentyfikowania części oraz połączone śrubami fragmenty. Leżący na zakurzonej tkaninie złom pokrywała gruba warstwa łuszczącej się rdzy.

– Widzisz? – Yaszek wskazała na plamy na podłodze. Gdybym nie przyjrzał się im uważnie, mógłbym pomyśleć, że to olej. – Jacyś ludzie znaleźli porzuconą furgonetkę i zadzwonili na komisariat. Mundurowi przekonali się, że drzwi są otwarte. Nie wiem, czy słuchają bieżących komunikatów, czy po prostu zawsze sprawdzają dokładnie wszystkie znaleziska, ale tak czy inaczej mieliśmy farta. – Jedna z wiadomości przekazanych wczoraj rano wszystkim patrolom mówiła, że wszelkie porzucone, szare samochody należy sprawdzać i zawiadamiać o nich BNZ. Mieliśmy szczęście, że ci gliniarze nie kazali załadować maszyny na lawetę. – Zobaczyli na podłodze jakiś syf i wzięli próbkę. Musimy to jeszcze sprawdzić, ale wygląda na to, że grupa krwi się zgadza. Wkrótce się upewnimy.

Pochyliłem się nisko, zaglądając pod stertę złomu, i przechyliłem ją lekko. Zauważyłem na dłoni czerwoną plamę. Sprawdzałem kolejne elementy, dotykając ich, by ocenić ciężar. Silnik można było unieść za stanowiącą jego część rurę. Był ciężki i z pewnością dałoby się nim rozbić ludzką czaszkę. Nie był jednak zarysowany, nie widziałem też śladów krwi ani włosów. Nie wyglądał mi na narzędzie zbrodni.

– Nie zabierałaś stąd niczego?

– Nie. Nie pisałam też żadnych raportów. Nie było tu nic poza tym żelastwem. Jutro albo pojutrze dostaniemy wyniki.

– Tego syfu jest mnóstwo – poskarżyłem się. Zjawiała się Corwi. Przy obu końcach zaułka przystanęło po kilku gapiów przyglądających się pracującym mekcekom. – Będziemy mieli problem z nadmiarem dowodów, nie z ich brakiem.

– Dobra, przyjmijmy tymczasowo założenie, że rdza na jej ciele pochodzi z tego złomu. Że tu leżała.

Miała plamy na ciele i na twarzy. Nie skupiały się na dłoniach, co znaczyło, że nie próbowała odepchnąć żelastwa od siebie ani osłaniać głowy. Podczas jazdy była

nieprzytomna lub martwa, a zardzewiałe części obijały się o nią.

– Po co wozili ze sobą cały ten syf? – zdziwiła się Corwi. Po południu ustaliliśmy już nazwisko i adres właściciela furgonetki, a następnym rankiem otrzymaliśmy potwierdzenie, że krew była krwią Fulany.

* * *

Nazywał się Mikyael Khurusch. Był trzecim właścicielem furgonetki, przynajmniej oficjalnym. Był karany, dwukrotnie siedział za pobicie i raz za kradzież, ostatnio cztery lata temu.

– Popatrz – odezwała się nagle Corwi. – Zatrzymano go też za kupowanie seksu. Nadział się na policjantkę w przebraniu, pracującą na ulicy. Wiemy, że chodzi do dziwek.

Odkąd wyszedł na wolność, nie przyciągał naszej uwagi, ale zebraliśmy pośpiesznie informacje i udało się nam dowiedzieć, że handlował tym i owym na licznych miejskich targowiskach, a przez trzy dni w tygodniu można go było zastać w sklepie w Mashlinie, w zachodnim Beszel.

Mogliśmy go połączyć z samochodem, a samochód z Fulaną, ale brakowało nam bezpośredniego powiązania. Poszedłem do gabinetu sprawdzić automatyczną sekretarkę. Wykonano trochę pozorowanych działań w sprawie Styelima, nasza centrala zawiadomiła mnie o postępach w rozwieszaniu plakatów, a dwukrotnie ktoś odwiesił słuchawkę. Już od dwóch lat obiecywano nam zakup sprzętu umożliwiającego identyfikację osób dzwoniących.

Rzecz jasna dzwoniło też wielu innych ludzi, ale tylko kilka informacji – personel odbierający telefony potrafił ze zdumiewającą trafnością odsiewać kłamców i tych, którzy ulegli złudzeniom – wyglądało na warte uwagi. Ofiara mogła być pracującą w małej firmie w dzielnicy Gyedar asystentką prawną, której nie widziano już od kilku dni, albo, jak zapewniał anonimowy informator, „dziwką znaną jako Rosyn «Usteczka» i to wszystko, co ode mnie usłyszycie”. Mundurowi zajęli się sprawdzaniem tych śladów.

Powiedziałem komisarzowi Gadlemowi, że wołałbym porozmawiać z Khuruschem u niego, by skłonić go do współpracy, a także do zgody na dobrowolne pobranie odcisków placów i próbek śliny. Chciałem się przekonać, jak zareaguje. Gdyby się nie zgodził, moglibyśmy otrzymać nakaz i polecić go obserwować.

– W porządku – zgodził się Gadlem. – Ale nie traćmy czasu. Jeśli nie będzie chciał współpracować, zastosuj *seqyestre* i sprowadź go tutaj.

Wołałbym tego nie robić, choć beszańskie prawo stwarzało nam taką możliwość. *Seqyestre*, „pólareszt”, znaczyło zatrzymanie opornego świadka albo osoby „powiązanej z przestępstwem” na sześć godzin, celem wstępnego przesłuchania. Nie pozwalało na pobieranie fizycznych dowodów, nie mogliśmy też – przynajmniej oficjalnie – wyciągać żadnych wniosków z milczenia albo odmowy współpracy. Tradycyjnie *seqyestre*

wykorzystywano do wyciągania zeznań z podejrzanych, których nie można było aresztować z powodu braku dowodów. Czasami przydawało się też do zatrzymywania na chwilę tych, w których przypadku występowała groźba ucieczki. Sędziowie i adwokaci coraz mocniej jednak sprzeciwiali się tej praktyce, a jeśli półaresztowany odmówił zeznań, z reguły miał łatwiejszą sytuację na sali sądowej, ponieważ policja wychodziła na nadgorliwą. Gadłem był jednak staromodny i nie dbał o takie rzeczy, a mnie wydano rozkazy.

Khurusch prowadził jeden z kiepsko funkcjonujących sklepików w podupadającej dzielnicy. Udaliśmy się tam pośpiesznie, a miejscowi gliniarze, którzy zorganizowali prowizoryczną obserwację, zapewniali, że zastaniemy go na miejscu.

Wyprowadziliśmy go z gabinetu, gorącego, zakurzonego pokoiku nad sklepem. Ściany w lukach między szafkami na dokumenty pokrywały tam wyblakłe plamy, gdzieś zasłonięte reklamowymi kalendarzami. Asystentka gapiała się na nas głupio. Gdy zabieraliśmy Khuruscha, wstała i zdjęła papiery z biurka.

Wiedział, kim jestem, nim jeszcze w drzwiach zjawiła się Corwi z resztą mundurowych. Był kiedyś zawodowcem i rozumiał, że pomimo naszego zachowania nie przyszliśmy go aresztować. To znaczyło, że mógł odmówić pójścia z nami, zmuszając mnie do wykonania polecenia Gadlema. Gdy nas zobaczył, zeszywniał na chwilę, jakby rozważał możliwość ucieczki – ale dokąd? – potem zaś pozwolił się sprowadzić na dół po chwiejnych żelaznych schodach ulokowanych na zewnątrz budynku. To było jedyne wejście do pokoju. Wymamrotałem kilka słów przez radio, każąc się wycofać uzbrojonym funkcjonariuszom czekającym na zewnątrz. Nie zdążył ich zobaczyć.

Khurusch był tłustym, muskularnym mężczyzną. Miał na sobie koszulę w kratę, równie wyblakłą i zakurzoną jak ściany jego gabinetu. Zasiadł za stołem w naszym pokoju przesłuchań i gapił się na mnie. Yaszek siedziała, a Corwi stała. Kazałem jej nic nie mówić, a tylko się przyglądać. Ja spacerowałem po pomieszczeniu. Niczego nie nagrywaliśmy. Formalnie rzecz biorąc, to nie było przesłuchanie.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś, Mikyael?

– Nie mam pojęcia.

– A może wiesz, gdzie jest twoja furgonetka?

Uniósł nagle wzrok, znowu spoglądając na mnie.

– A więc o to chodzi? – zapytał po chwili z nagłą nadzieją w głosie. – O furgonetkę? Ha... – mruknął, opierając się wygodniej. Nadal był ostrożny, ale wyraźnie się uspokoił. – Czy ją znaleźliście? Czy...

– Znaleźliśmy?

– Ukradziono ją. Trzy dni temu. Znaleźliście ją? Jezu. Co się... Czy ją znaleźliście? Mogę ją odzyskać? Co się stało?

Spojrzałem na Ramirę. Wstała, wyszeptała do mnie parę słów i znowu usiadła, spoglądając na Khuruscha.

– Tak, o to właśnie chodzi, Mikyael – potwierdziłem. – A czego się spodziewałeś? Nie, nie wskazuj na mnie, Mikyael, i lepiej się zamknij, dopóki nie każę ci mówić. Nie chcę tego wiedzieć. Coś ci powiem, Mikyael. Ktoś taki jak ty, kto zajmuje się przewozami, potrzebuje furgonetki. A ty nie zawiadomiłeś nas o jej zniknięciu. – Zerknąłem przelotnie na Ramirę. „Jesteśmy tego pewni?”. Skinęła głową. – Nie zgłosiłeś kradzieży. Teraz rozumiem, dlaczego nie płakałeś zbytnio nad stratą takiego gówna, z naciskiem na słowo „gówno”. Niemniej zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście ją ukradziono. Nie pojmuję, co mogłoby cię powstrzymać przed zawiadomieniem nas, nie wspominając już o firmie ubezpieczeniowej. Jak możesz pracować bez furgonetki?

Khurusch wzruszył ramionami.

– Nie zdążyłem tego zrobić. Miałem zamiar, ale byłem bardzo zajęty...

– Wiemy, że masz mnóstwo zajęć, Mik. Ponownie pytam, dlaczego nie zgłosiłeś kradzieży?

– Nie miałem czasu. Kurwa, w tym nie ma nic podejrzanego...

– Przez trzy dni?

– Znaleźliście ją? Co się stało? Użyto jej w jakimś celu, tak? W jakim?

– Znasz tę kobietę? Gdzie byłeś we wtorek wieczorem, Mik?

Przyjrzał się zdjęciu.

– Jezu. – Pobladł wyraźnie. – Ktoś zginął? Jezu? Czy ją potracono? I sprawca zbiegł z miejsca wypadku? – Wyjął poobtłukiwanego palmtopa i uniósł wzrok, nie włączając urządzenia. – We wtorek? Byłem na spotkaniu. We wtorek wieczorem? Chryste, byłem na spotkaniu. – Zająknął się nerwowo. – Wtedy właśnie ukradli mi ten cholerny samochód. Byłem na spotkaniu. Dwadzieścia osób może to potwierdzić.

– Jakim spotkaniu? Gdzie?

– W Vyevus.

– Jak tam dotarłeś bez furgonetki?

– Kurwa, samochodem! Nikt mi go nie ukradł! Byłem na spotkaniu Anonimowych Hazardzistów. – Wytrzeszczyłem oczy ze zdziwienia. – Chodzę tam co tydzień. Od czterech lat.

– Odkąd wyszedłeś z więzienia.

– Tak, odkąd wyszedłem z pierdolonego więzienia. Jezu, jak pan myśli, dlaczego tam trafiłem?

– Za pobicie.

– Ehe, złamałem nos pierdolonemu księgowemu, bo miałem manko, a on mi groził. Czemu to pana obchodzi? We wtorek wieczorem widziała mnie cała kupa ludzi.

– Spotkanie trwało maksimum dwie godziny...

– Tak, ale potem poszliśmy razem do baru. Jesteśmy Anonimowymi Hazardzistami, nie Alkoholikami. Kiedy stamtąd wyszliśmy, było już po północy, i nie wróciłem do domu sam.

W naszej grupie jest kobieta... Wszyscy to potwierdzą.

W tym punkcie się mylił. Z osiemnastu członków grupy jedenastu było zdecydowanych ochraniać swą anonimowość. Organizator, żyłasty mężczyzna z uczesnymi w kucyk włosami używający ksywki „Fasola”, nie chciał nam ich podać. Miał do tego prawo. Moglibyśmy go zmusić, ale po co? Siedmioro uczestników, którzy zgodzili się ujawnić, potwierdziło wersję Khuruscha.

Żadne z nich nie było kobietą, z którą wrócił do domu, ale kilkoro przyznało, że ona istnieje. Moglibyśmy ją odszukać, ale to również niczemu by nie służyło. Mektocy bardzo się podekscytowali, gdy znaleźliśmy na ciele Fulany DNA Khuruscha, ale to było tylko trochę włosów z jego przedramion na jej skórze. Bardzo często ładował do samochodu różne rzeczy, niczego więc to nie dowodziło.

– Ale dlaczego nikomu nic nie powiedział o kradzieży?

– Powiedział – odparła Ramira Yaszek. – Tylko nie nam. Rozmawiał o tym z sekretarką, Ljellą Kitsov. Od dwóch dni nie przestawał utyskiwać z tego powodu.

– Ale nie chciało mu się nas zawiadomić? Jak sobie bez niej radził?

– Sekretarka mówiła, że on tylko przewozi towar przez rzekę. Od czasu do czasu zajmuje się importem, na bardzo małą skalę. Wyjeżdża za granicę i kupuje towary, które da się tu sprzedać. Tanie ubrania, kompakt o niepewnej legalności.

– Dokąd konkretnie wyjeżdża?

– Do Warny. Bukaresztu. Czasami do Turcji. I do Ul Qomy, oczywiście.

– To znaczy, że był po prostu zbyt leniwy, by zgłosić kradzież?

– To się zdarza, szefie.

Miała rację. Choć Khurusch nie zawiadomił nas o kradzieży, nagle gorąco zapragnął odzyskać furgonetkę i był wściekły, kiedy mu jej nie oddaliśmy. Zaprowadziliśmy go na parking, by potwierdził, że to jego własność.

– Tak, to moja furgonetka. – Czekałem, aż zacznie się skarżyć, że jest brudna, ale najwyraźniej zawsze miała taki kolor. – Dlaczego nie mogę jej odzyskać? Jest mi potrzebna.

– Już mówiłem, że to miejsce zbrodni. Dostaniesz ją, kiedy będziemy gotowi. Do czego służy to wszystko?

Zajrzał do wnętrza samochodu, sapiąc i mrużąc z niezadowolenia. Nie pozwoliłem mu niczego dotykać.

– Ten syf? Kurwa, nie mam pojęcia.

– Mówię o tym – uściśliłem, wskazując na kawałek sznura oraz walający się na podłodze złom.

– Ehe. Nie mam pojęcia. Ja tego tu nie włożyłem. Niech pan tak na mnie nie patrzy. Po co miałbym wozic takie śmieci?

Potem wróciłem do gabinetu, porozmawiać z Lizbyet Corwi.

– Proszę, powstrzymaj mnie, jeśli masz jakieś pomysły. Widzę tylko dziewczynę, która

może być profesjonalistką albo nie. Nikt jej nie zna, ciało porzucono w publicznym miejscu, zawieziono ją tam skradzioną furgonetką, do której z niezrozumiałych powodów załadowano kupę złomu. I żadna z tych części nie jest narzędziem zbrodni. To w zasadzie pewne.

Wskazałem na leżący na biurku dokument stwierdzający ten fakt.

– Na całym osiedlu jest mnóstwo odpadków – odparła kobieta. – W gruncie rzeczy, jest ich pełno w całym Beszel. Mógł to znaleźć wszędzie. Mógł... a może mogli.

– Znalazł to, załadował do furgonetki, a potem porzucił razem z nią.

Policjantka siedziała sztywno, czekając, aż coś powiem. Odpadki nie zrobiły nic poza zabrudzeniem martwej kobiety rdzą, jakby ona również była starym żelastwem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Oba tropy okazały się fałszywe. Asystentka prawna rzuciła pracę i nie zawracała sobie głowy zawiadomieniem kogokolwiek. Znaleźliśmy ją w Byatsialic, we wschodnim Beszel. Zawstydzila się, że narobiła nam tyle kłopotów.

– Nigdy nie wysyłam wypowiedzenia – powtarzała raz po raz. – Nie takim pracodawcom. I nic takiego nigdy mi się nie zdarzyło.

Corwi bez trudu znalazła Rosyn „Usteczka”. Dziewczyna pracowała w swym zwykłym rewirze.

– Ona w ogóle nie przypomina Fulany, szefie – stwierdziła policjantka, wyświetlając mi obraz z pliku JPG. Rosyn z chęcią pozowała do zdjęcia. Nie udało się nam ustalić źródła fałszywej informacji. Przekazano ją nadzwyczaj pewnym tonem. Nie wiedzieliśmy też, jak ktokolwiek mógłby pomylić ze sobą obie kobiety. Otrzymaliśmy również inne informacje i kazałem ludziom je sprawdzić. Na automatycznej sekretarce miałem mnóstwo nagranych wiadomości i przerwanych połączeń.

Pogoda była deszczowa. Zdjęcie Fulany zawieszona na kiosku przed moimi drzwiami nasiąknęło wodą i zamazało się. Ktoś nakleił tam błyszczący plakat reklamujący wieczór bałkańskiego techno, zalepiając górną połowę twarzy zamordowanej. Wiadomość o organizowanym w klubie koncercie zdawała się wychodzić z jej ust. Zdjąłem nowy plakat, ale nie wyrzuciłem go, tylko przesunąłem w inne miejsce, by Fulana znowu stała się widoczna. Z jej zamkniętymi oczami sąsiadowali DJ Radic, Tiger Kru i Hard Beats. Nie widziałem żadnych innych zdjęć Fulany, choć Corwi zapewniała, że wiszą w całym mieście.

Wszędzie w furgonetce rzecz jasna było pełno śladów Khuruscha, ale na ciele Fulany nie znaleźliśmy nic poza tymi kilkoma włoskami. Zresztą wszyscy ci nawróceni hazardziści nie mieli powodu, by kłamać. Próbowaliśmy wyciągnąć od niego nazwiska ludzi, którym kiedykolwiek pożyczał furgonetkę. Wymienił kilka, ale uparcie zapewniał, że pojazd ukradł nieznamy. W poniedziałek dostałem telefon.

– Borlú – powiedziałem. Po dłuższej chwili przedstawiłem się raz jeszcze.

– Inspektor Borlú – powtórzył dzwoniący.

– W czym mogę panu pomóc?

– Nie jestem pewien. Przed kilkoma dniami pomyślałem, że pan może. Od tego czasu

próbowałem się z panem skontaktować. Chyba to raczej ja mogę panu pomóc.

Mężczyzna mówił z cudzoziemskim akcentem.

– Słucham? Przepraszam, ale musi pan mówić głośniej. Połączenie jest bardzo kiepskie.

Szum w słuchawce był wyjątkowo głośny, a głos mężczyzny brzmiał jak nagrany na jakimś staroświeckim urządzeniu. Nie wiedziałem, czy to linia odpowiada za opóźnienie, czy też po prostu za każdym razem długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Nieźle mówił po beszańsku, ale w jego języku roiło się od dziwacznych archaizmów.

– Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

– Mam dla pana informację.

– Łączył się pan z naszą infolinią?

– Nie mogę. – Dzwonił zza granicy. Przestarzałe beszańskie centrale wytwarzały charakterystyczne sprzężenia. – W tym właśnie problem.

– Skąd pan wziął mój numer?

– Zamknij się, Borlú. – Raz jeszcze pożałowałem, że nie możemy nagrywać rozmów. – Wygooglałem go. Pańskie nazwisko jest w gazetach. Prowadzi pan śledztwo w sprawie dziewczyny. Nie tak trudno jest się przedostać przez pańskich asystentów. Chce pan mojej pomocy czy nie?

Daję słowo, że rozejrzałem się wokół, by się upewnić, że w pokoju nikogo nie ma.

– Skąd pan dzwoni?

Rozsunąłem żaluzje, jakbym naprawdę mógł zobaczyć na ulicy jakiegoś obserwatora. Oczywiście nikogo tam nie było.

– Niech pan nie zawraca głowy, Borlú. Wie pan, skąd dzwonię. – Cały czas robiłem notatki. Znałem ten akcent. Dzwonił z Ul Qomy. – Wie pan, skąd dzwonię i dlatego niech pan nie pyta o moje nazwisko.

– Samo dzwonicie nie jest nielegalne.

– Ale nie wie pan, co panu powiem. Nie może pan tego wiedzieć. To... – przerwał na chwilę. Usłyszałem, że mamrocze coś, zasłaniając słuchawkę ręką. – Niech pan posłucha, Borlú. Nie wiem, jaka jest pana opinia w tych sprawach, ale ja uważam, że to szaleństwo i zniewaga, że dzwonię do pana zza granicy.

– Nie mieszam się do polityki. Chwileczkę, może pan woli...

Ostatnie zdanie zacząłem po illitańsku, w języku używanym w Ul Qomie.

– To bez różnicy – przerwał mi. Jego staromodny beszański miał wyraźny illitański akcent. – W końcu to ten sam język, do cholery. – Zapisałem, że to powiedział. – A teraz proszę się zamknąć. Chce pan usłyszeć moją informację?

– Oczywiście.

Cały czas zastanawiałem się, jak mógłbym ustalić źródło połączenia. Nie mieliśmy potrzebnego sprzętu, a nawet gdybym dodzwonił się do BeszTel podczas rozmowy, zajęłoby im to całe godziny.

– Ta kobieta, którą... Ona nie żyje, tak? Jestem tego pewien. Znałem ją.

– Przykro mi... – odezwałem się, gdy umilkł na dość długą chwilę.

– Znałem ją... Spotkałem ją jakiś czas temu. Chcę panu pomóc, Borlú, ale nie dlatego, że jest pan gliną. Święte Światło, nie uznaje prawomocności waszych władz. Ale jeśli Maryę... jeśli ją zabito, niebezpieczeństwo może grozić pewnym osobom, które nie są mi obojętne. W tym również osobie, na której zależy mi najbardziej, to znaczy mnie. Zresztą ona zasługuje... Dobra, to wszystko, co wiem. Miała na imię Marya. Tak się przynajmniej przedstawiała. Poznałem ją tutaj. To znaczy w Ul Qomie. Mówię panu wszystko, co wiem, ale tego nigdy nie było zbyt wiele. Była cudzoziemką. Poznałem ją przez politykę. Traktowała to bardzo poważnie. No wie pan, była zaangażowana. Tylko nie w to, w co z początku sądziłem. Wiedziała bardzo wiele. Nie robiła tego tylko dla zabicia czasu.

– Niech pan posłucha...

– To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Mieszkała tutaj.

– Była w Beszel.

– Niech pan nie gada głupot – warknął gniewnie. – Nie mogła tam być. Nie oficjalnie. A nawet jeśli tam się znalazła, i tak była tutaj. Niech pan sprawdzi komórki. Radykałów. Ktoś na pewno będzie ją znał. Kontaktowała się ze wszystkimi. Z całym podziemiem. Z pewnością po obu stronach miasta. Chciała wszędzie dotrzeć, wszystkiego się dowiedzieć. I osiągnęła ten cel. To wszystko.

– Skąd się pan dowiedział, że ją zabito?

Wciągnął z sykiem oddech.

– Borlú, jeśli pyta pan poważnie, to znaczy, że jest pan głupi, a ja marnuję czas. Poznałem ją na zdjęciu. Naprawdę pan myśli, że pomagałbym wam, gdybym nie musiał? Gdybym nie uważał, że to ważne? Skąd niby mogłem się dowiedzieć? Widziałem wasz pierdolony plakat.

Odłożył słuchawkę. Ja trzymałem swoją jeszcze przez pewien czas, jakbym liczył na to, że zadzwoni znowu.

„Widziałem wasz plakat”. Spojrzałem na notes i zobaczyłem, że obok podanych przez nieznajomego szczegółów nabazgrałem słowa „cholera, cholera, cholera”.

* * *

Wkrótce potem opuściłem gabinet.

– Dobrze się czujesz, Tyador? – zapytał Gadlem. – Nie wyglądasz najlepiej.

Z pewnością miał rację. Kupiłem sobie w ulicznej budce mocną kawę *aj Tyrko* – po turecku. To był błąd. Zrobiłem się od niej jeszcze bardziej nerwowo.

Być może trudno to uznać za zaskoczenie, ale po drodze do domu miałem tego dnia trudności z dostrzeganiem granic, widzeniem tylko tego, co trzeba, i przeoczeniem tego, co powinienem. Otaczali mnie ludzie, którzy nie przebywali w moim mieście, szedłem powoli

przez okolice, które były tłoczne, ale nie w Beszel. Skupiałem się na murach, które naprawdę mnie otaczały – katedrach, barach, ceglanych ozdobnikach na budynku dawnej szkoły – i które znałem od dzieciństwa. Pozostałe starałem się ignorować.

Wieczorem zadzwoniłem do historyczki, Sariski. Seks dobrze by mi zrobił, ale ona czasami lubiła rozmawiać o aktualnie prowadzonych przeze mnie sprawach, a do tego była inteligentna. Dwukrotnie wykręcałem jej numer, ale przerywałem połączenie, nim zdążyła podnieść słuchawkę. Zamaskowane jako hipoteza złamanie tajemnicy śledztwa to jedno, a uczynienie Sariski współniczką przekroczenia to coś całkiem innego.

Ciągle wracałem myślą do słów „cholera, cholera, cholera”. W rezultacie wróciłem do domu z dwiema butelkami wina i wysączyłem je powoli, razem z kolacją złożoną z oliwek, sera i kielbasy. Sporządziłem kolejne bezużyteczne notatki – niektóre z nich miały postać tajemniczego wykresu, jakbym liczył na to, że rysunek wskaże mi drogę wyjścia. Sytuacja była jednak jasna. Stałem przed oczywistym dylematem. Mogłem paść ofiarą wymyślnego, bezsensownego żartu, ale to było mało prawdopodobne. Wszystko wskazywało na to, że nieznajomy mężczyzna mówił prawdę.

W takim przypadku podsunął mi ważny trop, istotną informację w sprawie Fulany Maryi. Powiedział mi, dokąd powinienem się udać i kogo odnaleźć, by poznać prawdę, co było moim zadaniem. Gdyby jednak wyszło na jaw, skąd pochodziły moje informacje, sąd nie mógłby uznać takich dowodów. Sprawa była nawet poważniejsza. Gdybym zrobił użytek z tych wiadomości, dopuściłbym się czegoś znacznie gorszego niż złamanie beszańskiego prawa. Stałbym się winny przekroczenia.

Mój informator nie powinien był zobaczyć plakatów. Nie wisiały w jego kraju. Nie powinien był mi o tym mówić. W ten sposób uczynił mnie swoim współnikiem. W Beszel ta informacja była alergenem. Sam fakt, że znajdowała się w mojej głowie, stał się powodem urazu. Byłem współwinny. Stało się. Być może dlatego, że byłem pijany, nie przyszło mi wówczas do głowy, iż nie musiał mi mówić, gdzie zdobył tę informację i w związku z tym z pewnością miał jakiś powód.

* * *

Nie spaliłem notatek z tej rozmowy, któż jednak nie czułby takiej pokusy? To oczywiste, że nie mogłem tego zrobić, ale siedziałem do późna za stołem w kuchni, wpatrując się w rozłożone na blacie kartki, od czasu do czasu pisząc ukośnie na nich słowo „cholera”. Włączyłem muzykę: *Little Miss Train*, utwór nagrany przez Vana Morrisona z Coirszą Yakov, zwaną beszańską Umm Kalsoum, podczas jego tournée w roku 1987. Wypiłem jeszcze trochę i położyłem zdjęcie Maryi Fulany Nieznanej Cudzoziemki Przekraczającej obok notatek.

Nikt jej nie znał. Niech nam Bóg pomoże, niewykluczone, że wcale nie znajdowała się w Beszel, mimo że Pocost było jednorodną okolicą. Mogli ją tam zawlec. Znalezienie ciała

przez nastolatków i wszczęcie postępowania mogły również być przekroczeniami. Nie powinienem się pograżać, kontynuując śledztwo. Być może najlepiej by było go zaprzestać i pozwolić ciału gnić spokojnie. Wyobrażanie sobie choćby przez chwilę, że mógłbym to zrobić, byłoby jednak czczym marzycielstwem. W ostatecznym rozrachunku wykonam swoją robotę, choć będzie to oznaczało złamanie kodeksu, praw znacznie bardziej fundamentalnych niż te, za których strzeżenie mi płacono.

W dzieciństwie nieraz bawiliśmy się w Przekroczeniówkę. Nigdy zbytnio nie lubiłem tej zabawy, ale ja również przekradałem się ukradkiem przez narysowane kredą linie, a potem uciekałem przed kolegami, wykrzywiającymi twarze w upiornych grymasach i wyginającymi palce niczym szpony. Kiedy indziej to ja goniłem, gdy przyszła na mnie kolej, by być Przekroczeniówką. Była to jedna z naszych ulubionych zabaw, na równi z wyciąganiem z ziemi patyków albo kamieni i ogłaszaniem, że odkryliśmy magiczną beszańską żyłę rudy, oraz połączeniem berka z zabawą w chowanego zwaną polowaniem na wchodźcę.

Nie istnieje religia tak beznadziejna, że nie znalazłaby żadnych wyznawców. W Beszel działa sekta oddająca cześć Przekroczeniówce. Otacza ją aura skandalu, w czym nie ma nic dziwnego, biorąc pod uwagę moce, o których mowa. Działania kongregacji nie zabrania żadne prawo, choć natura owej religii wszystkich niepokoi. Bywała ona tematem szukających taniej sensacji programów telewizyjnych.

O trzeciej nad ranem byłem już kompletnie pijany. Nie mogłem zasnąć i gapiłem się na ulice Beszel. A także na coś więcej. Na przepłot. Słyszałem ujadanie psów, a raz czy dwa także zew jakiegoś chudego, zarobaczonego wilka ulicznego. Cały stół pokrywały papiery, ułożone jak dwie strony sporu – jeśli to rzeczywiście był spór. Na twarzy Fulany Maryi zostały czerwone kółka od szklanki z winem, podobnie jak na nielegalnych notatkach naznaczonych słowem „cholera”.

Nieprzespane noce nie były dla mnie rzadkością. Sariska i Biszaya przyzwyczyły się do tego, że gdy szły nocą do łazienki, nieraz zastawały mnie w kuchni. Siedziałem tam, żując tak wiele gumy, że robiły mi się pęcherze od cukru, nie chciałem wracać do palenia. Albo patrzyłem na pograżone w mroku miasto. Rzecz jasna przeoczałem światła drugiego, ale i tak miały na mnie wpływ.

Sariska żartowała sobie czasem ze mnie.

– Spójrz na siebie – mówiła z nutą sympatii. – Siedzisz tu jak sowa. Cholerny, melancholijny maskaron. Wiesz co, sentymentalny skurczybyku? Żadne olśnienie nie spadnie na ciebie tylko dlatego, że jest noc, ale w niektórych budynkach palą się światła.

Tym razem jednak jej tu nie było i nie mogła ze mnie drwić. Potrzebowałem jakiegoś olśnienia, choćby nawet fałszywego, wyjrzałem więc przez okno.

Nad chmurami latały samoloty. Wieże katedr lśniły w blasku bijącym od szklanych wieżowców. Na zagranicznych budynkach paliły się łukowate albo półksiężycowate neony. Włączyłem komputer, by sprawdzić parę rzeczy, ale miałem tylko połączenie telefoniczne,

które działało tak irytująco powoli, że dałem sobie z tym spokój.

– Szczegóły sprawdzę później.

Chyba naprawdę powiedziałem to na głos. Zrobiłem jeszcze trochę notatek, a wreszcie zadzwoniłem do biura Lizbyet Corwi.

– Lizbyet, coś mi przyszło do głowy. – Jak zawsze, gdy kłamię, instynkt kazał mi mówić za dużo i zbyt szybko. Świadomie nakazałem sobie cedzić niedbale słowa. Lizbyet nie była jednak głupia. – Jest już późno. Przekazuję to tobie, bo jutro pewnie nie przyjdę do pracy. Poszukiwania na ulicach nic nam nie dały. Nie ulega wątpliwości, że nasza pierwsza hipoteza była błędna. W przeciwnym razie ktoś rozpoznałby ofiarę. Rozwiesiliśmy jej zdjęcie we wszystkich rejonach. Jeśli była ulicznicą pracującą poza swoim rewirem, może szczęście się do nas uśmiechnie. Na razie jednak chciałbym sprawdzić kilka innych możliwości. Tak sobie myślę, że chyba nie mieszkała w tamtej okolicy. To dziwna sytuacja i nic nie znaleźliśmy. Gadałem z jednym facetem w Wydziale ds. Dysydentów i powiedział mi, że ludzie, którymi się zajmuje, są bardzo skryci. To wszystko naziści, czerwoni, unifi i tak dalej. Kapujesz, zacząłem się zastanawiać, jakiego rodzaju ludzie ukrywają swą tożsamość. Mamy jeszcze trochę czasu i chciałbym sprawdzić tę możliwość. Myślę sobie... Zaczekaj, sprawdzę notatki... Dobra, możemy zacząć od unifów. Pogadaj z brygadą zajmującą się pomyleńcami. Może uda ci się wydobyć od nich jakieś adresy, namiary. Nie wiem na ten temat zbyt wiele. Skontaktuj się z Shenvoiem. Powiedz mu, że pracujesz dla mnie. Porozmawiaj, z kim się da, pokaż im zdjęcia, może ktoś ją pozna. Nie muszę ci mówić, że spotkasz się z ich strony z dziwnym zachowaniem. Nie będą zadowoleni z twojej obecności. Ale może uda ci się coś osiągnąć. Dzwoń do mnie na komórkę. Jak już mówiłem, nie przyjdę do pracy. No to na razie. Pogadamy jutro. Cześć. – Po rozłączeniu się chyba również na głos powiedziałem: – To było okropne. – Potem zadzwoniłem do Taskin Cerush z naszej administracji. Zapisałem sobie numer do niej, gdy pomogła mi uporać się z biurokratycznymi przeszkodami w jednej z niedawnych spraw, i od tego czasu pozostawałem z nią w kontakcie. Jest świetna w tym, co robi. – Taskin, mówi Tyador Borlú. Czy mogłabyś zadzwonić do mnie na komórkę, jutro albo kiedy będziesz miała czas, żeby mi powiedzieć, co bym musiał zrobić, by przekazać sprawę Komisji Nadzoru? Celem oddania jej Przekroczeniówce? Mówię tylko teoretycznie. – Skrzywiłem się z cichym śmiechem. – Nikomu o tym nie wspominaj, dobra? Dziękuję, Task. Zawiadom mnie, co muszę zrobić. Znasz się na takich sprawach. Może będziesz miała jakieś sugestie. Dziękuję.

Nie było wątpliwości, co próbował mi powiedzieć przerażający informator. Oto kilka fraz, które podkreśliłem.

Ten sam język...

...nie uznają prawomocności...

...po obu stronach miasta...

To tłumaczyło, dlaczego do mnie zadzwonił, dlaczego dopuścił się tej zbrodni, dlaczego

zobaczył to, co zobaczył, i dlaczego nie powstrzymało go to, jak zdarzyłoby się to w przypadku większości. Przede wszystkim bał się, że może mu grozić ten sam los, co Maryi Fulanie. Powiedział mi, że jego współpiskowcy z Beszel mogli znać Maryę, że najprawdopodobniej nie przestrzegają granic. Jeśli jakaś wywrotowa grupa z Beszel była zamieszana w tego rodzaju zbrodnicze łamanie tabu, z pewnością byli to towarzysze mojego informatora. Nie ulegało wątpliwości, że to unifikacjoniści.

* * *

Gdy znowu spojrzałem na skąpane w blasku nocnych świateł miasto, przypomniałem sobie drwiny Sariski. Tym razem zobaczyłem również to sąsiednie, choć złamałem w ten sposób prawo. Któż nie robi tego od czasu do czasu? Były tam zapory balonowe, których nie powinienem ujrzyć, oraz zwisające z nich reklamy na metalowych ramach. Przynajmniej jeden z widocznych na ulicy przechodniów nie przebywał w Beszel – poznawałem to po stroju, kolorach i sposobie chodzenia – ale i tak go obserwowałem.

Zwróciłem się ku biegnącej kilka metrów od moich okien linii kolejowej. Czekałem cierpliwie, aż wreszcie zjawi się nocny pociąg. Zaglądałem w jego jasno oświetlone okna, spoglądając w oczy pasażerom. Tylko bardzo nieliczni zauważali mnie ze zdumieniem. Pociąg szybko zniknął za lasem dachów. To trwało bardzo krótko i nie można ich było o nic oskarżać. Zapewne nie czuli się winni zbyt długo. Najprawdopodobniej szybko zapomną o tej wymianie spojrzeń. Zawsze chciałem mieszkać w miejscu, gdzie mógłbym patrzeć na zagraniczne pociągi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeśli ktoś nie wie zbyt wiele o tych językach, illitański i beszański brzmią zupełnie inaczej. Rzecz jasna zapisuje się je w innych alfabetach. Beszański ma własne pismo, składające się z trzydziestu czterech znaków, pisanych od lewej do prawej. To fonetyczny alfabet i każdy znak odpowiada innemu dźwiękowi, a spółgłoski, samogłoski i półsamogłoski ozdabia się znakami diakrytycznymi. Często się słyszy, że to pismo przypomina cyrylicę. To porównanie – trafne lub nie – z reguły irytuje beszan. Illitański używa łacińskiego alfabetu. Od niedawna.

Zeszłowieczne bądź starsze relacje z podróży zawsze zwracają uwagę na niezwykłą i piękną illitańską kaligrafię. W owym piśmie znaki stawiało się od prawej do lewej. Wszyscy zwracają też uwagę na ostrą, nieprzyjemną wymowę. W swoim czasie powszechnie znano słowa, jakie napisał w swym dzienniku podróży Laurence Sterne: „W Krainie Alfabetów *Arabski* wpadł w oko *pani Sanskryckiej* – musiał być pijany, pomimo zakazów Mahometa, gdyż w przeciwnym razie powstrzymałby go jej wiek. Po dziewięciu miesiącach przyszło na świat dziecko z nieprawego łoża. Owo straszliwe niemowlę zwie się *Illitańskim* i jest hermafrodytą niepozobawionym szczególnej urody. Jego forma zachowała wspomnienie obojga rodziców, ale głos pochodzi od tych, którzy go wychowywali. Od ptaków”.

Ów alfabet zniknął jednego dnia w roku 1923, w kulminacyjnym punkcie reform Ya Illy. To Atatürk go naśladował, a nie na odwrót, jak się na ogół twierdzi. Nawet w Ul Qomie nikt już nie potrafi czytać illitańskiego pisma, poza archiwistami i aktywistami.

W obu swych pisanych postaciach illitański w ogóle nie przypomina beszańskiego. Nie brzmi też podobnie do niego. Niemniej te różnice nie sięgają tak głęboko, jak by się z pozoru zdawało. Mimo że obie kultury usilnie wprowadzały rozróżnienia w formach gramatycznych i wzajemnych relacjach fonemów – choć nie w samych podstawowych dźwiękach – owe języki są blisko spokrewnione, w końcu wywodzą się od wspólnego przodka. Stwierdzenie brzmi niemal wywrotowo. Po dziś dzień.

W Beszel ciemne wieki były naprawdę bardzo ciemne. Miasto założono więcej niż tysiąc siedemset, a mniej niż dwa tysiące lat temu. W samym jego sercu zachowały się jeszcze ruiny z tamtych lat. Było wówczas portem ukrytym kilka kilometrów w górę rzeki dla ochrony przed piratami. Rzecz jasna drugie miasto powstało w tym samym czasie. Miejska zabudowa

otacza obecnie ruiny, a gdzieś na starożytnych fundamentach wzniesiono nowe gmachy. Mamy też starsze zabytki, na przykład resztki mozaiki w Parku Yozhefa. Uważa się, że rzymskie ruiny wywodzą się z czasów poprzedzających powstanie Beszel. Przypuszczamy, że zbudowaliśmy swe miasto na rzymskich kościach.

Nie wiemy, czy to, co budowaliśmy, było już Beszel, i czy inni jednocześnie wznosili na tych samych kościach Ul Qomę. Niewykluczone, że wówczas było to jedno miasto i schizma nastąpiła dopiero później, bądź też Beszel naszych przodków nie spotkał się jeszcze wtedy z sąsiadem, z którym miał się później spleść, zachowując jednocześnie dystans. Nie jestem znawcą czasów rozłamu, a nawet gdybym nim był, i tak bym tego nie wiedział.

* * *

– Szefie – usłyszałem w komórce głos Lizbyet Corwi. – Szefie, trafiłeś w dziesiątkę. Skąd wiedziałeś? Spotkajmy się na BudapestStrász 68.

Choć minęło już południe, jeszcze się nie ubrałem. Kuchenny stół pokrywały liczne papiery. Wszystkie swe książki o historii i polityce ustawiłem w wieżę Babel, wspartą butelką mleka. Powinienem pamiętać, by nie pobrudzić laptopa, ale najwyraźniej mi się nie chciało. Wytarłem ślady kakao z notatek. Czarna twarz na pudełku z francuską rozpuszczalną czekoladą uśmiechała się do mnie.

– Nie rozumiem. Co to za adres?

– W Bundalii – wyjaśniła. To była przemysłowa dzielnica położona nad rzeką, na północny zachód od Parku Kolejki Linowej. – Naprawdę nie wiesz? Zrobiłam, co mi kazałeś. Wypytałam ludzi, dowiedziałam się, jakie grupy u nas działają i co o sobie nawzajem myślą, bla, bla, bla. Cały ranek poświęciłam na łażenie po mieście i zadawanie pytań. Próbowałam zastraszyć skurczybyków. No wiesz, mundur raczej nie wzbudza ich szacunku. Nie mogę powiedzieć, żebym liczyła na zbyt wiele, ale doszłam do wniosku, że i tak nie mam lepszych pomysłów. No więc, łąziłam w kółko, próbując się zorientować w ich politycznych relacjach i tak dalej, aż nagle pewien facet w jednej z tych... pewnie to się nazywa łoża... zaczął się czymś zdradzać. Z początku nie chciał niczego przyznać, ale łatwo było go przejrzeć. Kurwa, jesteś geniuszem, szefie. BudapestStrász 68 to kwatera główna unifikacjonistów.

Jej zachwyty już w tej chwili były bliskie podejrzliwości. Z pewnością przyjrzałyby mi się jeszcze uważniej, gdyby zobaczyła dokumenty, które przesuwałam na blacie podczas rozmowy z nią. Kilka książek było otwartych na skorowidzach, by ułatwić mi szybkie odnalezienie wszystkich wzmianek o unifikacjonizmie. Mimo to nie udało mi się odszukać adresu na BudapestStrász.

Unifikacjoniści – jak wszystkie radykalne organizacje – są podzieleni na liczne frakcje. Część z nich jest nielegalna. To siostrzane ugrupowania, działające jednocześnie w Beszel i w Ul Qomie. Niektóre z nich w różnych chwilach swych dziejów wzywały do użycia przemocy

celem zjednoczenia miast, zgodnie z wolą Boga, przeznaczenia, historii albo ludu. Inne atakowały nacjonalistycznych intelektualistów, na ogół nieudolnie – rzucały cegłami w okna albo srały pod drzwiami. Większość z nich oskarżano o uprawianie potajemnej propagandy wśród uchodźców i nowych imigrantów, niemających jeszcze doświadczenia w widzeniu i przeoczeniu, w życiu w tylko jednym z dwóch miast. Radykałowie pragnęli wykorzystać ich niepewność jako broń.

Podobnych ekstremistów głośno krytykowali inni działacze, zainteresowani zachowaniem swobody poruszania się oraz zgromadzeń – nawet jeśli po cichu popierali radykałów i łączyły ich z nimi skrywane więzy. Istniały też inne podziały. Ugrupowania unifikacjonistów różnie sobie wyobrażały, jak ma wyglądać zjednoczone miasto, jak będzie się nazywało i jaki język będzie w nim obowiązywał. Nawet te legalne grupki były nieustannie inwigilowane przez władze obu miast.

– Są jak ser szwajcarski – powiedział mi Shenvoi, gdy rozmawiałem z nim owego ranka.
– Wśród unifikacjonistów jest mnóstwo informatorów i wtyk. Zapewne nawet więcej niż wśród Prawdziwych Obywateli, nazistów czy innych takich świrów. Nie ma co się nimi przejmować. Chuja zrobią bez zgody kogoś z bezpieczeństwa.

Unifikacjoniści z pewnością wiedzą przy tym – nawet jeśli mają nadzieję, że nigdy nie przekonają się o tym na własnej skórze – że żadne z ich poczynań nie ujdzie uwagi Przekroczeniówki. To znaczyło, że ja również przyciągnę jej spojrzenie, gdy odwiedzę ich kwaterę główną. O ile już go nie przyciągnąłem.

Kwestia wyboru środka komunikacji zawsze jest ważna. Powiniennem wziąć taksówkę, bo Corwi na mnie czekała, ale wolałem pojechać dwoma tramwajami, z przesiadką na placu Vencelasa. Siedziałem w kołyszącym się wagonie, przyglądając się płaskorzeźbom i nakręcanym figurkom beszańskich mieszczan zdobiącym fasady budynków. Ignorowałem, przeoczałem efektowniejsze frontony znajdujące się gdzie indziej, w alteracjach.

Na całej BudapestStrąsz pod starymi budynkami rosły krzewy budlei. To typowy miejski chwast w Beszel, ale nie w Ul Qomie, gdzie przycinają ją, gdy tylko się pojawi. Dlatego na BudapestStrąsz, która była beszańską częścią przepłotu, zaniedbane, niekwitnące o tej porze roku krzaki rosły wzdłuż jednego albo kilku miejscowych budynków, a potem urywały się nagle na granicy miasta.

Domy w Beszel były zbudowane z cegły i otynkowane. Z każdego gapiły się na mnie domowe lary, małe, człekokształtne maskarony o budlejowych brodach. Przed kilkoma dziesięcioleciami ta okolica nie była jeszcze tak podupadła. Ulica była hałaśliwa, krążyli po niej młodzi urzędnicy w ciemnych garniturach oraz inni ważni goście. Za budynkami po północnej stronie kryły się wówczas obszary przemysłowe, a przy zakręcie płynącej dalej rzeki usytuowano ruchliwe przystanie. Teraz zostało tam tylko cmentarzysko żelaznych szkieletów.

W owych czasach zajmujący tę samą przestrzeń region Ul Qomy był znacznie

spokojniejszy. Obecnie jednak zrobił się zdecydowanie hałaśliwszy. Sąsiedzi wyprzedzili nas w ekonomicznej antyfazie. Gdy rzeczny handel w Beszel podupadł, gospodarka w Ul Qomie zaczęła rozwijać się szybciej i teraz po wytartym bruku przeplotu chodzi więcej cudzoziemców niż beszan. Wszystkie jeszcze niedawno zaniedbane ulqomańskie budynki, zwieńczone blankami siedliska gawronów w lumpenbarokowym stylu – oczywiście ich nie widziałem, przeoczałem je starannie, ale i tak bezprawnie zapisywały się w moim umyśle, choćby nawet w niewielkim stopniu, a zresztą pamiętałem ten styl ze zdjęć – poddano renowacji i znajdowały się w nich teraz galerie handlowe oraz nowo założone przedsiębiorstwa z domenami .uq.

Śledziłem numerację miejscowych domów. Rosła seriami, przerywanymi przez cudzoziemskie alteracje. W Beszel okolica była słabo zaludniona, ale za granicą sprawy miały się inaczej. Roilo się tam od młodych, elegancko ubranych ludzi interesu i po wyjściu z tramwaju musiałem ich przeoczać i omijać jednocześnie. Ich głosy były dla mnie tylko cichym, niezrozumiałym szumem. Taka zdolność niesłyszenia wymaga wielu lat ćwiczeń. Wreszcie dotarłem do budynku o smołowanej fasadzie, pod którym czekała Corwi w towarzystwie mężczyzny o niezadowolonej minie. Staliśmy razem w niemal wyludnionej dzielnicy Beszel, otoczeni przez gęsty, niesłyszany tłum.

– Szefie, to jest Pall Drodin.

Drodin był wysokim, chudym mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki. W uszach nosił kilka kolczyków, a na sobie miał skórzaną kurtkę pełną insygniów rozmaitych wojskowych i innych organizacji, do których z pewnością nie należał, a także dziwnie eleganckie, choć brudne spodnie. Trzymał w ustach papierosa, łypiąc na mnie z irytacją.

Nie został aresztowany. Corwi go nie zatrzymała. Przywitałem ją skinieniem głowy, a potem zatoczyłem powolny półokrąg, przyglądając się otaczającym nas budynkom. Oczywiście zatrzymywałem spojrzenie tylko na tych, które były w Beszel.

– Przekroczeniówka? – zapytałem. Drodin spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Szczerze mówiąc, Corwi również, ale ona zdołała to ukryć. – Myśli pan, że obserwują nas ukryte moce? – zapytałem, gdy nie odpowiadał.

– Tak, nie, tak. – Wyglądał, jakby miał do mnie pretensję. Jestem pewien, że rzeczywiście tak było. – Jasne. Jasne. Pyta mnie pan, gdzie oni są? – To w sumie raczej bezużyteczne pytanie, ale żaden beszanin czy ulqomanin nie potrafi się od niego uwolnić. Drodin cały czas patrzył tylko w moje oczy. – Widzi pan ten budynek po drugiej stronie? Ten, gdzie kiedyś była fabryka zapalek? – Prawie stuletnie, obłazące malowidło na ścianie przedstawiało uśmiechniętą salamandrę w koronie z płomieni. – Czasem można tam coś zobaczyć. No wie pan, coś, czego nie powinno tam być.

– Widział pan, jak się materializują? – Znowu zrobił niespokojną minę. – Myśli pan, że tam właśnie się objawiają?

– Nie, nie. Doszedłem do tego wniosku drogą eliminacji.

– Drodin, niech pan wchodzi. Za chwilę przyjdziemy. – Skinęła głową i mężczyzna wszedł do budynku. – Kurwa, o co tu chodzi, szefie?

– Masz jakiś problem?

– Mówię o tym syfie z Przekroczeniówką... – wypowiadając ostatnie słowo, ściszyła głos.

– Co ty kombinujesz? – Nie odpowiedziałem. – Staram się ustalić tu hierarchię władzy i to ja mam być na jej szczycie, nie Przekroczeniówka, szefie. Nie potrzebuję w tej sprawie takiego syfu. Skąd przychodzą ci do głowy takie niesamowite pomysły?

Nadal milczałem. Potrząsnęła głową i poprowadziła mnie do środka. Front Solidarności Beszqomańskiej nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do dekoracji wewnątrz. Były tam dwa pokoje, dwa i pół, jeśli lekko naciągnąć definicję, a także pełno szafek oraz półek zastawionych książkami i segregatorami. W jednym z kątów pustą ścianę oczyszczono, by służyła jako tło. Stało tam puste krzesło, na które była skierowana kamera internetowa.

– Stąd nadajemy programy – wyjaśnił Drodin, zauważywszy, gdzie patrzę. – Sieciowe.

Zaczął mi podawać adres internetowy, ale potrząsnąłem głową.

– Kiedy tu weszłam, wszyscy poza nim natychmiast się zwinęli – poinformowała mnie Corwi.

Drodin siedział za biurkiem w pokoju na zapleczu. Były tam jeszcze dwa krzesła. Nie zaproponował, byśmy usiedli, ale i tak to zrobiliśmy. Tam również było pełno walających się na półkach książek oraz brudny komputer. Na jednej ze ścian wisiał wielki plan Beszel i Ul Qomy. Żeby uniknąć zarzutów, zaznaczono na nim granice oraz rozmaite strefy-jednolite, alteracje i przepłyty – ale ostentacyjnie zrobiono to na bladoszaro. Przez pewien czas siedzieliśmy bez słowa, wpatrując się w siebie.

– Posłuchajcie – zaczął wreszcie Drodin. – Wiem... rozumiecie, nie jestem przyzwyczajony do... Policja mnie nie lubi. Rozumiem to. – Milczeliśmy Bawił się przez chwilę leżącymi na biurku przedmiotami. – Ale nie jestem kapusiem.

– Jezu, Drodin – obruszyła się Corwi. – Jeśli chce pan rozgrzeszenia, niech pan pójdzie do spowiedzi.

On jednak mówił dalej.

– Chodzi o to... Jeśli to ma coś wspólnego ze sprawami, w które się angażowała, dojdziecie do wniosku, że byliśmy w to zamieszani. Może rzeczywiście mieliśmy z tym coś wspólnego, a ja nie chcę dać nikomu pretekstu do wysuwania przeciwko nam oskarżeń. Jasne? Jasne?

– Starczy już tego pieprzenia – warknęła Corwi. Rozejrzała się po pokoju. – Myśli pan, że jest sprytny, ale jak się panu zdaje, ile wykroczeń mam teraz przed oczyma? Na przykład, ten plan. Wydaje się wam, że jest starannie wyrysowany, ale nie trzeba by szczególnie patriotycznego prokuratora, żeby zinterpretować go w sposób, który zaprowadzi was za kratki. Co jeszcze? Mam sprawdzić te książki? Ile tytułów jest na indeksie? A może mam obejrzeć wasze akta? Na waszych ścianach jest napisane „Pogwałcenie beszańskiej

suwerenności II stopnia”, literami jasnymi jak neon.

– Taki jak w klubowych dzielnicach Ul Qomy – dodałem. – Ulqomański neon. Podobają się panu, Drodin? Woli je pan od miejscowych?

– Doceniamy pańską pomoc, panie Drodin – dodała Lizbyet – ale nie oszukujmy się co do pańskich motywów.

– Nic nie rozumiecie – wymamrotał. – Muszę osłaniać towarzyszy. Dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

– No dobra – podjęła Corwi. – Wszystko jedno. To jak wygląda prawda, Drodin? – Wyjęła fotografię Fulany i położyła ją przed nim na biurku. – Niech pan powie mojemu szefowi to, co zaczął pan mówić mnie.

– Tak, to ona – potwierdził. Oboje pochylili się nad blatem w idealnie zsynchronizowanym ruchu.

– Jak się nazywała? – zapytałem.

– Podała nam nazwisko Byela Mar. – Drodin wzruszył ramionami. – Tak powiedziała. Wiem, jak to brzmi, ale co więcej mogę wam powiedzieć?

To był oczywisty pseudonim, stanowiący jednocześnie zgrabną grę słów. Byela to beszańskie imię nadawane dzieciom obu płci. Nazwisko Mar czasem się spotyka. Niemniej jedno i drugie razem wymawia się podobnie do zwrotu *byé lai mar* – dosłownie „tylko przynęta”. To rybackie powiedzenie oznaczające coś niegodnego uwagi.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Wielu naszych członków, wiele kontaktów używa pseudonimów – dodał.

– *Noms de unification* – zauważyłem. Nie wiem, czy mnie zrozumiał. – Niech nam pan opowie o Byeli.

Byela, Fulana, Marya, liczba jej imion rosła.

– Przyszła tu, bo ja wiem, ze trzy lata temu? Może trochę mniej. Od tego czasu jej nie widziałem. Z pewnością była cudzoziemką.

– Z Ul Qomy?

– Nie. Mówiła po illitańsku, ale nie płynnie. Po beszańsku, po illitańsku, albo, hm, w języku bazowym. Nigdy nie słyszałem, by używała innego języka. Nie chciała powiedzieć, skąd pochodzi. Sądząc po akcencie, była Amerykanką lub Angielką. Nie wiem, czym się zajmowała. Wśród... ludzi takich jak my nie wypada zadawać podobnych pytań.

– A więc przychodziła na zebrania? Była organizatorką? – Corwi zwróciła się w moją stronę. – Nie mam pojęcia, czym się zajmują te skurwysyny, szefie – oznajmiła, nie ścisząc głosu. – Nie wiem, o co pytać.

Drodin przyglądał się jej z miną nie bardziej skwaszoną niż na początku.

– Jak już mówiłem, zjawiła się parę lat temu. Chciała skorzystać z naszej biblioteki. Mamy ulotki i stare książki o... no wiecie, o miastach. Mnóstwo rzeczy, których gdzie indziej się nie znajdzie.

– Powinniśmy się im przyjrzeć, szefie – stwierdziła Corwi. – Sprawdzić, czy nie ma wśród nich nic niewłaściwego.

– Kurwa, staram się wam pomóc, tak? Chcecie mnie przytknąć za posiadanie zakazanych książek? Nie ma tu nic z klasy pierwszej, a to, co mamy z drugiej, z reguły można znaleźć w sieci, do chuja.

– Już dobrze, dobrze – odparłem i skinałem dłonią, każąc mu mówić dalej.

– Przychodziła do nas i bardzo dużo rozmawialiśmy. Nie była z nami długo. Może ze dwa tygodnie. Nie pytajcie mnie, co robiła poza tym i tak dalej. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że przychodziła tu codziennie o najróżniejszych porach, żeby przeglądać książki albo rozmawiać ze mną o naszej historii, historii obu miast, o tym, co tu się dzieje, o naszych kampaniach i tak dalej.

– Jakich kampaniach?

– Nasi bracia i siostry siedzą w więzieniach. Tutaj i w Ul Qomie. Zamknięto ich tylko za przekonania. No wiecie, Amnesty International popiera nas w tej sprawie. Rozmawiamy z naszymi kontaktami. Zajmujemy się edukacją. Pomagamy nowym imigrantom. Urządzamy demonstracje.

W Beszel manifestacje unifikacjonistów były małe, ale niebezpieczne. Często dochodziło podczas nich do starć. Rzecz jasna miejscowi nacjonaści starali się je rozpedzić, wyzywając uczestników od zdrajców, ale nawet najbardziej apolityczni spośród tubylców nie darzyli demonstrantów zbyt dużą sympatią. W Ul Qomie wyglądało to niewiele lepiej, tyle że na ogół nie pozwalano protestującym nawet się zgromadzić. Z pewnością gniewało to tamtejszych unifikacjonistów, ale przynajmniej chroniło ich przed pobiciem.

– Jak wyglądała? Czy dobrze się ubierała? Jaka była?

– Ehe, ubierała się elegancko. Można niemal powiedzieć, że szykownie. Wyróżniała się z tutejszego tłumu. – Roześmiał się do siebie. – Była też inteligentna. Wiecie, że z początku ją polubiłem. Byłem bardzo podekscytowany. Z początku.

Przerywał co chwila, czekając na nasze zachęty, by sprawić wrażenie, że nie mówi nam tego wszystkiego z własnej inicjatywy.

– A co się stało później? – zapytałem.

– Pokłóciliśmy się. Właściwie to ja się z nią pokłóciłem, bo mówiła niektórym towarzyszom dziwne rzeczy. Gdy tylko zajrzałem do biblioteki albo zszedłem na dół, słyszałem, że ktoś na nią wrzeszczy. Ona nigdy nie odpowiadała krzykiem. Mówiła spokojnie, ale wyprowadzała ich z równowagi. W końcu musiałem jej powiedzieć, żeby więcej tu nie przychodziła. Była... była niebezpieczna. – Znowu umilkł. Corwi i ja popatrzyliśmy na siebie. – Nie przesadzam – zapewnił. – To przez nią tu trafiliście, tak? To znaczy, że była niebezpieczna. – Wziął zdjęcie w rękę i przyjrzał się mu. Na jego twarzy uwidaczniały się kolejno litość, gniew, niechęć i strach. Ten ostatni z pewnością. Wstał i obszedł wkoło biurko. Wyglądało to śmiesznie. Pokoik był za mały, by po nim spacerować,

ale on i tak próbował to robić. – Rozumiecie, problem polegał na tym... – Podszedł do małego okienka i wyjrzał przez nie, a potem znowu odwrócił się do nas. Jego sylwetka rysowała się na tle panoramy Beszel, Ul Qomy, czy może obu miast. – Ciągłe pytała o najbardziej zwariowane elementy subkultury podziemia. Przesady, plotki, miejskie legendy i inne takie wariactwa. Nie przejmowałem się tym zbyt, bo mamy tu mnóstwo takiego syfu, a ona z pewnością była inteligentniejsza od świrów, którzy wierzą w podobne rzeczy. Pomyślałem sobie, że po prostu chce się zorientować, poznać miejscowe warunki.

– Nie był pan zaciekawiony?

– Pewnie, że byłem. Ładna, cudzoziemska dziewczyna, inteligentna i tajemnicza... Zaangażowana... – wyśmiał sam siebie po tym, gdy to powiedział. Skinął głową. – Pewnie, że tak. Interesują mnie wszyscy ludzie, którzy tu przychodzą. Niektórzy mówią mi coś o sobie, inni nie. Ale nie byłbym szefem tej komórki, gdybym próbował wyciągać z nich informacje. Jest tu taka kobieta, znacznie starsza ode mnie... Widuję ją od czasu do czasu już od piętnastu lat, ale nic o niej nie wiem, nawet jak się naprawdę nazywa. No dobra, to zły przykład, bo jestem właściwie pewien, że to wasza agentka, ale rozumiecie, w czym rzecz. Nikomu nie zadaję pytań.

– W co się wtedy angażowała? Była Mar. Dlaczego stąd wyleciała?

– Posłuchajcie, wiecie, jak to jest. Jeśli ktoś się zajmuje takimi sprawami... – Zauważyłem, że Corwi zeszywniała, gotowa mu przerwać i kazać przejść do rzeczy. Dotknąłem jej, dając do zrozumienia, żeby zaczekała, pozwoliła mu mówić. Nie patrzył na nas, tylko na swój prowokacyjny plan. – Jeśli ktoś się zajmuje takimi sprawami, wie, na co się naraża... zdaje sobie sprawę, że jeśli przekroczy pewne granice, może mieć poważne kłopoty. Na początek może sobie ściągnąć na głowę was. Albo wykonać niewłaściwy telefon i narobić naszym braciom w Ul Qomie kłopotów z tamtejszymi glinami. Albo... są też gorsze rzeczy. – Popatrzył na nas. – Nie mogła tu zostać. Ściągnęłyby nam na głowę Przekroczeniówkę. Albo coś w tym rodzaju. Interesowała się... nie, to nie było zainteresowanie, tylko obsesja. Na punkcie Orciny. – Przyglądał mi się z uwagą, więc nie zareagowałem w żaden sposób poza przymrużeniem powiek. Byłem jednak zaskoczony. Corwi nawet nie drgnęła. Nie uległo wątpliwości, że nie ma pojęcia, czym jest Orciny. Gdybym zaczął jej to teraz wyjaśniać, podważyłbym jej autorytet, ale nim zdecydowałem, jak zareagować, Drodin zaczął tłumaczyć, że Orciny to bajka. Tak przynajmniej twierdził. – Orciny to trzecie miasto, położone między dwoma. Kryje się w *dissensi*, spornych strefach, albo w miejscach uważanych przez beszan za część Ul Qomy, a przez ulqoman za należące do Beszel. Podczas rozłamu dawna wspólnota nie podzieliła się na dwie części, tylko na trzy. Orciny to tajemne miasto, które wszystkim kieruje.

Jeśli rozłam rzeczywiście się wydarzył. Początki miast ginęły w pomroce dziejów. Nikt nic na ten temat nie wiedział. Po obu stronach zniknęły wszelkie zapiski dotyczące całego stulecia. Mogło się wówczas wydarzyć wszystko. W tym tajemniczym, krótkim okresie

dziejów zrodził się chaos naszej materialnej historii, anarchia chronologii, niepasujące do siebie pozostałości budzące w badaczach zachwyty i przerażenie. Wiemy tylko, że przybyli tu stepowi koczownicy. Po ich nadejściu zaczyna się wielusetletnia biała plama, skrywająca powstanie miast. Zachowały się relacje o pewnych wydarzeniach, mamy też filmy, książki i gry oparte na spekulacjach dotyczących okresu podwójnych narodzin. Wszystkie one budzą podejrzliwość cenzorów, przynajmniej w pewnym stopniu. Dopiero potem historia zaczyna się na nowo i są w niej Beszel oraz Ul Qoma. Czy to była schizma, czy raczej związek?

Jakby dwa przepłotowe kraje były za mało tajemnicze, bardowie wymyślili jeszcze trzeci, legendarne Orciny. Na najwyższych piętrach nieprzyciągających uwagi rzymskich domów miejskich, w pierwszych lepiankach zajmujących skomplikowany labirynt przestrzeni przydzielonych obu plemionom po rozłamie albo połączeniu, zrodził się maleńki trzeci gród, Orciny, ukryty między dwoma bardziej przebojowymi państwami-miastami. Wspólnota wymagowanych władców, być może wygnańców, w większości opowieści zajmujących się sekretnymi machinacjami umożliwiającymi im sprawowanie subtelnej, lecz niezachwianej władzy. W Orciny mieszkali iluminaci i tak dalej.

Jeszcze przed kilkoma dziesięcioleściami nikomu nie trzeba by tłumaczyć, co to jest Orciny. Owo miasto powszechnie występowało w bajkach dla dzieci, choćby w opowieści *Król Shavil i morski potwór, który przybył do portu*. Obecnie jednak bardziej popularni są Harry Potter i Power Rangers. Niewiele dzieci zna dawne bajki. Tak to już jest.

– Co właściwie próbuje nam pan powiedzieć? – odezwałem się. – Że Byela interesowała się etnografią? Kolekcjonowała ludowe bajania? – Wzruszył ramionami. Nie chciał na mnie patrzeć. Raz jeszcze spróbowałem go nakłonić, by wyrażał się jaśniej, ale on tylko ponownie wzruszył ramionami. – Dlaczego chciała rozmawiać o tym z wami? – zapytałem. – Po co właściwie się z wami skontaktowała?

– Nie wiem. Mamy książki na ten temat. Czasem się o tym wspomina. No wie pan, w Ul Qomie też znają historie o Orciny. Nie ograniczamy się do prowadzenia zapisków dotyczących naszej zasadniczej działalności. Interesujemy się historią, prowadzimy najróżniejsze... – urwał. – Po prostu uświadomiłem sobie, że to nie my ją interesujemy, tak?

Podobnie jak wszyscy dysydenci, unifikacjoniści byli maniakalnymi archiwistami. Bez względu na to, czy ktoś zgadzał się z ich wizją historii czy nie, czy była mu ona obojętna, czy też stała się jego obsesją, nikt nie mógłby zaprzeczyć, że wspierali ową wizję solidnymi badaniami i mnóstwem świadectw. W ich bibliotece można było znaleźć wszystkie źródła wspominające o zatarcu granic między miastami, choćby nawet przelotnie. Byela przybyła tu, szukając informacji nie o jakimś zjednoczonym pramieście, lecz o Orciny. Z pewnością poczuli się poirytowani, gdy sobie uświadomili, że jej dziwne pytania nie są pobocznymi kwestiami, ale samym sednem jej dociekań. Że nic jej nie obchodzi ich projekt.

– Chce pan powiedzieć, że marnowała wasz czas?

– Kurde, nie o to chodzi. Już mówiłem, że była niebezpieczna. Naprawdę niebezpieczna.

Mogła ściągnąć na nas kłopoty. Zresztą sama powiedziała, że nie chce tu zostawać dłużej. Znowu wzruszył od niechcienia ramionami.

– Dlaczego była niebezpieczna? – Pochyliłem się ku niemu. – Drodin, czy ona przekraczała?

– Jezu, nie sądzę. Jeśli nawet, nic o tym nie wiedziałem. – Uniósł dłonie. – Kurwa, wie pan, jak uważnie nas obserwują? – Wskazał dłonią w stronę ulicy. – Wasi ludzie regularnie patrolują tę okolicę. Ulqomańskie gliny oczywiście nie mogą mieć nas na oku, ale pilnują naszych braci i sióstr. I, co ważniejsze, jest jeszcze... no wie pan. Przekroczeniówka.

Wszyscy umilkliśmy, czując się obserwowani.

– Widział pan jej ludzi?

– Pewnie, że nie. Za kogo mnie pan ma? Nikt ich nigdy nie widzi. Ale wiemy, że tam są. Obserwują nas. Wystarczy byle pretekst i będzie po nas. Wie pan... – Potrząsnął głową. Gdy znowu na mnie spojrzał, w jego oczach zapłonął gniew i być może również nienawiść. – Wie pan, ilu moich przyjaciół zabrano? Nigdy już ich więcej nie widziałem. Musimy być najostrożniejsi ze wszystkich.

To była prawda, choć pełna politycznej ironii. Ci, którzy najbardziej pragnęli przebicia granicy dzielącej Beszel od Ul Qomy, musieli jej najstaranniej przestrzegać. Gdybym ja albo któryś z moich znajomych zapomniał na chwilę o przeoczeniu – a komu to się nie zdarza, kto czasami nie zapomina o niewidzeniu? – nic nie powinno nam grozić, o ile nie będziemy się tym popisywać ani nie przejdzie nam to w nawyk. Gdybym popatrzył sekundę albo dwie na jakąś atrakcyjną ulqomankę, podziwiał przez chwilę panoramę obu miast albo okazał irytację hałasem zagranicznego pociągu, z pewnością nie zabrano by mnie z tego powodu.

Ten budynek obserwowali jednak nie tylko moi koledzy, lecz również Przekroczeniówka, w każdej chwili gotowa okazać swój godny starotestamentowego Boga gniew. Jej straszliwa obecność mogła się nagle objawić i spowodować zniknięcie unifikacjonisty nawet za proste cielesne przekroczenie, jak na przykład przestraszenie się nagłego strzału silnika ulqomańskiego samochodu. Jeśli Byela, czy Fulana, przekraczała, z pewnością by ją złapano. Znaczyło to, że Drodin bał się czegoś innego.

– Miała w sobie coś takiego. – Spojrzał na dwa widoczne za oknem miasta. – Prędzej czy później mogłaby ściągnąć nam na głowę Przekroczeniówkę albo zrobić coś równie głupiego.

– Chwileczkę – przerwała mu Corwi. – Mówił pan, że chciała was opuścić...

– Powiedziała, że wybiera się do Ul Qomy. Oficjalnie. – Przestałem pisać w notesie. Spojrzałem na Corwi, a ona na mnie. – Nigdy już jej więcej nie widziałem. Ktoś słyszał, że wyjechała i nie pozwalają jej wrócić. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy to prawda, a jeśli tak, nie mam pojęcia, dlaczego. To była tylko kwestia czasu. Wścibiała nos w niebezpieczne sprawy. Nie ufałem jej.

– Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? – zapytałem. – Było coś więcej.

Spojrzał na mnie.

– Kurde, sam nie wiem. Bałem się jej. Zapowiadała kłopoty. Była za bardzo... Miała w sobie coś takiego. Kiedy ciągle gadała o tym, co ją pasjonowało, człowieka przechodziły ciarki. To budziło niepokój. – Znowu wyrzwał przez okno. Potrząsnął głową. – Przykro mi, że zginęła. Że ktoś ją zabił. Ale wcale mnie to nie dziwi.

* * *

Cała ta rozmowa śmierziała insynuacjami i tajemnicą. Trudno było o niej zapomnieć, nawet jeśli ktoś się uważał za cynicznego i zobojętniałego. Gdy stamtąd wyszliśmy, zauważyłem, że Corwi przygląda się niszczącym magazynom. Być może za długo zatrzymała wzrok na witrynie jednego ze sklepów, choć z pewnością wiedziała, że znajduje się on w Ul Qomie. Czuła się obserwowana. Oboje tak się czuliśmy, nie bez powodu, i byliśmy tym zaniepokojeni.

Gdy odjechaliśmy stamtąd, zaprosiłem ją na obiad do naszej małej Dzielnicy Ulqomańskiej. Przyznaję, że to była prowokacja, choć skierowana nie przeciwko Lizbyet, lecz przeciwko samemu wszechświatowi.

Dzielnica leży na południe od parku. Z uwagi na charakterystyczne kolory i pismo na sklepowych szyldach, a także kształt fasad budynków, odwiedzający Beszel turyści zawsze myślą, że mają przed sobą Ul Qomę, odwracają więc wzrok, pośpiesznie i ostentacyjnie – większość cudzoziemców nie potrafi bardziej się zbliżyć do prawdziwego przeoczenia. Bardziej doświadczony obserwator zauważy jednak na przysadzistych budynkach ciasno upchane kiczowate ozdóbki przechodzące w autoparodię. Gdzieś tam można też spostrzec odcień zwany błękitem beszańskim, jeden z kolorów zakazanych w Ul Qomie. To cechy miejscowych budynków.

Tych kilka ulic o mieszanych nazwach, łączących illitańskie przymiotniki z beszańskim rzeczownikiem – YulSainStrász, LiligiStrász i tak dalej – tworzy centrum kulturalnego światka nielicznych ulqomańskich emigrantów mieszkających w Beszel. Przybyli tu z różnych powodów, uciekali przed politycznymi prześladowaniami, próbowali poprawić swój byt – starcy, którzy zadali sobie sporo trudu, by uzyskać pozwolenie na emigrację z powodów ekonomicznych, z pewnością gorzko teraz tego żałują – skłoniła ich do tego miłość albo zwykły kaprys. Większość z tych, którzy mają czterdzieści i mniej lat, to emigranci w drugim albo trzecim pokoleniu. W domu mówią po illitańsku, ale na ulicach po beszańsku bez śladu akcentu. W ich ubiorze można niekiedy zauważyć ulqomańskie wpływy. Miejscowi chuligani i gorszy element od czasu do czasu wybijają im szyby albo biją ich na ulicach.

Tu właśnie pełni nostalgii wygnańcy z Ul Qomy przychodzą po ciastka, gruszki smażone w cukrze albo kadzidło. Tutejsze zapachy tworzą chaotyczną mieszaninę. Instynkt podpowiada nam, by ich nie spostrzegać, potraktować jak powiewy zza granicy, impertynenckie niczym deszcz. „Deszcz i dym mieszkają w obu miastach jednocześnie”, jak

mówi przysłowie. W Ul Qomie również je znają, ale zamiast dymu mają mgłę. Od czasu do czasu można usłyszeć to samo o innych zjawiskach atmosferycznych, a nawet o śmieciach, nieczystościach, a z ust co śmielszych obywateli również o wilkach albo gołębiach. Te zapachy są jednak w Beszel.

Od czasu do czasu jakiś młody ulqomanin, który nie zna części swego miasta przeplatającej się z Dzielnicą Ulqomańską, pyta o drogę beszanina ulqomańskiego pochodzenia, mylnie biorąc go za rodaka. Taki błąd szybko się wykrywa – nie może być nic bardziej alarmującego od ostentacyjnego przeoczenia – a Przekroczeniówka zwykle okazuje pobłażliwość.

– Szefie – odezwała się Corwi. Siedzieliśmy w narożnej kawiarni, Con ul Cai, którą często odwiedzałem. Ostentacyjnie zwracałem się do właściciela po imieniu, jak wielu jego beszańskich klientów. Zapewne nie znosił mnie z tego powodu. – Dlaczego tu przyszliśmy, do cholery?

– Daj spokój – odparłem. – Ulqomańskie żarcie. Wiesz, że masz na nie ochotę. – Zaproponowałem jej soczewicę z cynamonem i mocną, słodką herbatę. Odmówiła. – Chcę nasiąknąć atmosferą. Wniknąć w ducha Ul Qomy. Cholera, Lizbyet, jesteś inteligentną kobietą i nie mówię ci nic, o czym byś nie wiedziała. Pomóż mi w tym. – Zacząłem odliczać na palcach. – Ona tu była. Ta dziewczyna. Ta Fulana. Była. – Mało brakowało, a powiedziałbym „Marya”. – Była tu jakieś trzy lata temu. Kręciła się przy podejrzanych miejscowych aktywistach politycznych, ale chodziło jej o coś innego, w czym nie mogli jej pomóc. O coś, co nawet oni uważali za podejrzane. Dlatego opuściła miasto. – Przerwałem. – I przeniosła się do Ul Qomy.

Zakląłem. Corwi również.

– Prowadziła badania, a potem przeniosła się na drugą stronę.

– Tak sądzimy.

– Tak sądzimy. A potem nagle wróciła tutaj.

– Martwa.

– Tak jest.

– Kurwa. – Corwi pochyliła się nad stolikiem i zaczęła z namysłem pochłaniać jedno z moich ciastek. Nagle zatrzymała się z pełnymi ustami. Przez dłuższą chwilę żadne z nas nie odzywało się ani słowem. – A więc to prawda. To pieprzone przekroczenie, tak? – stwierdziła wreszcie.

– Na to wygląda. Naprawdę myślę, że na to wygląda.

– Wróciła tu i ją załatwili. Albo zostawili ją tu po śmierci.

– Albo coś innego – zauważyłem.

– Chyba że przeszła granicę legalnie lub była tu przez cały czas. To, że Drodin jej nie widział, jeszcze nie świadczy...

Przypomniałem sobie telefon i zrobiłem sceptyczną minę mówiącą „być może”.

– Niewykluczone. Chyba był tego pewien. Tak czy inaczej, sprawa jest jasna.

– Hm...

– Dobra, powiedz, że to było przekroczenie. To będzie w porządku.

– Guzik, nie przekroczenie.

– Nie, posłuchaj – sprzeciwiłem się. – To będzie znaczyło, że to nie nasz problem. Przynajmniej jeśli zdołamy przekonać Komisję Nadzoru. Może powinienem się za to wziąć.

Łypnęła na mnie spode łba.

– Gównu ci dadzą. Słyszałam, że ostatnio...

– Będziemy musieli przedstawić im dowody. Na razie mamy tylko poszlaki, ale może to wystarczy.

– Sądząc z tego, co słyszałam, nie wystarczy. – Odwróciła wzrok, spoglądając za siebie. – Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, szefie?

– Kurwa, tak. Kurwa, tak. Posłuchaj, rozumiem cię. Dobrze o tobie świadczy, że chcesz zatrzymać sprawę, ale posłuchaj, jeśli istnieje możliwość, że mamy rację... nie możesz prowadzić śledztwa w sprawie przekroczenia. Ta Zamordowana Cudzoziemka Była Fulana zasługuje na to, by ktoś się zajął jej sprawą. – Przerwałem na chwilę, by Corwi spojrzała na mnie. – Nie jesteśmy najlepszymi ludźmi do tego zadania, Lizbyet. Ona zasługuje na coś lepszego niż to, co możemy jej dać. Nikt nie będzie skuteczniejszy od Przekroczeniówki. Chryste, kto może liczyć na to, że Przekroczeniówka wytropi jego mordercę?

– Tylko niewielu.

– Ehe. Dlatego musimy przekazać śledztwo. Komisja wie, że wszyscy chcą się pozbyć kłopotliwych spraw. Dlatego piętrzą przeszkody. – Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem. – Nie mamy dowodów i nie znamy szczegółów, więc poświęćmy parę dni na ich poznanie. Albo przekonanie się, że jesteśmy w błędzie. Przyjrzyj się jej profilowi, jaki zdołaliśmy stworzyć. Wreszcie mamy wystarczająco wiele. Zniknęła z Beszel dwa, trzy lata temu i teraz znaleziono ją martwą. Może Drodin ma rację i rzeczywiście cały ten czas siedziała w Ul Qomie. Jawnie. Chcę, żebyś zadzwoniła w parę miejsc, tu i tam. Wiesz, co mamy. Cudzoziemka, badaczka historii i tak dalej. Dowiedz się, kim była. Jeśli ktoś spróbuje cię spławić, powiedz mu, że istnieje podejrzenie przekroczenia.

Wróciwszy do pracy, podszedłem do biurka Taskin.

– Dostałeś mojego SMS-a, Borlú?

– Pani Cerush, te wymyślne preteksty, dzięki którym próbuje się pani ze mną spotkać, stają się coraz mniej przekonujące.

– Dostałeś go i zacząłeś działać. Nie, nie licz na to, że z tobą ucieknę, Borlú. Z pewnością poczułbyś się rozczarowany. Chyba będziesz musiał chwilę poczekać na rozmowę z komisją.

– Jak to załatwimy?

– Kiedy ostatnio robiłeś coś takiego, Borlú? Wiele lat temu, prawda? Posłuchaj, nie wątpię, że we własnej opinii zrobiłeś wsad. Nie patrz tak na mnie. Jaki jest twój ulubiony

sport? Boks? Na pewno myślisz, że będą musieli przywołać... – jej głos spoważniał nagle – natychmiast, jak sądzę, ale nie zrobią tego. Będziesz musiał poczekać, może nawet kilka dni.

– Myślałem, że...

– Ehe, kiedyś faktycznie tak było. Natychmiast by wszystko rzucili, by zająć się tą sprawą, ale czasy są niepewne, bardziej dla nas niż dla nich. Politycy się z tego nie cieszą, ani nasi, ani tamci, ale odkąd banda Syedra przyłączyła się do koalicji, uskarżając się głośno na słabość państwa, rząd nie chce sprawiać wrażenia, że przywołuje zbyt łatwo. Dlatego nie będą się z tym śpieszyć. Mają na głowie komisje śledcze w sprawie obozów dla uchodźców, a z tego z pewnością nie wyciągną żadnych korzyści.

– Jezu, chyba żartujesz? Wciąż jeszcze przejmują się tą garstką biednych sukinsynów?

Niektórym na pewno udało się przedostać do któregoś z miast, ale bez szkolenia dla imigrantów właściwie nie mieli szans uniknąć przekroczenia. Niepisane porozumienie głosiło, że gdy zdesperowani przybysze lądują na przepłotowych odcinkach brzegu, trafiają do tego miasta, którego straż graniczna ich zatrzymała i zamknęła w nadmorskich obozach. Ci, którzy mieli nadzieję dotrzeć do Ul Qomy, ale skończyli w Beszel, z pewnością czuli się przygnębieni.

– Jak zwał, tak zwał – odparła Taskin. – W grę wchodzi też inne kwestie. Muszą demonstrować dobre chęci. Nie odwołują oficjalnych spotkań i tak dalej, jak zrobiliby kiedyś.

– Skurwili się za jankeskie dolary.

– Nie chrzań. Jeśli rzeczywiście dostaną te dolary, to jestem za. Nie będą się dla ciebie śpieszyć, bez względu na to, kto zginął. A czy ktoś zginął?

* * *

Corwi nie potrzebowała wiele czasu, by się dowiedzieć wszystkiego, o co ją prosiłem. Wieczorem następnego dnia przysłała do mojego gabinetu, niosąc aktówkę.

– Właśnie przefaksowali mi to z Ul Qomy – oznajmiła. – Sprawdziłam wszystkie ślady. To nie takie trudne, kiedy się wie, od czego zacząć. Mieliśmy rację.

Tak, to była nasza ofiara. Jej akta, jej zdjęcie, nasza pośmiertna maska. Potem pojawiły się fotografie zrobione za życia. Ten widok zapał mi dech w piersi. Zdjęcia były czarno-białe i zamazane przez faks, ale nieżyjąca już kobieta uśmiechała się na nich, paliła papierosa albo rozchyłała usta, złapana w pół słowa. Potem były nasze ręczne notatki, informacje dotyczące ofiary, domniemane, a potem, na czerwono, bez znaków zapytania, te, które były pewne. Na dole umieszczono jej liczne wymyślone nazwiska, a na samym końcu prawdziwe.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Mahalia Geary.

Przy okrągłym stole – oczywiście antycznym, któż mógłby w to wątpić? – zgromadziły się oprócz mnie czterdzieści dwie osoby. Wszyscy siedzieli, przed nimi leżały aktówki. Ja stałem. Dwaj protokolanci siedzący w kabinach w kątach pokoju skrzętnie wszystko notowali. Widziałem stojące na blacie mikrofony, w pobliżu czekali zaś tłumacze.

– Mahalia Geary. Dwadzieścia cztery lata. Amerykanka. Panie i panowie, wszystkie te informacje zdobyła dla nas moja posterunkowa, Lizbyet Corwi. Wszelkie dane zawarte w papierach, które wam przesłałem.

Nie wszyscy czytali dokumenty. Niektórzy nawet nie otworzyli teczek.

– Amerykanka? – powtórzył ktoś.

Nie poznawałem wszystkich dwudziestu jeden przedstawicieli Beszel. Tylko niektórych. Kobieta w średnim wieku o prostej fryzurze z pasmem siwizny nad czołem, jak u uniwersyteckich filmoznawców – Shura Katryna, minister bez teki. Powszechnie ją szanowano, ale jej czas już mijał. Mikhel Buric z Socjaldemokratów, oficjalnej opozycji. Młody, zdolny i wystarczająco ambitny, by zasiadać w kilku komisjach – bezpieczeństwa, handlu i sztuki – jednocześnie. Major Yorj Syedr, przywódca Bloku Narodowego, pravicowego ugrupowania, z którym premier Gayardicz zawiązał kontrowersyjną koalicję. Syedra uważano za polityka nie tylko brutalnego, lecz również niezbyt kompetentnego. Yavid Nyisemu, wiceminister kultury w gabinecie Gayardicza i wiceprzewodniczący komisji. Niektóre inne twarze również wyglądały znajomo. Wiedziałem, że po zastanowieniu przypomnę sobie nazwiska. Nie znałem nikogo z przedstawicieli Ul Qomy. Nie interesowałem się zbytnio międzynarodową polityką.

Większość ulqoman przerzucała dostarczone przeze mnie dokumenty. Troje miało na głowach słuchawki, ale większość władała beszańskim wystarczająco biegle, by mnie rozumieć. Czuję się dziwnie, nie przeocząc tych ludzi w oficjalnych ulqomańskich strojach – mężczyźni nosili koszule bez kołnierzyków i ciemne marynarki bez klap, a nieliczne kobiety suknie w kolorach, które w Beszel byłyby nielegalne. Ale przecież nie byłem teraz w Beszel.

Komisja Nadzoru spotyka się w wielkim, barokowym, łatanym betonem amfiteatrze

położonym w samym środku starówki zarówno w Beszel, jak i w Ul Qomie. Budynek, jako jeden z nielicznych, nosi w obu miastach tę samą nazwę – Hala Łącznikowa – dlatego, że nie jest, ściśle mówiąc, przeplotem, ani nie tworzy serii jednolitości mieszających się z alteracjami – jedno piętro w Beszel, następne w Ul Qomie i tak dalej. Na zewnątrz w całości leży w obu miastach, wewnątrz zaś jego większa część znajduje się w obu miastach albo w żadnym z nich. Wszyscy obecni – czterdziestu dwóch parlamentarzystów z obu państw, ich asystenci i ja – spotykali się w złączeniu, międzymieściu, na czymś w rodzaju jednej granicy nałożonej na drugą.

Osobiście odnosiłem wrażenie, że w pomieszczeniu przebywa ktoś jeszcze: ci, którzy byli powodem spotkania. Być może nie ja jeden wśród obecnych czułem się obserwowany.

Gdy członkowie komisji – przynajmniej niektórzy – zajęli się przeglądaniem papierów, ponownie podziękowałem im, że zechcieli mnie przyjąć. To był czysto polityczny gest z mojej strony. Spotkania Komisji Nadzoru odbywały się regularnie, ale musiałem czekać kilka dni, nim zgodzili się mnie wysłuchać. Pomimo ostrzeżeń Taskin próbowałem zwołać nadzwyczajne zebranie, by jak najszybciej pozbyć się odpowiedzialności za sprawę Mahalii Geary – ktoś chciałby, by jej zabójca nadal przebywał na wolności, a to był najlepszy sposób na zmianę tego stanu rzeczy – ale by tak się stało, konieczny byłby kryzys na epokową skalę, katastrofa albo wojna domowa.

A co z zebraniem w niepełnym gronie? Kilka osób z pewnością mogło się na chwilę oderwać od obowiązków? Niestety, szybko mnie poinformowano, że tego nie można zaakceptować. Taskin ostrzegła mnie i miała rację. Z każdym dniem moja niecierpliwość rosła, aż wreszcie Taskin podała mi najlepszy możliwy kontakt – osobistą sekretarkę jednego z zasiadających w komisji dygnitarzy, która wyjaśniła mi, że Beszańska Izba Handlowa nadzoruje obecnie jedne z coraz częstszych targów handlowych z udziałem zagranicznych inwestorów. To wykluczało udział Burica, który odnosił pewne sukcesy w organizacji podobnych imprez, a także Nyisemu, a nawet Syedra. Rzecz jasna podobne wydarzenia były nienaruszalną świętością. Katryna miała umówione spotkania z dyplomatami, Hurian, przedstawiciel ulqomańskiej giełdy, niemożliwą do przełożenia rozmowę z tamtejszym ministrem zdrowia, i tak dalej. Specjalna sesja nie wchodziła w grę. Młoda ofiara morderstwa będzie musiała poczekać kilka dni, na oficjalne zebranie, podczas którego w przerwie między nieuniknionym rozstrzygnięciem wszelkich rozbieżności dotyczących korzystania ze wspólnych zasobów – niektórych większych sieci energetycznych, ścieków i kanalizacji, a także najbardziej przeplotowych budynków – otrzymam dwadzieścia minut na przedstawienie swojej sprawy.

Być może niektórzy znali podobne szczegóły, mnie jednak machinacje Komisji Nadzoru nigdy zbyt nie interesowały. Stawałem przed nią już dwa razy, dawno temu. Rzecz jasna jej skład był wówczas inny. W obu przypadkach beszańska i ulqomańska strona patrzyły na siebie wilkiem. Wzajemne stosunki były wtedy gorsze. Komisja Nadzoru musiała się zbierać

nawet w czasach, gdy byliśmy nieuczestniczącymi w działaniach wojennych zwolennikami jednej ze stron, jak podczas drugiej wojny światowej – to nie była najlepsza godzina Ul Qomy. Ówczesne sesje z pewnością były bardzo kłopotliwe. Pamiętam jednak ze szkoły, że spotkania nie urządzano podczas dwóch krótkich, katastrofalnych wojen domowych. Tak czy inaczej, obecnie nasze państwa zmierzały, w raczej wymuszony sposób, w stronę zblżenia.

Żadna z dwóch spraw, które przedstawiałem uprzednio komisji, nie była aż tak pilna. W pierwszym przypadku chodziło o przekroczenie dotyczące przemytu. To jest najczęstsza przyczyna. Gang działający w zachodnim Beszel zaczął handlować narkotykami produkowanymi z oczyszczonych ulqomańskich leków. Przestępcy odbierali przesyłki na rubieżach miasta, nieopodal końca biegnącej ze wschodu na zachód linii kolejowej, jednej z dwóch przecinających Ul Qomę na cztery kwadranty. Ulqomański łącznik wyrzucał paczki z pociągów. W północnej części Beszel na krótkim odcinku znajduje się przepłot, w którym nasze tory służą także ulqomańskim pociągom. Co więcej, długie kilometry łączących nas z północnymi sąsiadami torów – które biegną przez górski wąwóz ku naszej granicy, gdzie przeradzają się w jedną linię nie tylko w twardej rzeczywistości, lecz również prawnie – do tego punktu oficjalnie uważa się za dwie odrębne trasy. W rozmaitych punktach tej linii z ulqomańskich pociągów wyrzucano paczki z medycznymi środkami, które lądowały przy torach, w ulqomańskich krzakach. Zabierano je jednak w Beszel, a to było przekroczenie.

Nie udało się nam złapać winnych na gorącym uczynku, ale przedstawiliśmy dowody świadczące, że to było jedyne możliwe źródło. Komisja zgodziła się z nami i przywołała Przekroczeniówkę. Handel się skończył. Dostawcy zniknęli z ulic.

Druga sprawa dotyczyła mężczyzny, który zabił żonę, i gdy go ścigaliśmy, ogłupiały z przerażenia, przekroczył. Wszedł do sklepu w Beszel, zmienił ubranie i wyszedł w Ul Qomie. Przypadkiem nie udało się go zatrzymać natychmiast, ale szybko się zorientowaliśmy, co się stało. Zarówno my, jak i nasi ulqomańscy koledzy, przestrzegaliśmy granic tak skrupulatnie, że nie chcieliśmy go tknąć, choć wiedzieliśmy, gdzie się ukrywa w Ul Qomie. Zajęła się nim Przekroczeniówka i on również zniknął.

Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio występowałem z podobną prośbą. Przemawiałem uprzejmie, starając się zrobić dobre wrażenie zarówno na beszańskich, jak i na ulqomańskich członkach komisji. A także na ukrytych mocach, które z pewnością obserwowały nas niepostrzeżenie.

– Była mieszkanką Ul Qomy, nie Beszel. Gdy tylko ustaliliśmy ten fakt, zidentyfikowaliśmy ją bez trudu. To znaczy, Corwi to zrobiła. Przybyła tam na studia doktoranckie.

– Co studiowała? – zapytał Buric.

– Archeologię. Wczesną historię. Przydzielono ją do jednego z wykopalisk. To wszystko jest w dokumentach. – Pośród siedzących przebiegła lekka fala, o nieco innym rytmie po obu stronach. – Dzięki temu udało się jej przedostać pomimo blokady.

Dla kontaktów o charakterze kulturalnym i edukacyjnym czyni się niekiedy pewne wyjątki.

W Ul Qomie bez przerwy prowadzi się wykopaliska, jej gleba jest znacznie bogatsza w niezwykle zabytki z przedrozłamowych czasów od naszej. Wiele książek i konferencji poświęcono na spory o to, czy ta różnica jest przypadkowa, czy też świadczy o jakichś typowych dla owego miasta cechach – ulqomańscy nacjonaści rzecz jasna gorąco bronią tej drugiej tezy. Mahalia Geary uczestniczyła w długoterminowych wykopaliskach w Bol Ye'an w zachodniej Ul Qomie. To miejsce równie ważne dla archeologii jak Tenochtitlan i Sutton Hoo. Prowadzi się tam prace już od chwili jego odkrycia niemal przed stuleciem

Nasi historycy woleliby, żeby był tam przepłot, ale choć w parku, na granicy którego prowadzi się prace, znajduje się wąski pas jednolicie beszańskiego terenu, dzielący od siebie dwie sekcje Ul Qomy, sam teren wykopalisk jest jednolicie ulqomański. Niektórzy beszanie utrzymują, że owa asymetria jest dla nas korzystna, że gdybyśmy byli choć w połowie tak bogaci jak Ul Qoma w te wszystkie historyczne odpadki – pomieszane ze sobą sheila-na-gigs, fragmenty zegarowych mechanizmów, odpryski mozaik, obuchy toporów oraz strzępy pergaminów pokryte tajemniczym pismem, którym przypisywano łamanie praw fizyki i inne nieprawdopodobne efekty – po prostu sprzedalibyśmy to wszystko. Ulqomanie, ze swym świętoszkowato sentymentalnym podejściem do historii – z pewnością płynącym z poczucia winy wywołanym szybkością zmian zachodzących ostatnio w ich mieście, jego wulgarnym wigorem – ze swymi państwowymi archiwami i zakazami eksportu zachowają przynajmniej część pamiątek przeszłości.

– Wykopaliskami w Bol Ye'an kieruje grupa archeologów z Kanady, z Uniwersytetu Księcia Walii. Tam właśnie Mahalia Geary pisała pracę. Jej promotorka, Isabelle Nancy, od wielu lat często przybywała do Ul Qomy. Mieszka tam sporo archeologów. Często organizują konferencje, raz na kilka lat nawet w Beszel. – To była nagroda pocieszenia za naszą ubogą w świadectwa historii ziemię. – Ostatnią z tych większych urządzili kilka lat temu, gdy odkryli tę skrytkę z artefaktami. Z pewnością wszyscy o tym pamiętacie.

Pisała na ten temat międzynarodowa prasa. Kolekcji szybko nadano jakąś nazwę, ale nie pamiętałem jaką. W jej skład wchodziło astrolabium oraz jakieś wykorzystujące koła zębate urządzenie, szalenie skomplikowane i niepasujące do epoki w równym stopniu jak mechanizm z Antykithiry. Z nim również wiązało się mnóstwo marzeń i spekulacji, i nikt dotąd nie zdołał odgadnąć, do czego miało służyć.

– O co właściwie chodzi z tą dziewczyną? – zapytał jeden z ulqoman, pięćdziesięciokilkuletni grubas w koszuli, której kolor nie byłby w Beszel do końca legalny.

– Mieszkała w Ul Qomie od miesiący. Prowadziła badania – zacząłem. – Ale najpierw przybyła do Beszel, na konferencję. Jakies trzy lata temu. Może pamiętacie, że urządzono wówczas wielką wystawę eksponatów pożyczonych z Ul Qomy. Spotkania i tak dalej trwały przez cały tydzień, może nawet dwa. Przyjechało mnóstwo uczonych z Europy, Ameryki

Północnej, Ul Qomy i reszty świata.

– Pewnie, że pamiętamy – zgodził się Nyisemu. – Wielu z nas uczestniczyło w jej organizacji.

Miał rację. Różne państwowe instytucje oraz quasi-autonomiczne organizacje pozarządowe miały tam swoje przedstawicielstwa. W konferencji uczestniczyli też przedstawiciele rządu i opozycji. Premier oficjalnie otworzył obrady, a Nyisemu wystawę w muzeum. Wszyscy poważni politycy musieli się tam pokazać.

– Ona też tam była. Niektórzy z was mogli ją nawet zauważyć. Najwyraźniej narobiła trochę smrodu. Oskarżono ją o nieposzanowanie. Podczas prezentacji wygłosiła jakąś okropną mowę na temat Orciny. Mało brakowało, by ją stamtąd wykopano. – Na kilku twarzach, z pewnością Burica i Katriny, być może również Nyisemu, pojawiło się coś w rodzaju rozpoznania. Przynajmniej jeden z przedstawicieli Ul Qomy robił wrażenie, że również ją pamięta. – Potem najwyraźniej się uspokoiła. Obroniła pracę magisterską i zaczęła pisać doktorat. Później przybyła do Ul Qomy, by uczestniczyć w wykopaliskach. Nie sądzę, by kiedykolwiek wróciła do Beszel po tamtym incydencie. Szczerze mówiąc, dziwię się, że wpuszczono ją do Ul Qomy. Siedziała tam przez parę lat, wyjeżdżając tylko na wakacje. Nieopodal wykopalisk jest dom studencki. Przed paroma tygodniami zniknęła. Ciało znaleziono w Beszel. W wiosce Pocost. Jak zapewne sobie przypominacie, to jednocieleszański teren, a więc z punktu widzenia Ul Qomy alteracja. To wszystko jest w dokumentach, panie pośle.

– Ale nie udowodnił pan, że to przekroczenie, prawda? Nie do końca.

Yorj Syedr mówił ciszej, niż spodziewałbym się po wojskowym. Kilkoro siedzących naprzeciw niego parlamentarzystów z Ul Qomy wymieniło szeptem jakieś uwagi po illitańsku. Jego słowa skłoniły ich do pośpiesznej narady. Siedzący obok Syedra Buric wznosił oczy ku niebu i zauważył, że to dostrzegłem.

– Niech pan wybaczy, rajco – odezwałem się po chwili. – Doprawdy nie wiem, co mógłbym na to odpowiedzieć. Ta młoda kobieta mieszkała w Ul Qomie. Oficjalnie, mamy na to dokumenty. A potem zniknęła i jej zwłoki znaleziono w Beszel. – Zmarszczyłem brwi. – Nie jestem pewien... cóż to innego, jeśli nie dowody?

– Ja bym to nazwał poszlakami. Na przykład, czy sprawdzał pan w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, czy panna Geary nie opuściła Ul Qomy, wyjeżdżając do Budapesztu albo gdziekolwiek indziej? Może dopiero stamtąd przyjechała do Beszel? Nie wiemy, co się z nią działo przez prawie dwa tygodnie, inspektorze Borlú.

Wbiłem w niego zdziwione spojrzenie.

– Jak już mówiłem, nie wpuszczono by jej do Beszel po jej małym występie...

– Przekroczeniówka to... zagraniczny ośrodek władzy – przerwał mi z bliską żalu miną. Niektórzy z członków komisji, po obu stronach stołu, byli wyraźnie zszokowani. – Wszyscy wiemy, że to prawda – dodał Syedr – nawet jeśli nieuprzejmie jest mówić o tym głośno.

Powtarzam, Przekroczeniówka jest zagranicznym ośrodkiem władzy i przekazywanie jej naszej suwerenności jest niebezpieczne. Gdy znajdziemy się w trudnej sytuacji, po prostu umywamy ręce i przekazujemy sprawę cieniowi, nad którym nie mamy żadnej kontroli. Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem, ale nie można tego określić inaczej. A wszystko to po to, by ułatwić sobie życie.

– Chyba pan żartuje, rajco? – obruszył się ktoś.

– Dość już tego... – zaczął Buric.

– Nie wszyscy próbujemy się wkupić w łaski nieprzyjaciół – dodał Syedr.

– Panie przewodniczący – zawołał Buric. – Czy musimy pozwalać na te potwarze? To skandal...

Na własne oczy ujrzałem nowy duch porozumienia ponad podziałami, o którym tyle czytałem.

– Oczywiście w pełni popieram przywołanie tam, gdzie interwencja jest konieczna – zapewnił Syedr. – Niemniej moja partia już od pewnego czasu powtarza, że musimy zaprzestać... sankcjonowania przekazywania znacznej części władzy Przekroczeniówce. Jak bardzo dokładnie prowadził pan śledztwo, inspektorze? Rozmawiał pan z jej rodzicami? Z przyjaciółmi? Co naprawdę wiemy o tej biednej, młodej kobiecie?

Powinienem być lepiej się przygotować. Nie spodziewałem się tego.

Widziałem już raz Przekroczeniówkę, przez krótką chwilę. Kto jej nie widział? Byłem świadkiem tego, jak przejmowała kontrolę nad sytuacją. Zdecydowana większość przekroczeń ma charakter nagły i bezpośredni. Przekroczeniówka interweniuje. Nie byłem przyzwyczajony do proszenia o pozwolenie, przywoływania, wszystkich tych wymyślnych procedur. Od dzieciństwa słyszymy, że musimy ufać Przekroczeniówce. Uczy się nas, że nawet jeśli widzimy ulqomańskich kieszonkowców albo ulicznych bandytów w akcji – co nie powinno się wydarzyć, bo przecież jesteśmy w Beszel – powinniśmy ich przeoczyć i nikomu o tym nie wspominać, bo przekroczenie jest gorszym przestępstwem od tych, które oni popełniają.

Gdy pierwszy raz ujrzałem Przekroczeniówkę w akcji, miałem czternaście lat. Przyczyna była najpospolitsza ze wszystkich – wypadek uliczny. Mała, pudełkowata ulqomańska furgonetka – to było przeszło trzydzieści lat temu i samochody na ulicach Ul Qomy wyglądały znacznie mniej imponująco niż obecnie – wpadła w poślizg. Jechała przepłotową ulicą i co najmniej jedna trzecia pojazdów na jezdni znajdowała się w Beszel.

Gdyby kierowca odzyskał panowanie nad furgonetką, prowadzący samochody beszanie zareagowaliby w tradycyjny sposób. Tego typu zagraniczne przeszkody są jedną z komplikacji nierozłącznie związanych z życiem w przepłotowych miastach. Kiedy ulqomanin wpadnie na beszanina i obaj są w swoich miastach; gdy ulqomański pies podbiegnie do beszańskiego przechodnia, by go obwąchać; gdy w Ul Qomie zbije się okno i pod nogi beszańskich przechodniów spadnie szkło – we wszystkich tych przypadkach beszanie – albo

ulqomanie, gdy sytuacja jest odwrotna – unikają cudzoziemskiej przeszkody najlepiej, jak tylko mogą, bez przyjmowania do wiadomości jej istnienia. Dotykają jej, jeśli muszą, choć lepiej tego nie robić. Uprzejme, stoickie przeoczenie jest najlepszym sposobem radzenia sobie z wtargami, jak nazywa się po beszańsku podobne wtargnięcia z drugiego miasta. Po illitańsku również jest na to słowo, ale go nie znam. Wyjątek stanowią jedynie śmieci, pod warunkiem, że są wystarczająco stare. Jeśli padają na przepłotowy chodnik albo wiatr przynosi je z alteracji, w której je wyrzucono, początkowo są wtargiem, ale gdy minie pewien czas i illitańskie albo beszańskie napisy blakną bądź giną pod warstwą brudu, zagraniczne odpadki upodabniają się do miejscowych i stają się po prostu śmieciami. Wtedy mogą przechodzić przez granice, podobnie jak mgła, deszcz i dym.

Tamten kierowca nie zdołał wyprowadzić furgonetki z poślizgu. Pojazd ustawił się skośnie na KünigStrász – nie wiem, jak ta ulica nazywa się w Ul Qomie – i uderzył w ścianę beszańskiego butiku, przejeżdżając oglądającego wystawę przechodnia. Beszanin zginął na miejscu, a ulqomański kierowca został ciężko ranny. Ludzie w obu miastach krzyczeli. Nie zauważyłem chwili zderzenia, ale moja matka ją widziała i ścisnęła mnie za rękę tak mocno, że aż krzyknąłem z bólu, nim jeszcze usłyszałem hałas.

Wczesne lata życia beszańskich dzieci – zapewne ulqomańskich również – wypełnia intensywna nauka odczytywania sygnałów. Bardzo szybko uczymy się rozpoznawać style strojów, dozwolone kolory, sposoby chodzenia i postawę. Gdy mamy jakieś osiem lat, można już ufać, że nie dopuścimy się nielegalnych, zawstydzających przekroczeń, choć oczywiście wszystkie wychodzące na ulice dzieci traktuje się z pewną pobłażliwością.

Ja liczyłem sobie czternaście lat, gdy ujrzałem na własne oczy krwawe skutki owego przekroczenia. Pamiętam, że pomyślałem wówczas o zasadach i doszedłem do wniosku, że są idiotyczne. W tamtej chwili ja, moja matka i wszyscy obecni na ulicy przechodnie nie mogli przeoczyć wraku ulqomańskiego samochodu. Wszelkie z wysiłkiem opanowane sztuczki szlag trafił.

Przekroczeniówka zjawiała się przed upływem minuty. Ujrzałem kształty, sylwetki – niektóre z nich mogły być tam już przedtem, ale i tak wydawało się, że zmaterializowały się nagle w miejscach między kłębami buchającego z wraku dymu. Poruszały się za szybko, by można je było zobaczyć dokładnie. W ich poczynaniach wyczuwało się autorytet i władzę, tak niezachwiane, że zapanowały nad miejscem wtargnięcia i otoczyły je. Ich moc była czymś niemal niewiarygodnym. Na granicach strefy kryzysu beszańska policja – a także ulqomańska, której wciąż nie byłem w stanie przeoczyć – powstrzymywały gapiów ze swoich miast, oznaczały miejsce wypadku taśmą i przeganiały z niej intruzów, otaczając obszar, w którym działała Przekroczeniówka. Dziecko, którym byłem, nadal obserwowało ze strachem jej szybkie poczynania. Tajemniczy przybysze organizowali akcję, przyżegali rany, przywracali porządek.

Incydenty skłaniające Przekroczeniówkę do takich akcji zdarzają się rzadko. Wypadki i

przebijające granice katastrofy. Trzęsienie ziemi z 1926, wielkie pożary. (Kiedyś podobny pożar wybuchł w budynku położonym grostopicznie blisko mojego mieszkania. Udało się go ograniczyć do jednego budynku, który nie znajdował się w Beszel, więc nic nie widziałem. Oglądałem na miejscowym kanale telewizyjnym relację przekazywaną z Ul Qomy, podczas gdy okna w moim salonie lśniły od czerwonej, migotliwej łuny). Śmierć ulqomańskiego przechodnia zabitego zbłąkaną beszańską kulą podczas napadu z bronią w rękę. Trudno było skojarzyć podobne kryzysy z biurokacją, z którą się zetknąłem.

Przestępowałem z nogi na nogę, wodząc niewidzącym spojrzeniem po sali. Przekroczeniówka musi składać raport ze swych czynności specjalistom, którzy ją przywołują, wielu z nas nie uważa tego jednak za zbyt poważne ograniczenie.

– Rozmawiał pan z jej współpracownikami? – pytał Syedr. – Jak daleko posunął się pan w śledztwie?

– Nie, nie rozmawiałem z nimi. Oczywiście moja asystentka musi jeszcze sprawdzić te informacje.

– A czy mówił pan z jej rodzicami? Mam wrażenie, że bardzo się panu śpieszy, aby uwolnić się od tej sprawy.

Po obu stronach stołu rozległy się ciche pomruki. Zaczekałem kilka sekund z odpowiedzią.

– Corwi ich zawiadomiła. Wkrótce tu przyleca, majorze. Nie jestem pewien, czy rozumie pan naszą sytuację. Tak, gorąco pragnę przekazać tę sprawę. Czy nie chce pan, by znaleziono zabójcę Mahalii Geary?

– Dobra, starczy tego – odezwał się Yavid Nyisemu i zabębnił palcami po blacie. – Inspektorze, nie powinien pan przemawiać takim tonem. Wielu parlamentarzystów czuje narastający, niepozbawiony podstaw niepokój, że zbyt łatwo przekazujemy swe uprawnienia Przekroczeniówce w sprawach, w których moglibyśmy tego uniknąć. Niektórzy uważają, że to niebezpieczne i może nawet graniczyć ze zdradą. – Zaczekał chwilę, aż sens jego słów stał się oczywisty i wydałem z siebie mruknięcie, które można było uznać za przeprosiny. – Niemniej – podjął – pan również powinien pohamować tę śmieszłą agresywność, majorze. Do licha, młoda kobieta zniknęła w Ul Qomie i jej ciało znaleziono w Beszel. Trudno mi sobie wyobrazić bardziej oczywistą sprawę. Z pewnością poprzemy wniosek o przywołanie Przekroczeniówki.

Zamachał rękami w powietrzu, gdy Syedr zaczął się skarżyć.

Katryna skinęła głową.

– Wysłuchaliśmy głosu rozsądku – skwitował Buric. Ulqomanie najwyraźniej nieraz już byli świadkami podobnych sporów wśród beszań. Oto nasza wspaniała demokracja. Zresztą z pewnością wcale nie są lepsi od nas. – To by było wszystko, inspektorze – oznajmił, zagłuszając podnoszącego głos majora. – Wysłuchaliśmy pańskiej prośby. Dziękuję. Woźny pana wyprowadzi. Wkrótce się do pana odezwiemy.

* * *

Korytarze Hali Łącznikowej cechują się charakterystycznym stylem, który z pewnością rozwinął się w ciągu stuleci istnienia gmachu, odgrywającego tak ważną rolę w życiu politycznym Beszeł i Ul Qomy. Korytarze są antyczne i eleganckie, ale jednocześnie wydają się nieokreślone, niezdefiniowane. Olejne obrazy są dobrze namalowane, ale zarazem bezkrwiście uniwersalne, pozbawione określonej proveniencji. Po korytarzach kręcą się pracownicy pochodzący z obu miast. Hala sprawia wrażenie nie tyle stworzonej wspólnymi siłami, ile po prostu pustej.

Od tego obrazu odbiegają jedynie nieliczne artefakty poprzedników, umieszczone w szklanych pojemnikach, pilnie strzeżonych i wyposażonych w alarmy. Są konkretne, ale tajemnicze. Po drodze do wyjścia zerknąłem na niektóre: figurkę Wenus o obwisłych piersiach, wyposażoną w zaczep, z którym mogła się kiedyś łączyć dźwignia albo przekładnia; prymitywnie wykonaną osę z metalu, wyblakłą w ciągu stuleci; kości do gry zrobione z bazaltu. Pod każdym eksponatem umieszczono podpis wyrażający domysły historyków.

Interwencja Syedra nie brzmiała przekonująco. Miałem wrażenie, że po prostu postanowił wyrazić swój sprzeciw wobec pierwszej petycji przedstawionej komisji i pech chciał, że to była akurat moja. Trudno było podważać jej prawomocność, co świadczyło, że motywacje majora są wątpliwe. Gdybym zajmował się polityką, w żadnym wypadku nie poparłbym takiego przywódcy. Niemniej jednak jego ostrożność nie była całkowicie nieuzasadniona.

Moce Przekroczeniówki są niemal nieograniczone. Przeróżające. Krepuje ją jedynie fakt, że wolno jej interweniować tylko w ściśle określonych sytuacjach. Przestrzeganie definiujących je zasad ma kluczowe znaczenie dla obu miast.

Dlatego właśnie w stosunkach między Beszeł, Ul Qomą a Przekroczeniówką funkcjonują skomplikowane mechanizmy gwarantujące zachowanie równowagi politycznej. Poza przypadkami nagłych, oczywistych przekroczeń – zbrodnie, katastrofy, czy inne wypadki, takie jak wyciek chemikaliów, wybuch gazu czy chory psychicznie przestępca atakujący obywateli przebywających za granicą – komisja wetuje każdą próbę przywołania. W końcu oznacza ono, że Beszeł i Ul Qoma wyrzekają się Wszelkiego wpływu na bieg wydarzeń.

Nawet po takich nagłych wypadkach, gdy nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby zaprzeczyć celowości przywołania, przedstawiciele obu miast starannie sprawdzają *ex post facto* zaakceptowane przedtem usprawiedliwienia interwencji. Formalnie rzecz biorąc, mają prawo zakwestionować wszystko. Byłby to absurd, ale komisja nie zamierzała wystawiać na szwank swego autorytetu przez zaniedbywanie podobnych formalności.

Oba miasta potrzebują Przekroczeniówki. A czym byłaby Przekroczeniówka bez ich integralności?

Corwi czekała na mnie na zewnątrz.

– I co? – zapytała, podając mi kubek z kawą. – Co ci powiedzieli?

– Hm, przekażą sprawę, ale nieźle mnie przećwiczyli. – Ruszyliśmy w stronę radiowozu. Wszystkie ulice otaczające Halę Łącznikową były przeplotem i po drodze do samochodu przeszliśmy przez grupę rozmawiających ze sobą ulqoman, przeocząc ich. – Wiesz, kto to jest Syedr?

– Ten faszystowski kutafon? Pewnie.

– Starał się zrobić wrażenie, że zablokuje przywołanie. To było naprawdę dziwaczne.

– Blok Narodowy nienawidzi Przekroczeniówki, prawda?

– To również jest dziwaczne. Równie dobrze mogliby nienawidzić powietrza. Co więcej, jest nacjonalistą. Bez Przekroczeniówki nie będzie Beszel. Straci ojczyznę.

– To skomplikowana sprawa – przyznała. – Potrzebujemy Przekroczeniówki, ale to oznacza, że jesteśmy od niej zależni. Wśród nacjonalistów istnieje podział na zwolenników równowagi sił i triumfalistów. Może Syedr jest triumfalistą. Oni uważają, że Przekroczeniówka broni Ul Qomy, że bez niej Beszel przejąłoby pełnię władzy.

– Chcą sobie podporządkować Ul Qomę? Żyją w świecie fantazji, jeśli wierzą, że Beszel może wygrać. – Corwi zerknęła na mnie. Oboje wiedzieliśmy, że to prawda. – Zresztą to nie ma znaczenia. To chyba był tylko pusty gest.

– Syedr to pierdolony idiota. Nie dość, że jest faszystą, to do tego niezbyt inteligentnym. Kiedy dostaniemy zgodę?

– Myślę, że za dzień albo dwa. Mam wrażenie, że jeszcze dzisiaj zagłosują nad wszystkimi przedstawionymi wnioskami.

Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak to jest zorganizowane.

– To co będziemy robić do tej pory? – zapytała nerwowo.

– Jak rozumiem, masz mnóstwo innych zadań? To nie jest twoja jedyna sprawa.

Zerknąłem na nią, prowadząc samochód.

Okrążyliśmy Halę Łącznikową. Jej ogromne wejście wygląda jak sztuczna, świecka jaskinia. Gmach znacznie przerasta rozmiarami katedrę, a nawet Koloseum. Od wschodu i zachodu jest otwarty do wysokości około piętnastu metrów, tworząc aleję, częściowo osłoniętą wspartym na kolumnach dachem. Dwa pasy ruchu oddziela od siebie ściana, a na obu umieszczono posterunki celne.

Było tam mnóstwo pieszych i pojazdów. Do środka wjeżdżały samochody osobowe i furgonetki, zatrzymujące się przy wschodnim posterunku, gdzie sprawdzano paszporty i inne dokumenty, udzielając pozwolenia na opuszczenie Beszel lub czasami go odmawiając. Strumień pojazdów jest nieprzerwany. Nieco dalej, w międzymieściu położonym wewnątrz hali, między dwoma posterunkami, ustawia się druga kolejka, czekająca pod zachodnią bramą na wpuszczenie do Ul Qomy. Na drugim pasie pojazdy posuwają się w przeciwną stronę.

Po podstemplowaniu pozwoleń przekraczający granicę opuszczają halę na jej drugim

końcu, wyjeżdżając za granicę. Często, na przepłotowych uliczkach starówki albo starówki, wracają w to samo miejsce, w którym byli przed chwilą, tyle że pod inną jurysdykcją.

Jeśli ktoś chce się udać do budynku fizycznie sąsiadującego z tym, w którym mieszka, ale znajdującego się w tym drugim mieście, musi pamiętać, że stoi on przy innej ulicy, w nieprzyjaznym państwie. Cudzoziemcy rzadko potrafią to zrozumieć. Żaden beszanin nie może po prostu pójść do odległego o kilka kroków domu znajdującego się w alteracji, nie dopuszczając się przekroczenia.

Musi najpierw przejść przez Halę Łącznikową i opuścić Beszel. Potem może wrócić w to samo, fizycznie, miejsce, ale jako turysta, podziwiający widoki w obcym kraju. Gdy znajdzie się w punkcie dzielącym współrzędne z miejscem jego zamieszkania, ujrzy ulicę, której nigdy dotąd nie widział, architekturę, którą zawsze przeoczał. Dotrze do ulqomańskiego domu sąsiadującego z jego własnym, znajdującym się teraz w innym mieście i niedostrzegalnym dla niego, dopóki nie wróci przez halę do Beszel.

Hala Łącznikowa jest jak szyjka klepsydry, punkt wejścia i wyjścia, powinna łączyć ze sobą miasta. Cały gmach ma kształt leja przepuszczającego gości z jednego państwa do drugiego.

Istnieją miejsca, w których nie ma przepłotu, ale na teren Beszel wdziera się wąski pasek Ul Qomy. Pamiętam z dzieciństwa, że wszyscy skrzętnie przeoczałyśmy Ul Qomę, czego nieustannie uczyli nas rodzice i nauczyciele – ostentacja, z jaką my i nasi ulqomańscy rówieśnicy przeoczałyśmy się nawzajem, gdy byliśmy grostopicznie blisko siebie, mogła budzić podziw. Rzucaliśmy kamieniami nad alteracją, omijaliśmy ją, nadkładając drogi przez Beszel, podnosiliśmy je i debatowaliśmy, czy zrobiliśmy coś złego. Rzecz jasna Przekroczeniówka nigdy się nie objawiła. Podobnie postępowaliśmy z miejscowymi jaszczurkami. Kiedy je podnosiliśmy, zawsze były martwe, i mówiliśmy, że zabiła je krótka powietrzna podróż przez Ul Qomę, choć zapewne winne było lądowanie.

– To wkrótce przestanie być nasz problem – zapewniłem, przyglądając się grupce ulqomańskich turystów wchodzących na obszar Beszel. – Mówię o Mahalii. O Byeli. Fulanie N.N.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lot do Beszel ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych wymaga w najlepszym razie jednej przesiadki. Wszyscy wiedzą, że trudno się do nas dostać. Beszel ma bezpośrednie połączenia lotnicze z Budapesztem, Skopje i Atenami. Dla Amerykanów zapewne najlepsza jest ta ostatnia opcja. Formalnie rzecz biorąc, dotrzeć do UI Qomy byłoby im jeszcze trudniej, z uwagi na blokadę, ale wystarczyłoby pojechać do Kanady, skąd mogliby polecieć bezpośrednio. W Nowym Wilku obsługiwanych jest znacznie więcej międzynarodowych połączeń lotniczych.

Państwo Geary mieli jednak przylecieć na lotnisko Beszel Halvic, o dziesiątej rano. Kazałem Corwi zawiadomić ich telefonicznie o śmierci córki. Zapewniłem, że sam ich zawiozę do kostnicy, by mogli zobaczyć ciało, ale powiedziałem, że może mi towarzyszyć, jeśli chce. Chciała.

Przybyliśmy na beszańskie lotnisko wcześniej, na wypadek gdyby samolot przyleciał przed terminem, i usiedliśmy napić się kiepskiej kawy w miejscowym odpowiedniku Starbucksa. Zapytałem ją, czy była kiedyś za granicą.

– Pewnie – odparła. – W Rumunii i w Bułgarii.

– A w Turcji?

– Nie. A ty?

– Byłem. W Londynie i w Moskwie też. W Paryżu tylko raz, dawno temu. W Berlinie tak samo. To był wtedy Berlin Zachodni, nim jeszcze się połączyły.

– W Berlinie? – powtórzyła.

Ruch na lotnisku nie był zbyt duży. Większość pasażerów wyglądała na wracających do domu beszan. Widziało się też garstkę turystów oraz handlowców z Europy Wschodniej. Trudno jest być turystą w Beszel albo UI Qomie – w ilu miejscach na świecie urządza się egzaminy dla wszystkich, którzy pragną je odwiedzić? – lecz na odnowionym ulqomańskim lotnisku widuje się znacznie więcej ludzi. Nigdy tam nie byłem, ale widziałem je w telewizji. Leży około dwudziestu pięciu kilometrów na południowy zachód od Lestov, po drugiej stronie zatoki Bulkya, i przylatuje tam o wiele więcej pasażerów, mimo że UI Qoma stawia gościom równie surowe wymagania jak my. Rozbudowano je przed kilkoma laty. Po paru miesiącach intensywnych prac przerodziło się z nieco mniejszego od naszego terminalu w

znacznie od niego większe. Z lotu ptaka jego terminale wyglądały jak połączone ze sobą półksiężycy zbudowane z luster. Zaprojektował je Foster albo ktoś o podobnym stylu.

Grupkę cudzoziemskich ortodoksyjnych Żydów przywitali – sądząc po stroju – znacznie mniej pobożni miejscowi kuzyni. Gruby pracownik ochrony podrapał się po podbródku, zdejmując rękę z pistoletu. Wśród pasażerów można było wypatrzeć paru menedżerów w budzących szacunek garniturach, przedstawiciela naszych nowych, sypiących złotem przyjaciół, specjalizujących się w zaawansowanych technologiach korporacji, niekiedy nawet amerykańskich. Po drugiej stronie stali kierownicy z tabliczkami informującymi, że czekają na członków rad nadzorczych firm Sear & Core, Shadner i VerTech – tych, którzy nie przylecieli tu własnymi samolotami albo helikopterami lądującymi na prywatnych lądowiskach. Corwi zauważyła, że czytam napisy na tabliczkach.

– Kurwa, po co ktokolwiek miałby tu inwestować? – zdziwiła się. – Myślisz, że pamiętają, kiedy się na to zgodzili? Rząd z pewnością podaje im rohypnol na tych fetach.

– To typowy beszański defetyzm, posterunkowa. To właśnie jest przyczyna niepowodzeń naszego kraju. Posłowie Buric, Nyisemu i Syedr znakomicie wypełniają zadania, które im powierzyliśmy.

Buric i Nyisemu mieli sens, ale było zdumiewające, że Syedr zdołał się dostać na listę organizatorów targów handlowych. To była czysto polityczna nominacja. Czyniło to fakt, że udało się osiągnąć choć niewielkie sukcesy – o czym świadczyła obecność tych gości – jeszcze bardziej zdumiewającym.

– Jasne – mruknęła. – Mówiąc poważnie, przyjrzyj się tym facetom, gdy już przejdą na drugą stronę. Mogłabym przysiąc, że widzę w ich oczach panikę. Widziałeś samochody, którymi obwożą ich po mieście do różnych turystycznych atrakcji, przeplotów i tak dalej? „Zwiedzają miasto”. No pewnie. Biedne sukinsyny szukają drogi ucieczki.

Wskazałem na tablicę. Wylądował nasz samolot.

– Rozmawiałaś z promotorką Mahalii? – zapytałem. – Parę razy próbowałem się do niej dodzwonić, ale bez skutku, a nie chcą mi podać numeru jej komórki.

– Tylko przez krótką chwilę – odparła. – Udało mi się ją złapać w centrum badań znajdującym się na terenie ulqomańskich wykopalisk. Profesor Nancy to ważna figura, ma mnóstwo studentów. Tak czy inaczej, udało mi się potwierdzić, że Mahalia była jedną z nich, ale już od dłuższego czasu nikt jej nie widział i tak dalej, i tak dalej. Powiedziałam jej, że mamy powody, by sądzić kropka, kropka, kropka. Przesłałam jej zdjęcie. Była wstrząśnięta.

– Naprawdę?

– Ehe. Ciągle powtarzała, że Mahalia była świetną studentką i nie potrafi uwierzyć, że coś takiego mogło się stać. No wiesz. Powiedziałeś, że byłeś w Berlinie. To znaczy, że mówisz po niemiecku?

– Kiedyś mówiłem – odparłem. – *Ein bisschen*.

– A po co tam pojechałeś?

– Byłem młody. To była konferencja poświęcona pracy policji w podzielonych miastach. Urządzono na niej sesję dotyczące Budapesztu, Jerozolimy, Berlina, Beszel i Ul Qomy.

– O kurwa!

– Wiem, wiem. Też tak wtedy zareagowaliśmy. Totalnie nie zrozumieli, w czym rzecz.

– Podzielone miasta? Dziwię się, że akademia pozwoliła ci jechać.

– Wiem. Mało brakowało, by mój bilet umknął, uniesiony wiatrem patriotyzmu innych. Mój promotor powiedział, że to nie tylko brak zrozumienia naszego szczególnego statusu, lecz również zniewaga dla Beszel. Pewnie miał trochę racji. Ale chcieli mi zafundować wycieczkę zagraniczną, więc jak miałem odmówić? Musiałem go jakoś przekonać. Przynajmniej udało mi się po raz pierwszy w życiu spotkać kilkoro ulqoman. Najwyraźniej oni również zdołali stłumić oburzenie. Na jedną z nich natknąłem się w miejscowej dyskotecie i podjęliśmy próbę złagodzenia międzynarodowych napięć w rytm *99 Luftballons*, jeśli dobrze sobie przypominam.

Corwi prychnęła lekceważąco, ale pasażerowie zaczęli już przechodzić przez bramki i oboje zrobiliśmy poważne miny, z jakimi zamierzaliśmy przywitać Gearych.

Przedstawiciel urzędu imigracyjnego, który ich eskortował, zobaczył nas i skinął głową, kierując oboje w naszą stronę.

Z Ameryki przysłano nam zdjęcia Gearych, ale i tak bym ich poznał. Podobne miny oglądałem wyłącznie u pogrążonych w żałobie rodziców. Ich twarze wyglądały jak ulepione z gliny, pokrytej gruzłami zmęczenia i żalu. Szurali nogami, jakby byli piętnaście albo dwadzieścia lat starsi niż w rzeczywistości.

– Państwo Geary? – zapytałem.

– Och – odezwała się kobieta, wyciągając rękę. – Tak, pan jest... panem Corwi, prawda...

– Nie, proszę pani. Jestem inspektor Tyador Borlú z beszańskiej BNZ. – Ucisnąłem dłoń pani Geary, a potem jej męża. – A to jest posterunkowa Lizbyet Corwi. Bardzo mi przykro z powodu waszej straty. – Oboje zamrugali jak zwierzęta, pokiwali głowami i otworzyli usta, ale nic nie powiedzieli. Głupio wyglądali ze swoją żałobą. To było okrutne. – Czy mogę was odwieźć do hotelu?

– Dziękuję, ale nie, inspektorze – odparł pan Geary. Zerknąłem na Corwi, ale sprawiała wrażenie, że rozumie prawie wszystko. Nieźle sobie radziła z angielskim. – Chcielibyśmy... chcielibyśmy zrobić to, po co tu przylecieliśmy. – Pani Geary zaciskała dłonie na torebce. – Chcielibyśmy ją zobaczyć.

– Oczywiście. Proszę za mną.

Zaprowadziłem ich do samochodu.

– Czy spotkamy profesor Nancy? – zapytał pan Geary, gdy Corwi zasiadła za kierownicą. – I przyjaciół May?

– Nie, panie Geary – odparłem. – Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Oni nie mieszkają w Beszel, tylko w Ul Qomie.

– Wiedziałeś o tym, John. Wiesz, jak wyglądają tu sprawy – rzekła jego żona.

– Tak, tak – powiedział do mnie, jakby to były moje słowa. – Tak, przepraszam, ja tylko... chciałem porozmawiać z jej przyjaciółmi.

– To da się zrobić – zapewniłem. – Spróbujemy połączyć się z nimi telefonicznie. I... – Pomyślałem o przejściach przez Halę Łącznikową. – Zawieziemy was do Ul Qomy. Jak już załatwimy wszystko tutaj.

Pani Geary zerknęła na męża, który gapił się na ulice i pojazdy wokół nas. Część estakad, do których się zbliżyliśmy, znajdowała się w Ul Qomie, ale byłem pewien, że nie powstrzyma się przed patrzeniem na nie. Nawet gdyby wiedział, że nie powinien tego robić, nic by go to nie obchodziło. A po drodze natknęliśmy się na nielegalny, stanowiący przekroczenie widok efekciarskiej Ulqomańskiej Strefy Szybkiej Gospodarki, pełnej dzieł sztuki publicznej, całkiem pozbawionych gustu, ale za to pokaznych.

Oboje państwo Geary nosili odznaki gości w beszańskich kolorach, ale ponieważ otrzymali rzadko przyznawane pozwolenia wjazdu z przyczyn humanitarnych, nie przeszli szkolenia dla turystów i nie rozumieli miejscowych zasad dotyczących granic. Co gorsza, ich uwagę zaprzętała żaloba. Niebezpieczeństwo, że przekroczą, było wysokie. Musieliśmy ich chronić przed nieświadomym popełnieniem czynów, które w najlepszym razie skończyłyby się dla nich deportacją. Dopóki sprawa nie zostanie oficjalnie przekazana Przekroczeniówce, mieliśmy obowiązek opiekować się państwem Geary. Nie opuścimy ich ani na chwilę, chyba że będą spali.

Corwi nie patrzyła na mnie. Będziemy musieli zachować ostrożność. Gdyby państwo Geary byli zwyczajnymi turystami, musieliby odbyć przepisane szkolenie i zdać dość trudny egzamin, złożony z części teoretycznej i praktycznej, polegającej na odgrywaniu scenek. Dopiero potem mogliby otrzymać wizy. Poznaliby, przynajmniej w ogólnym zarysie, podstawowe rozróżniające cechy architektury, strojów, alfabetu i zachowania, zakazane kolory i gesty, obowiązkowe szczegóły. Niektórzy beszańscy instruktorzy uczyliby ich również o domniemanych różnicach w fizjonomii między obywatelami obu miast. Dowiedzieliby się też choć odrobinę o Przekroczeniówce, zresztą tubylcy wiedzą niewiele więcej. To by wystarczyło, by uniknąć oczywistych przekroczeń.

Nikt nie liczy na to, że po trwającym dwa tygodnie – czy ile tam właściwie trwał – kursie turyści przyswoją sobie głęboko zakorzenione instynkty pozwalające beszańom i ulqomanom przestrzegać granic, opanują choćby podstawy przeoczenia. Nalegamy jednak, by zachowywali się tak, jakby im się to udało. Władze Beszel i Ul Qomy wymagają, by ściśle przestrzegali zasad, nie wchodzili w interakcje z sąsiednim miastem i w żaden sposób nie okazywali, że je widzą.

Choć kary za przekroczenie są surowe – od tego zależy istnienie obu miast – winę trzeba udowodnić w przekonujący sposób. Wszyscy podejrzewamy – choć już dawno nauczyliśmy się to przeoczać – że turyści w starym beszańskim getcie ukradkiem zauważają szklane

frontony budynków przy ulqomańskim moście Yal Iran, sąsiadującym z gettem w dosłownej topologii. Jeśli patrzą na powiewające wstążkami balony puszczane podczas beszańskiego Święta Wiatrów, nie mogą – w przeciwieństwie do nas – nie zauważyć opływowych wieżowców ulqomańskiej dzielnicy pałacowej, które są tuż obok, ale znajdują się w sąsiednim państwie. Dopóki nie pokazują ich palcami i nie wydają okrzyków zachwytu – dlatego właśnie z rzadkimi wyjątkami nie wpuszcza się do nas cudzoziemców poniżej osiemnastego roku życia – wszyscy obecni mogą dopuszczać możliwość, że do przekroczenia nie doszło. Przygotowawcze szkolenie uczy właśnie takiej powściągliwości, nie rygorystycznego przeoczenia wymaganego od miejscowych. Większość turystów ma wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by to zrozumieć. Wszyscy tubylcy, łącznie z Przekroczeniówką, są skłonni okazać im pobłażliwość, gdy tylko jest to możliwe.

Zauważyłem w samochodowym lusterku, że pan Geary patrzy na mijającą nas ciężarówkę. Sam ją przeoczyłem, ponieważ była w Ul Qomie.

Od czasu do czasu oboje szeptali coś do siebie. Mój angielski – albo mój słuch – nie był wystarczająco dobry, by ich zrozumieć. Przez większość czasu milczeli jednak, oddaleni od siebie, i wyglądali przez okna po obu stronach.

Shukmana nie było w laboratorium. Być może znał siebie i wiedział, jakie wrażenie wywarłby na pogrążonej w żałobie rodzinie. Sam nie chciałbym go spotkać w podobnych okolicznościach. Do magazynu zaprowadził nas Hamzinic. Rodzice ofiary jęknęli jednocześnie, ujrawszy leżące pod prześcieradłem ciało. Hamzinic milczał z szacunkiem, czekając, aż będą gotowi, a gdy matka skinęła głową, odsłonił twarz Mahalii. Oboje rodzice znów jęknęli. Gapili się na zabitą. Po chwili matka dotknęła jej twarzy.

– Och, tak, to ona – potwierdził pan Geary i rozplakał się. – To ona. To moja córka – powtórzył, jakbyśmy prosili o oficjalną identyfikację zwłok, czego przecież nie zrobiliśmy. Po prostu chcieli ją zobaczyć. Skinąłem głową, jakby rzeczywiście nam pomogli, a potem spojrzałem na Hamzinica. Zakrył twarz i zajął się czymś innym, a my poprowadziliśmy rodziców Mahalii do wyjścia.

* * *

– Chcę przejść do Ul Qomy – oznajmił pan Geary. Byłem przyzwyczajony do tego, że cudzoziemcy wypowiadają ten czasownik z lekkim naciskiem. Nie byli przyzwyczajeni do używania go w takim kontekście. – Wiem, że zapewne trudno będzie to załatwić, ale chcę zobaczyć, gdzie Mahalia...

– Oczywiście – zgodziłem się.

– Oczywiście – powtórzyła Corwi. Znała trochę angielski i od czasu do czasu włączała się do konwersacji. Jedliśmy obiad z państwem Geary w hotelu Queen Czeville. Był w miarę komfortowy i beszańska policja od dawna korzystała z jego usług w podobnych sprawach.

Personel miał doświadczenie w opiece nad niedoświadczonymi gośćmi, równającej się w praktyce potajemnemu trzymaniu ich w zamknięciu.

Dołączył do nas James Thacker, dwudziestoosmio-, może dwudziestodzieciolatekni pracownik ambasady amerykańskiej średniego stopnia. Od czasu do czasu mówił coś do Corwi, bezbłędnie posługując się beszańskim. Okna jadalni wychodziły na północny cypel wyspy Hustav. Po rzece, w obu miastach, pływały łodzie. Państwo Geary bez apetytu jedli rybę w pieprzu.

– Spodziewaliśmy się, że zapewne zechcecie odwiedzić miejsce, gdzie pracowała wasza córka – zacząłem. – Zwróciliśmy się do pana Thackera i jego odpowiedników w Ul Qomie z prośbą o załatwienie formalności, które pomogą wam przejść przez Halę Łącznikową. Myślę, że wystarczy dzień albo dwa.

W Ul Qomie oczywiście nie ma amerykańskiej ambasady, tylko kilku posepnych przedstawicieli konsularnych.

– I... mówił pan, że to teraz sprawa dla Przekroczeniówki? – zapytała pani Geary. – To oni będą prowadzili śledztwo, nie ulqomańska policja, mam rację? – Wpatrywała się we mnie z porażającym brakiem zaufania. – Kiedy będziemy mogli z nimi porozmawiać?

Zerknąłem na Thackera.

– To niemożliwe – odparłem. – Przekroczeniówka nie jest taka jak my.

– „My” to znaczy... *policzai*? – zapytała, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Miałem na myśli „my wszyscy”.

– No cóż, między innymi – odparłem jednak. – To nie jest... instytucja, taka jak beszańska albo ulqomańska policja.

– Nie rozumiem...

– Inspektorze Borlú, z chęcią to wytłumaczę – odezwał się Thacker. Zawahał się jednak. Wolałby, żebym mówił dalej. Wszelkie wyjaśnienia, jakich udzieliłby przy mnie, musiałyby być umiarkowanie uprzejme. Gdyby był wśród samych Amerykanów, mógłby podkreślić, że nasze miasta są niedorzeczne i celowo sprawiają trudności, że jemu i jego współpracownikom jest bardzo przykro z powodu dodatkowych komplikacji wywołanych faktem, że zbrodnię popełniono w Beszel i tak dalej. Mógłby się uciec do insynuacji. To, że musieli się liczyć z niezależną siłą, jaką była Przekroczeniówka, było nieprzyjemne i krępujące.

– Nie mam pojęcia, jak wiele wiecie o Przekroczeniówce, drodzy państwo – zacząłem. – Ona nie jest taka jak inne instytucje. Czy macie jakiegokolwiek wyobrażenie o jej możliwościach? Przekroczeniówka dysponuje szczególnymi mocami. Jest też, hm, bardzo tajemnicza. Zdaję sobie sprawę, że to musi brzmieć dla was dziwnie, ale... zapewniam, że jej wyniki, gdy chodzi o ściganie przestępców, są, hm, porażające. Godne podziwu. Otrzymamy wiadomości o przebiegu śledztwa i krokach podjętych przeciwko winnym.

– Czy to znaczy... – pan Geary zawahał się. – Macie tu karę śmierci, prawda?

– I w Ul Qomie też – potwierdziła jego żona.

– Oczywiście – zgodził się Thacker. – Ale nie w tym rzecz. Drodzy państwo, nasi przyjaciele z Beszel i władze Ul Qomy mają zamiar przywołać Przekroczeniówkę, więc lokalne prawa obu miast nie mają większego znaczenia. Sankcje, jakimi dysponuje ta organizacja, są w zasadzie nieograniczone.

– Przywołać? – powtórzyła pani Geary.

– Istnieją specjalne protokoły – wyjaśniłem. – Dopiero po ich wykonaniu Przekroczeniówka będzie się mogła objawić.

– A co z procesem? – zapytał pan Geary.

– Odbędzie się przy drzwiach zamkniętych – odparłem. – Trybunały... – zdecydowałem się na to słowo, choć rozważałem również „decyzje” i „akcje” – Przekroczeniówki są tajne.

– Nie będziemy składać zeznań? Nie zobaczymy procesu?

Pan Geary był zdumiony. Z pewnością wyjaśniano mu to przedtem, ale tak to już jest. Jego żona potrząsała gniewnie głową, ale nie była zdziwiona.

– Obawiam się, że nie zobaczycie – potwierdził Thacker. – Mamy tu do czynienia z wyjątkową sytuacją. Mogę wam jednak zagwarantować, że sprawca nie tylko zostanie schwytany, ale, hm, poniesie surową karę.

Niektórzy mogliby nawet czuć litość dla zabójcy Mahalii Geary. Ale nie ja.

– Przecież to...

– Wiem, pani Geary. Bardzo mi przykro. W całej służbie dyplomatycznej nie ma drugiej podobnej placówki. Ul Qoma, Beszel i Przekroczeniówka... To wyjątkowa sytuacja.

– O mój Boże. No wie pan, to... Mahalia była zaangażowana w takie rzeczy – odezwał się pan Geary. – Miasto i miasto, i jeszcze jedno miasto. Beszel – wymawiał to słowo „Bezzel” – i Ul Qoma. I *Orsinnit*.

Nie zrozumiałem, co chciał powiedzieć.

– Or... ci... ny... – poprawiła go żona. Uniosłem wzrok. – Ono się nazywa Orciny, nie Orsinnit, kochanie.

Thacker wyduł usta w wyrazie uprzejmego braku zrozumienia i potrząsnął pytająco głową.

– O co chodzi, pani Geary? – zapytałem. Pogrzebała w torebce. Corwi po cichu wyjęła notes.

– Tym właśnie zajmowała się Mahalia – wyjaśniła kobieta. – To był przedmiot jej badań. Robiła z tego doktorat. – Jej mąż rozciągnął usta w grymasie wyrażającym pobłażliwość, dumę i zdziwienie. – Radziła sobie znakomicie. Opowiadała nam trochę o tym. To Orciny najwyraźniej przypominało Przekroczeniewkę.

– Interesowało ją to od chwili, gdy przybyła do was – dodał pan Geary.

– To prawda, najpierw przyleciała tutaj... to znaczy do Beszel, tak? – zgodziła się jego żona. – Ale potem powiedziała, że musi się przenieść do Ul Qomy. Będę z panem szczerą, inspektorze, myślałam, że to jedno i to samo miejsce. Teraz wiem, że się myliłam. Musiała

dostać specjalne pozwolenie, by się tam przenieść, ale ponieważ była na studiach doktoranckich, została tam, by prowadzić badania.

– Orciny to taka legenda – wyjaśniłem Thackerowi. Matka Mahalii pokiwała głową, jej ojciec odwrócił wzrok. – Wcale nie przypomina Przekroczeniówki, pani Geary. Przekroczeniówka istnieje naprawdę i ma prawdziwą władzę, a Orciny to...

Zawahałem się.

– Trzecie miasto – poinformowała Thackera po beszańsku Corwi. Dyplomata zasepił się jeszcze bardziej, nie okazując zrozumienia. – Tajemnica – dodała. – Bajka. Ukrywa się między dwoma miastami.

Potrząsnął głową i odwrócił wzrok bez śladu zainteresowania.

– Mahalia kochała to miasto – ciągnęła pani Geary z wyrazem tęsknoty na twarzy. – Przepraszam, chodziło mi o Ul Qomę. Czy jesteśmy blisko miejsca, gdzie mieszkała? – Czysto fizycznie, grostopicznie, by użyć terminu znanego tylko w Beszel i w Ul Qomie, bo nigdzie indziej nie jest potrzebny, rzeczywiście byliśmy blisko. Ani ja, ani Corwi nie odpowiedzieliśmy jej jednak. Pytanie było skomplikowane. – Studiowała miasta od wielu lat, odkąd po raz pierwszy przeczytała jakąś książkę o nich. Jej profesorowie zawsze uważali, że świetnie sobie radzi.

– Lubiała pani tych profesorów? – zapytałem.

– Och, nigdy ich nie spotkałam. Ale Mahalia mi o nich opowiadała. Pokazała mi w Internecie stronę programu badawczego i miejsce, gdzie pracowała.

– U profesor Nancy?

– Tak. To była jej promotorka. Mahalia ją lubiła.

– Współpraca im się układała?

Corwi spojrzała na mnie, gdy zadałem to pytanie.

– Och, nie wiem. – Pani Geary zaśmiała się nerwowo. – Mam wrażenie, że Mahalia ciągle się z nią kłóciła. Chyba rzadko się ze sobą zgadzały, ale kiedy ją pytałam, jak się jej układa w pracy, zawsze odpowiadała, że wszystko w porządku. Mówiła, że lubią się spierać. Zapewniała, że w ten sposób może się więcej nauczyć.

– Śledziła pani pracę córki? – pytałem. – Czytała jej eseje? Czy Mahalia opowiadała pani o swych ulqomańskich znajomych?

Corwi przesunęła się na krześle. Pani Geary potrząsnęła głową.

– Nie, nie – odparła.

– Inspektorze – odezwał się Thacker.

– Sprawy, którymi się zajmowała, nie były... właściwie mnie nie interesowały, panie Borlú. No wie pan, odkąd tu zamieszkała, wiadomości z Ul Qomy przyciągały moją uwagę i czytałam wszystko, co pisano na ten temat w gazetach, ale dopóki Mahalia czuła się szczęśliwa, ja... my również byliśmy szczęśliwi. Cieszyliśmy się, że może się zajmować tym, co ją pasjonuje.

– Inspektorze, jak pan myśli, kiedy otrzymamy dokumenty transferowe z Ul Qomy? – zapytał Thacker.

– Myślę, że już niedługo. I czy rzeczywiście była szczęśliwa?

– Och, myślę, że... – pani Geary przerwała. – No wie pan, zawsze zdarzają się dramaty.

– Tak – zgodził się jej mąż.

– Ostatnio... – dodała kobieta.

– Tak? – zapytałem.

– Ostatnio była... no wie pan, zestresowana. Mówiłam jej, że powinna wrócić do domu na wakacje. Wiem, że powrót do domu raczej nie brzmi jak wakacje, ale wie pan, jak to jest. Ale odpowiedziała, że zrobiła znaczne postępy i być może zbliża się do rozwiązania.

– Na co niektórzy się wkurzyli – dodał pan Geary.

– Kochanie.

– Tak było. Sama nam o tym powiedziała.

Corwi popatrzyła na mnie, wyraźnie zbita z tropu.

– Drodzy państwo... – zaczął Thacker. Wykorzystałem tę chwilę, by szybko wytłumaczyć jej to po beszańsku.

– Nie „kurzyli”, bo palili papierosy, tylko „wkurzyli”. W amerykańskim slangu to znaczy, że byli źli.

– Kto się wkurzył? – zapytałem ich. – Jej profesorowie?

– Nie – zaprzeczył pan Geary. – Do cholery, kto pana zdaniem to zrobił?

– John, proszę, proszę...

– Cholera, co to jest Najpierw Qoma? – oburzył się pan Geary. – Nawet nas pan nie zapytał, kto naszym zdaniem ją zabił. Nawet pan nie zapytał. Myśli pan, że nie wiemy?

– Co wam powiedziała? – zapytałem. Thacker wstał i wachlował się dłonią, dając do zrozumienia, że wszyscy powinni się uspokoić.

– Jakiś mały skurwysynek na konferencji powiedział Mahalii, że jej praca to cholerna zdrada. Ktoś próbował ją załatwić, odkąd się tu zjawiała.

– John, przestań, wszystko ci się miesza. Za pierwszym razem, kiedy ten człowiek to powiedział, była tutaj, w Beszel, nie w Ul Qomie, i on nie był z Najpierw Qoma, tylko z tych tutejszych nacjonalistów albo Prawdziwych Obywateli, pamiętasz?

– Chwileczkę – odezwałem się. – Najpierw Qoma? I ktoś coś jej powiedział, gdy była w Beszel? Kiedy to się stało?

– Zaczekaj, szefie – wtrąciła pośpiesznie Corwi po beszańsku.

– Chyba wszystkim przyda się chwila przerwy – poparł ją Thacker.

Starał się uspokoić Gearych, jakbyśmy w jakiś sposób ich oszukali, ja zaś przeprosiłem ich, jakbym rzeczywiście był winny. Wiedzieli, że oczekuje się od nich, iż zostaną w hotelu. Zostawiliśmy na dole dwóch funkcjonariuszy, by się upewnić, że nie spróbują nigdzie chodzić. Zapewniliśmy, że zawiadomimy ich, gdy tylko się dowiemy, że przybyły dokumenty

potrzebne do przekroczenia granicy, i że jutro do nich wrócimy. Tymczasem podałem im numery do siebie, na wypadek, gdyby potrzebowali jakichś informacji.

– Złapią go – zapewniła Corwi. – Przekroczeniówka się tym zajmie. Możecie być tego pewni.

– Swoją drogą, to jest Qoma Najpierw, nie Najpierw Qoma – powiedziała mi, gdy wyszliśmy z pokoju. – To ulqomański odpowiednik Prawdziwych Obywateli. Najwyraźniej są równie sympatyczni, jak ci nasi, ale znacznie lepiej się ukrywają. Kurewsko się cieszę, że to nie nasz problem.

Prawdziwi Obywatele, jeszcze bardziej radykalni w swej miłości do Beszel niż Blok Narodowy Syedra, organizowali marsze przebrani w przypominające mundury stroje i wygłaszali przerażające przemówienia. Działali na granicy legalności. Nigdy nie zdołaliśmy udowodnić, że są odpowiedzialni za ataki na Dzielnicę Ulqomańską, ambasadę Ul Qomy, meczety, synagogi, lewicowe księgarnie i naszą nieliczną populację uchodźców. Kilkakrotnie udało się nam – w tym przypadku nam znaczy oczywiście *policzai* – ująć sprawców, którzy byli członkami PO, ale organizacja odcięła się od ataków i żaden sędzia do tej pory jej nie zdelegalizował.

– A Mahalia podpadła i jednym, i drugim.

– Tak mówi jej ojciec. Nie wie tego na pewno...

– Ale my wiemy, że dawno temu udało się jej rozwścieżyć tutejszych unifikacjonistów. A potem dokonała tej samej sztuki z tamtejszymi nacjonalistami? Czy są jacyś ekstremiści, których nie rozsierzdziła? – Ruszyliśmy spod hotelu. – Wiesz co – dodałem – to spotkanie z Komisją Nadzoru... było bardzo dziwne. To, co mówili niektórzy z nich...

– Syedr?

– Z pewnością, ale nie tylko on. Część tego, co mówili, nie miała wtedy dla mnie sensu. Może powinienem uważniej śledzić wydarzenia polityczne. Pewnie zacznę to robić. – Umilkłem na chwilę. – Może powinniśmy wypytać paru ludzi.

– Po kiego, szefie? – Corwi odwróciła się na siedzeniu. Nie Wyglądała na rozgniewaną, tylko zdziwioną. – Po co właściwie ich o to wszystko pytałeś? Za parę dni politykierzy przywołają Przekroczeniówkę i ona już się zajmie tym syfem. Biada temu, kto wykończył Mahalię. Wiesz co? Nawet jeśli odkryjemy teraz jakieś ślady i tak niedługo zabiorą nam sprawę. To zwykła strata czasu.

– Ehe. – Skręciłem nieco, by ominąć ulqomańską taksówkę, przeocząc ją w takim stopniu, jak to tylko możliwe. – Masz rację. Ale muszę przyznać, że imponuje mi ktoś, kto zdołał rozjuszyć taką masę świrów, zwłaszcza że wielu z nich jest gotowych w każdej chwili skoczyć sobie do gardeł. Nacjonaści beszańscy i ulqomańscy, antynacjonaści...

– Niech Przekroczeniówka się tym zajmie. Miałaś rację, szefie. Mahalia na to zasłużyła.

– Zasłużyła i dostanie ją. – Wskazałem przed siebie. – *Avanti*. Ale na razie ma tylko nas.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Albo to było nadnaturalne wyczucie, albo komisarz Gadlem kazał jakiemuś technikowi przerobić nasz system, bo gdy tylko wchodziłem do gabinetu, e-maile od niego zawsze tkwiły na samej górze skrzynki.

Tekst najnowszego brzmiał:

Znakomicie. Jak rozumiem, państwo G. siedzą bezpiecznie w hotelu. Raczej nie chcę, żebyś marnował całe dni na biurokrację (jestem pewien, że się ze mną zgodzisz), ograniczcie się zatem do uprzejmego nadzoru, dopóki wszystkie formalności nie będą załatwione. Możesz uznać robotę za wykonaną.

Gdy nadejdzie ten czas, będę musiał przekazać wszystkie zebrane przez nas informacje. Gadlem chciał mi powiedzieć, że nie ma sensu marnować czasu ani wysiłków i powinienem zdjąć nogę z gazu. Sporządziłem mnóstwo notatek, które nie będą czytelne dla nikogo poza mną, a po upływie godziny również i dla mnie, ale za to skatalogowałem wszystkie starannie. Zawsze tak pracowałem. Przeczytałem kilkakrotnie e-maila od Gadlema, za każdym razem wznosząc oczy ku niebu. Zapewne mamrotałem też na głos do siebie.

Potem poświęciłem trochę czasu na sprawdzanie numerów – w sieci i za pośrednictwem żywej operatorki z centrali – po czym wykręciłem numer. W słuchawce rozległa się seria stuków, towarzyszących przechodzeniu sygnału przez kolejne międzynarodowe połączenia.

Dwukrotnie trafiałem na automatyczną sekretarkę, ale za trzecim razem odpowiedział mi ludzki głos:

– Wykopaliska Bol Ye'an.

Mężczyzna dobrze mówił po illitańsku, ale miał wyraźny, północnoamerykański akcent.

– Dzień dobry – odpowiedziałem po angielsku. – Próbuję się skontaktować z profesorem Nancy. Zostawiałem jej wiadomości, ale...

– Przepraszam, kto mówi?

– Inspektor Tyador Borlú z beszańskiej Brygady Najpoważniejszych Zbrodni.

– Och. Och... – jego ton zmienił się nagle. – Chodzi o Mahalię, prawda? Inspektorze... niech pan chwilę zaczeka, spróbuję znaleźć Izzy.

Nastąpiła długa przerwa, wypełniona głucho brzmiącym szumem.

– Mówi Isabelle Nancy.

Jej głos brzmiał niespokojnie, w niczym nie przypominał tego, który poznałem z poczty głosowej. Akcent wziąłbym za amerykański, gdybym nie wiedział, że kobieta pochodzi z Toronto.

– Pani profesor, jestem Tyador Borlú z beszańskiej *Policzai*. BNZ. Chyba rozmawiała już pani z moją koleżanką, posterunkową Corwi. Czy odebrała pani moje wiadomości?

– Tak, inspektorze. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Chciałam panu odpowiedzieć, ale to wszystko było takie... takie... najserdeczniej przepraszam...

Co chwila przechodziła z angielskiego na beszański, którym władała bardzo dobrze, i z powrotem.

– Rozumiem, pani profesor. Mnie również jest bardzo przykro z powodu tego, co spotkało pannę Geary. Wiem, że to musiało być wyjątkowo trudne dla pani i pani współpracowników.

– Tak, jestem... wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, inspektorze. Naprawdę wstrząśnięci. Nie wiem, co panu powiedzieć. Mahalia była wspaniałą dziewczyną i...

– Oczywiście.

– Gdzie pan jest? Czy przebywa pan... na miejscu? Chciałby się pan ze mną spotkać?

– Obawiam się, że dzwonię zza granicy, pani profesor. Nadal przebywam w Beszel.

– Rozumiem. W takim razie... w czym mogę panu pomóc, inspektorze? Czy jest jakiś problem? To znaczy, poza tym głównym problemem... – Wstrzymałem oddech. – Lada dzień spodziewam się odwiedzin rodziców Mahalii.

– Tak, niedawno z nimi rozmawiałem. Ambasada załatwia dla nich formalności i wkrótce powinni się u was zjawić. Nie, dzwonię, bo chciałem się czegoś dowiedzieć o Mahalii i o tym, czym się zajmowała.

– Niech pan wybaczy, inspektorze Borlú, ale miałam wrażenie, że ta zbrodnia... myślałam, że przywołacie Przekroczeniówkę...

Zapanowała nad sobą i mówiła teraz tylko po beszańsku, dałem więc sobie spokój z angielskim, którego wcale nie znałem lepiej niż ona nasz język.

– Tak, Komisja Nadzoru... przepraszam, pani profesor, nie wiem, jak dobrze orientuje się pani w tych sprawach. Ale, tak, przekazemy odpowiedzialność za śledztwo. Rozumie pani, jak to wygląda, prawda?

– Tak mi się zdaje.

– W porządku. Próbuję po prostu uporządkować sprawę. Właściwie to tylko ciekawość. Dowiedzieliśmy się interesujących rzeczy o Mahalii. Chciałbym usłyszeć coś więcej na temat jej pracy. Czy mogłaby mi pani pomóc? Była pani jej promotorką, prawda? Czy może pani poświęcić mi kilka minut?

– Oczywiście, inspektorze. Czekał pan już wystarczająco długo. Nie wiem, co

właściwie...

– Chciałem się dowiedzieć, nad czym pracowała. A także poznać historię jej współpracy z panią i w ramach waszego Programu badawczego. Proszę mi też trochę opowiedzieć o Bol Ye'an. Mahalia zajmowała się badaniami nad Orciny, jak rozumiem.

– Słucham? – Isabelle Nancy była wyraźnie wstrząśnięta. – Orciny? Z pewnością nie. To jest wydział archeologii.

– Niech mi pani wybaczy, ale odniosłem wrażenie... co to ma za znaczenie, że to wydział archeologii?

– Gdyby zajmowała się studiami nad Orciny, a mogą istnieć znakomite powody, by to robić, robiłaby doktorat z folklorystyki, antropologii albo może literatury porównawczej. Co prawda, granice między dziedzinami ostatnio się zamazują, a Mahalia należała do młodych archeologów bardziej zainteresowanych Foucaultem i Baudrillardem niż Gordonem Childe'em albo kielniami. – W jej głosie nie było gniewu, a raczej smutna wesołość. – Ale nie przyjęlibyśmy jej, gdyby jej temat nie dotyczył prawdziwej archeologii.

– A jaki to był temat?

– Bol Ye'an to stare wykopaliska, inspektorze.

– Niech mi pani opowie.

– Jestem pewna, że słyszał pan o kontrowersjach otaczających dawne artefakty odkryte w tym regionie, inspektorze. W Bol Ye'an odkopujemy zabytki sprzed dobrych paru tysiącleci. Bez względu na to, w jaką teorię rozłamu pan wierzy, podziału czy konwergencji, te artefakty są starsze niż Beszel i Ul Qoma. To zabytki poprzedników.

– Z pewnością są nadzwyczajne.

– Oczywiście. A także całkowicie niezrozumiałe. Zdaje pan sobie sprawę, że prawie nic nie wiemy o kulturze, która je stworzyła?

– Tak sądzę. Dlatego właśnie to jest interesujące, prawda?

– Hm... tak. A także z uwagi na panującą u was sytuację. Mahalia próbowała odczytać z zestawu przekładni i temu podobnych rzeczy coś, co tytuł jej pracy zwał „Hermeneutyką tożsamości”.

– Nie jestem pewien, czy to rozumiem.

– To znaczy, że wykonała dobrą robotę. Zadaniem doktoranta jest spowodować, by po paru latach nikt już nie rozumiał, o co mu chodzi, w tym również promotor. Rozumie pan, to był żart. Jej praca miałaby wpływ na teorie dotyczące dwóch miast. Skąd się wzięły i tak dalej. Nie chciała pokazywać kart, nigdy więc nie byłam pewna, jaka jest w danym miesiącu jej opinia, ale miała jeszcze parę lat, by się zdecydować. Albo po prostu coś wymyślić.

– To znaczy, że pomagała przy samych wykopaliskach?

– Oczywiście. Większość naszych studentów to robi. Niektórzy potrzebują tego do swoich prac, inni dlatego, że to jeden z warunków wypłaty stypendium, a jeszcze inni z obu tych powodów. Są też tacy, którzy po prostu próbują się nam podlizać. Mahalia dostawała

parę groszy, ale przede wszystkim chciała dotknąć artefaktów własnymi rękami.

– Rozumiem. Przepraszam, pani profesor, odniosłem wrażenie, że zajmowała się Orciny.

– Kiedyś się tym interesowała. Najpierw przybyła do Beszel, na konferencję zorganizowaną kilka lat temu.

– Tak, chyba o niej słyszałem.

– Zgadza się. Wywołała lekki skandal, bo wtedy bardzo ją pasjonowało Orciny. Była wręcz czymś w rodzaju bowdenistki i pracy, którą przedstawiła, nie przyjęto zbyt dobrze. Doprowadziła nawet do protestów. Podziwiałam jej odwagę, ale w ten sposób do niczego by nie doszła. Kiedy zgłosiła się z prośbą o otwarcie doktoratu, szczerze mówiąc, zdziwiłam się, że wybrała mnie. Oznajmiłam jej jasno, co mogę zaakceptować, a czego nie. Ale... no wie pan, nie mam pojęcia, co czytała w wolnym czasie, ale wiem, co pisała. Przesyłała mi kolejne rozdziały doktoratu i wszystkie były, hm, w porządku.

– W porządku? – powtórzyłem. – To nie brzmi...

– Hm, szczerze mówiąc, poczułam się odrobinę, tylko odrobinę, rozczarowana. Mahalia była inteligentna. Wiedziałam o tym, bo, rozumie pan, na seminariach i tak dalej spisywała się rewelacyjnie. Przy tym pracowała bardzo ciężko. Była „kujonem”, jak to mówimy. – To słowo wypowiedziała po angielsku. – Cały czas siedziała w bibliotece. Ale te rozdziały...

– Były słabe?

– Nieźle. W sumie całkiem nieźle. Obroniłaby pracę bez trudu, ale raczej nie przewróciłaby świata do góry nogami. No wie pan, fragmenty były pozbawione wyrazu. Biorąc pod uwagę, ile godzin Mahalia jej poświęcała, praca wyglądała blado. Mówię o źródłach i tak dalej. Rozmawiałam o tym z Mahalią, obiecała, że, no wie pan, postara się bardziej.

– Czy mógłbym zobaczyć tę pracę?

– Jasne – odparła, wyraźnie zaskoczona. – To znaczy, nie jestem pewna. Musiałabym się zastanowić nad etyczną stroną zagadnienia. Mam rozdziały, które od niej dostałam, ale są niewyglądzone, Mahalia chciała jeszcze nad nimi popracować. Gdyby były ukończone i publicznie dostępne, nie byłoby żadnego problemu, ale tak... Czy mogę się jakoś z panem skontaktować? Zapewne powinna była publikować fragmenty pracy w czasopiśmie, zgodnie ze zwyczajem, ale ona tego nie robiła. O tym również z nią rozmawiałam i zapewniła, że postara się to zmienić.

– Co to znaczy „bowdenistka”, pani profesor?

– Och. – Zaśmiała się. – Przepraszam. Chodzi o źródło tych bzdur o Orciny. Biedny David nie podziękowałby mi za to, że użyłam tego terminu. Bowdeniści to ludzie zainspirowani wczesnymi pracami Davida Bowdena. Zna je pan?

– Nie.

– Przed laty napisał książkę pod tytułem *Między miastem a miastem*. Nie słyszał pan o niej? Była bardzo popularna wśród późnych dzieci kwiatów. Po raz pierwszy od pokolenia

ktoś potraktował kwestię Orciny poważnie. Pewnie nie ma w tym nic dziwnego, że nie zna pan tej książki. Nadal jest zakazana zarówno w Beszel, jak i w Ul Qomie. Nie znajdzie jej pan nawet w uniwersyteckich bibliotekach. Pod pewnymi względami to świetna książka. Bowden wykonał wspaniałą pracę w archiwach i odkrył trochę analogii i połączeń, które... hm, nadal wydają się interesujące. Ale całość to było czyste wariactwo.

– Dlaczego?

– Dlatego, że on naprawdę wierzył w Orciny! Połączył wszystkie te wzmianki w jedną całość, znalazł nowe, stworzył z nich coś w rodzaju pramitu, a potem przeinterpretował je za pomocą teorii spiskowej. David... dobra, muszę zachować w tej sprawie pewną ostrożność, inspektorze, ponieważ, szczerze mówiąc, nigdy nie byłam przekonana, że on naprawdę w to wierzy. Podejrzywałam, że to była dla niego tylko gra. Niemniej w książce twierdził, że to wszystko prawda. Przybył do Ul Qomy, a stąd wybrał się do Beszel. Kilkakrotnie przenosił się z jednego miasta do drugiego. Nie wiem, jak zdołał to załatwić, ale zapewniam, że wszystko odbywało się legalnie. Głosił, że udało mu się odnaleźć ślady Orciny. Posunął się też dalej. Twierdził, że Orciny to nie tylko miejsce, które powstało w szczelinach między Beszel a Ul Qomą od chwili ich założenia, podziału albo połączenia. Nie pamiętam, do którego obozu należał w kwestii rozłamu. Nie, on utrzymywał, że ono nadal istnieje.

– Orciny?

– W rzeczy samej. Tajna kolonia. Miasto między miastami, którego mieszkańcy ukrywają się na oczach wszystkich.

– Słucham? Jak to robią? I czym się zajmują?

– Są niedostrzegalni, jak beszanie dla ulqoman i na odwrót. Chodzą po ulicach, przeoczani przez wszystkich, i nadzorują oba miasta. Kryją się nawet przed Przekroczeniówką. A co właściwie robią? Kto wie? Mają swe tajne plany. Nie wątpię, że w sieci wciąż toczy się na ten temat debata wśród wyznawców teorii spiskowych. David zapowiedział, że przejdzie do Orciny i zniknie.

– O kurde!

– Otóż to. I to przyniosło mu sławę. Niech pan to sprawdzi w Google'u. Tak czy inaczej, kiedy poznaliśmy Mahalię, była niepoprawną bowdenistką. Polubiłam ją, bo była odważna, i nawet jeśli wierzyła w nedorzeczne teorie, nie brakowało jej polotu i inteligencji. Ale Orciny to żart, rozumie pan? Zadawałam sobie nawet pytanie, czy Mahalia o tym wie, czy może sama z nas kpi?

– Ale już się tym nie zajmowała?

– Żaden poważny uczony nie zgodzi się być promotorem bowdenistycznego doktoratu. Kiedy się zapisała, oznajmiłam jej to jednoznacznie. Roześmiała się tylko i powiedziała, że już z tego wyrosła. Jak już mówiłam, zdziwiłam się, że zgłosiła się do mnie. Moje prace nie są tak awangardowe jak to, czym się zajmowała.

– Nie przepada pani za Foucaultami i Ziżkami?

– Szanuję ich, oczywiście, ale...

– Czy nie ma tu żadnych tego rodzaju, powiedzmy, teoretyków, do których mogłaby się zgłosić?

– Są, ale Mahalia powiedziała, że chce mieć kontakt z prawdziwymi znaleziskami. Jestem specjalistką od artefaktów. Jeśli chodzi o moich bardziej zainteresowanych filozofią kolegów... no cóż, wielu z nich nie pozwoliłabym nawet strzepnąć kurzu z amfory. – Roześmiałam się. – Myślę, że z jej punktu widzenia to miało sens. Naprawdę bardzo chciała się zapoznać z fizyczną stroną naszej pracy. Byłam zaskoczona, ale ucieszyłam się. To unikatowe znaleziska, rozumie pan, inspektorze?

– Sądzę, że tak. Oczywiście słyszałem wszystkie pogłoski.

– Ma pan na myśli ich magiczne moce? Chciałabym, żeby je miały. Ale i tak te wykopaliska są jedyne w swoim rodzaju. Materialna kultura, z którą mamy do czynienia, jest dla nas całkowicie niezrozumiała. Nigdzie na świecie nie można wykopać artefaktów wyglądających jak późny antyk najwyższej klasy, pięknych i skomplikowanych urządzeń z brązu pomieszanych z przedmiotami wyglądającymi na pochodzące z neolitu. Stratygrafia w ogóle nie trzyma się kupy. Niektórzy próbowali ją wykorzystać jako dowód mający obalić macierz Harrisa. Nie mieli racji, ale można zrozumieć, co nimi kierowało. Dlatego właśnie młodzi archeolodzy tak bardzo się interesują tymi wykopaliskami. Nie wspominając już o legendach. Wszystko to rzeczywiście tylko legendy, ale i tak najdziwniejsi badacze marzą o szansie ujrzenia wykopalisk na własne oczy. Niemniej spodziewałabym się, że Mahalia spróbuje się zwrócić do Dave'a, choć raczej nie miałyby szans na sukces.

– Do Dave'a? Bowdena? To on jeszcze żyje? Nadal uczy?

– Z pewnością żyje. Ale nawet gdy Mahalia jeszcze wierzyła w jego teorie, z pewnością nie zdołałaby go namówić, by został promotorem jej pracy. Idę o zakład, że zgłosiła się do niego, gdy badała tu teren, ale jestem przekonana, że natychmiast ją splawił. Odwołał swe twierdzenia już przed wielu laty. Stały się przekleństwem jego życia. Niech pan go sam zapyta. To był przejaw młodościowej głupoty, od której skutków nie może się uwolnić przez całe życie. Nigdy później nie opublikował nic godnego uwagi. Na całą karierę został wyznawcą Orciny. Sam to panu powie, jeśli go pan zapyta.

– Mogę to zrobić. Zna go pani?

– To mój kolega. Specjalistów od przedrozłamowej archeologii nie ma zbyt wielu. David również pracuje na Uniwersytecie Księcia Walii, choć na niepełnym etacie. Mieszka tutaj, w Ul Qomie.

Profesor Nancy kilka miesięcy każdego roku spędzała w swym mieszkaniu w uniwersyteckiej dzielnicy Ul Qomy. Uniwersytet Księcia Walii i inne kanadyjskie instytucje z radością wykorzystywały fakt, że Stany Zjednoczone – z powodów, do których wstydziła się przyznać nawet większość amerykańskich prawników – postanowiły bojkotować Ul Qomę. Kanada wykorzystała tę lukę, z entuzjazmem tworząc więzi ekonomiczne i akademickie z

naszym sąsiadem.

Beszel rzecz jasna utrzymywało przyjazne stosunki zarówno z Kanadą, jak i Stanami Zjednoczonymi, ale entuzjazm, z jakim oba te państwa inwestują na naszych słabnących rynkach, nie może się równać ze skwapliwością, z jaką sama tylko Kanada rzuciła się na gospodarkę tak zwanego „nowego wilka”. W porównaniu z Ul Qomą byliśmy co najwyżej ulicznym kundlem albo wychudzonym szczurem mlecznym. Większość żyjących tu zwierząt jest międzymiejska. Bardzo trudno jest udowodnić, że płochliwe, zimnolubne jaszczurki spotykane w szczelinach beszańskich murów mogą żyć tylko w Beszel, jak utrzymuje wielu. Z pewnością giną, jeśli zostaną przeniesione do Ul Qomy, nawet w mniej brutalny sposób niż rzucanie przez dzieci, ale w Beszel również rzadko przeżywają w niewoli. Gołębie, myszy, wilki i nietoperze występują w obu miastach. To zwierzęta przepłotowe. Zgodnie z niepisaną tradycją większość miejscowych wilków – wrednych, chudych zwierzaków, świetnie przystosowanych do życia miejskich padlinożerców – uważa się za beszańskie. Tylko nieliczne sztuki o przyzwoitych rozmiarach i nieprzesadnie odrażającym futrze uchodzą, zgodnie z tym stylem myślenia, za mieszkańców Ul Qomy. Wielu obywateli Beszel unika przekraczania tej – całkowicie zbytecznej i wymyślonej – granicy, nigdy nie wspominając o wilkach.

Kiedyś przepłoszyłem parę tych zwierząt, gdy grzebały w śmieciach na podwórku pod moim domem, czymś w nie rzucając. Były w wyjątkowo dobrym stanie i wielu moich sąsiadów patrzyło na to z szokiem na twarzach, jakbym przekroczył.

Większość ulqomanistów, do których profesor Nancy zaliczała także siebie, co roku wędruje między tym miastem a domem. Wyjaśniła mi z wyraźnie słyszalnym poczuciem winy, że to z pewnością historyczny przypadek sprawił, że wszystkie najciekawsze dla archeologów znaleziska znajdują się na terenach jednorodnie ulqomańskich albo w przepłotach ze znaczną przewagą Ul Qomy. Jej uniwersytet zawarł umowy z kilkoma ulqomańskimi uczelniami. David Bowden większą część roku spędzał w Ul Qomie i wracał do Kanady tylko na kilka miesięcy. Teraz również był na miejscu. Profesor Nancy powiedziała mi, że Bowden ma tylko garstkę studentów i nie poświęca nauczaniu zbyt wiele czasu, ale i tak nie zdołałem go złapać pod numerem, który mi podała.

Po krótkich poszukiwaniach w sieci udało mi się potwierdzić większość tego, co usłyszałem od Isabelle Nancy. Znalazłem stronę z tytułem pracy doktorskiej Mahalii – nie usunęli jeszcze jej nazwiska ani nie umieścili nekrologu, choć byłem pewien, że wkrótce to zrobią. Znalazłem też listy publikacji profesor Nancy i Davida Bowdena. Na tej drugiej znajdowała się książka, o której wspominała Nancy, wydana w roku 1975, dwa artykuły z mniej więcej tego samego czasu i jeden późniejszy o dziesięć lat. Od tego czasu pisał wyłącznie teksty prasowe. Niektóre z nich wydano następnie w formie książkowej.

Znalazłem fracturecity.org, największe forum dyskusyjne dla świrów pasjonujących się dublourbanologią, maniaków oszalałych na punkcie Ul Qomy i Beszel. Na forum

powszechnie uważano je za pojedynczy obiekt badań, co rozszerzyłoby opinię publiczną w obu miastach. Mimo to, sądząc po niektórych wpisach, wielu członków pochodziło z obu miast, choć nie było to całkiem legalne. Sprawdziłem serię linków – z radosną wiarą w pobłażliwość lub niekompetencję naszych lub ulqomańskich cenzorów wiele z nich prowadziło do stron z domen .uq albo .zb – i udało mi się znaleźć kilka fragmentów z *Między miastem a miastem*. Przeczytałem je, zgodnie z sugestią profesor Nancy.

Zaskoczył mnie dźwięk telefonu. Uświadomiłem sobie, że jest już po siódmej.

– Borlú – powiedziałem, podnosząc słuchawkę.

– Inspektorze? Cholera, mamy problem. Mówi Ceczoria. – Agim Ceczoria był jednym z policjantów mających pilnować rodziców Mahalii. Potarłem powieki i sprawdziłem pocztę, by się upewnić, czy nie przyszły nowe e-maile. Ze słuchawki dobiegały odgłosy jakiegoś poruszenia. – Inspektorze, pan Geary... urwał się nam. Kurwa, on... przekroczył.

– Co?

– Wyszedł z pokoju, inspektorze.

Usłyszałem krzyki jakiejś kobiety.

– Co się stało?

– Kurwa, nie wiem, jak zdołał się wymknąć, inspektorze. Po prostu nie wiem. Ale nie umknął daleko.

– Skąd wiesz? Złapaliście go?

Znowu zaklął.

– Nie my. Przekroczeniówka. Dzwonię z samochodu. Jesteśmy w drodze na lotnisko. Przekroczeniówka nas eskortuje. Dokąś. Powiedzieli nam, co mamy robić. Ten głos, który pan słyszy, to pani Geary. Jej mąż musi opuścić miasto. Natychmiast.

* * *

Corwi już wyszła i nie odbierała telefonu. Wziąłem z podwórka nieoznakowany samochód, ale jechałem na sygnale, by móc ignorować przepisy ruchu. Syrena zawodziła histerycznie. Rzecz jasna obowiązywały mnie tylko beszańskie przepisy i wyłącznie je miałem prawo ignorować, ale ruch drogowy jest jedną ze sfer kompromisu i Komisja Nadzoru pilnuje, by zasady obowiązujące w obu miastach były maksymalnie zbliżone. Kultura prowadzenia pojazdów nie jest w nich identyczna, ale z uwagi na pieszych i kierowców, którzy muszą radzić sobie z intensywnym zagranicznym ruchem, przeocząc go jednocześnie, pojazdy tu i tam poruszają się w podobny sposób i ze zbliżoną prędkością. Z pewnością zawiadomiono już naszą ambasadę w Stanach Zjednoczonych, a także przedstawicieli w Ul Qomie, i przy nazwiskach obojga winowajców umieszczono znaki symbolizujące zakaz wstępu. Gdy już opuszczą Beszel, nigdy więcej nie dostaną wizy. Podjechałem do posterunku *policzai* na lotnisku i pokazałem odznakę.

– Gdzie są państwo Geary?

– W celi, inspektorze.

Zależnie od tego, co zobaczę, byłem gotowy powiedzieć: „Nie wiecie, co spotkało tych ludzi? Może i są winni, ale właśnie stracili córkę”, ale nie okazało się to konieczne. Dali im posiłek i traktowali przyzwoicie. Ceczoria siedział z nimi w pokoiku i mruczał coś do pani Geary w łamanym angielskim.

Kobieta popatrzyła na mnie ze łzami w oczach. Jej mąż leżał na pryczy. Przez chwilę pomyślałem, że śpi, ale zauważyłem, że w ogóle się nie rusza, i szybko zmieniłem zdanie.

– Inspektorze – przywitał mnie Ceczoria.

– Co mu się stało?

– To była Przekroczeniówka, inspektorze. Pewnie nic mu nie będzie. Za jakiś czas się ocknie. Nie jestem pewien. Nie wiem, co mu zrobili.

– Otruiliście mojego męża – oskarżyła nas kobieta.

– Pani Geary, proszę. – Ceczoria podszedł do mnie. – O niczym nie wiedzieliśmy, inspektorze – zaczął, ścisząc głos, mimo że mówił po beszańsku. – Na zewnątrz doszło do lekkiego zamieszania i w tej samej chwili ktoś wszedł do holu, w którym siedzieliśmy. – Pani Geary płakała, mówiąc coś do nieprzytomnego męża. – Geary nagle się zachwiał, a potem zemdłał. Hotelowi ochroniarze podbiegli do niego, ale potem zobaczyli kogoś, kto stał za leżącym w korytarzu, i zatrzymali się. Usłyszałem głos: „Wiecie, kogo reprezentuję. Pan Geary przekroczył. Usuńcie go”. – Ceczoria potrząsnął bezradnie głową. – I wtedy mówiący zniknął, nim zdążyłem mu się przyjrzeć.

– Jak to możliwe...

– Kurwa, nie mam pojęcia, inspektorze. Biorę całą winę na siebie. Geary zdołał jakoś nas ominąć.

Wlepiałem w niego spojrzenie.

– Mam ci dać cholernego cukierka? Pewnie, że to twoja wina. Co on właściwie zrobił?

– Nie mam pojęcia. Przekroczeniówka zniknęła, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

– A co z...?

Wskazałem głową na panią Geary.

– Ona nic nie zrobiła, więc jej nie deportowano – odpowiedział szeptem. – Ale kiedy ją poinformowałem, że musimy go zabrać, oznajmiła, że pojedzie z nim. Nie chce siedzieć tu sama.

– Inspektorze Borlú. – Pani Geary starała się panować nad głosem. – Jeśli mówi pan o mnie, powinien pan mówić do mnie. Widzi pan, co zrobili mojemu mężowi?

– Pan Geary, jest mi bardzo przykro.

– No pewnie.

– Pani Geary, ja tego nie zrobiłem. Ceczoria też nie, ani żaden z moich ludzi. Rozumie to pani?

– Och, Przekroczeniówka, Przekroczeniówka, Przekroczeniówka...

– Pani Geary, pani mąż dopuścił się bardzo poważnego czynu. Bardzo poważnego. – Umilkła. Słysząc było tylko jej ciężki oddech. – Rozumie mnie pani? Czyżbyśmy popełnili jakiś błąd? Niedostatecznie jasno wyjaśnili system utrzymujący równowagę między Beszel a Ul Qomą? Rozumie pani, że ta deportacja nie ma nic wspólnego z nami, że nie możemy absolutnie nic w tej sprawie zrobić, a pani mąż ma, niech pani słucha, niewiarygodne szczęście, że skończyło się na tym? – Nadal milczała. – Kiedy jechaliśmy do hotelu, odniosłem wrażenie, że pani mąż nie do końca pojmuje obowiązujące tu zasady. Proszę mi powiedzieć, czy coś poszło nie tak? Czy nie zrozumiał naszych... rad? Jak to się stało, że moi ludzie nie zauważyli, kiedy opuścił pokój? Dokąd się wybierał?

Nadal robiła wrażenie, że w każdej chwili może się rozplakać. Zerknęła na leżącego na pryczy męża i jej postawa zmieniła się nagle. Wyprostowała się i szepnęła do niego coś, czego nie zrozumiałem. Potem spojrzała na mnie.

– On służył w lotnictwie – oznajmiła. – Wydaje się panu, że to tylko stary grubas? – Dotknęła go. – W ogóle nas pan nie zapytał, kto naszym zdaniem mógł to zrobić, inspektorze. Nie wiem, co o panu sądzić. Naprawdę nie wiem. Jak powiedział mój mąż, czy wydaje się panu, że nie wiemy, kto jest winny? – Ścisnęła w rękach kawałek papieru wyjęty z bocznej kieszeni torebki, składała go i rozkładała, w ogóle na niego nie patrząc. Po chwili schowała kartkę z powrotem. – Myśli pan, że córka z nami nie rozmawiała? Najpierw Qoma, Pierwsi Obywatele, Blok Narodowy... Mahalia się bała, inspektorze. Nie jesteśmy pewni, kto z nich jest winny i nie znamy motywów zbrodni. Jak pan sądzi, dokąd się wybierał mój mąż? Chciał się tego dowiedzieć. Mówiłam mu, że to się nie uda. Nie mówi w waszym języku ani nawet nie potrafi w nim czytać, ale miał adresy, które znaleźliśmy w Internecie, i książeczkę z rozmówkami. Jak mogłam go powstrzymać? Jestem z niego bardzo dumna. Ci ludzie nienawidzili Mahalii od lat, odkąd tu przybyła.

– Adresy znalezione w Internecie?

– Odkąd przybyła tutaj, do Beszel. Na tamtą konferencję. Tak samo było potem w Ul Qomie. Chce mi pan wmówić, że to nie ma związku ze sprawą? Wiedziała, że narobiła sobie wrogów. Mówiła nam o tym. Dlatego, że zajmowała się Orciny. Im głębiej drażyła tę sprawę, tym więcej wrogów miała. Wszyscy nienawidzili jej z powodu tego, czym się zajmowała. Co wiedziała.

– Kto jej nienawidził?

– Wszyscy oni.

– Co wiedziała?

Oklapła i potrząsnęła głową.

– Mój mąż chciał zbadać sprawę.

Wyszedł z hotelu przez okno łazienki na parterze, by umknąć uwadze naszych policjantów. Gdyby znajdowało się ono tylko kilka kroków dalej, byłoby to jedynie

złamaniem zasad, które mu wyznaczyliśmy, ale opuścił przepłot, przechodząc w alterację, na podwórko, które istniało tylko w Ul Qomie, i wtedy capnęła go Przekroczeniówka. Z pewnością jej ludzie obserwowali go przez cały czas. Miałem nadzieję, że nie zrobili mu poważnej krzywdy, ale jeśli tak się stało, z pewnością żaden lekarz w jego ojczyźnie nie potrafi zidentyfikować przyczyny obrażeń. Cóż mogłem powiedzieć?

– Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło, pani Geary. Pani mąż nie powinien był próbować oszukać Przekroczeniówki. Jestem... po waszej stronie.

Przyglądała mi się z uwagą.

– To niech pan nas puści – wyszeptała po chwili. – Mamy pieniądze. Możemy wrócić do miasta na piechotę. Mój mąż... jest bliski szaleństwa. Musi rozwiązać tę sprawę. Po prostu tu wróci. Dotrzemy tu przez Węgry albo może Turcję czy Armenię. No wie pan, są sposoby... Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił.

– Pani Geary, Przekroczeniówka obserwuje nas nawet w tej chwili. Naprawdę. – Powoli uniosłem rozpostarte dłonie i poruszyłem palcami w powietrzu. – Nie przeszlubiście nawet dziesięciu metrów. Jak pani sądzi, co możecie osiągnąć? Nie znacie beszańskiego ani illitańskiego. Proszę... Pani Geary, pozwólcie, bym wykonał dla was swoją robotę.

* * *

Pan Geary nie odzyskał jeszcze przytomności, gdy nieśliśmy go do samolotu. Jego żona patrzyła na mnie z wyrzutem i nadzieją. Spróbowałem powiedzieć jej po raz kolejny, że nie mogę nic na to wszystko poradzić i pan Geary sam jest sobie winien.

Pasażerów było niewielu. Zastanawiałem się, gdzie się ukrywa Przekroczeniówka. Nasza misja kończyła się z chwilą zamknięcia drzwi samolotu. Pani Geary podłożyła mężowi poduszkę pod głowę. W drzwiach samolotu pokazałem odznakę jednemu ze stewardów.

– Traktujcie ich dobrze.

– Deportowanych?

– Tak. Mówię poważnie. – Uniósł brwi, ale skinął głową. Podeszedłem do foteli obojga Amerykanów. Pani Geary spojrzała na mnie. Przykucnąłem obok niej. – Pani Geary, niech pani przekaże mężowi moje przeprosiny. Nie powinien był tego zrobić, ale rozumiem jego motyw. – Zawahałem się. – Wie pani gdyby lepiej znał Beszel, zapewne udałoby mu się nie wpaść na teren Ul Qomy i Przekroczeniówka by go nie zatrzymała. – Gapiła się tylko na mnie. – Pomogę pani – powiedziałem i włożyłem jej torbę na górę. – Oczywiście jeśli się dowiemy, co się dzieje, jeśli znajdziemy jakiegokolwiek ślady, zdobędziemy jakieś informacje, zawiadomię was.

Nadal nic nie mówiła. Poruszała tylko ustami, nie mogąc zdecydować, czy mnie błagać, czy raczej o coś oskarżyć. Pożegnałem ją płytkim, staromodnym ukłonem i opuściłem samolot.

Wróciłem do budynku lotniska, wyjąłem kartkę zabraną z bocznej kieszeni torebki pani Geary i przyjrzałem się jej. Nazwa organizacji, Prawdziwi Obywatele, dane znalezione w Internecie. Córka z pewnością powiedziała panu Geary, że jej nienawidzili. Tam właśnie zamierzał się udać ze swymi nielegalnymi poszukiwaniami. Pod zapisany na kartce adres.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– O co w tym wszystkim chodzi, szefie? – poskarżyła się Corwi, raczej z obowiązku niż z przekonania. – Czy nie mają zaraz przywołać Przekroczeniówki?

– Ehe. Ale muszę przyznać, że się nie śpieszą. Powinni już to zrobić. Nie wiem, co ich powstrzymuje.

– No to po co ten kurewski pośpiech, szefie? Już niedługo w pościg za zabójcą Mahalii ruszy Przekroczeniówka. – Spojrzałem na nią znad kierownicy. – Cholera, nie chcesz oddać sprawy, prawda? – zapytała.

– Och, chcę.

– W takim razie...?

– Uważam, że powinienem wykorzystać tę niespodziewaną szansę i wyjaśnić kilka kwestii.

Przestała się na mnie gapić dopiero, gdy dotarliśmy do siedziby Prawdziwych Obywateli. Zadzwoiłem do biura i kazałem komuś sprawdzić adres zapisany na kartce. Był prawidłowy. Spróbowałem skontaktować się z Shenvoiem, naszym tajnym agentem, ale nie mogłem go odnaleźć, oparłem się więc na tym, co wiedziałem, i co mogłem szybko przeczytać na temat Prawdziwych Obywateli. Corwi przystanąła obok. Zauważyłem, że dotyka rękojeści broni.

Dom miał wzmocnione drzwi i zakratowane okna, ale był kiedyś budynkiem mieszkalnym, podobnym do innych stojących przy ulicy. Zastanawiałem się, czy próbowano go zamknąć pod zarzutem wykorzystania niezgodnego z przeznaczeniem. Ulica robiła wrażenie niemal przepłotowej, ponieważ segmenty mieszały się na niej chaotycznie z wolno stojącymi budynkami, w rzeczywistości jednak była jednolicie beszańska. Różnorodność stylu była tylko architektonicznym dziwactwem, choć już za rogiem zaczynał się gęsty przepłot.

Słyszałem, jak liberałowie sugerowali, że to coś więcej niż ironia, że bliskość Ul Qomy stwarzała Prawdziwym Obywatelom szansę zastraszania nieprzyjaciela. Bez względu na to, jak intensywnie przebywający w fizycznej bliskości ulqomanie starali się ich przeoczać, na pewnym poziomie musieli zauważać paramilitarne mundury i plakietki z napisem „Beszel Najpierw”. Można by nawet twierdzić, że to przekroczenie, choć rzecz jasna nie było to do końca prawdą.

Kręcili się przed wejściem, palili, pili i śmiali się głośno. Próbowali ogłosić się właścicielami ulicy tak jawnie, że równie dobrze mogliby obsikiwać latarnie. Grupa składała się z samych mężczyzn, z tylko jednym wyjątkiem. Wszyscy gapili się na nas. Wymienili kilka słów i większość z nich schowała się w budynku. Pod drzwiami została garstka. Byli ubrani w skórę albo drelichy, a jeden, pomimo zimna, w obcisłą koszulkę podkreślającą wydatne mięśnie. I gapili się na nas. Kulturysta, kilku facetów ostrzyżonych na jeża i jeden z antyczną fryzurą beszańskiego arystokraty, nadającą mu widok wymuskanej barweny. Ten ostatni wspierał się na kijku bejsbolowym. W Beszel nie uprawia się tego sportu, ale było to wystarczająco wiarygodne usprawiedliwienie, by nie można go było aresztować za nielegalne posiadanie broni. Jeden z pozostałych mruknął coś do ufryzowanego, a potem powiedział kilka słów przez komórkę i wyłączył ją pośpiesznie. Na ulicy było niewielu przechodniów. Rzecz jasna wszyscy byli beszanami, mogli więc gapić się na nas i na zbirów z PO, choć większość pośpiesznie odwracała wzrok.

– Jesteś na to gotowa? – zapytałem.

– Pierdol się, szefie – mruknęła Corwi. Facet z bejsbolem machnął nim od niechcenia.

W odległości kilku metrów od komitetu powitalnego włączyłem nadajnik i powiedziałem głośno:

– Jestem w siedzibie Prawdziwych Obywateli, na GyedarStrász czterysta jedenaście, tak jak planowałem. Odezwe się za godzinę. Alarm kodowy. Bądźcie gotowi przysłać wsparcie.

Wyłączyłem pośpiesznie radio, nim operator miał szansę odpowiedzieć na głos coś w rodzaju: „O czym ty gadasz, Borlú?”.

– Mogę w czymś panu pomóc? – zapytał mięśniak. Jeden z jego koleżków obejrzał Corwi od stóp do głów i cmoknął, wydając z siebie dźwięk przypominający ćwierkanie ptaka.

– Tak, chcieliśmy wam zadać kilka pytań.

– Nie sądzę.

Ufryzowany się uśmiechał, ale to mięśniak mówił.

– Wie pan, naprawdę byśmy chcieli.

– Nic z tego. – Mężczyzna, który rozmawiał przez komórkę, ostrzyżony na jeża blondyn, odepchnął na bok potężnie zbudowanego znajomka. – Ma pan nakaz rewizji? Nie? To nie wejdzie pan do środka.

Odsunąłem się nieco.

– Jeśli nie macie nic do ukrycia, dlaczego nie chcecie nas wpuścić? – zainteresowała się Corwi. – Chcieliśmy zadać kilka pytań...

Mięśniak i ufryzowany ryknęli śmiechem.

– Doprawdy – rzekł ufryzowany. – Doprawdy. Jak się wam zdaje, z kim macie do czynienia?

Krótko ostrzyżony skinął na niego, każąc mu się zamknąć.

– Rozmowa skończona – oznajmił.

– Co wiecie o Byeli Mar? – zapytałem. Popatrzyli na siebie z niepewnością albo brakiem zrozumienia. – O Mahalii Geary.

To nazwisko poznali. Krótco ostrzyżony westchnął głośno a ufryzowany szepnął coś do mięśniaka.

– Geary – powtórzył kulturysta. – Czytamy gazety... Wzruszył ramionami w geście mówiącym *que sera*. – Tak. To nauczka, że pewne zachowania są niebezpieczne.

– Jakie zachowania?

Oparłem się swobodnie o ościeże, zmuszając „barwę” do cofnięcia się o krok albo dwa. Mruknął coś do kumpla, nie dosłyszałem co.

– Nikt z nas nie pochwała fizycznych ataków, ale panna Geary – mężczyzna z komórką wypowiedział to nazwisko z przesadnym amerykańskim akcentem, stając między nami a swymi koleżkami – miała złą reputację wśród patriotów. To prawda, że nie słyszeliśmy o niej już od pewnego czasu i mieliśmy nadzieję, że nauczyła się rozsądku. Wygląda na to, że nie. – Wzruszył ramionami. – Jeśli ktoś oczernia Beszel, prędzej czy później to się mści.

– Jak to oczernia? – zdziwiła się Corwi. – Co pan o niej wie?

– Doprawdy! Niech pani da spokój! Proszę spojrzeć, nad czym pracowała! Nie była przyjaciółką Beszel.

– Tak jest – poparł go złotowłosy. – Była unifikacjonistką. Albo jeszcze gorzej, szpiegiem.

Popatrzyłem na Corwi, a ona na mnie.

– To w końcu kim? – zapytałem. – Zdecyduj się.

– Ona nie była... – zaczęła Corwi. Oboje się zawahaliśmy.

Mężczyźni nadal stali w przejściu i nawet nie chcieli się już z nami kłócić. Ufryzowany miał na to ochotę, po mojej prowokacji, ale kulturysta go powstrzymał, mówiąc: „Zostaw to Caczos”. Potem tylko gapił się na nas zza pleców większego koleżki. Krótco ostrzyżony skarcił obu cicho i odsunęli się o kilka kroków, nie spuszczając mnie z oczu. Spróbowałem się połączyć z Shenvoim, ale musiał gdzieś zostawić bezpieczną komórkę. Nie byłem jednym z garstki tych, którzy wiedzieli, gdzie pracuje, i nasunęła mi się myśl, że równie dobrze może przebywać w budynku, pod którym staliśmy.

– Inspektorze Borlú – odezwał się ktoś za moimi plecami. Za naszym samochodem zatrzymał się czarny, elegancki samochód. Mężczyzna, który z niego wysiadł, zostawił otwarte drzwi od strony kierowcy. Wyglądał na nieco ponad pięćdziesiąt lat, był tęgi i miał naznaczoną bruzdami twarz o ostrych rysach. Był ubrany w niezły, ciemny garnitur, ale nie włożył krawata. Nieliczne włosy, jakie mu pozostały, były siwe i krótko obcięte. – Inspektorze, pora, by pan opuścił to miejsce.

Uniosłem brwi.

– Z pewnością, z pewnością – zgodziłem się. – Ale, przepraszam, kim pan jest, w imię Najświętszej Paniienki?

– Harkad Gosz, adwokat reprezentujący Prawdziwych Obywateli Beszel.

Niektórzy ze zbirów sprawiali wrażenie raczej zaskoczonych tą informacją.

– Och, rewelacja – wyszeptła Corwi. Omiotłem Gosza ostentacyjnym spojrzeniem. Jego usługi z pewnością nie były tanie.

– Wpadł pan tu przypadkiem? – zapytałem. – Czy może ktoś pana zawiadomił? – Mrugnąłem znacząco do faceta z komórką, który wzruszył ze spokojem ramionami. – Jak rozumiem, te osły nie mają do pana bezpośredniego numeru, kto więc przekazał wiadomość? Dali cynk Syedrowi? A ten zadzwonił do pana?

Uniósł brwi.

– Niech mi pan pozwoli zgadnąć, co tu pana sprowadza, inspektorze.

– Chwileczkę, Gosz. Skąd pan wie, kim jestem?

– Niech mi pan pozwoli zgadnąć. Chciał pan zapytać o Mahalię Geary.

– Oczywiście. Żaden z waszych chłopaków nie wygląda na zbytnio przejętego jej śmiercią. A mimo to sprawiają wrażenie, że nic zupełnie nie wiedzą o jej pracy. Najwyraźniej są przekonani, że była unifikacjonistką, co bardzo rozśmieszyłoby prawdziwych unifów. Słyszał pan kiedyś o Orciny? I, pytam ponownie, skąd pan zna moje nazwisko?

– Inspektorze, naprawdę zamierza pan marnować czas nas wszystkich? Orciny? Bez względu na to, jak Mahalia Geary próbowała to sprzedać, jakie głupie uzasadnienia przedstawiała i jakie idiotyczne wzmianki cytowała w swoich esejach, celem jej pracy było osłabienie Beszel. Nasza ojczyzna nie jest zabawką, inspektorze. Rozumie pan? Albo Geary była głupia i marnowała czas na zabobonne bajania, które nas znieważają, nawet jeśli nie mają sensu, albo nie była głupia i cała ta praca o ukrytej bezsile Beszel zmierzała do czegoś zupełnie innego. Ul Qoma była dla niej bardziej gościnna, nie sądzi pan?

– Czy to miał być żart? Do czego pan zmierza? Sugeruje pan, że Mahalia tylko udawała, że bada sprawę Orciny? Że była wrogiem Beszel? Ulqomańskim szpiegiem?

Gosz podszedł bliżej. Skinął na zbirów, którzy schronili się w swym ufortyfikowanym budynku i przymknęli drzwi, czekając i obserwując nas.

– Inspektorze, nie ma pan nakazu rewizji. Proszę odejść. Jeśli nadal będzie pan tak postępował, muszę uprzedzić, że poskarżę się pana zwierzchnikom na nękanie, powtarzam, całkowicie legalnej organizacji, jaką są POB. – Czekałem spokojnie. Najwyraźniej miał do powiedzenia coś więcej. – I niech pan zapyta sam siebie, co należy sądzić o kimś, kto przybywa do Beszel i zaczyna badania nad tematem od dawna słusznie ignorowanym przez poważnych uczonych, tematem sugerującym słabość i bezużyteczność Beszel, i kto, co łatwo można było przewidzieć, robi sobie wszędzie wrogów, a potem wyjeżdża prosto do Ul Qomy, gdzie, o czym pan najwyraźniej nie wie, po cichu rezygnuje z całkowicie nieprzekonującego tematu swoich badań. Nie zajmowała się Orciny już od lat. Na Boga, równie dobrze mogłaby przyznać otwarcie, że to była tylko zmyłka! Pracowała przy być może najbardziej kontrowersyjnych ulqomańskich wykopaliskach w całym stuleciu. Nie sądzi pan, że istnieją

powody, by odnosić się do niej podejrzliwie? Ja sędzę.

Corwi gapła się na niego, dosłownie rozdziawiając usta.

– Cholera, szefie, miałeś rację – odezwała się, nie ścisząc głosu. – To pojeby.

Gosz obrzucił ją zimnym spojrzeniem.

– Skąd pan o tym wszystkim wie, panie Gosz? – zapytałem.

– O jej badaniach? Doprawdy. Nawet gdyby dziennikarze nie grzebali w tej sprawie, tematy prac doktorskich i odczyty wygłaszane na konferencjach raczej nie są tajemnicą państwową, Borlú. Mamy taki wynalazek, który się nazywa Internet. Powinien pan go wypróbować.

– I...

– Niech pan stąd idzie – powtórzył. – Proszę pozdrowić ode mnie komisarza Gadlema. Chce pan mieć pracę, inspektorze? Nie, to nie jest groźba. To tylko pytanie. Chce pan mieć pracę? Chce pan zachować tę, którą ma pan obecnie? Wie pan, w co pan wtyka nos, inspektorze skąd-znam-pana-nazwisko? – Roześmiał się w głos. – Wydaje się panu, że sprawa kończy się tutaj? – zapytał, wskazując na budynek.

– Nie – zaprzeczyłem. – Ktoś pana zawiadomił.

– Niech pan już idzie.

– W której gazecie o tym pisali? – zapytałem, podnosząc głos. Cały czas patrzyłem na Gosza, ale obróciłem lekko głowę, by wskazać, że mówię do mężczyzn stojących w wejściu.

– Mięśniak? Ufryzowany? W której gazecie?

– Co? – zdumiał się kulturysta.

– Dość już tego – sprzeciwił się ostrzyżony na jeża.

– Mówiliście, że przeczytaliście o niej w gazecie. W której? O ile mi wiadomo, żadna jeszcze nie podała jej prawdziwego nazwiska. Kiedy ostatnio sprawdzałem, nadal była Fulaną N.N. Najwyraźniej nie czytam najlepszej prasy. Co więc powinienem czytać?

Odpowiedziały mi pomruki i śmiech.

– Informacje do mnie docierają – odpowiedział krótko ostrzyżony. Gosz nie kazał mu się zamknąć. – Kto wie, gdzie o tym usłyszałem? – Nie mogłem mu niczego udowodnić. Wiadomości wyciekają szybko, nawet z rzekomo tajnych komisji. Niewykluczone, że nazwisko Mahalii ujawniono, a nawet gdzieś opublikowano, mimo że go nie widziałem. Nawet jeśli do tej pory tak się nie stało, nie trzeba będzie czekać długo. – Pyta pan, co powinien czytać. To, oczywiście!

Zamachał trzymany w ręku egzemplarzem „Okrzyku Włóczni”, gazetki PO.

– To bardzo ekscytujące – odparłem. – Jesteście wyjątkowo dobrze poinformowani. Nie potrafię za wami nadażyć. Chyba powinienem się cieszyć, że oddam tę sprawę, bo wyraźnie sobie nie radzę. Jak zauważyliście, nie mam pozwoleń na zadawanie właściwych pytań. Oczywiście Przekroczeniówka nie potrzebuje żadnych pozwoleń. Może pytać, kogo zechce, o wszystko.

To ich uciszyło. Przyjrzałem się wszystkim kolejno – mięśniakowi, ufryzowanemu, telefoniście i prawnikowi – a potem sobie poszedłem. Corwi podążyła za mną.

* * *

– Ależ z nich wredne skurwysyny.

– No cóż – odparłem. – Próbowaliśmy zarzucić przynętę. To było dość ryzykowne, ale nie spodziewałem się, że dadzą mi klapsa jak niegrzecznemu chłopcu.

– O co w tym wszystkim chodziło? Skąd znał twoje nazwisko? I te groźby...

– Nie mam pojęcia. Może i nie były bezpodstawne. Może rzeczywiście mógłby zatruć mi życie, gdybym nalegał. Wkrótce to już nie będzie mój problem.

– Chyba coś słyszałam o ich kontaktach – przyznała. – Wszyscy wiedzą, że PO to uliczni żołnierze Bloku Narodowego, więc na pewno znają Syedra. Zapewne było tak, jak mówiłeś, zadzwonili do niego, a on zawiadomił adwokata. – Nic nie powiedziałem. – To najbardziej prawdopodobne. Niewykluczone, że właśnie od niego dowiedzieli się o Mahalii. Ale czy Syedr naprawdę byłby aż takim kretynem, by wystawić nas Prawdziwym Obywatelom?

– Sama mówiłaś, że jest głupi.

– Dobra, ale dlaczego?

– To kanalia.

– Zgadza się. Tak jak oni wszyscy. Na tym polega polityka. Ehe, to niewykluczone. Może po prostu próbowali cię odstraszyć.

– Od czego?

– Chciałam powiedzieć „zastraszyć”. Bez powodu. To wszystko urodzone zbiry.

– Kto wie? Może rzeczywiście ma coś do ukrycia. Albo i nie. Przyznaję, że podoba mi się myśl, iż Przekroczeniówka mogłaby dopaść jego i jego bandę. Gdy w końcu ją przywołają.

– Ehe. Tak tylko sobie pomyślałam, czy nie chcesz... Nadal prowadzimy sprawę, więc zastanawiałam się czy... nie spodziewałam się już więcej nad tym pracować. W końcu tylko czekamy, aż komisja...

– Ehe – potwierdziłem. – Wiesz, jak to jest. – Spojrzałem na nią, a potem odwróciłem wzrok. – Dobrze będzie uwolnić się od tej sprawy. Ona wymaga Przekroczeniówki. Ale na razie jej nie przekazaliśmy. Im więcej informacji będziemy mogli im dać, tym łatwiej...

Urwałem. To było dyskusyjne. Odetchnąłem głęboko i wypuściłem powietrze z płuc. Nim wróciliśmy na komendę, zatrzymałem się i kupiłem dla nas obojga kawę. Po amerykańsku, ku zniesmaczeniu Lizbyet.

– Myślałam, że lubisz kawę *aj Tyrko* – poskarżyła się, wachając napój.

– Lubię, ale w sumie wszystko mi jedno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Był już wczesny ranek następnego dnia, ale nie zdążyłem jeszcze w niczym się zorientować.

– *El jefe* chce z tobą rozmawiać, Tyad – poinformowała mnie siedząca za biurkiem przy wejściu Tsura, gdy tylko się zjawiłem.

– Cholera. Już jest w pracy? – Uniosłem dłoń, zakrywając twarz. – Odwróć się, Tsura – wyszeptałem. – Odwróć się. Kiedy przyszedłem, poszłaś się wysikać. Nie widziałaś mnie.

– Właż, Tyad.

Machnęła ręką i zakryła oczy. Na biurku czekała już jednak kartka z napisem: *Przyjdź do mnie NATYCHMIAST*. Uniosłem oczy ku niebu. Sprytne. Gdyby przekazał mi to e-mailem albo nagrał się na pocztę głosową, mógłbym twierdzić, że odebrałem wiadomość dopiero po kilku godzinach. Teraz nie mogłem się już wykręcić.

– Szefie? – Zapukałem i zajrzałem do gabinetu, zastanawiając się, jak usprawiedliwić wizytę u Prawdziwych Obywateli. Miałem nadzieję, że Corwi nie okaże się zbyt lojalna i honorowa, by mieć do mnie pretensje, jeśli jej również się dostanie. – Chciałeś ze mną rozmawiać?

Gadłem spojrzał na mnie znad kubka i skinął dłonią, wskazując na krzesło.

– Słyszałem o Gearych – zaczął. – Co się stało?

– Tak jest. To było... spieprzyliśmy sprawę. – Nie próbowałem się z nimi skontaktować. Nie byłem pewien, czy pani Geary wie, gdzie się podziała jej kartka. – Chyba byli, no wiesz, zrozpaczeni, i zrobili głupstwo...

– Głupstwo, które wymagało wielu przygotowań. Najsprawniej przeprowadzony spontaniczny akt szaleństwa, o jakim słyszałem w życiu. Czy zgłosili skargę? Czy usłyszę ostre słowa od amerykańskiej ambasady?

– Nie wiem. To byłoby dość bezczelne z ich strony. Nie mają za mocnych podstaw.

To było przekroczenie. Prosta i smutna sprawa. Komisarz skinął z westchnieniem głową i uniół ręce, pokazując mi dwie zaciśnięte pięści.

– Dobra czy zła wiadomość? – zapytał.

– Hm... zła.

– Nie, najpierw usłyszysz dobrą. – Potrząsnął lewą pięścią i otworzył ją teatralnie. –

Dobra wiadomość brzmi tak, że mam dla ciebie niezwykle interesującą sprawę – oznajmił tonem sędziego wygłaszającego wyrok. Czekałem, co powie dalej. – A teraz zła wiadomość. – Otworzył prawą dłoń i walnął nią o blat z autentycznym gniewem. – Zła wiadomość, inspektorze Borlú, brzmi tak, że to ta sama sprawa, nad którą obecnie pracujesz.

– Szefie? Nie rozumiem...

– Któż mógłby to zrozumieć, inspektorze? Któż z nas, biednych śmiertelników, otrzymał dar zrozumienia? Sprawa nadal należy do ciebie. – Otworzył list i pomachał nim przed moimi oczami. Zobaczyłem stemple i umieszczone nad tekstem symbole. – Przemówiła do nas Komisja Nadzoru. To jej oficjalna odpowiedź. To miała być czysta formalność, pamiętasz? Komisja postanowiła nie przekazywać Przekroczeniówce sprawę zabójstwa Mahalii Geary.

Usiadłem gwałtownie.

– Co? Co? Co to, do licha...

– Nysisemu informuje nas uprzejmie w imieniu komisji, że przedstawione dowody nie wystarczają do stwierdzenia ponad wszelką wątpliwość, iż doszło do przekroczenia – oznajmił bezbarwnym tonem.

– To nonsens. – Wstałem. – Widziałeś moje dokumenty, szefie. Wiesz, co w nich zawarłem. To musiało być przekroczenie. Czy podali jakieś wyjaśnienie? Ujawnili rozkład głosów? Kto podpisał list?

– Nie muszą się przed nami tłumaczyć.

Potrząsnął głową, spoglądając z niesmakiem na list, który trzymał w dwóch palcach jak w szczypcach.

– Niech to szlag. Ktoś próbuje... szefie, to śmieszne... Musimy przywołać Przekroczeniówkę. Tylko ona jest w stanie... jak mam prowadzić takie śledztwo? Jestem tylko beszańskim gliną i nikim więcej. Jest w tym coś kurewsko podejrzanego.

– W porządku, Borlú. Jak już mówiłem, nie są zobowiązani nic nam wyjaśniać, ale, z pewnością spodziewając się naszego uprzejmego zdziwienia, dołączyli notatkę i załącznik. Ten krótki, władczy tekst mówi, że przyczyną nie była twoja prezentacja. Możesz się pocieszać myślą, że nawet jeśli wypadłeś nie najlepiej, udało ci się ich przekonać, że do przekroczenia faktycznie doszło. Jak jednak wyjaśnili, później, podczas „rutynowego sprawdzania” – dwa ostatnie słowa wypowiedział ociekającym ironią tonem – ujawniono nowe fakty. Oto one.

Wziął w rękę jeden z walających się na biurku przedmiotów i rzucił mi go. To była kasetka wideo. Wskazał na stojący w rogu gabinetu podłączony do telewizora odtwarzacz. Kiepski obraz barwy sepji psuło dodatkowo śnieżenie. Nie było dźwięku. Przez ekran przejeżdżały ukośnie samochody. Ruch nie był zbyt intensywny, ale ciągły. Na górze, między filarami i ścianami budynków, wyświetlano datę i godzinę.

– Co właściwie widzę? – To było po północy, przed dwoma tygodniami. Niedługo przed odnalezieniem ciała Mahalii Geary. – Co to jest?

Gadlem zaczął przewijać obraz do przodu. Pojazdy przyśpieszyły, trzęsąc się niemilosiernie. Komisarz machał ręką demonstrując teatralnie niezadowolenie, jakby pilot był pałeczką dyrygenta. Przesunął taśmę wiele minut do przodu.

– Co to za miejsce? Obraz jest do dupy.

– I tak jest znacznie lepszy od tych, które my moglibyśmy zdobyć. W tym właśnie rzecz. To będzie teraz – stwierdził. – Późna noc. Pytasz, co to za miejsce, Borlú? Od czego jesteś detektywem? Patrz na prawo. – Przez obraz przejechał czerwony samochód, potem szary, stara ciężarówka i – O, tu! *Voilà!*, zawołał Gadlem – brudna, biała furgonetka. Przesunęła się powoli z górnego prawego do dolnego lewego rogu ekranu, w stronę jakiegoś tunelu. Zatrzymała się, być może przed niewidocznymi światłami, a potem zniknęła nam z oczu. Spojrzałem pytająco na komisarza. – Zwróć uwagę na plamy – rzucił i znowu zaczął przewijać obraz do przodu. Samochody ponownie zatańczyły na ekranie. – Trochę to przycięli. – Po przesunięciu taśmy o jakąś godzinę zawołał: – O, tu! – Nacisnął przycisk odtwarzania i zobaczyłem jeden, drugi, trzeci samochód, a potem białą furgonetkę. To z pewnością była ta sama, ale teraz jechała w przeciwnym kierunku, wracając tam, skąd przybyła. Tym razem mała kamera uchwyciła tablice rejestracyjne z przodu pojazdu.

Mignęły zbyt szybko, bym zdołał je odczytać. Nacisnąłem przyciski na odtwarzaczu i cofnąłem obraz, przywołując z powrotem furgonetkę. Potem przesunąłem ją kilka metrów do przodu i zatrzymałem. To nie było DVD, interpretację obrazu utrudniały liczne zjawy i inne zakłócenia. Drżący samochód nie stał w miejscu, ale przeskakiwał od jednego stanu do drugiego, jak niespokojny elektron. Nie mogłem dokładnie odczytać numeru, ale w większości miejsc możliwe były tylko dwie interpretacje – *vye* albo *bye*, *zsec* albo *kho*, siódemka albo jedynka i tak dalej. Wyjąłem notes i zacząłem go kartkować.

– Tylko patrzcie – wyszeptał Gadlem. – Coś zauważył. Coś podejrzewa, panie i panowie. – Przewracałem kartki, cofając się o kolejne dni, aż wreszcie się zatrzymałem. – Żarówka, widzę ją, próbuje się zapalić i rzucić światło na sytuację...

– Niech to chuj – warknąłem.

– Zgadzam się z tą opinią.

– Tak, to furgonetka Khuruscha.

– Tak jak mówisz, to furgonetka Mikyaela Khuruscha.

Pojazd, do którego załadowano ciało Mahalii i z którego je wyrzucono. Gapiłem się na obraz przez pewien czas. W owej chwili ciało niemal na pewno znajdowało się w środku.

– Jezu. Kto to znalazł? Co to ma znaczyć? – Gadlem potarł z westchnieniem powieki. – Chwileczkę, chwileczkę. – Uniosłem rękę i spojrzałem na list od Komisji Nadzoru, którym Gadlem wachlował twarz. – To jest narożnik Hali Łącznikowej – stwierdziłem. – Niech to szlag. To Hala Łącznikowa. A to jest furgonetka Khuruscha, przejeżdżająca z Beszel do Ul Qomy i z powrotem. Legalnie.

– Bing – rzekł Gadlem tonem znużonego dzwonnika w teleturnieju. – Bing, bing. Cholera

jasna, bing.

* * *

Oznajmiono nam, że jako część drobiazgowego śledztwa – do którego, jak powiedziałem Gadlemowi, wrócimy – prowadzonego w każdym przypadku przywołania Przekroczeniówki, sprawdzono też sporządzone owej nocy nagrania wideo z przejścia granicznego. Nie brzmiało to przekonująco. Przekroczenie wydawało się tak oczywiste, że nikt nie powinien mieć powodu, by oglądać wiele godzin nagrań. Co więcej, antyczne kamery zamontowane na beszańskim końcu Hali Łącznikowej nie mogły dać wystarczająco wyraźnych obrazów, by zidentyfikować pojazd. Te nagrania pochodziły z zewnątrz, z systemu bezpieczeństwa prywatnego banku, gdzie odnalazł je jakiś śledczy.

Za pomocą zdjęć dostarczonych przez inspektora Borlú i jego ekipę – usłyszeliśmy – udało się nam ustalić, że jeden z pojazdów przejeżdżających przez oficjalny punkt graniczny w Hali Łącznikowej z Beszel do Ul Qomy i z powrotem był tym, w którym przewieziono ciało ofiary. W związku z tym, choć popełniono straszliwą zbrodnię i sprawców należy jak najszybciej odnaleźć, przeniesienie ciała z miejsca zbrodni, do której najwyraźniej doszło w Ul Qomie, do Beszel, gdzie je porzucono, nie stanowiło w rzeczywistości przekroczenia. Granicę pokonano legalnie. W związku z tym nie ma podstaw do przywołania Przekroczeniówki. Przekroczenia nie było.

To była jedna z tych prawnych sytuacji, na które niewtajemniczeni reagują zrozumiałym zdumieniem. Na przykład przemyt, powtarzają uparcie. Przemyt jest przekroczeniem, tak? Z samej definicji, prawda? Otóż nie.

Przekroczeniówka włada mocami, jakie zwykli ludzie ledwie mogą sobie wyobrazić, ale jej zadania są bardzo ściśle określone. Nie chodzi o samo przejście z jednego miasta do drugiego ani nawet o przeniesienie kontrabandy. Liczy się tylko, w jaki sposób to zrobiono. Jeśli ktoś wyrzuci feld, kokainę albo broń przez okno beszańskiego mieszkania tak, by przeleciały nad przepłotowym podwórkiem i wylądowały w ulqomańskim ogrodzie, gdzie odbierze je łącznik, to będzie przekroczenie i Przekroczeniówka go dorwie, ale taki sam los go czeka, gdyby przerzucił chleb albo pierze. A co, jeśli ktoś ukradnie bombę atomową i przewiezie ją potajemnie przez Halę Łącznikową, w miejscu, gdzie oba miasta oficjalnie stykają się ze sobą? Popełni w ten sposób wiele różnych przestępstw, ale nie będzie wśród nich przekroczenia.

Przemyt sam w sobie nie jest przekroczeniem, choć większości przekroczeń dopuszczają się przemytnicy. Najsprytniejsi z nich zawsze pokonują granice między miastami w przepisany sposób, okazują owym granicom głęboki szacunek, jeśli więc zostaną złapani, odpowiadają tylko przed prawem jednego z miast, nie przed mocą Przekroczeniówki. Być może ta ostatnia, gdy już zostanie przywołana, bierze pod uwagę wszystkie szczegóły

przestępstwa, wszelkie występki popełnione w Beszel i Ul Qomie, ale jeśli nawet to robi, to wyłącznie dlatego, że mają związek z przekroczeniem, jedynym karanym przez nią przestępstwem, egzystencjalnym pogwałceniem granic rozdzielających oba miasta.

Kradzież ciężarówki i porzucenie ciała w Beszel były złamaniem prawa. Popełnione w Ul Qomie morderstwo również, i to w straszliwym stopniu. Ale to, co naszym zdaniem było nielegalnym związkiem między owymi przestępstwami, w rzeczywistości się nie wydarzyło. Winni przeszli przez granicę z zachowaniem wszelkich formalności, korzystali z oficjalnych pozwoleń, mieli wszystkie potrzebne dokumenty. Nawet jeśli były one sfałszowane, przeszli granicę w Hali Łącznikowej, co znaczyło, że było to tylko nielegalne przejście granicy, nie przekroczenie. Takie przestępstwo można popełnić w każdym kraju. Przekroczenia nie było.

* * *

– To pierdolony pic na wodę.

Spacerowałem w kółko między biurkiem Gadlema i ekranem, na którym widniał nieruchomy samochód z ofiarą w środku.

– To kpiny. Wyruchali nas.

– Mówi mi, że to pic na wodę – oznajmił całemu światu Gadlem. – Mówi mi, że nas wyruchali.

– Bo to zrobili, szefie. Potrzebujemy Przekroczeniówki. Jak, do licha, mamy to zrobić? Ktoś gdzieś próbuje sparaliżować całe śledztwo.

– Mówi mi, że nas wyruchali, i zauważam też, że mówi mi to takim tonem, jakbym się z nim nie zgadzał. A przecież się zgadzam.

– Nie, poważnie...

– W gruncie rzeczy, można powiedzieć, że zgadzam się z nim w zdumiewającym stopniu. Pewnie, że nas wyruchali, Borlú. Przestań kręcić się w kółko jak pijany pies. Co twoim zdaniem powinienem powiedzieć? Tak, tak, tak, to pic na wodę, tak, ktoś świadomie wykręcił nam ten numer. Co mam w takim razie zrobić?

– Coś! Musi być jakiś sposób! Moglibyśmy apelować...

– Posłuchaj, Tyador. – Złożył palce w piramidkę. – Obaj mamy taką samą opinię o tym, co się wydarzyło. Obaj jesteśmy wkurzeni, że nadal musisz prowadzić to śledztwo. Być może z innych powodów, ale... – Zbył tę kwestię machnięciem ręki. – Jest pewien problem, którego nie bierzesz pod uwagę. Podczas gdy, tak, możemy się ze sobą zgodzić, że nagle odnalezienie tego nagrania paskudnie śmierdzi i wyszliśmy na kawałki cynfolii na sznurku, którymi bawi się jakiś złośliwy kotek z rządu, tak, tak, to wszystko prawda, ale, Borlú, bez względu na to, jak zdobyli ten dowód, podjęli prawidłową decyzję.

– A czy sprawdzaliśmy to ze strażą graniczną?

– Tak. I tu właśnie dostaliśmy kopa w dupę. Wydaje ci się, że prowadzą rejestry

wszystkich, których przepuszczają? Wystarcza im jakiś w miarę wiarygodnie wyglądający dokument. Trudno mieć do nich pretensję. – Machnął ręką, wskazując na telewizor. – Nagranie dowodzi, że furgonetka nie popełniła przekroczenia. W związku z tym, jakie mamy podstawy do apelacji? Nie możemy przywołać Przekroczeniówki. Nie z tego powodu. I, szczerze mówiąc, nie powinniśmy tego robić.

– I co teraz?

– Będziesz kontynuował śledztwo. Ty je zacząłeś i ty będziesz musiał je skończyć.

– Ale zabójstwo popełniono...

– ...w Ul Qomie. Wiem o tym. Pojedziesz tam.

– Słucham?

– Od tej chwili to jest międzynarodowe śledztwo. Gliny z Ul Qomy nie chciały mieć nic wspólnego z tą sprawą, dopóki wyglądała na przypadek przekroczenia, ale teraz to jest zwykłe morderstwo i istnieją przekonujące dowody, że popełniono je na ich terenie. Będziesz miał okazję doświadczyć radości międzynarodowej współpracy. Poprosili o naszą pomoc. Na miejscu. Pojedziesz do Ul Qomy jako gość. Zaprasza cię tamtejsza *militsya*. Będziesz współpracował jako konsultant z ulqomańskim Wydziałem Morderstw. Nikt nie wie o tej sprawie więcej od ciebie.

– To śmieszne. Mógłbym po prostu wysłać im raport...

– Borlú, nie narzekaj. Sprawa wykroczyła poza nasze granice. Co im da raport? Potrzebują czegoś więcej niż kawałek papieru. Sprawa już teraz zrobiła się bardziej zakręcona niż tańczący robak i tylko ty jesteś na bieżąco. Potrzebna jest współpraca. Pojedź tam i omów z nimi tę sprawę. Obejrzyj wszystko na miejscu. Jak już znajdą winnego, my również będziemy chcieli postawić mu zarzuty. Kradzież, porzucenie ciała i tak dalej. Nie słyszałeś, że to nowa, fascynująca era ponadgranicznej współpracy policji?

To był slogan z broszury, którą otrzymaliśmy przy okazji ostatniej wymiany sprzętu komputerowego.

– Szanse na odnalezienie zabójcy właśnie drastycznie spadły. Potrzebujemy Przekroczeniówki.

– Mówi mi. Zgadza się z nim. W takim razie spróbuj poprawić te szanse.

– Jak długo będę musiał tam siedzieć?

– Melduj mi o wszystkim co parę dni. Zobaczymy, jak sprawa się rozwinie. Jeśli będzie się ciągnęła dłużej niż dwa tygodnie, rozważymy, co robić dalej. I tak już jestem niezadowolony, że muszę cię odesłać.

– To nie rób tego. – Zerknął na mnie z ironią mówiącą: „Jaki mam wybór?”. – Chciałbym, żeby Corwi pojechała ze mną.

Skwitował to nieuprzejmym odgłosem.

– No pewnie. Nie bądź głupi.

Przyglądałem włosy dłońmi.

– Komisarzu, potrzebuję jej pomocy. Ona wie o sprawie więcej ode mnie. Od samego początku miała w niej kluczową pozycję. Jeśli mam prowadzić śledztwo za granicą...

– Nie masz niczego prowadzić, Borlú. Będziesz gościem naszych sąsiadów. Chcesz się u nich zjawić ze swoim Watsonem? Kogo jeszcze mam ci zapewnić? Masażystkę? Aktuariusza? Wbij sobie do głowy, że to ty masz być asystentem. Jezu, mało ci, że zagarnąłeś ją dla siebie tutaj? Właściwie jakim prawem? Zamiast gryźć się tym, co utraciłeś, lepiej skup się na wspomnianiu szczęśliwych chwil, które spędziliście razem.

– To pic...

– Tak, tak. Nie musisz mi tego powtarzać. – Wycelował we mnie pilota, jakby chciał mnie zatrzymać albo przewinać. – Prawdziwy pic na wodę polega na tym, że inspektor beszańskiej BNZ wybrał się z podwładną, którą po cichu zawłaszczył, na nieautoryzowaną, niepotrzebną i kłopotliwą konfrontację z grupką zbirów mających wysoko postawionych przyjaciół.

– Ehe. Dowiedziałeś się od tego adwokata?

– O jakim adwokacie mówisz? To radny Syedr był tak uprzejmy, że zadzwonił do mnie dziś rano.

– Zadzwonił do ciebie osobiście? O kurwa. Przepraszam, szefie. Jestem zaskoczony. I co, powiedział, że mamy ich zostawić w spokoju? Myślałem, że układ polega między innymi na tym, że Syedr nigdy się otwarcie nie przyznaje do kontaktów z PO. Dlatego wysłał tego prawnika, który wydawał się nieco za drogi dla bandy bojówkarzy.

– Borlú, wiem tylko tyle, że Syedr właśnie przed chwilą dowiedział się o wczorajszym tête á tête i był wściekły, że wspomniano przy okazji o nim. Zadzwonił do mnie i z wielką irytacją groził różnymi sankcjami przeciwko tobie, jeśli jeszcze raz go oplujesz, wymieniając jego nazwisko w podobnym kontekście i tak dalej. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co cię zaprowadziło w tę akurat ślepią uliczkę, ale mógłbyś się zastanowić nad pewnym zbiegiem okoliczności, Borlú. Tego samego ranka, kilka godzin po twojej bajecznie owocnej, publicznej kłótni z patriotami, niespodziewanie znalazł się ten materiał i przywołanie Przekroczeniówki utracono. I, nie, ja również nie mam pojęcia, co to może oznaczać, ale to interesujący fakt, nie sądzisz?

* * *

– Nie pytaj mnie, Borlú – powiedziała mi Taskin, gdy do niej zadzwoniłem. – Nie mam pojęcia. Dopiero przed chwilą się o tym dowiedziałam. Docierają do mnie plotki, nic więcej. Nyisemu nie jest zadowolony z tego, co się stało, Buric się wściekł, Katrinya nie potrafi tego pojąć, a Syedr jest zachwycony. Wszystko to tylko szept. Od kogo wyciekły wiadomości, kto próbuje komu podłożyć świnię, tego nie potrafię ci powiedzieć. Przykro mi.

Poprosiłem ją, żeby miała uszy otwarte. Zostało mi parę dni na przygotowania. Gadłem

przekazał dane o mnie odpowiednim urzędowi w Beszel oraz swemu odpowiednikowi w Ul Qomie, z którym miałem się kontaktować.

– Odpowiadaj na cholerne wiadomości – zażądał. – Załatwimy ci wizę i kurs orientacyjny.

Poszedłem do domu, przyjrzałem się ubraniom, położyłem na łóżku starą walizkę i wybrałem kilka książek.

Jedna z nich była nowym zakupem. Przyszła pocztą dziś rano, z dodatkową opłatą za ekspres. Zamówiłem ją przez Internet, korzystając z linka na fracturecity.org.

Egzemplarz *Między miastem i miastem* był stary i sfatygowany. Nie brakowało w nim stron, ale okładka była zagięta, a kartki brudne i pokryte notatkami co najmniej dwóch różnych osób. Pomimo tych braków musiałem zapłacić wygórowaną sumę, ponieważ książka była w Beszel zakazana. Ryzyko nie było zbyt wielkie, nawet jeśli moje nazwisko znalazło się na liście prowadzonej przez księgarnię. Bez większych trudności upewniłem się, że książkę uważano – przynajmniej w Beszel – raczej za nieco krępujący anachronizm niż za wezwanie do buntu. Większość pozycji znajdujących się na indeksie traktowano jako niezbyt szkodliwe, rzadko uciekając się do sankcji. Nawet cenzorzy raczej nie zawracali sobie nimi głowy.

Książkę opublikowano w dawno już nieistniejącym wydawnictwie prowadzonym przez hipisów i anarchistów, ale, sądząc po pierwszych stronach, jej ton był znacznie bardziej oschły, niż sugerowałaby to odjechana, jaskrawa okładka. Linijki tekstu nie były zbyt równe, zauważyłem też z westchnieniem, że nie ma skorowidza.

Położyłem się na łóżku i zadzwoniłem do dwóch kobiet, z którymi się spotykałem, by je zawiadomić, że wyjeżdżam do Ul Qomy.

– Bomba – odpowiedziała dziennikarka, Biszaya. – Pamiętaj zajrzeć do galerii Brunai. Jest tam wystawa Kounellisa. Wyślij mi pocztówkę.

Historyczka, Sariska, sprawiała wrażenie bardziej zaskoczonej i rozczarowanej faktem, że nie wiedziałem, kiedy wrócę.

– Czytałaś *Między miastem a miastem*? – zapytałem.

– Jasne. Kiedy byłam na studiach. W okładce *Bogactwa narodów*. – W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku można było niekiedy kupić zakazaną literaturę w okładkach zdartych z legalnie wydanych książek. – Czemu pytasz?

– I co na ten temat sądzisz?

– Kurde, w tamtych czasach książka robiła porażające wrażenie. Co więcej, czytanie jej wydawało się aktem wielkiej odwagi. Dopiero potem uświadomiłam sobie, że to wszystko śmieszne. Czyżbyś w końcu wstąpił w wiek młodzieńczy, Tyador?

– Niewykluczone. Nikt mnie nie rozumie. Nie prosiłem się na ten świat.

Nie zapamiętała jednak zbyt wiele z samej książki.

– Kurwa, nie wierzę – rzekła Corwi, gdy zadzwoniłem do niej. Powtarzała to raz po raz.

- Ehe. Powiedziałem Gadlemowi to samo.
- Odwołali mnie ze sprawy?
- Nie jestem pewien, czy są jacyś „oni”. Ale, niestety, nie możesz ze mną jechać.
- I to wszystko? Spławili mnie i tyle?
- Przykro mi.

– Niech to szlag. – Oboje umilkliśmy na blisko minutę, słuchając swych oddechów jak zakochane nastolatki. – Pytanie brzmi, kto ujawnił to nagranie? – odezwała się wreszcie. – Nie, pytanie brzmi, jak je znaleźli? Po co? Ile godzin nagrań musieli przejrzeć, z ilu kamer? Skąd wzięli czas na cały ten syf? Dlaczego akurat w tej sprawie?

– Nie muszę wyjeżdżać natychmiast. Tak sobie pomyślałem... Kurs orientacyjny mam pojutrze...

- I co?
- No wiesz.
- Co wiem?

– Przepraszam, zastanawiałem się na głos. Chodzi mi o tę taśmę, która tak nagle spadła nam na głowę. Chcesz jeszcze przez chwilę poprowadzić to śledztwo? Zadzwoń w parę miejsc, złożyć wizytę albo dwie. Jest pewna kwestia, którą chciałbym wyjaśnić, nim przyślą mi wizę i tak dalej... Myślałem o tej furgonetce, tak beztrąsko wyjeżdżającej do cudzoziemskich krajów. Możesz mieć przez to kłopoty – to ostatnie zdanie wypowiedziałem żartobliwym tonem, jakbym chciał ją zachęcić. – Oczywiście zdjęli cię ze sprawy, więc to byłoby nieoficjalne.

To nie była prawda. Nic jej nie groziło. Miałem prawo zaaprobować wszelkie jej poczynania. Ja mogłem mieć kłopoty, ale nie ona.

– Kurwa, zgadzam się – odparła. – Jeśli oficjalne czynniki nam brużdżą, zostają nam tylko nieoficjalne kroki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Tak? – Mikyael Khurusch przyjrzał mi się uważnie zza drzwi swego zapuszczonego gabineciku. – Ach, to pan, inspektorze. O co... hej?

– To tylko drobiazg, Khurusch.

– Wpuść nas – zażądała Corwi. Uchylił szerzej drzwi, by zobaczyć również i ją, a potem otworzył je z westchnieniem.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał, splatając i rozplatając dłonie.

– Jak sobie radzisz bez furgonetki? – zapytała Corwi.

– Jest cholernie ciężko, ale jeden kolega mi pomaga.

– To miło z jego strony.

– Jasne – zgodził się Khurusch.

– Kiedy dostałeś na nią wizę DUK, Khurusch? – zapytałem.

– Kiedy co? – zdziwił się. – Nic nie wiem...

– To ciekawe, że macisz sprawę – przerwałem. Jego reakcja potwierdziła moje domysły.

– Nie jesteś aż tak głupi, by po prostu wszystkiemu zaprzeczyć, no bo przecież przepustki są rejestrowane. Ale w takim razie o co właściwie pytamy? Dlaczego nie chcesz nam tego powiedzieć? Na czym polega trudność?

– Czy możemy zobaczyć twoją przepustkę, Khurusch?

Gapił się na Corwi przez kilka sekund.

– Nie mam jej tutaj. Jest w domu. Albo...

– Może już starczy? – przerwałem mu ponownie. – Kłamiesz. Daliśmy ci ostatnią szansę, a ty, hm, naszczałeś na nią. Nie masz przepustki, wizy dla Dowolnego Uprawnionego Kierowcy pozwalającej na wielokrotny wjazd do Ul Qomy. Zgadza się? I nie masz jej dlatego, że ją ukradziono. Razem z furgonetką. W gruncie rzeczy była wtedy w samochodzie, razem z tym antycznym planem.

– Niech pan posłucha – zaczął. – Wszystko już wam powiedziałem. Nie było mnie tam. Nie mam planu. Mam w telefonie GPS. O niczym nie wiem...

– Nieprawda. Niemniej twoje alibi się zgadza. Zrozum, nikt nie uważa, że jesteś winien morderstwa czy nawet porzucenia ciała. Nie dlatego tu przyszlismy.

– Interesuje nas, dlaczego nie powiedziałeś nam o przepustce – dodała Corwi. – Pytanie

brzmi, komu ją dałeś i co otrzymałeś w zamian.

Jego twarz pobladła.

– O Boże – wyszeptał. Poruszył kilka razy ustami, a potem usiadł ciężko na krześle. – O Boże, chwileczkę. Nie miałem z tym nic wspólnego. Nikt nic mi nie dał...

Oglądałem taśmę wiele razy. Furgonetkę przepuszczono bez chwili wahania, a przecież przejście graniczne w Hali Łącznikowej jest pilnie strzeżone. To w niczym nie przypominało przekroczenia czy przemykania się przez przepłotową ulicę. Kierowca z pewnością też nie zmieniał tablic rejestracyjnych, by pasowały do podrobionych papierów. Musiał pokazać pogranicznikom przekonujące dokumenty. Istniał pewien rodzaj przepustki, który mógł bardzo ułatwić podobną podróż.

– Chciałeś zrobić komuś przysługę? – zapytałem. – A może to była propozycja nie do odrzucenia? Szantaż? „Zostaw dokumenty w skrytce. Lepiej, żebyś nic o tym nie wiedział”.

– W przeciwnym razie dlaczego nie powiedziałeś nam o zaginionych dokumentach? – zapytała Corwi.

– To twoja ostatnia szansa – oznajmiłem. – To jak będzie?

– O Boże, niech pan posłucha. – Khurusch rozejrzał się tęsknie wokół. – Błagam. Wiem, że powinienem zabierać dokumenty z furgonetki. Zawsze to robię. Przysięgam. Przysięgam. Ten jeden raz musiałem o tym zapomnieć i wtedy właśnie ją ukradli.

– Dlatego nie zawiadomiłeś nas o kradzieży, zgadza się? – zapytałem. – Wiedziałeś, że w takim przypadku musiałbyś nam powiedzieć o dokumentach i liczyłeś na to, że sprawa przyschnie.

– O Boże.

Odwiedzające Beszel samochody z Ul Qomy z reguły łatwo jest zidentyfikować dzięki tablicom rejestracyjnym, naklejkom na szybach i nowoczesnemu wyglądowi. Podobnie beszańskie pojazdy przyciągają w Ul Qomie uwagę swymi tablicami i staromodnymi, w oczach naszych sąsiadów, karoseriami. Przepustki, zwłaszcza przepustki DUK wielokrotnego użycia, nie są tanie i trudno je uzyskać. Trzeba spełnić wiele warunków. Jeden z nich brzmi tak, że dokumentu nigdy nie wolno zostawiać w niestrzeżonym pojeździe. Nie ma sensu dodatkowo ułatwiać życia przemytnikom. Często jednak się zdarza, że zapominalscy albo przestępcy zostawiają je w skrytkach bądź pod siedzeniem. Khurusch wiedział, że w najlepszym razie grozi mu wysoka grzywna oraz dożywotnie odebranie prawa wjazdu do Ul Qomy.

– Komu oddałeś furgonetkę, Mikyael?

– Inspektorze, przysięgam na Boga, że nikomu. Nie wiem, kto ją zabrał. Naprawdę nie wiem.

– Próbujesz nam wmówić, że to był czysty przypadek? Ktoś, kto musiał przetransportować ciało z Ul Qomy akurat ukradł samochód ze wszystkimi niezbędnymi dokumentami? Musiał się strasznie ucieszyć.

– Nic nie wiem, inspektorze, przysięgam na własne życie. Może ten, kto zwinął samochód, sprzedał papiery komuś innemu?

– I znalazł kogoś, kto ich potrzebował, akurat tej samej nocy? To musiał być najfartowniejszy złodziej w dziejach.

Khurusch oklapł na krześle.

– Błagam, sprawdźcie moje konto. I portfel. Nikt mi, kurwa, za nic nie zapłacił. Odkąd zabrali mi furgonetkę, nic nie mogę zrobić. Nie zarabiam forsy i nie mam pojęcia, co począć...

– Zaraz się rozplaczę – przerwała mu Corwi. Popatrzył na nią ze zrozpaczoną miną.

– Przysięgam na życie – powtórzył.

– Sprawdzaliśmy twoje akta, Mikyael – podjąłem. – Nie policyjne. Te przeanalizowaliśmy już poprzednio. Mówię o aktach beszańskiej służby granicznej. Sprawdzano cię profilaktycznie kilka miesięcy po wydaniu przepustki. To było dobre parę lat temu. Znaleźliśmy w kilku miejscach znaki Pierwszego Ostrzeżenia, ale najważniejszy dotyczył przypadku zostawienia dokumentów w samochodzie. Wtedy to był samochód osobowy, tak? Zostawiłeś je w skrytce. Jak ci się udało wykręcić od kary? Dziwię się, że nie zabrali ci przepustki już wtedy.

– To był pierwszy raz – wyjaśnił Khurusch. – Błagałem ich. Jeden z facetów, którzy znaleźli samochód, powiedział, że pogada z kolegą i skończy się na oficjalnym ostrzeżeniu.

– Przekupiłeś go?

– Jasne. Coś mu dałem, nie pamiętam, ile.

– Czemu by nie? W końcu przepustkę dostałeś w ten sam sposób, prawda? Właściwie po co ci była potrzebna?

Zapadła długa cisza. Przepustki DUK są z reguły przeznaczone dla firm zatrudniających nieco więcej pracowników niż mizerny interesik Khuruscha, nieraz jednak się zdarza, że otrzymują je drobni kupcy, którzy wspierają swe podania odrobiną dolarów – beszańskie marki raczej nie wzbudzają miejscowych pośredników ani wydających pozwolenia urzędników ambasady ulqomańskiej.

– Na wszelki wypadek – odparł bezradnie. – Jakbym kiedyś potrzebował przewieźć towar. Mój bratanek zdał egzamin, paru kumpli też mogłoby poprowadzić furgonetkę. Nigdy nic nie wiadomo.

– Inspektorze? – Corwi patrzyła na mnie. Uświadomiłem sobie, że powtórzyła to słowo już kilka razy. – Inspektorze? – Zerknęła na Khuruscha. „To co zrobimy?”.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Zamyśliłem się. – Skinąłem na kobietę, nakazując jej przejść za mną do kąta pokoju. Wskazałem palcem na Khuruscha, ostrzegając go, by się nie ruszał. – Będę musiał go zatrzymać – stwierdziłem. – Ale coś tu nie gra. Spójrz tylko na niego. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Posłuchaj, chcę, żebyś sprawdziła jedną sprawę. Tylko się pośpiesz, bo jutro muszę iść na ten cholerny kurs. Dlatego czeka nas długa noc. Nie masz nic przeciwko temu? Chcę dostać listę wszystkich furgonetek, o których kradzieży

zameldowano tamtej nocy w Beszel. Dowiedz się, co się stało z każdą z nich.

– Wszystkich?

– Bez paniki. Skradzionych pojazdów na pewno będzie mnóstwo, ale wyeliminuj wszystkie oprócz furgonetek zbliżonych rozmiarów, które zniknęły tylko na jedną noc. Przynieś mi wszystko, co znajdziesz na temat każdej z nich, wliczając w to związane z ich sprawami papiery, dobra? Tak szybko, jak tylko się da.

– A co ty będziesz robił?

– Spróbuję wycisnąć prawdę z tego zakłamanego skurczybyka.

* * *

Dzięki błaganiom, perswazji i biegłości w posługiwaniu się komputerem Corwi zdołała w kilka godzin zebrać wszystkie potrzebne informacje. Uporanie się z całą niezbędną biurokracją tak szybko zakrawało na posługiwanie się voodoo.

Dwie pierwsze godziny jej nieobecności spędziłem z Khuruschem w celi, zadając mu rozmaite warianty tych samych pytań: „Kto wziął twoją furgonetkę?” i „Kto zabrał twoją przepustkę?”. Uskarżał się głośno i domagał się adwokata. Za każdym razem zapewniałem, że wkrótce go dostanie. Dwukrotnie próbował się rozgniewać, ale najczęściej powtarzał, że nic nie wie i nie zameldował o kradzieży furgonetki oraz dokumentów, bo bał się, że będzie miał kłopoty.

– Zwłaszcza, że już mnie przed tym ostrzegali, pamięta pan?

Dopiero po zakończeniu dnia pracy usiedliśmy z Corwi w moim gabinecie, by przejrzeć materiały. Ponownie ostrzegłem ją, że czeka nas długa noc.

– Za co zatrzymaliśmy Khuruscha?

– Na tym etapie za nieprawidłowe przechowywanie dokumentów i niezawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Zależnie od tego, czego się dowiemy dziś w nocy, możemy dodać współdziałanie w morderstwie, ale mam przeczucie...

– Nie sądzisz, żeby cokolwiek wiedział, prawda?

– Raczej nie wygląda na geniusza zbrodni.

– Nie sugeruję, że on to wszystko zaplanował, szefie. Może i nie znał żadnych szczegółów, ale nie sądzisz, że wie, kto zabrał jego furgonetkę? I że chciał coś z nią zrobić?

Pokręciłem głową.

– Nie widziałas go. – Wyjąłem z kieszeni taśmę z nagraniem przesłuchania. – Posłuchaj tego później, jeśli będziemy mieli trochę czasu.

Usiadła za komputerem, dzieląc zebrane informacje między arkusze kalkulacyjne. Nadawała moim niejasnym pomysłom wygląd tabel.

– To się nazywa eksploracja danych, *data mining* – dodała, używając angielskiego terminu.

– Górnictwo? – zdziwiłem się. – A które z nas będzie ostrzegawczym kanarkiem?

Zignorowała to pytanie. Cały czas stukiała w klawiaturę, popijając mocną kawę – „zaparzoną jak trzeba, do cholery” – skarżąc się pod nosem na moje oprogramowanie.

– Oto, co mamy – oznajmiła wreszcie. Minęła już druga w nocy. Co chwila wyglądałem przez okno, za którym panowała ciemność. Corwi wyglądała wydrukowane kartki. Z zewnątrz dobiegały głuche odgłosy nocnego ruchu. Wierciłem się na krześle. Chciało mi się łać od nadmiaru napojów z kofeiną. – Całkowita liczba furgonetek, o których kradzieży zameldowano, trzynaście. – Przesunęła palcem po papierze. – Trzy z nich znaleziono spalone albo zniszczone przez wandalów.

– Ktoś chciał się przejechać.

– Ehe. Zostaje dziesięć.

– Ile czasu minęło do zawiadomienia?

– We wszystkich przypadkach oprócz trzech, wliczając naszego czarusia w celi, kradzież zgłoszono przed końcem następnego dnia.

– Dobra. A teraz pokaż mi, gdzie mamy... Na ile z tych furgonetek wydano przepustki do UI Qomy?

Przerzuciła papiery.

– Na trzy.

– To sporo. Trzy z trzynastu?

– Furgonetki będą miały większą przeciętną niż wszystkie pojazdy razem wzięte, bo korzystają z nich firmy importowo-eksportowe.

– Ale to i tak dużo. Jak wyglądają statystyki dla obu miast razem wziętych?

– Pytasz o liczbę furgonetek z przepustkami? Nie umiem tego znaleźć – odparła po chwili stukania w klawiaturę. – Na pewno jest jakiś sposób, by to sprawdzić, ale na razie na niego nie wpadłam.

– Dobra, dowiemy się tego, jeśli będziemy mieli czas. Ale założę się, że to będzie mniej niż trzy na trzynaście.

– Można by... to rzeczywiście dość dużo.

– Dobra, spróbuj tego. Ilu spośród trzech właścicieli furgonetek z przepustkami otrzymało przedtem ostrzeżenia za złamanie zasad ich przechowywania?

Przerzuciła papiery, a potem spojrzała na mnie.

– Wszyscy troje. Cholera. Całą trójkę ostrzeżono za nieprawidłowe przechowywanie dokumentów. Niech to szlag.

– No proszę. To raczej mało prawdopodobne, tak? Statystycznie. Co się stało z pozostałymi dwoma?

– Chwileczkę... właścicielami byli Gorje Feder i Salya Ann Mahmud. Obie furgonetki znaleziono następnego dnia rano. Porzucone.

– Coś ukradziono?

– Były trochę poobtłukiwane, zginęło kilka taśm, nieco drobnych z samochodu Federa i iPod z pojazdu Mahmud.

– Przyjrzyjmy się czasowi. Nie ma możliwości sprawdzić, który samochód ukradziono najpierw, prawda? Wiemy, czy tamte dwa nadal mają przepustki?

– Nie poruszano tej sprawy, ale jutro będziemy mogli to sprawdzić.

– Zrób to, jeśli się uda, ale założę się, że mają. W których miejscach dokonano kradzieży?

– Juslavsja, Brov Prosz, a Khuruscha w Mashlin.

– A gdzie je znaleziono?

– Federa w Brov Prosz. Jezu. Pani Mahmud w Mashlin. Cholera. Tuż obok ProspekStrász.

– Cztery przecznice od firmy Khuruscha.

– O kurwa. – Wyprostowała się na krześle. – Powiedz, co o tym myślisz, szefie.

– Właściciele wszystkich trzech skradzionych tamtej nocy furgonetek mających wizy otrzymali ostrzeżenia za zostawianie dokumentów w skrytce.

– Złodziej wiedział?

– Ktoś polował na wizę. Ktoś, kto miał dostęp do akt straży granicznej. Sprawcy potrzebowali samochodu mogącego przejechać przez Halę Łącznikową. Dobrze wiedzieli, kto ma zwyczaj zostawiać dokumenty w pojeździe. Przyjrzyj się pozycjom. – Naszkicowałem prosty plan ulic Beszel. – Najpierw skradziono samochód Federa, ale pan Feder zasługuje na pochwałę. On i jego pracownicy wyciągnęli wnioski z otrzymanej nauczki i zabierają teraz dokumenty ze sobą. Gdy sprawcy to sobie uświadomili, pojechali nią tutaj, niedaleko miejsca, gdzie parkowała furgonetka pani Mahmud. Zwinęli ją szybko, ale właścicielka również nauczyła się zabierać dokumenty do biura, porzucili więc pojazd, upozorowawszy najpierw rabunek, i ukradli następny.

– Należący do Khuruscha.

– Który nie zmienił przyzwyczajień i zostawił przepustkę w furgonetce. Znaleźli to, czego potrzebowali, i pojechali przez Halę Łącznikową do Ul Qomy.

Zapadła cisza.

– Co to, kurwa, znaczy?

– To... wygląda bardzo podejrzanie. W sprawę jest zamieszany ktoś wtajemniczony. Nie jestem pewien, w co wtajemniczony, ale musiał mieć dostęp do rejestru aresztowań.

– Co mamy zrobić, do cholery? Co mamy zrobić – zaczęła powtarzać raz po raz, gdy milczałem zbyt długo.

– Nie wiem.

– Musimy komuś powiedzieć...

– Komu? Co? Nic nie mamy.

– Chyba...

Chciała powiedzieć „żartujesz”, ale była wystarczająco inteligentna, by zrozumieć

prawdę.

– Te współzależności mogą wystarczać dla nas, ale to nie są dowody. Nie możemy nic z nimi zrobić. – Popatrzyliśmy na siebie nawzajem. – Zresztą... cokolwiek zrobiono... ktokolwiek to był...

Zerknąłem na papiery.

– Ma dostęp do materiałów, które...

– Musimy być ostrożni – stwierdziłem. Spojrzała mi w oczy. Po raz kolejny przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało. Rozglądaliśmy się powoli po pokoju. Nie wiedziałem, czego szukamy, ale podejrzewałem, że poczuła się nagle ścigana, obserwowana i podsłuchiwana. Z pewnością sugerowała to jej mina.

– To co mamy zrobić? – zapytała raz jeszcze. Czułem się zaniepokojony, słysząc w jej głosie strach.

– Pewnie to samo, co do tej pory. Prowadzić śledztwo.- Wzruszyłem z namysłem ramionami. – Musimy znaleźć sprawcę.

– Nawet nie wiemy, czy możemy bezpiecznie rozmawiać z szefem.

– Nie wiemy. – Nagle poczułem, że nie mogę powiedzieć nic innego. – W takim razie nie rozmawiaj o tym z nikim. Oprócz mnie.

– Odsuwają mnie od tej sprawy. Co mogę...?

– Odbieraj telefony. Jeśli będę czegoś od ciebie potrzebował, zadzwonię.

– Dokąd nas to zaprowadzi? – W obecnej chwili to pytanie nic nie znaczyło. Miało po prostu wypełnić panującą w pokoju ciszę, zagłuszyć nieliczne słyszalne tu dźwięki, które mogły brzmieć złowrogo i podejrzanie, każde skrzypnięcie plastiku stawało się sprzężeniem zwrotnym elektronicznej pluskwy, każdy cichy stukot zapowiadał wtargnięcie intruza. – Mam coraz większą ochotę przywołać Przekroczeniówkę – odezwała się wreszcie Corwi. – Kurwa, pięknie by było poszczuć ją na całą tę bandę. Pięknie by było mieć ten problem z głowy. – Tak. Mnie również odpowiadała myśl, że Przekroczeniówka wyrzuci zemstę na winnych. – Ona się czegoś dowiedziała. Mówię o Mahalii.

Pomyślałem, że ucieszyłbym się z przywołania Przekroczeniówki, nagle jednak przypomniałem sobie wyraz twarzy pani Geary. Przekroczeniówka obserwowała nas z luki między miastami i nikt z nas nie wiedział, co ona wie.

– Ehe. Być może.

– Nie?

– Tak, ale... nie możemy tego zrobić. Dlatego... musimy sami rozwiązać sprawę.

– My? Tylko we dwoje? Nie mamy pojęcia, co jest grane.

Pod koniec ostatniego zdania Corwi ściszyła głos do szeptu.

Nie mieliśmy żadnego wpływu na Przekroczeniówkę i nie potrafiliśmy jej pojąć. Bez względu na to, z jaką sytuacją mieliśmy do czynienia i dlaczego zginęła Mahalia Geary, tylko my dwoje prowadziliśmy tę sprawę. Nie mogliśmy zaufać nikomu innemu, a wkrótce Corwi

zostanie sama i ja też będę sam w obcym mieście.

Część druga

UL QOMA

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wewnętrzne drogi Hali Łącznikowej widziane z policyjnego samochodu. Nie jechaliśmy zbyt szybko i nie włączyliśmy sygnału, ale światło na dachu migало w pokazie niezdecydowanej pompatyczności. Jego przerywany blask rozjaśniał betonową nawierzchnię. Kierowca – posterunkowy Dyegesztan – spoglądał na mnie co chwila. Nie chcieli mi dać Corwi nawet jako eskorty.

Przejechaliśmy po niskich wiaduktach nad beszańską starówką i zanurzyliśmy się w krętych uliczkach otaczających Halę Łącznikową, docierając do jej kwadrantu przejazdowego. Wjechaliśmy do tunelu pod kariatydami przypominającymi nieco postacie z beszańskiej historii, zmierzając ku miejscu, gdzie figury te były ulqomańskie. Wewnątrz samej hali na szerokiej drodze oświetlonej szarym blaskiem padającym z okien po beszańskiej stronie stała długa kolejka pieszych czekających na przepuszczenie przez granicę. Daleko z tyłu, za czerwonymi światłami postojowymi naszego radiowozu, widzieliśmy kolorowe reflektory ulqomańskich samochodów, bardziej złociste od naszych.

– Był pan już kiedyś w Ul Qomie, inspektorze?

– Bardzo dawno temu.

Gdy zobaczyliśmy przed sobą graniczny szlaban, Dyegesztan odezwał się do mnie znowu.

– Czy wtedy też to tak wyglądało? – zapytał. Był młody.

– Mniej więcej.

Jako samochód *policzai* czekaliśmy na paśmie rządowym, za ciemnymi mercedesami zapewne przewożącymi polityków albo biznesmenów pragnących poznać sytuację po drugiej stronie. Z sąsiedniego pasma dobiegał warkot silników tańszych pojazdów, wiozących zwykłych podróżnych, kombinatorów oraz turystów.

– Inspektor Tyador Borlú? – zapytał strażnik, spoglądając na moje papiery.

– Zgadza się.

Przeczytał wszystko uważnie. Gdybym był turystą albo biznesmenem pragnącym otrzymać jednodniową przepustkę, wszystko odbyłoby się szybciej i zadawałby mniej pytań. Jako oficjalny gość nie mogłem liczyć na podobną pobłażliwość. Codzienne kontakty z biurokracją są pełne ironii.

– Obaj przekraczacie granicę?

– Wszystko jest w dokumentach, sierzancie. Tylko ja. To mój kierowca. Przyjadą po mnie, a posterunkowy zaraz wróci. W gruncie rzeczy, chyba już widzę ulqomańską eskortę.

Tylko w tym miejscu wolno nam było patrzeć na leżące za zwykłą, fizyczną granicą terytorium naszego sąsiada. Daleko za bezpieczeństwa przestrzenią i zwróconym w drugą stronę ulqomańskim posterunkiem granicznym stała grupka funkcjonariuszy *militysi* otaczających radiowóz o światłach migających równie pompatycznie jak nasze, ale w innych kolorach. Jego mechanizm był też bardziej nowoczesny – prawdziwy migacz, nie ruchoma zasłona, jak w naszych kogutach. Ulqomańskie mają kolor czerwony i ciemnoniebieski, ciemniejszy od naszego kobaltowego, a samochody to ciemnoszare, opływowe renówki. Pamiętam czasy, gdy *militysya* jeździła małymi, brzydkimi yadaji miejscowej produkcji, bardziej pudełkowatymi od naszych radiowozów.

Strażnik odwrócił się i zerknął na nich.

– Spodziewają się nas – wyjaśniłem.

Stali zbyt daleko, bym mógł zobaczyć szczegóły, ale nie ulegało wątpliwości, że na kogoś czekają. Strażnik rzecz jasna się nie śpieszył – może i jesteś z *policzai*, ale nie licz na specjalne traktowanie, strzeżemy naszych granic – lecz w końcu zabrakło mu pretekstów do dalszego zwlekania. Zasalutował z lekką ironią i przepuścił nas skinieniem dłoni. Szlaban uniósł się przed nami. Opony naszego samochodu wydawały na około stu metrach drogi przez ziemię niczyją dźwięk nieco inny niż na beszańskiej nawierzchni. Potem minęliśmy drugi szlaban i znaleźliśmy się za granicą. Umundurowani milicjanci podeszli do nas.

Zgrzytnęły przekładnie. Czekający na nas samochód ruszył nagle, objechał ciasnym kręgiem funkcjonariuszy i włączył na moment syrenę. Jakiś mężczyzna wysiadł z niego i włożył służbową czapkę. Był nieco młodszy ode mnie, krępy i muskularny. Poruszał się ze znaczną pewnością siebie. Miał na sobie szary mundur *militysi* z epoletami. Próbowałem sobie przypomnieć, co to za stopień. Pogranicznicy zatrzymali się z wyraźnym zaskoczeniem, gdy wyciągnął rękę.

– Nie potrzeba – zawołał i odesłał ich skinieniem dłoni. – Wszystko załatwione. Inspektor Borlú? – zapytał po illitańsku. Dyegesztan i ja wygramoliliśmy się z samochodu. – Inspektor Tyador Borlú z beszańskiej Brygady Najpoważniejszych Zbrodni, zgadza się? – zapytał, ignorując posterunkowego. Uścisnął mocno moją dłoń i wskazał na samochód, w którym czekał ich kierowca. – Proszę. Jestem starszy detektyw Qussim Dhatt. Odebrał pan moją wiadomość, inspektorze? Witam w Ul Qomie.

* * *

W ciągu stuleci Hala Łącznikowa rozrosła się znacznie. Jej mieszaną architekturę określała Komisja Nadzoru w swych rozmaitych historycznych wcieleniach. Gmach w obu

miastach zajmował znaczną przestrzeń. Jego wnętrze było skomplikowane. Korytarze nieraz zaczynały się jako niemal jednolicie beszańskie lub ulqomańskie, a potem stopniowo przechodziły w przeplot, w którym pokoje mogły się znajdować w jednym albo w drugim mieście. Wśród owych niezwykłych pokoi i miejsc były też takie, które znajdowały się w obu miastach jednocześnie albo w żadnym z nich. W tych ostatnich władzę sprawowała wyłącznie Komisja Nadzoru i związane z nią instytucje. Oznakowane plany gmachu wyglądały ładnie, ale tworzyły straszliwy labirynt kolorów.

Na parterze wszystko jednak wyglądało prościej. Szeroka droga docierała do drutów kolczastych i pierwszych szlabanów, pod którymi beszańska straż graniczna zatrzymywała przybyłych w oddzielnych kolejkach dla pieszych, wózków ręcznych i zaprzęgowych, przysadzistych beszańskich samochodów osobowych oraz furgonetek i ciężarówek. Wszystkie je dzielono dodatkowo na rzędy według rodzajów przepustek, poruszające się z różnymi prędkościami, ponieważ szlabany podnosiły się i opadały bez śladu regularności. W miejscu, gdzie Hala Łącznikowa przechodzi w Beszel, w zasięgu wzroku od posterunków, znajduje się stare, nieoficjalne targowisko. Nielegalni, ale tolerowani handlarze uliczni krążą wśród czekających pojazdów, oferując pieczone orzechy i papierowe zabawki.

Za beszańskimi posterunkami, w centralnej części Hali Łącznikowej, znajduje się ziemia niczyja. Na jezdni nie ma tu żadnych pasów. To nie jest ani beszańska, ani ulqomańska ulica, jakich więc znaków należałoby użyć? Na przeciwległym końcu hali umieszczono drugi szereg posterunków. Przybysze z Beszel nie mogli nie zauważyć, że są lepiej utrzymane od naszych. Uzbrojeni ulqomańscy strażnicy gapili się przeważnie w drugą stronę, na sprawnie zorganizowane kolejki ludzi zmierzających do Beszel. Ulqomańska straż graniczna nie jest odrębną służbą rządową, jak u nas, lecz stanowi część *militysi*, odpowiednika naszej *policzai*.

Kwadrant przejazdowy Hali Łącznikowej jest większy od Koloseum, ale niezbyt skomplikowany. To tylko rozległy obszar pustki, otoczony antycznymi murami. Z beszańskiej strony można zobaczyć kolejki oczekujących na przejście, skąpanych w świetle dnia sączącym się z Ul Qomy. Widać stamtąd głowy ulqomańskich gości albo wracających do domu beszan. Po drugiej stronie sali, za pustym obszarem między posterunkami, ustawiono ulqomańskie zapory z drutu kolczastego. Przez ogromną, odległą o kilkaset metrów ścianę można ujrzeć architekturę sąsiedniego miasta. Ludzie wyęzają wzrok, by tego dokonać.

Po drodze poprosiłem kierowcę, by pojechał do beszańskiego wejścia okrężną drogą, prowadzącą przez KarnStrász. Zrobił to, choć uniósł lekko brwi ze zdziwienia. W Beszel KarnStrász jest niczym się niewyróżniającą handlową ulicą w Starym Mieście, ale to przeplot z lekką przewagą Ul Qomy. Większość budynków znajduje się w sąsiednim mieście, a w Ul Qomie miejscowótór ulicy to historyczna, sławna aleja Ul Maidin, prowadząca do Hali Łącznikowej. Jakby przypadkiem przejechaliśmy pod wyjściem z hali wprost do Ul Qomy.

Przeoczyłem je, gdy jechaliśmy KarnStrász, przynajmniej z pozoru, ale oczywiście grostopicznie blisko nas znajdowały się kolejki czekających na przejście ulqoman oraz

noszący odznaki gości beszanie. Choć opuszczali halę w miejscu, w którym fizycznie mogli się znajdować zaledwie godzinę temu, gapili się ze zdumieniem na ulqomańską architekturę. Gdyby zauważyli ją przedtem, byłoby to przekroczenie.

Nieopodal ulqomańskiego wejścia wzniesiono Świątynię Nieuniknionego Światła. Wiele razy widziałem jej zdjęcia i choć praworządnie ją przeoczyłem, gdy przejeżdżaliśmy obok, jej zdobne blanki zarejestrowały się w mojej świadomości i mało brakowało, bym powiedział Dyegeosztanowi, że cieszę się, iż będę ją mógł wkrótce zobaczyć. Teraz, gdy wyjechaliśmy z Hali Łącznikowej, otoczyło mnie światło. Zagraniczne światło. Rozejrzałem się wokół, siedząc z tyłu radiowozu, i zatrzymałem wzrok na świątyni. Zdumiała mnie myśl, że wreszcie znalazłem się w tym samym mieście co ona.

– Pierwszy raz w Ul Qomie? – zapytał Dhatt.

– Nie, ale dawno tu nie byłem.

* * *

Minęły lata, odkąd ostatnio zdawałem testy, moja przepustka dawno już była nieważna, zresztą wklejono ją do starego paszportu. Tym razem przeszedłem tylko przyśpieszoną, dwudniową orientację – wyłącznie ja i ulqomańscy instruktorzy z ich ambasady w Beszel. Intensywny kurs illitańskiego, zapoznanie się z materiałami dotyczącymi ulqomańskiej historii i geografii, podstawy tamtejszego prawa. Kurs – podobnie jak jego beszański odpowiednik po drugiej stronie – miał przede wszystkim pomóc obywatelom Beszel w uporaniu się z potencjalnie stresującym faktem, że nagle znaleźli się w Ul Qomie i muszą przeoczyć znajome okolice, w których spędzili całe życie, a za to zauważać budynki, których dotąd nie wolno im było dostrzegać.

– Komputery umożliwiły wielki postęp w pedagogice aklimatyzacyjnej – oznajmiła jedna z nauczycielek, młoda kobieta, nieustannie chwalała mój illitański. – Dysponujemy obecnie znacznie lepszymi sposobami radzenia sobie z takimi problemami. Współpracujemy z neurofizjologami i tak dalej.

Rozpieszczali mnie, ponieważ byłem z *policzai*. Zwykłym podróżnym oferowano bardziej konwencjonalne szkolenie, potrzebowali też znacznie więcej czasu, by je zaliczyć.

Instruktorzy posadzili mnie w czymś, co zwali symulatorem Ul Qomy. Była to kabina o ścianach złożonych z ekranów, na których wyświetlano obrazy i filmy z Beszel, podświetlając beszańskie budynki, a wyciemniając ich ulqomańskich sąsiadów. Raz po raz powoli zmieniano akcenty. Beszel zniknęło i w tym samym miejscu pojawiała się Ul Qoma.

Trudno byłoby w takiej chwili nie pomyśleć o opowieściach, na których wszyscy się wychowaliśmy. Z pewnością ulqomanie również. Mężczyzna z Ul Qomy i dziewczyna z Beszel spotykają się pośrodku Hali Łącznikowej, a potem wracają do domu i uświadamiają sobie, że mieszkają grostopicznie obok siebie. Przez całe życie pozostają samotni,

dochowując sobie wierności, wstają o tej samej godzinie, chodzą po przeplotowych ulicach obok siebie, każde w swoim mieście, ale nigdy nie przekraczają, nigdy nie odzywają się do siebie ani słowem. Istniały też legendy o renegatach, którzy przekraczali, ale umykali przed Przekroczeniówką i żyli między miastami, nie jako uchodźcy, lecz wchodźcy, wymykający się zasłużonej karze dzięki temu, że wszyscy ich ignorowali. Powieść Pahlaniuka *Dziennik wchodźcy* była zakazana w Beszel – z pewnością w Ul Qomie również – ale, jak większość mieszkańców, przynajmniej przejrzałem pirackie wydanie.

Zdałem testy, wskazując kursorem na ulqomańską świątynię, ulqomańskiego obywatela i ulqomańską ciężarówkę transportującą warzywa tak szybko, jak tylko potrafiłem. To był lekko obraźliwy podstęp, mający mnie przyłapać na mimowolnym postrzeganiu Beszel. Kiedy zdawałem egzamin po raz pierwszy, w jego skład nie wchodziło nic w tym rodzaju. Jeszcze całkiem niedawno pytano o odmienny charakter narodowy ulqoman oraz kazano rozpoznawać na obrazkach stereotypowe fizjonomie beszan, ulqoman oraz „innych” – Żydów, muzułmanów, Rosjan, Greków, czy kto tam aktualnie wzbudzał największe obawy.

– Widzi pan świątynię? – zapytał Dhatt. – A tam był kiedyś college. To są bloki mieszkalne.

Wskazywał palcem mijane budynki i kazał kierowcy, któremu mnie nie przedstawił, jeździć różnymi trasami.

– Osobliwe, co? – zapytał. – Musi się pan dziwnie czuć.

Miał rację. Patrzyłem na to, co mi pokazywał. Rzecz jasna przeoczałem co trzeba, ale nie mogłem nie być świadomy znajomych miejsc, które mijałem grostopicznie, ulic, po których regularnie chodziłem, obecnie znajdujących się w innym mieście, kawiarni, do których zwykłem chodzić w innym kraju. Wszystkie były teraz w tle, obecne tylko niewiele bardziej niż Ul Qoma, gdy byłem w domu. Wstrzymałem oddech. Przeoczałem Beszel. Zapomniałem już, jak to jest. Przed przyjazdem tutaj próbowałem to sobie wyobrazić, ale bezskutecznie. Widziałem Ul Qomę.

Był dzień, miasto oświetlał więc zimny blask bijący od zachmurzonego nieba, nie wywijasy neonów, jakie widziałem w tak wielu programach o sąsiednim państwie. Producenci najwyraźniej uważali, że łatwiej nam jest sobie je wyobrazić w jaskrawym blasku nocnych świateł. W popielatej jasności dnia widziałem jednak więcej kolorów niż w Beszel i były one bardziej jaskrawe. W dzisiejszych czasach starówka Ul Qomy przynajmniej w połowie przerodziła się w dzielnicę finansową. Zakrętasy drewnianych dachów sąsiadowały z błyszczącą stalą. Miejscowe handlarki uliczne nosiły suknie, a handlarze połatane koszule i spodnie. Sprzedawali ryż i nadziane na szpikulce mięso elegancko ubranym mężczyznom oraz nielicznym kobietom. Obok, w spokojniejszym Beszel, przechodzili moi bezbarwni rodacy, których starałem się przeoczać.

Po tym, jak UNESCO okazało lekkie niezadowolenie, grożąc palcem niektórym europejskim inwestorom, w Ul Qomie wprowadzono niedawno prawa dzielące miasto na

strefy urbanistyczne, by powstrzymać najgorsze przypadki architektonicznego wandalizmu spowodowanego przez prosperity. Niektóre z najbrzydszych nowych budynków nawet rozebrano, ale tradycyjne barokowe zakrętasy ulqomańskich zabytków wyglądały niemal żałośnie na tle młodych, gigantycznych sąsiadów. Jak wszyscy beszanie, przyzwyczałem się do robienia zakupów w cieniu cudzoziemskiego sukcesu.

Wszędzie słyszałem illitański, z ust komentującego wszystko Dhatta, od sprzedawców, taksówkarzy oraz sypiących obelgami kierowców. Uświadomiłem sobie, jak wiele inwektyw przeoczałem na przepłotowych ulicach w domu. W każdym mieście na świecie kierowcy mają własny żargon, a choć nie dotarliśmy jeszcze do jednolicie ulqomańskich regionów i ulice dzieliły wymiary oraz kształty z tymi, które znałem, gdy skręcaliśmy ostro w jedną po drugiej, wydawały mi się z jakiegoś powodu bardziej koronkowe. Dostrzeżenie i przeoczenie w Ul Qomie okazało się wrażeniem w pełni tak dziwnym, jak się tego spodziewałem. Jechaliśmy wąskimi zaułkami, rzadko uczęszczanymi w Beszel, choć ruchliwymi w Ul Qomie, albo takimi, które w moim rodzinnym mieście były otwarte tylko dla pieszych. Ani na moment nie wyłączyliśmy sygnału.

– Do hotelu? – zapytał Dhatt. – Zapewne chce się pan umyć i coś zjeść, tak? A gdzie potem? Na pewno ma pan jakieś pomysły? Dobrze pan mówi po illitańsku, Borlú. Lepiej niż ja po beszańsku – dodał ze śmiechem.

– To i owo przychodzi mi do głowy – przyznałem. – Jest kilka miejsc, które chciałbym zobaczyć. – Wyciągnąłem notes. – Dostał pan akta, które wysłałem?

– Oczywiście, Borlú. To wszystko, prawda? Tyle udało się panu osiągnąć. Powiem panu, co my znaleźliśmy, ale... – Uniósł ręce na znak żartobliwej kapitulacji. – ...prawdę powiedziawszy, nie bardzo jest o czym mówić. Myśleliśmy, że przywołacie Przekroczeniówkę. Dlaczego tego nie zrobiliście? Lubicie przysparzać sobie roboty? – Znowu się roześmiał. – Zresztą przydzielili mnie do tej sprawy dopiero przedwczoraj, więc niech pan nie liczy na zbyt wiele. Ale wzięliśmy się już do roboty.

– Macie już jakieś pomysły w sprawie motywów zabójstwa?

– Nie za bardzo. Mamy tylko tę taśmę z ciężarówką przejeżdżającą przez Halę Łącznikową. Żadnych śladów. Zresztą, sytuacja...

Można by sądzić, że furgonetki z Beszel przyciągają uwagę w Ul Qomie, a ulqomańskie u nas. Prawda jednak wygląda tak, że ludzie przyjmują założenie, iż taki zagraniczny pojazd nie znajduje się w ich mieście, chyba że zauważą nalepkę na przedniej szybie. Furgonetkę po prostu przeoczano. Potencjalni świadkowie nie wiedzieli, że powinni ją zobaczyć.

– To właśnie chciałbym sprawdzić w pierwszej kolejności.

– Oczywiście, Tyador. Czy może wolisz Tyad?

– Wszystko jedno. Chciałbym też pogadać z jej przełożonymi i przyjaciółmi. Możecie mnie zawieźć do Bol Ye'an?

– Mów mi Dhatt albo Quss, to dla mnie bez różnicy. Posłuchaj, żeby uniknąć

nieporozumień, wiem, że twój *komisarz* – wypowiedział obcojęzyczne słowo z wyraźnym zachwytem – mówił ci o tym, ale to ulqomańska sprawa i podczas pobytu u nas nie masz uprawnień policjanta. Nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszymy z waszej współpracy i zrobimy, co się tylko da, by rozwiązać sprawę wspólnymi siłami, ale tutaj to ja muszę prowadzić śledztwo. Ty jesteś tylko konsultantem.

– Jasne.

– Przepraszam, wiem, że wojny o wpływy to głupota. Powiedzieli mi... czy rozmawiałeś już z moim szefem? Z pułkownikiem Muasim? Chciał się upewnić, że wszystko sobie wyjaśnimy. Rzecz jasna jesteś szanowanym gościem ulqomańskiej *militysi*.

– Nie mam zakazu... Mogę się przemieszczać swobodnie?

– Masz przepustkę, stempel i tak dalej. – Jednorazowa wiza ważna przez miesiąc z możliwością przedłużenia. – Jasne, jeśli chcesz, możesz poświęcić dzień albo dwa na zwiedzanie, ale musisz pamiętać, że kiedy jesteś sam, możesz być tylko turystą. W porządku? Ale lepiej by było, gdybyś tego nie robił. Cholera, nikt cię nie będzie zatrzymywał, ale wszyscy wiemy, że przybysze z drugiego miasta mają trudności bez przewodnika. Mógłbyś niechcący przekroczyć i co wtedy?

– No właśnie. Co byście wtedy zrobili?

– Posłuchaj. – Siedzący obok kierowcy Dhatt odwrócił się i spojrzał na mnie. – Niedługo będziemy w hotelu. Próbuję ci powiedzieć, że sytuacja zrobiła się... Pewnie nie słyszałeś o tym drugim przypadku... Nie, nie wiemy, czy to ma cokolwiek wspólnego... Dowiedzieliśmy się dopiero niedawno. Posłuchaj, mogą być komplikacje.

– Słucham? O czym ty gadasz?

– Jesteśmy na miejscu, szefie – oznajmił kierowca.

Wyjrzałem na zewnątrz, ale nie wysiadłem z samochodu.

Staliśmy pod Hiltonem w Asyan, tuż za ulqomańskim starym miastem. Hotel zbudowano u wylotu jednolicie ulqomańskiej ulicy pełnej niskich, nowoczesnych domów mieszkalnych z betonu, w narożniku placu, przy którym beszańskie ceglane tarasy mieszały się z ulqomańskimi pseudopagodami. Między nimi ulokowano brzydką fontannę. Nigdy tu nie byłem. Budynki i chodniki były przeplotowe, ale sam plac leżał całkowicie w Ul Qomie.

– Nie jesteśmy jeszcze pewni. Rzecz jasna odwiedziliśmy wykopaliska, rozmawialiśmy z Iz Nancy i innymi przełożonymi ofiary, jej kolegami i tak dalej. Nikt nic nie wiedział. Wszyscy myśleli, że po prostu urwała się na kilka dni. Rzecz w tym, że po rozmowie z grupą studentów jeden z nich do nas zadzwonił. To się zdarzyło dopiero wczoraj. Chodzi o najlepszą przyjaciółkę ofiary, Yolandę Rodriguez. Kiedy rozmawialiśmy ze wszystkimi studentami, była w szoku. Nie dowiedzieliśmy się od niej zbyt wiele. Co chwila mdlała. Mówiła, że musi już iść. Zapytałem, czy potrzebuje pomocy i tak dalej, ale odpowiedziała, że ma kogoś, kto się nią zajmie. Od innej dziewczyny dowiedzieliśmy się, że to miejscowy chłopak. Kto raz spróbował z ulqomaninem...

Otworzył drzwi, ale nadal nie wysiadałem.

– A potem zadzwoniła do was?

– Nie, to był jakiś chłopak. Nie chciał podać swojego nazwiska. Ale dzwonił w sprawie tej Rodriguez. Najwyraźniej... Mówił, że nie jest pewien, że może to nic, i tak dalej. Tak czy inaczej, od pewnego czasu nikt jej nie widział. Nie można też się do niej dodzwonić.

– Zniknęła?

– Święte Światło, Tyad, nie wpadaj w przesadę. Może po prostu zachorowała i wyłączyła telefon. Nie mówię, że tego nie sprawdzimy. Tylko bez paniki, dobra? Nie wiemy, czy rzeczywiście zniknęła...

– Wiemy – sprzeciwiłem się. – Nawet jeśli nic się jej nie stało, nikt nie potrafi jej odnaleźć. To z samej definicji znaczy, że zniknęła.

– W porządku, inspektorze – ustąpił. – Yolanda Rodriguez zniknęła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– I jak idzie, szefie?

Hotelowe połączenie telefoniczne z Beszel miało spore opóźnienie i musieliśmy się z Corwi bardzo starać, by nie wpadać sobie w słowo.

– Za wcześnie, by to określić. Dziwnie się tu czuję.

– Widziałeś jej mieszkanie?

– Nie znalazłem tam nic ciekawego. Typowy studencki pokój, jeden z wielu wynajmowanych przez uniwersytet w tym samym budynku.

– Nie było tam nic, co należało do niej?

– Parę tanich wydruków, trochę książek z notatkami na marginesach, ale nic ciekawego. Ubrania. Komputer, ale na dysku nie znaleziono nic istotnego dla sprawy, chyba że Geary stosowała zaawansowane kodowanie. Muszę też stwierdzić, że w tych sprawach ufam ulqomańskim speccom bardziej od naszych. Mnóstwo e-maili w stylu „Hej, mam, kocham cię” i trochę esejów. Zapewne używała bramek proxy i na bieżąco czyściła historię przeglądania, bo tam też nie było nic ciekawego.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, prawda, szefie?

– Najmniejszego. Technicy musieli mi zapisać wszystko fonetycznie. – „Może pewnego dnia przestanie się nabijać ze mnie, że nie znam się na Internecie”. – Chyba też nie zmieniała profilu na MySpace od chwili przybycia do Ul Qomy.

– A więc nie rozgryźleś jej jeszcze całkowicie?

– Niestety, nie. Moc nie była ze mną.

To naprawdę był dziwnie anonimowy i pozbawiony cech charakterystycznych pokój. Znajdująca się w sąsiednim korytarzu kwatery Yolandy, do której również zajrzeliśmy, wyglądała zupełnie inaczej. Było tam mnóstwo nowomodnych zabawek, powieści, płyt DVD i umiarkowanie kosztownych butów. Komputer zniknął.

Sprawdziłem pokój Mahalii bardzo uważnie, często porównując jego wygląd ze zdjęciami zrobionymi przez milicjantów w chwili, gdy przyszedli tu po raz pierwszy, nim jeszcze skatalogowano książki i niektóre inne przedmioty. Pokój był strzeżony i funkcjonariusze nie wpuszczali studentów do środka. Ale wyjrzawszy na korytarz, widziałem niewielki stos wieńców oraz kolegów i koleżanki Mahalii zebranych na obu końcach korytarza – młodych

ludzi z małymi odznakami gości noszonymi dyskretnie na ubraniach. Szeptali do siebie. Zauważyłem też, że niektórzy płaczą.

Nie znaleźliśmy żadnych dzienników ani notesów. Dhatt zgodził się pokazać mi kopie podręczników Mahalii. Najwyraźniej miała w zwyczaju robić mnóstwo notatek na marginesach. Leżały teraz na stole w moim pokoju. Człowiek robiący fotokopie musiał się bardzo śpieszyć, bo linijki druku i ręcznego pisma rozłaziły się. Rozmawiając z Corwi, przeczytałem kilka urywków skrótovej dyskusji, jaką Mahalia prowadziła z samą sobą na marginesach *Historii ludu Ul Qomy*.

– A jaki jest twój kontakt? – zapytała kobieta. – Ulqomański odpowiednik mnie?

– Myślę, że to raczej ja jestem dla niego odpowiednikiem ciebie.

To nie było najzgrabniejsze sformułowanie, ale i tak się roześmiała.

– A jak wyglądają ich biura?

– Podobnie do naszych, ale mają lepszy papier listowy. Zabrali mi pistolet.

Szczerze mówiąc, komisariat różnił się od naszych dość wyraźnie. Miał lepszy sprzęt, ale był wielkim pomieszczeniem bez ścianek działowych, pełnym tablic suchościeralnych i boksów, z których dobiegały głosy rozmawiających ze sobą albo kłócących się funkcjonariuszy *militysi*. Choć jestem pewien, że większość z nich poinformowano o moim przybyciu, czułem falę otwartej ciekawości, podążającą za mną, gdy szedłem za Dhattem. Minęliśmy jego pokój – miał wystarczająco wysoką rangę, by zasługiwać na własny – i dotarliśmy do gabinetu jego szefa. Pułkownik Muasi przywitał mnie znudzonym tonem, powiedział, że to dobry znak zapowiadający poprawę relacji między naszymi państwami, zapowiedź przyszłej współpracy i zapytał, czy potrzebuję jakiejś pomocy. Potem kazał mi oddać broń. Tego przedtem nie uzgodniono, dlatego spróbowałem się sprzeciwić, ale szybko ustąpiłem, by nie psuć stosunków na samym początku.

Potem przeszliśmy do następnego pokoju pełnego nieprzyjaznych spojrzeń.

– Cześć, Dhatt – odezwał się ktoś wiele mówiącym tonem.

– Trochę ich drażnię, co? – zapytałem.

– Nie bądź przewrażliwiony – odparł Dhatt. – Jesteś z Beszel, czego się spodziewałeś?

– Skurwysyny! – oburzyła się Corwi. – Naprawdę to zrobili?

– Nie mam ulqomańskiego pozwolenia na broń, jestem tu tylko w charakterze doradcy, i tak dalej.

Spojrzałem na stolik przy łóżku. Nie było na nim nawet Biblii. Nie wiem, czy dlatego, że Ul Qoma była świeckim państwem, czy też chodziło o naciski Templariuszy Światła, którzy zachowali wpływy nawet po ich rozdzieleniu od państwa.

– Skurwysyny. A więc nie masz mi nic do powiedzenia?

– Zawiadomię cię.

Zerknąłem na listę haseł, które uzgodniliśmy: „Brak mi beszańskich klusek = Mam kłopoty”, „Pracuję nad pewną teorią = Wiem, kto jest winny”. Żadne z nich nie pasowało.

– Czuję się kurewsko głupio – wyznała Corwi, gdy pracowaliśmy nad tymi hasłami.

– Zgadzam się – potwierdziłem. – Ja też. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie mogliśmy ślepo uwierzyć, że nasze rozmowy nie będą podsłuchiwane przez tajemnicze czynniki, które przechytrzyły nas w Beszel. Czy bardziej głupio i dziecinnie byłoby założyć istnienie spisku, czy jego nieistnienie?

– Pogoda jest tu taka sama jak w domu – powiedziałem wreszcie. Roześmiała się. Uzgodniliśmy, że ten banalny dowcip oznacza: „Nie wydarzyło się nic istotnego”.

– I co teraz? – zapytała.

– Pojedziemy do Bol Ye’an.

– Natychmiast?

– Niestety nie. Chciałem to zrobić jeszcze dzisiaj, ale nie zdążyli tego zorganizować, a teraz jest już za późno.

Wziąłem prysznic, zjadłem posiłek, a potem pokręciłem się trochę po bezbarwnym pokoiku, zastanawiając się, czy potrafię rozpoznać urządzenie podsłuchowe, nawet jeśli je zobaczę. Po chwili postanowiłem zadzwonić pod numer, który podał mi Dhatt. Udało mi się dopiero za trzecim razem.

– Hej, Tyador – odezwał się. – Próbowalesz się do mnie dodzwonić? Przepraszam, byłem okropnie zajęty. Musiałem nadgonić parę spraw. W czym mogę ci pomóc?

– Chciałem się dowiedzieć, co z tymi wykopaliskami...

– O cholera. Prawda. Posłuchaj, Tyador, dziś wieczorem nie damy rady.

– Czy nie powiedziałaś im, żeby się nas spodziewali?

– Powiedziałem, że mogą się nas spodziewać. Posłuchaj, na pewno się ucieszą, że mogą iść do domu, a jutro wybierzemy się tam z samego rana.

– A co słyhać w sprawie tej Rodriguez?

– Nadal nie jestem przekonany, czy naprawdę... nie, tego nie wolno mi powiedzieć, prawda? Nie minęło zbyt wiele czasu. Ale przyznaję, że jeśli jutro nadal się nie zjawi, nie będzie odbierała telefonów ani odpowiadała na e-maile, sprawa zacznie wyglądać poważniej. Przekażemy sprawę Wydziałowi Osób Zaginionych.

– I...?

– I posłuchaj. Dzisiaj nie dam rady do ciebie wpaść. Czy możesz... Masz coś do roboty, prawda? Przepraszam. Przekażę ci przez kuriera mnóstwo materiałów, kopie naszych notatek, te informacje o Bol Ye’an i uniwersyteckich kampusach, o które prosiłeś, i tak dalej. Masz komputer? Możesz się podłączyć do sieci?

– Ehe.

Miałem służbowego laptopa, a hotel oferował połączenie ethernetowe za dziesięć dinarów na dobę.

– W takim razie w porządku. Jestem też pewien, że w hotelu można zamówić filmy, więc nie będziesz się czuł samotny – dodał ze śmiechem.

* * *

Zacząłem czytać *Między miastem a miastem*, ale po pewnym czasie poczułem się znudzony. Połączenie historycznej i źródłowej pedanterii z tendencyjnym wnioskowaniem było nużące. Potem włączyłem telewizor. W ulqomańskiej telewizji najwyraźniej nadawano więcej filmów niż u nas, podobnie jak teleturniejów, które w dodatku były bardziej hałaśliwe. Na wielu kanałach znajdowałem też jednak wiadomości, w których wyliczano sukcesy prezydenta Ul Maka i jego pakietu Nowych Reform: wizyty w Chinach i w Turcji, handlowe umowy z państwami europejskimi, pochwały MFW i niezadowolenie Waszyngtonu. Ulqomanie mieli obsesję na punkcie ekonomii. Trudno było jednak mieć do nich o to pretensje.

– Czemu by nie, Corwi?

Wyjąłem plan, upewniłem się, że mam w kieszeni wszystkie dokumenty, legitymację *policzai*, paszport i wizę, wpiąłem w klapę odznakę gościa i wyszedłem na zewnątrz.

Tym razem ujrzałem neony. Ze wszystkich stron otaczały mnie ich zwoje i sploty, przyćmiewające blade światła mojej odległej ojczyzny. Słyszałem też ożywione dźwięki illitańskiego. Nocą to miasto było ruchliwsze niż Beszel. Teraz przekonałem się o tym na własne oczy, gdyż wreszcie mogłem przyjrzeć się krążącym w mroku sylwetkom, do tej pory będącym dla mnie niewidzialnymi cieniami. Wolno mi było zobaczyć bezdomnych, którzy spali w bocznych zaułkach. W Beszel musieliśmy traktować ulqomańskich kloszardów jak wtargi, które trzeba było omijać.

Minąłem Most Wahida, mając tory kolejowe po lewej. Przyjrzałem się rzece, która tutaj nosiła nazwę Shach-Ein. Czy woda przeplatała się sama ze sobą? Gdybym był w Beszel, jak ci niedostrzegalni przechodnie, widziałbym teraz rzekę Colinin. Z Hiltona do Bol Ye'an było dość daleko, godzina drogi ulicą Ban Yi. Zdawałem sobie sprawę, że mijam świetnie mi znane przeplotowe, beszańskie ulice, z reguły o charakterze zupełnie odmiennym niż ich ulqomańskie miejscowości. Przeoczałem je, ale wiedziałem, że zaułki odchodzące od ulqomańskiej ulicy Modrass znajdują się wyłącznie w Beszel, a zakradający się do nich ukradkiem mężczyźni to klienci najtańszych beszańskich prostytutek. Same dziwki – gdybym ich nie przeoczył – wyglądałyby jak widma w minispódniczkach, ledwie dostrzegalne w beszańskim mroku. Gdzie były ulqomańskie burdele? Z jakimi okolicami w Beszel sąsiadowały? Kiedyś, na początku pracy w policji, pracowałem przy ochronie festiwalu muzycznego w przeplotowym parku. Bardzo wielu widzów było naćpanych i masowo uprawiało seks publicznie. Ja i mój partner nie mogliśmy powstrzymać wesołości, gdy ulqomańscy przechodnie, których staraliśmy się nie zauważać – musieli w swej wersji parku ostrożnie przechodzić nad pieprzącymi się parami, skrętnie je przy tym przeocząc.

Zastanawiałem się, czy nie pojechać metrem. Nigdy tego nie robiłem – w Beszel nic

takiego nie mamy – ale spacer był bardzo przyjemny. Słuchałem ulicznych rozmów, by wprawiać się w illitańskim. Widziałem, jak grupki tubylców przeoczą mnie z uwagi na strój i postawę ciała, a potem z opóźnieniem zauważają odznakę gościa i dostrzegają mnie. Pod salonami gier automatycznych, z których dobiegały głośnie dźwięki, zbierali się młodzi ulqomanie. Widziałem zapory balonowe, małe, pionowo ustawione sterowce uwięzione w labiryncie stalowych lin. Kiedyś chroniły miasto przed atakiem z powietrza, ale od wielu dziesięcioleci były już tylko kiczowatym wyrazem architektonicznej nostalgii. W dzisiejszych czasach wieszano na nich reklamy.

Rozległa się syrena, którą pośpiesznie przeoczyłem. Po chwili minął mnie radiowóz beszańskiej *policzai*. Skupiłem uwagę na tubylcach, którzy szybko i bez żadnego wyrazu na twarzy schodzili mu z drogi. To był najgorszy rodzaj wtargu. Zaznaczyłem na planie Bol Ye'an. Zastanawiałem się, czy przed wyjazdem do Ul Qomy nie wybrać się do jego miejscowości, okolicy Beszel położonej w fizycznej bliskości, by dostrzec kąciakiem oka przeoczone wykopaliska, ale nie chciałem podejmować takiego ryzyka. Nie wybrałem się nawet na ich pobrzeże, gdzie ruiny i park w paru miejscach przechodzą w Beszel. Ludzie u nas mówili, że nie ma tam nic ciekawego, podobnie jak w większości historycznych miejsc, ponieważ naprawdę interesujące zabytki niemal bez wyjątku znajdują się na ulqomańskiej ziemi.

Minąłem stary gmach, ulqomański, ale w europejskim stylu, i – ponieważ starannie zaplanowałem trasę – spojrzałem w dół z boku wzdłuż ulicy Tyan Ulma. Usłyszałem w oddali – nim sobie uświadomiłem, że muszę go przeoczyć – dzwonek odległego o niespełna kilometr tramwaju, przejeżdżającego przez ulicę za granicą, w mieście, gdzie się urodziłem, a potem zobaczyłem wypełniający równinę u końca ulicy półksiężyc parku i ruiny Bol Ye'an.

Park był otoczony płotem, ale z góry mogłem zobaczyć znajdujący się po drugiej stronie teren. Porastały go drzewa i kwiaty, niektóre części były dzikie, inne wypielegnowane. Na północnym końcu znajdowały się przypominające na pierwszy rzut oka pustkowie ruiny. Wśród krzaków gdzieś widziało się kamienie zniszczonych świątyń, pokryte płótnem łączącym ze sobą wielkie namioty oraz budynki z prefabrykatów. W niektórych paliły się jeszcze światła. Na ziemi widziałem ślady prac, ale większość wykopów kryła się pod mocnymi namiotami. Na zwiędłą, zimową trawę padał blask latarni. Niektóre jednak były zepsute i nie rzucały nic oprócz cienia. Widziałem chodzące wokół postacie strażników strzegących zapomnianych, a potem odkopanych wspomnień.

W niektórych miejscach park i same wykopaliska przechodziły bezpośrednio w gruzy i chaszcze, w większości leżące w Ul Qomie, choć nie zawsze. Mogłoby się zdawać, że napierają one na ruiny, na samą historię. Wykopaliskom Bol Ye'an został może z rok, nim wymogi wzrostu miasta je zdławiają. Pieniądze przebijają się przez granicę z płyt wiórowych i blachy falistej, a potem, przy akompaniamencie oficjalnych wyrazów żalu nad tą smutną koniecznością, w Ul Qomie powstanie kolejny kwartał biurowców – przeszyty wstawkami

Beszel.

Znalazłem na planie drogę biegnącą z Bel Ye'an do biur Uniwersytetu Ulqomańskiego i zajmowanych przez Katedrę Archeologii Uniwersytetu Księcia Walii.

– Hej – usłyszałem nagle czyjś głos. To był funkcjonariusz *militysi* trzymający dłoń na rękojeści broni. Drugi przystanął krok za nim.

– Co pan tu robi?

– Interesuję się archeologią.

– Bez jaj. Kim pan jest?

Poruszył palcami, domagając się dokumentów. Kilku przeoczających nas beszańskich pieszych przeszło na drugą stronę ulicy, zapewne nieświadomie. Niewiele rzeczy budzi większy niepokój niż zagraniczne kłopoty tuż obok nas. Było już późno, ale w pobliżu znajdowała się też garstka ulqoman, którzy nawet nie udawali, że nas nie słuchają. Niektórzy nawet się zatrzymali, żeby się przyjrzeć.

– Jestem...

Podąłem im dokumenty.

– Tye Adder Borlo.

– Mniej więcej.

– Z policji?

Funkcjonariusze i gapie spojrzeli na mnie ze zdumieniem.

– Wasza *militysya* zaprosiła mnie jako konsultanta pomagającego w międzynarodowym śledztwie. Sugeruję, by skontaktował się pan ze starszym detektywem Dhattem z Wydziału Morderstw.

– O kurwa.

Oddalili się, by naradzić się poza zasięgiem mojego słuchu. Jeden z nich wysłał jakiś komunikat przez radio. Było za ciemno, bym mógł zrobić zdjęcia Bol Ye'an swą tanią komórką. Nozdrza wypełnił mi intensywny zapach jakiejś sprzedawanej na ulicy potrawy. Najwyraźniej to właśnie była najbardziej typowa woń Ul Qomy.

– Wszystko w porządku, inspektorze Borlú – oznajmił jeden z nich i oddał mi dokumenty.

– Przepraszamy – dodał drugi.

– Nie ma sprawy. – Czekali na więcej z poirytowanymi minami. – I tak już wracam do hotelu.

– Odprowadzimy pana, inspektorze – oznajmili i nie dali się przekonać do zmiany zdania.

Dhatt przyjechał po mnie rano i nie powiedział nic poza zdawkowymi uprzejmościami, gdy zastał mnie w jadalni, pijącego „tradycyjną ulqomańską herbatę” ze słodką śmietanką i jakąś nieprzyjemną przyprawą. Dopiero kiedy wsiedliśmy do samochodu i ruszył jeszcze szybciej i gwałtowniej niż jego kierowca wczoraj, usłyszałem od niego:

– Lepiej by było, gdybyś tam wczoraj nie chodził.

* * *

Większość wykładowców i studentów Uniwersytetu Księcia Walii, uczestniczących w ulqomańskim programie archeologicznym, przebywała w Bol Ye'an. Dotarłem tam po raz drugi w ciągu niespełna dwunastu godzin.

– Nie umówili nas na spotkanie – wyjaśnił Dhatt. – Rozmawiałem z profesorem Rochambeaux, kierownikiem projektu, i on się nas spodziewa, ale resztę będziemy musieli jakoś łapać.

W nocy, gdy byłem daleko, mogłem zajrzeć na teren parku, ale z bliska płot zasłaniał widok. Z zewnątrz strzegła go *militiya*, a od środka ochroniarze. Odznaka Dhatta pozwoliła nam bezzwłocznie wejść na teren małego kompleksu złożonego z prowizorycznych budynków. Miałem listę wykładowców i studentów. Najpierw poszliśmy do gabinetu Bernarda Rochambeaux. Profesor był żyłastym mężczyzną około piętnastu lat starszym ode mnie. Mówił po illitańsku z silnym quebeckim akcentem.

– Wszyscy jesteśmy zdruzgotani – oznajmił nam. – Rozumiecie, panowie, nie znałem tej dziewczyny osobiście. Znam tylko opinie o niej. I czasami widywałem ją w klubie. – Jego gabinet mieścił się w przenośnym baraku, na prowizorycznych półkach stały książki i teczki z papierami, a na ścianie wisiały zdjęcia profesora zrobione na różnych wykopaliskach. Z zewnątrz dobiegały głosy przechodzących obok młodych ludzi. – Oczywiście udzielimy wam wszelkiej możliwej pomocy. Nie znam blisko zbyt wielu studentów. Mam w tej chwili trójkę doktorantów, jeden jest w Kanadzie, a pozostała dwójka powinna być tam. – Wskazał na największy wykop. – Ich znam.

– A co z Yolandą Rodriguez? – Popatrzył na mnie z brakiem zrozumienia. – Czy ona była jedną z pańskich studentek? Zna ją pan?

– Nie, nie była jedną z tych trojga, inspektorze. Obawiam się, że nie mogę wam powiedzieć zbyt wiele. Czy... ona zaginęła?

– Tak. Co pan o niej wie?

– O mój Boże. Zaginęła? Nic o niej nie wiem. O Mahalii Geary oczywiście słyszałem, ale nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa poza uroczystym powitaniem studentów przed kilkoma miesiącami.

– To było trochę dawniej – poprawił go Dhatt. Rochambeaux popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Sam pan widzi, jak trudno jest śledzić bieg czasu. Naprawdę? Wszystko, co mógłbym wam o niej powiedzieć, z pewnością już wiecie. Jej promotorka z pewnością będzie dla was bardziej użyteczna. Rozmawialiście już z Isabelle?

Kazał sekretarce wydrukować listę wykładowców i studentów. Nie powiedziałem mu, że już taką mamy. Dhatt nie podał mi kartki, dlatego wziąłem ją sobie sam. Sądząc po

nazwiskach, pracowało tu dwóch ulqomańskich archeologów, zgodnie z wymogami prawa.

– Ma alibi na czas zabójstwa Geary – poinformował mnie Dhatt, kiedy wyszliśmy. – Jako jeden z nielicznych. – No wiesz, to była późna noc, więc jeśli chodzi o alibi, większość ma przesrane. On akurat miał wtedy telekonferencję z kolegą po fachu z niedogodnej strefy czasowej. Sprawdziliśmy to.

Gdy szukaliśmy gabinetu Isabelle Nancy, ktoś zawołał mnie po nazwisku. Szczupły, sześćdziesięcioletni, siwobrody mężczyzna w okularach biegł ku nam między prowizorycznymi barakami.

– Inspektor Borlú? – zapytał. Zerknął na Dhatta, ale zobaczył ulqomańskie insygnia i przeniósł spojrzenie z powrotem na mnie. – Słyszałem, że może się pan tu zjawić. Cieszę się, że udało mi się pana złapać. Jestem David Bowden.

– Miło mi pana poznać, profesorze Bowden. – Uścisnąłem mu dłoń. – Właśnie czytam pana książkę.

Potrząsnął głową z wyraźnie niezadowoloną miną.

– Jak rozumiem, mówi pan o pierwszej. O drugiej nikt nigdy nie wspomina. – Wypuścił moją dłoń. – Mogą pana za to aresztować.

Dhatt obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Gdzie jest pański gabinet, profesorze? – zapytał. – Jestem starszy detektyw Dhatt. Chciałbym z panem porozmawiać.

– Nie mam gabinetu, starszy detektywie. Spędzam tu tylko jeden dzień w tygodniu. I nie jestem profesorem, tylko zwykłym doktorem. Zresztą wystarczy David.

– Jak długo dziś pan tu będzie, doktorze? – zapytałem. – Czy moglibyśmy zamienić z panem słówko?

– Oczywiście, inspektorze, jeśli tylko zechcecie, ale, jak już mówiłem, nie mam gabinetu. Na ogół spotykam się ze studentami we własnym mieszkaniu. – Podał mi wizytówkę. Gdy Dhatt uniósł brwi, wyciągnął drugą dla niego. – Jest tam mój numer. Jeśli chcecie, mogę tu zaczekać. Zapewne znajdziemy jakieś miejsce na rozmowę.

– To znaczy, że nie przybył pan tu specjalnie po to, by spotkać się z nami?

– Nie, to przypadek. Właściwie nie powinno mnie tu dziś być. Moja doktorantka wczoraj się nie zjawiła i pomyślałem, że może znajdzie ją tu dzisiaj.

– Pana doktorantka?

– Tak. Pozwalają mi tylko na jedną – wyjaśnił z uśmiechem. – Dlatego nie potrzebuję gabinetu.

– A jak się ona nazywa?

– Yolanda. Yolanda Rodriguez.

Był przerażony, kiedy mu oznajmiliśmy, że jej nie znajdzie. Zająknął się, próbując coś powiedzieć.

– Zniknęła? Po tym co się przydarzyło Mahalii, teraz jeszcze Yolanda? O mój Boże. Czy

prowadzicie...

– Zajęliśmy się tą sprawą – przerwał mu Dhatt. – Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków.

Bowden wyraźnie był wstrząśnięty. Jego koledzy reagowali podobnie. Rozmawialiśmy kolejno z czworgiem uczonych obecnych na miejscu, w tym również z Thau'tim, starszym z dwóch uczestniczących w wykopaliskach ulqoman. Był młodym, małomównym mężczyzną. Tylko Isabelle Nancy, wysoka, dobrze ubrana kobieta nosząca dwie pary różnych okularów zawieszane na łańcuszkach na szyi, słyszała o zniknięciu Yolandy.

– Cieszę się, że panów poznałam, inspektorze i starszy detektywie. – Uścisnęła nam dłonie. Czytałam przedtem jej zeznania. Twierdziła, że w chwili śmierci Mahalii była w domu, ale nie potrafiła tego udowodnić. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc – powtarzała co chwila.

– Niech nam pani opowie o Mahalii. Mam wrażenie, że wszyscy ją tu znali, oprócz pani szefa.

– Ostatnio trochę mniej. Kiedyś, być może. Czy Rochambeaux powiedział, że jej nie znał? Trochę... minął się z prawdą. Niektórych nieźle poirytowała.

– Na tej konferencji w Beszel – wtrąciłem.

– Zgadza się. Był na niej. Większość z nas była. Ja, David, Marcus, Asina. Zresztą Mahalia wywoływała awantury też na innych konferencjach, pytała o *dissensi*, o Przekroczeniówkę i inne takie rzeczy. To właściwie nie jest zabronione, ale trochę wulgarne, rozumiecie panowie? Takie rzeczy słyszy się w hollywoodzkich filmach, a nie z ust prawdziwych badaczy zajmujących się Ul Qomą, przedrozmową historią, a nawet Beszel. Można było zobaczyć, że ważne szycy przychodzące na otwarte wykłady, ceremonie i tak dalej, robią się nagle ostrożne. A potem zaczęła bredzić o Orciny. David rzecz jasna był załamany. Uniwersytet okrył się wstydem i omal jej nie wyrzucili. Niektórzy beszańscy politycy narobili mnóstwo krzyku.

– Ale jakoś się wybroniła? – zapytał Dhatt.

– Ludzie chyba doszli do wniosku, że jest jeszcze młoda. Ktoś na pewno przemówił jej do rozsądku, bo wyraźnie się uspokoiła. Myślę, że ulqomańscy dygnitarze, którzy tam się pojawili, podzielali oburzenie swych beszańskich odpowiedników. Kiedy się dowiedziałam, że ma u nas robić doktorat, zdziwiłam się, że ją wpuścili. Najwyraźniej jednak wyrosła już ze swych ekscentrycznych poglądów. Składałam już zeznania w tej sprawie. Powiedźcie, czy wiecie, co się stało z Yolandą?

Dhatt i ja popatrzyliśmy na siebie.

– Nawet nie jesteśmy pewni, czy w ogóle coś się stało – odpowiedział starszy detektyw. – Badamy sprawę.

– To zapewne nic – powtórzyła kilka razy. – Ale z reguły zawsze ją tu widuję, a teraz nie zjawiała się już od kilku dni. Dlatego... chyba już wspominałam, że Mahalia zniknęła jakiś

czas przed tym, nim ją znaleziono?

– Znały się z Mahalią? – zapytałem.

– Były najlepszymi przyjaciółkami.

– Czy ktoś jeszcze może coś wiedzieć?

– Spotykała się z miejscowym chłopakiem. To znaczy Yolanda. Tak przynajmniej słyszałam. Ale nie potrafię wam powiedzieć, jak się nazywał.

– Czy to dozwolone? – zapytałem.

– To dorośli ludzie, proszę panów. Są młodzi, ale nie mamy prawa ich powstrzymywać. Hm, wyjaśniamy im niebezpieczeństwa wiążące się z życiem, a tym bardziej miłością, w Ul Qomie, ale co robią, gdy już tu się znajdują...

Wzruszyła ramionami.

Podczas tej wymiany zdań Dhatt przytupywał nerwowo.

– Chciałbym z nimi pogadać – odezwał się wreszcie.

Niektórzy czytali prasę w małej, prowizorycznej bibliotece. Inni, gdy wreszcie Nancy zaprowadziła nas do właściwych wykopów, stali albo siedzieli, zajęci pracą w głębokim dole. Spojrzeli na nas, odrywając wzrok od warstw widocznych na ścianach wykopu. Czy ta ciemna linia była pamiątką po dawnym pożarze? A czym mogła być ta biała?

Wokół wielkiego namiotu ciągnęły się chaszczce. Pośród ostów i innych chwastów wałyły się fragmenty murów. Wykopaliska zbliżały się rozmiarami do stadionu piłkarskiego. Rozwieszane sznury dzieliły je na liczne części. Ze zbitej ziemi podłoża sterczały nieorganiczne kształty przypominające wynurzające się na powierzchnię ryby: potłuczone dzbany, prymitywne i bardziej wyrafinowane statuetki, zaśniedziałe maszyny. Studenci spoglądali na nas z dołu. Siedzieli, każdy w swojej sekcji, oddzieleni od siebie sznurami, ściskając w dłoniach zaostrome kielnie i miękkie pędzle. Dwóch chłopaków i jedna dziewczyna wyglądali na Gotów, co w Ul Qomie widywało się znacznie rzadziej niż w Beszel czy w ich ojczyźnie. Z pewnością przyciągali mnóstwo uwagi. Uśmiechali się słodko do mnie i do Dhatta spod kredki do oczu i błota stuleci.

– Oto wykopaliska – odezwała się profesor Nancy. Staliśmy w pewnej odległości od wykopu, przyglądając się licznym śladom widocznym w warstwach gleby. – Rozumiecie, jak to wygląda? – Pod ziemią mogło się ukrywać wszystko. Mówiła cicho, więc jej studenci, choć widzieli, że rozmawiamy, zapewne nie słyszeli ani słowa. – Nie znaleźliśmy żadnych pisemnych świadectw z epoki poprzedników, pomijając kilka fragmentów wierszy. Słyszeliście o Gallimaufrianach? Przez długi czas, po tym, jak odkryto przedrozmowe zabytki i z niechęcią wykluczono błąd archeologów – roześmiała się – opowiadano o wymyślonym ludzie, który miał tłumaczyć istnienie owych szczątków. O hipotetycznej cywilizacji, która istniała tu przed założeniem Ul Qomy i Beszel, systematycznie wykopywała wszystkie znajdujące się w okolicy artefakty, od wywodzących się sprzed tysiącleci aż po babcine ozdóbki, a potem mieszała je ze sobą i zakopywała z powrotem albo po prostu

wyrzucała. – Zauważyła, że się jej przyglądam. – Oni nie istnieli – zapewniła. – Badacze zgadzają się co do tego. A przynajmniej większość z nich. To nie jest mieszanka. – Wskazała na wykop. – To pozostałości po materialnej kulturze, której na razie nie rozumiemy zbyt dobrze. Musimy przestać dopatrywać się regularności i nauczyć się po prostu patrzeć. – Obok siebie znajdowano przedmioty, które powinny pochodzić z różnych epok. W zapiskach żadnej z okolicznych kultur nie odkryto choćby najdrobniejszej wzmianki o przedrozmowych tubylcach, owych osobliwych ludziach, czarownikach i czarownicach z bajek, władających zaklęciami skażającymi pozostawione przez nich zabytki, używających astrolabiów, jakich nie powstydziliby się AzZarkali, garnków z wysuszonego na słońcu błota, kamiennych toporów wyglądających na wykonane przez naszych odległych przodków o płaskich czołach oraz pięknie odlanych z metalu zabawek w kształcie owadów. Pozostawione przez nich ruiny można było znaleźć w całej Ul Qomie, a niekiedy również w Beszel. – To są starszy detektyw Dhatt z *militysi* i inspektor Borlú z *policzai* – oznajmiła profesor Nancy studentom w dole. – Inspektor Borlú przybył do nas, by pomóc w śledztwie w sprawie... w sprawie tego, co spotkało Mahalię.

Kilkoro z nich rozdziawiło szeroko usta. Gdy kolejno przychodzili do świetlicy na rozmowę z nami, Dhatt skreślał z listy nazwiska, a ja podążałem za jego przykładem. Przesłuchiwano ich już wcześniej, ale byli potulni jak baranki i bez oporu odpowiadali na pytania, których z pewnością mieli już serdecznie dość.

– Ulżyło mi, kiedy usłyszałam, że przybyliście tu w sprawie Mahalii – oznajmiła Gotka. – Wiem, że to brzmi okropnie, ale pomyślałam, że znaleźliście Yolandę i coś się zdarzyło. – Nazywała się Rebecca Smith-Davis i była tu pierwszy rok. Zajmowała się rekonstrukcją naczyń. Rozplakała się, opowiadając o zabitej przyjaciółce i drugiej, zaginionej. – Pomyślałam, że ją znaleźliście i... no wiecie.

– Nawet nie jesteśmy pewni, że zaginęła – uspokajał ją Dhatt.

– Tak pan tylko mówi. Wiecie, że tak jest. Po tym, co się stało z Mahalią. – Potrząsnęła głową. – Obie interesowały się dziwnymi rzeczami.

– Orciny? – odpowiedziałem.

– Ehe. I innymi też. Ale, tak, Orciny. Yolanda była w to bardziej zaangażowana. Ludzie mówią, że Mahalia z początku też się tym pasjonowała, ale teraz już nie tak bardzo.

Ponieważ studenci byli młodszy od wykładowców i częściej balowali do późna w nocy, wielu z nich miało alibi na czas zamordowania Mahalii. W pewnej nieokreślonej chwili Dhatt oficjalnie uznał Yolandę za zaginioną. Jego pytania stały się potem bardziej precyzyjne, sporządzał też dłuższe notatki. Nie pomogło nam to jednak zbyt wiele. Nikt nie był pewien, kiedy ostatnio ją widział. Nie pojawiała się od kilku dni.

– Czy wiecie, co się mogło stać Mahalii? – pytał Dhatt kolejnych studentów. Wszyscy odpowiadali, że nie.

– Nie wierzę w spiski – oznajmił jeden z chłopaków. – To, co ją spotkało, było...

niewiarygodnie okropne, ale, no wie pan, myśl, że kryje się za tym jakaś wielka tajemnica... – Potrząsnął z westchnieniem głową. – Mahalia potrafiła... wkurzać ludzi. To się stało dlatego, że poszła do niewłaściwej części Ul Qomy w nieodpowiednim towarzystwie.

Dhatt skrętnie wszystko notował.

– Nie – zaprzeczyła zeznająca później dziewczyna. – Nikt nie znał Mahalii. Można było sądzić, że się ją poznało, ale wkrótce człowiek uświadamiał sobie, że ona ma mnóstwo tajemnic. Chyba trochę się jej bałam. Była bardzo poważna. I inteligentna. Może się z kimś spotykała. Z jakimś miejscowym świrem. Ona zawsze... Interesowały ją dziwaczne sprawy. Bardzo często widywałam ją w bibliotece... Mamy karty biblioteczne w tutejszej bibliotece uniwersyteckiej. W swoich książkach robiła na marginesach mnóstwo drobniutkich notatek.

Poruszyła dłonią, naśladowując ciasne pismo, a potem potrząsnęła głową, chcąc, byśmy się zgodzili, że to bardzo osobliwe.

– Dziwaczne sprawy? – zainteresował się Dhatt.

– No wie pan, krążyły różne plotki.

– Ehe, kogoś wkurzyła – zapewniała inna dziewczyna, mówiąca szybko i głośno. – Jednego z miejscowych świrów. Słyszeliście o tym, jak pierwszy raz przybyła do miast? To było w Beszel. Omal nie sprowokowała bójki. Z uczonymi i politykami. Na konferencji archeologicznej. To spory wyczyn. Zdumiewające, że pozwolili jej tu wrócić.

– Poszło o Orciny.

– Orciny? – spytał Dhatt.

– Ehe.

Ostatnim przesłuchiwanym był chudy, zasadniczy chłopak. Jego brudny T-shirt zdobiła postać z jakiejś kreskówki dla dzieci. Miał na imię Robert. Obrzucił nas żalobnym spojrzeniem, mrugając rozpaczliwie. Nie mówił za dobrze po illitańsku.

– Masz coś przeciwko temu, żebym porozmawiał z nim po angielsku? – zapytałem Dhatta.

– Nie – odparł. Jakiś mężczyzna wsunął głowę do środka i przyjrzał się nam z uwagą. – Proszę bardzo – dodał Dhatt. – Za chwilę wrócę.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Kto to był? – zapytałem chłopaka.

– Doktor UIHuan – wyjaśnił. Czyli drugi z pracujących tu ulqoman. – Znajdziecie winnego? – Mógłbym mu odpowiedzieć zwyczajowymi, pustymi frazesami, ale miał zbyt zrozpaczoną minę. Gapił się na mnie, przygryzając wargę. – Proszę.

– Dlaczego wspomniał pan o Orciny? – zapytałem po chwili.

– Chciałem... – Potrząsnął głową. – Nie wiem. Rozumie pan, ciągle o tym myślę. To niepokojące. Wiem, że to głupota, ale Mahalia zaangażowała się w tę sprawę po szyję, a teraz Yolanda poszła w jej ślady... No wie pan, robiliśmy sobie z niej jaja z tego powodu... – Opuścił wzrok i osłonił oczy dłonią, jakby nie miał siły mrugnąć. – To ja zadzwoniłem do

was w sprawie Yolandy. Kiedy nie mogłem jej znaleźć. Nie wiem dlaczego. Sam się temu dziwię.

Nie miał już nic więcej do powiedzenia.

* * *

– Coś mamy – powiedział Dhatt. Prowadził mnie chodnikami biegnącymi między barakami ku wyjściu z Bol Ye'an, przerzucając liczne notatki, wizytówki oraz numery telefonów zapisane na skrawkach papieru. – Nie wiem, co, ale coś mamy. Być może. Niech to chuj.

– Dowiedziałeś się czegoś od UIHuana? – zapytałem.

– Słucham? Nie. – Zerknął na mnie. – Potwierdził większość tego, co powiedziała Nancy.

– Wiesz, o jakiej ciekawej sprawie nic nie usłyszeliśmy? – zapytałem.

– He? Nie rozumiem – odparł Dhatt. – Naprawdę, Borlú – dodał, gdy zbliżaliśmy się do bramy. – O co ci chodzi?

– To była grupa młodzieży z Kanady, zgadza się...

– W większości. Jeden Niemiec i jedna Jankeska.

– Czyli sami Europejczycy i Północni Amerykanie. Nie oszukujmy się. To może się nam wydawać nieco obraźliwe, ale obaj wiemy, jaka kwestia najbardziej fascynuje cudzoziemców przybywających do Beszel i Ul Qomy. Zauważ, że ani jedno z nich nie wspomniało o niej, w żadnym kontekście.

– O czym... – Dhatt przerwał. – Przekroczeniówka.

– Nikt z nich nawet się nie zająknął o Przekroczeniówce. Jakby się jej bali. Wiesz równie dobrze jak ja, że z reguły to pierwsza i jedyna rzecz, o której cudzoziemcy chcą się czegoś dowiedzieć. Co prawda, ci tutaj są lepiej zasymilowani niż większość ich rodaków, ale to i tak dziwne. – Pomachaliśmy rękami do strażników, by im podziękować za otworenie bramy, a potem wyszliśmy na zewnątrz. Dhatt pokiwał z namysłem głową. – Gdyby ktoś, kogo znamy, nagle zniknął bez śladu, to jedna z pierwszych rzeczy, która przysłaby nam na myśl, prawda? – ciągnąłem. – Nawet gdybyśmy bardzo chcieli uniknąć tej myśli. A co dopiero mówić o ludziach, dla których unikanie przekroczenia musi być znacznie trudniejsze niż dla nas.

– Panowie! – To był jeden z ochroniarzy, atletycznie zbudowany młodzieniec z irokezem jak u Davida Beckhama w środkowym okresie kariery. – Proszę panów! – Potruchtał ku nam. – Chciałem was o coś zapytać – wyjaśnił po chwili. – Prowadzicie śledztwo w sprawie Mahalii Geary, prawda? Chciałem się dowiedzieć... Chciałem się dowiedzieć, czy coś znaleźliście. Czy coś już macie? Czy mogli uciec?

– Dlaczego pan pyta? – odezwał się po chwili Dhatt. – Kim pan jest?

– Ja? Nikim, proszę pana. Ja tylko... To smutna, straszliwa sprawa i wszyscy, ja i reszta strażników, czujemy się okropnie z tego powodu i chcemy wiedzieć, kto to zrobił...

– Inspektor Borlú – przedstawiłem się. – Jak pan się nazywa?

– Jestem Aikam, Aikam Tsueh.

– Przyjaźnił się pan z ofiarą?

– Jasne, trochę. Nie naprawdę, ale wie pan, znałem ją. Zawsze mówiłem jej „cześć”.
Chciałem się tylko dowiedzieć, czy coś znaleźliście.

– Nawet gdybyśmy znaleźli, nie moglibyśmy panu nic powiedzieć, Aikam – odparł Dhatt.

– Nie w tej chwili – dodałem. Starszy detektyw zerknął na mnie znacząco. – Najpierw musimy wszystko uporządkować. Ale czy moglibyśmy zadać panu parę pytań?

Przez jego twarz przemknął cień niepokoju.

– Ja nic nie wiem. Ale jasne, jeśli chcecie. Bałem się, że winni wymkną się *militysi* i uciekną z miasta. Czy to możliwe?

Podaliśmy mu notes i zapisał w nim swój numer telefonu, a potem wrócił na stanowisko. Dhatt i ja odprowadzaliśmy go wzrokiem.

– Przesłuchaliście strażników? – zapytałem.

– Oczywiście. Nie powiedzieli nic ciekawego. To prywatni ochroniarze, ale wykopaliskami zarządza ministerstwo, więc pilnują ich nieco staranniej niż zwykle. Większość ma alibi na noc śmierci Mahalii.

– A on?

– Sprawdzę to, ale nie przypominam sobie, żeby przy jego nazwisku postawiono znaczek, więc zapewne je miał.

Aikam Tsueh odwrócił się przy bramie i zauważył, że się mu przyglądamy. Uniósł niepewnie rękę i pomachał nam na pożegnanie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jeśli tylko posadzić go w kawiarni – czy raczej w herbaciarni, bo przecież byliśmy w Ul Qomie – agresywna energia Dhatta rozpraszała się nieco. Nadal bębnił palcami o krawędź stołu w skomplikowanym rytmie, którego nie umiałbym powtórzyć, ale patrzył mi w oczy i nie wiercił się na krześle. Słuchał mnie i zgłaszał przemyślane propozycje dalszych kroków. Odwracał głowę, by czytać moje notatki. Odbierał wiadomości z komendy. W sumie całkiem nieźle sobie radził z ukrywaniem faktu, że mnie nie lubi.

– Chyba musimy ustanowić jakiś protokół dotyczący przesłuchań – oznajmił, gdy tylko usiedliśmy. – Mamy za dużo kucharek.

Wyszeptalem niezobowiązujące przeprosiny. Personel kawiarni nie chciał od Dhatta pieniędzy, a on nie upierał się, że zapłaci.

– Upust dla *militysi* – wyjaśniła kelnerka. W lokalu nie było wolnych miejsc. Dhatt gapił się na stolik ustawiony przy frontowym oknie, aż wreszcie siedzący tam mężczyzna zauważył jego spojrzenie i wstał. Za oknem mieliśmy widok na stację metra. Wśród wielu plakatów wiszących na ścianie był jeden, który zobaczyłem, by zaraz go przeoczyć. Nie byłem pewien, czy to nie ten, który kazałem rozwiesić, by zidentyfikować Mahalię. Nie wiedziałem, czy mam rację, czy ściana jest alteracją, w całości znajdującą się w Beszel, czy może jest przepłotowa i pokrywa ją mieszanina informacji z różnych miast.

Ulqomanie wychodzący ze stacji wzdychali, poczuwszy chłód, i otulali się szczelniej w polary. Wiedziałem, że w Beszel ludzie noszą teraz futra, choć starałem się przeoczyć beszańskich obywateli wychodzących z dworca naziemnej kolejki Yanjelus, odległego tylko o kilkadziesiąt metrów od podziemnej ulqomańskiej stacji. Wśród tłumu widziałem ludzi wyglądających na Azjatów albo Arabów, a nawet kilku Afrykanów. Było ich tu znacznie więcej niż w Beszel.

– Polityka otwartych drzwi?

– Bynajmniej – zaprzeczył Dhatt. – Ul Qoma potrzebuje ludzi, ale wszystkich, których widzisz, starannie sprawdzono. Musieli zdać testy i wiedzą, jak się zachować. Niektórzy nawet mają tu dzieci. Ulqomańskie murzyniątka! – Zaśmiał się z zachwytem. – Mamy ich więcej niż u was, ale nie dlatego, że jesteśmy zbyt pobłażliwi.

Miał rację. Któż chciałby emigrować do Beszel?

– A co z tymi, którzy się nie dostali?

– Och, mamy obozy, tak samo jak wy, rozrzucone tu i ówdzie na przedmieściach. ONZ nie jest z tego zadowolona. Amnesty International również nie. Wam też suszą głowę o warunki w obozach? Masz ochotę zapalić?

Kilka metrów od wejścia do herbaciarni był kiosk z papierosami. Nawet nie zauważyłem, że się na niego gapię.

– Nie za bardzo. A właściwie to tak. Z ciekawości. Nie paliłem ulqomańskich papierosów. Chyba nigdy w życiu.

– Zaczekaj.

– Nie, nie wstawaj. Właściwie to rzuciłem palenie.

– Och, daj spokój, to coś jakby etnografia, nie jesteś w domu... Przepraszam, już nie będę. Nie znoszę ludzi, którzy to robią.

– To znaczy co?

– Wciskają różne rzeczy ludziom, którzy się odzwyczaili. A przecież nawet nie pałę. – Roześmiał się i pociągnął łyk herbaty. – W przeciwnym razie można by to wytłumaczyć, że jestem na ciebie wkurwiony, bo zdołałeś zerwać z nałogiem. Chyba wkurzasz mnie bez powodu, bo jestem wrednym skurczybykiem.

Znowu się roześmiał.

– Posłuchaj, przepraszam, że, no wiesz, tak się wtrącam...

– Myślę, że po prostu potrzebujemy protokołów. Nie chcę, żebyś pomyślał...

– Rozumiem.

– Dobra, nie ma się czym przejmować. To może ja pogadam z następnym? – zapytał.

Obserwowałem Ul Qomę. Pogoda była zbyt pochmurna na taki ziąb.

– Mówisz, że ten Tsueh ma alibi?

– Ehe. Sprawdzili to dla mnie. Większość tych ochroniarzy jest żonata i żony za nich poręczyły. Wiem, że to gówno warte, ale nie znaleźliśmy żadnych związków między któryś z nich a ofiarą. Najwyżej kłaniali się sobie na korytarzu. Tsueh naprawdę pił tej nocy ze studentami. Jest wystarczająco młody, by się z nimi fraternizować.

– To dogodne. I nietypowe.

– Jasne. Ale nic go nie łączy z tą sprawą. Chłopak ma dziewiętnaście lat. Opowiedz mi o furgonetce. – Powtórzyłem raz jeszcze całą historię. – Światło, czy będę musiał pojechać z tobą do was? – zapytał. – Wygląda na to, że szukamy beszanina.

– Ktoś z Beszel przeprowadził samochód przez granicę, ale wiemy, że zbrodnię popełniono w Ul Qomie. Jeśli nie było tak, że sprawca ją zamordował, a potem popędził do Beszel, ukradł furgonetkę, wrócił, załadował ciało i przewiózł je do Beszel, a moglibyśmy też zapytać, dlaczego porzucił je akurat tam, jeśli więc wykluczymy tę możliwość, musiał zadzwonić za granicę i poprosić o przysługę. To znaczy, że sprawców jest dwóch.

– Mógł przekroczyć.

Poruszyłem się nerwowo.

– Ehe – przyznałem. – To niewykluczone. Ale wszystko wskazuje na to, że zadał sobie sporo trudu, by uniknąć przekroczenia. I zawiadomić nas o tym.

– Ten sławetny film. To ciekawe, że znalazł się akurat w takiej chwili...

Popatrzyłem na Dhatta, ale nie wyczytałem w jego twarzy oznak drwiny.

– Nie sądzisz?

– Och, daj spokój, Borlú, dziwi cię to? Ten, kto to zrobił, był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że z granicami trzeba uważać. Dlatego zadzwonił do kumpla po waszej stronie, a teraz robi w portki ze strachu, że dorwie go Przekroczeniówka. A to byłoby niesprawiedliwe. Dlatego znalazł sobie małego pomocnika w Hali Łącznikowej albo w Wydziale Ruchu czy czymś w tym rodzaju, a ten przekazał wiadomość, o której godzinie furgonetka przekroczyła granicę. W końcu beszańscy urzędnicy raczej nie są nieskazitelni.

– Z pewnością.

– Sam widzisz. Od razu masz weselszą minę. – Jego sugestie znaczyłyby, że mamy do czynienia ze spiskiem zakrojonym na mniejszą skalę niż w innych rysujących się na horyzoncie teoriach. Ktoś wiedział, jakich furgonetek szukać. Ktoś sprawdził całą kupę nagrań. Co jeszcze? W tak pogodny, choć mroźny dzień, gdy kolory Ul Qomy blakły od zimna, zmieniając się w bardziej codzienne odcienie, dopatrywanie się w każdym kącie Orciny wydawało się absurdem. – Zacznijmy od początku – ciągnął Dhatt. – Nic nie osiągniemy, próbując wytropić kierowcę tej pierdolonej furgonetki. Mam nadzieję, że wasi ludzie nad tym pracują. My nie mamy nic poza opisem pojazdu, a kto w Ul Qomie przyzna, że w ogóle zauważył beszańską furgonetkę, nawet jeśli miała pozwolenie na wjazd? Dlatego cofnijmy się do punktu wyjścia. Co naprowadziło cię na ślad? – Przyjrzałem mu się z uwagą, zastanawiając się nad biegiem wydarzeń. – Kiedy ofiara przestała być Nieznanym Ciałem Numer Jeden? Od czego to się zaczęło?

W hotelu zostawiłem notatki z rozmowy z państwem Geary. Ich adres e-mailowy i numer telefoniczny miałem w notesie. Nie zabrali ze sobą ciała córki i nie mogli po nie wrócić. Mahalia Geary leżała w lodówce i czekała. Można powiedzieć, że na mnie.

– Od telefonu.

– Tak? Od informatora?

– W pewnym sensie. Ten telefon doprowadził mnie do Drodina.

Zauważyłem, że Dhatt przypomina sobie akta, w których opisano to inaczej.

– Co ty... Kto to był?

– Na tym właśnie polega problem... – przerwałem na dłuższą chwilę. Spojrzałem na blat i zacząłem rysować palcem w rozlanej herbacie. – Nie jestem pewien, jak to... To był telefon stąd.

– Z Ul Qomy? – Skinąłem głową. – Jak to, kurwa? Od kogo?

– Nie przedstawił mi się.

– Dlaczego zadzwonił?

– Widział nasze plakaty. Tak. Nasze plakaty rozlepione w Beszel.

Dhatt pochylił się nad blatem.

– Nie pierdol. Kto to był?

– Zdajesz sobie sprawę, że to stawia mnie...

– Pewnie, że tak. – Był skupiony i mówił szybko. – Pewnie, że tak. Daj spokój, jesteś policjantem, chyba nie myślisz, że cię zakapuję? To zostanie między nami. Kto to był?

To nie była drobna sprawa. Jeśli byłem współwinny przekroczenia, on stanie się współnikiem współwinnego. Nie sprawiał jednak wrażenia, by się tym przejmował.

– Myśle, że to był unif. No wiesz, unifikcjonista.

– Tak powiedział?

– Nie. Chodzi o to, co mówił i jakich sformułowań używał. Wiedziałem, że to całkowicie poufna rozmowa, ale w ten sposób trafiłem na właściwy ślad... Co jest?

Dhatt wyprostował się na krześle. Bębnił teraz palcami szybciej i nie patrzył na mnie.

– Kurwa, wreszcie coś mamy. Nie potrafię uwierzyć, że wcześniej o tym nie wspomniałeś.

– Spokojnie, Dhatt.

– Dobra, potrafię... no wiesz, rozumiem, w jakiej sytuacji cię to stawia.

– Nie mam pojęcia, kto to był.

– Mamy jeszcze czas. Może uda się nam przekazać sprawę i wyjaśnić, że po prostu trochę się spóźniłeś...

– Co chcesz przekazać? Nic nie mamy.

– Mamy skurwysyńskiego unifa, który coś wie. Ruszajmy.

Wstał, pobrzękując kluczykami samochodu.

– Dokąd chcesz jechać?

– Pora wziąć się do pieprzonej roboty!

* * *

– No jasne, niech to szlag – mruknął Dhatt, pędząc na sygnale przez ulice Ul Qomy. Zakręcał co chwila, wrzeszcząc na umykających mu z drogi ulqomańskich obywateli, omijał bez słowa beszańskich pieszych i samochody. Na jego twarzy malował się nieokreślony lęk przed międzynarodowym incydem. Gdybyśmy teraz przejechali beszanina, czekałby nas biurokratyczny koszmar. Przekroczenie nie pomogłoby nam nawet w najmniejszym stopniu.

– Yari, mówi Dhatt – zawołał do komórki. – Wiesz, gdzie może teraz być kwatery główna unifów? Świetnie, dziękuję. – Zamknął klapkę. – Wygląda na to, że coś mamy. Wiedziałem, że gadałeś z beszańskimi unifami. Czytałem twój raport. Ależ ze mnie dureń – walnął się dwa razy w czoło otwartą dłonią – że nie przyszło mi do głowy pogadać z miejscowymi, mimo że

te skurwysyny, akurat te bardziej niż jakiegokolwiek inne, a skurwysynów u nas, Tyad, nie brakuje, wszystkie ze sobą rozmawiają. Wiem, gdzie można ich spotkać.

– Tam właśnie jedziemy?

– Nienawidzę tych kutafonów. Mam nadzieję... Oczywiście spotkałem wielu fajnych beszan. – Zerknął na mnie. – Nie mam nic przeciwko waszemu miastu i chciałbym kiedyś je odwiedzić. To świetnie, że nasze stosunki układają się teraz tak dobrze, no wiesz, lepiej niż kiedyś. Po cholere się zreć? Ale jestem ulqomaninem i niech mnie chuj, jeśli chciałbym zostać kimś innym. Wyobrażasz sobie unifikację? – Roześmiał się. – Kurwa, to byłaby katastrofa! W jedności siła, też coś. Niech mnie całują w ulqomańską dupę. Wiem, że krzyżowanie wzmacnia zwierzęta, ale co by było, gdybyśmy odziedziczyli, na przykład, ulqomańską punktualność i beszański optymizm?

Roześmiałem się. Przejechaliśmy między starożytnymi, pełnymi plam, kamiennymi słupami drogowymi. Poznałem je ze zdjęć i przypomniałem sobie poniewczasie, że powinienem zobaczyć tylko ten po wschodniej stronie drogi. Drugi znajdował się w Beszel. Tak przynajmniej twierdziła większość. To był jeden ze spornych punktów. Beszańskie budynki, których nie zdołałem całkowicie przeoczyć, były tu schludne i zadbane, ale w Ul Qomie dzielnica chyliła się ku upadkowi. Mijaliśmy kanały i przez kilka sekund miałem trudności z określeniem, w którym mieście – czy może w obydwóch – się znajdują. Dhatt zahamował gwałtownie przy zachwaszczonym podwórku, na którym zza od dawna unieruchomionego citroena wyrastały pokrzywy przypominające ciągnące się za poduszkwocem strugi powietrza. Wsiadł szybciej, nim zdążyłem odpiąć pas.

– W dawnych czasach po prostu przymknęlibyśmy wszystkich skurwieli – stwierdził, kierując się ku zniszczonym drzwiom. W Ul Qomie nie było legalnych organizacji unifikacjonistów, podobnie jak partii socjalistycznych, religijnych czy faszystowskich. Od czasu Srebrnej Odnowy, przeprowadzonej przed blisko stuleciem przez generała Ya Ilse, jedyną legalną partią była tu Ludowa Partia Narodowa. W wielu starszych biurach i lokalach nadal wisiały portrety owego przywódcy, nierzadko nad podobiznami „braci Ilisy”, Atatürka i Tity. Często powiadano, że między nimi zawsze znajduje się wyblakła plama, w miejscu, gdzie ongiś uśmiechał się trzeci brat, Mao, który później popadł w niełaskę. Mamy już jednak dwudziesty pierwszy wiek i prezydent Ul Mak, którego portrety można znaleźć w instytucjach, kierowanych przez największych lizusów, podobnie jak prezydent Umbir przed nim, ogłosił, z pewnością nie odrzucenie, ale udoskonalenie Drogi Narodowej, zerwanie z restrykcyjnym myśleniem, głośnostrojkę, że użyję ohydneho neologizmu stworzonego przez ulqomańskich intelektualistów. Pojawiły się sklepy z płytami CD i DVD, firmy produkujące oprogramowanie i galerie handlowe, a wzrost gospodarczy i zrewaloryzowany dinar przyniosły ze sobą Nową Politykę, otwartość na uważanych do tej pory za niebezpiecznych dysydentów. Rzecz jasna nie zalegalizowano radykalnych organizacji, nie wspominając już o partiach, ale głoszone przez nie idee czasami uwzględniano w publicznym dyskursie. Jeśli

takie organizacje zachowywały się powściągliwie i nie uprawiały zbyt natarczywej propagandy, tolerowano je. Tak przynajmniej słyszałem. – Otwierać! – Dhatt walnął pięścią w drzwi. – To melina unifów – poinformował mnie. – Ciągłe rozmawiają przez telefon ze swoimi koleżkami w Beszel. W końcu są unifami, tak?

– Jak wygląda ich status?

– Powiedzą nam, że są tylko grupką znajomych, którzy spotykają się, żeby pogadać. Nie mają legitymacji członkowskich ani nic w tym rodzaju. Nie są głupi. Nie potrzebowalibyśmy cholernego psa tropiącego, żeby znaleźć u nich kontrabandę, ale nie po to chciałem tu przyjechać.

– A właściwie po co? – zapytałem, spoglądając na wałce się ulqomańskie fasady. Graffiti po illitańsku żądały, by taki a taki spierdalał, albo informowały, że taka i owaka robi laskę. Przekroczeniówka z całą pewnością obserwowała to miejsce.

Dhatt spojrział na mnie spokojnie.

– Ten, kto do ciebie zadzwonił, zrobił to stąd. Albo bywa w tym miejscu. W zasadzie mogę to zagwarantować. Chcę się dowiedzieć, co robią nasi mali wywrotowcy. Otwierać! – krzyknął do drzwi. – Będą powtarzać: „kto, my?”, ale nie daj się nabrać. Z wielką radością spuszcza łomot każdemu, kto, cytując: „działa przeciwko unifikacji”, koniec cytatu, niech ich chuj. Otwierać!

Tym razem drzwi go posłuchały. W wąskiej szczelinie pojawiła się twarz drobnej, młodej kobiety. Jej wygolone skronie zdobiły wytatuowane ryby oraz kilka liter bardzo starego alfabetu.

– Kim... Czego chcecie?

Być może wysłali dziewczynę, licząc na to, że jej widok zawstydzi Dhatta i powstrzyma go przed tym, co zrobił później, to znaczy popchnięciem drzwi tak mocno, że aż przewróciła się na plecy w ciemnym jak grota korytarzu.

– Wszyscy do mnie! – zawołał, omijając potarganą punkówkę. Po krótkim zamieszaniu, gdy z pewnością rozważali możliwość ucieczki i odrzucili ten pomysł, pięcioro obecnych w domu ludzi zebrało się w kuchni. Dhatt kazał im usiąść na rozklekotanych krzesłach. Żadne z nich nie patrzyło na nas. Starszy detektyw stanął przy stole i pochylił się ku nim. – No dobra – zaczął. – Rzecz w tym, że ktoś zadzwonił do mojego szacownego kolegi, który ma wielką ochotę przypomnieć sobie tę rozmowę. My zaś mamy wielką ochotę dowiedzieć się, kto był tak uczynny. Nie będę marnował waszego czasu, udając, że wierzę, że któreś z was się przyzna. Po prostu wszyscy kolejno powiecie: „Inspektorze, mam panu coś do powiedzenia”.

Wszyscy spojrzeli na niego. Uśmiechnął się i skinał dłonią, każąc im zaczynać. Gdy tego nie zrobili, zdzielił w głowę siedzącego najbliżej mężczyznę. Ten krzyknął z bólu, jego towarzysze wrzasnęli z oburzenia, a z moich ust wyrwało się westchnienie niedowierzania.

Unifikacjonista uniósł powoli głowę. Na jego czole formował się już siniak.

– Inspektorze, mam panu coś do powiedzenia – zażądał Dhatt. – Będziemy to powtarzać

tak długo, aż wreszcie znajdziemy winnego. Albo winną. – Zerknął na mnie. Zapomniał się upewnić. – Tak to już jest z gliniarzami.

Uniosł rękę, gotowy uderzyć na odlew pierwszego mężczyznę. Potrząsnąłem głową i uniosłem nieco rękę. Unifikacjoniści jęknęli chórem. Ten, któremu zagroził Dhatt, spróbował wstać, ale starszy detektyw złapał go drugą ręką za ramię i popchnął z powrotem na krzesło.

– Yohan, powiedz to i już! – zawołała punkówka.

– Inspektorze, mam panu coś do powiedzenia.

Wszyscy powtarzali to w kółko.

– Inspektorze, mam panu coś do powiedzenia. Inspektorze, mam panu coś do powiedzenia...

Jeden z mężczyzn za pierwszym razem wypowiedział te słowa tak powoli, że można to było uznać za prowokację, ale Dhatt uniosł tylko brwi i ponownie zdzielił jego towarzysza. Cios był słabszy niż poprzednio, ale tym razem popłynęła krew.

– Kurewskie Świąte Światło!

Zatrzymałem się przy drzwiach. Dhatt kazał im powtórzyć to zdanie jeszcze raz, a także wymienić nazwiska.

– I co? – zapytał mnie.

Rzecz jasna nie mogła to być żadna z dwóch kobiet. Jeden z mężczyzn miał piskliwy głos, a jego akcent pochodził z nieznannej mi części miasta. Dwóch pozostałych nie mogłem jednak wykluczyć. Zwłaszcza głos młodszego z nich – nie tego, którego uderzył Dhatt – wydawał mi się znajomy. Chłopak – powiedział nam, że nazywa się Dahar Jaris – miał na sobie wytartą dzinsową kurtkę z anglojęzycznym napisem NoMeansNo na plecach. Krój czcionki kazał mi podejrzewać, że to nazwa grupy, nie slogan. Gdyby wypowiedział dokładnie te same słowa, co wtedy, albo gdybym usłyszał z jego ust tę samą, od dawna martwą postać języka, mógłbym się upewnić. Dhatt zauważył, że patrzę na młodzieńca i wskazał na niego palcem. Potrząsnąłem głową.

– Powtórz to jeszcze raz – rozkazał chłopakowi starszy detektyw.

– Nie – sprzeciwiłem się, ale Jaris zdążył już powtórzyć to samo zdanie. – Ktoś zna tu archaiczny illitański albo beszański? Język wyjściowy? – zapytałem. Popatrzyli na siebie nawzajem. – Wiem, wiem. Nie ma żadnego illitańskiego ani beszańskiego i tak dalej? Czy ktoś tu go zna?

– Wszyscy go znamy – potwierdził starszy mężczyzna. Nadal nie otarł krwi z wargi. – Mieszkamy w mieście i to jest jego język.

– Uważaj – ostrzegł go Dhatt. – Mogę ci za to postawić zarzuty. To on, zgadza się? – zapytał, znowu wskazując na Jarisa.

– Daj sobie z tym spokój – odparłem.

– Kto znał Mahalię Geary? – zapytał Dhatt. – Byleż Mar?

– Maryę – dodałem. – Wszystko jedno. – Starszy detektyw wyciągnął z kieszeni jej

zdjęcie. – To nie jest żadne z nich – stwierdziłem, wycofując się z pomieszczenia. – Daj spokój. Chodźmy już stąd.

Podszedł bliżej i obrzucił mnie pytającym spojrzeniem.

– Hm? – mruknął. Potrząsnąłem głową. – Oświeć mnie, Tyador. – W końcu wydał wargi i zwrócił się ku unifikacjonistom. – Bądźcie ostrożni – ostrzegł ich i wyszedł. Odprowadzali go spojrzeniami, pięć zdumionych, przerażonych twarzy, jedna z nich ociekająca krwią. Podejrzewam, że moja własna twarz zastygła jak maska w próbie ukrycia wszelkich uczuć. – Nie wiem, co kombinujesz, Borlú – oznajmił, kiedy wracaliśmy. Jechał teraz znacznie wolniej. – Nie rozumiem, co właściwie się stało. Wycofałeś się, a to był nasz najlepszy ślad. Jedyne, co ma sens, to że boisz się oskarżenia o współudział. Jasne, jeśli zadzwonili do ciebie i podjąłeś działania, wykorzystasteś tę informację, to jest przekroczenie. Ale nikt nie będzie się ciebie czepiał, Borlú. To było tylko maleńkie przekroczenie i wiesz równie dobrze jak ja, że zapomną o tym, jeśli odkryjemy coś większego.

– Nie wiem, jak to wygląda w Ul Qomie, ale w Beszel przekroczenie to przekroczenie – sprzeciwiłem się.

– Nie chrań. Co to właściwie znaczy? Czy o to chodzi? – Zwolnił za beszańskim tramwajem. Zakołysaliśmy się na cudzoziemskich torach przeplotowej ulicy. – Kurwa, Tyador, możemy to rozwiązać, możemy coś odkryć, nie ma sprawy, jeśli to cię gryzie.

– Nie o to chodzi.

– Kurwa, mam nadzieję, że o to. Bo jeśli nie, to co cię ugryzło? Posłuchaj, nie będziesz musiał się narażać na oskarżenia ani nic...

– Nie o to chodzi. Żaden z nich nie był tym, który do mnie zadzwonił. Nie mam nawet pewności, czy to rzeczywiście był telefon zza granicy. To znaczy stąd. Niczego nie jestem pewien. To mógł być świr.

– Jasne. – Wysadził mnie pod hotelem, ale nie wysiadł z samochodu. – Mam mnóstwo papierkowej roboty – oznajmił. – Myślę, że ty też. Weź sobie parę godzin wolnego. Powinniśmy znowu porozmawiać z profesorem Nancy i chcę też pogadać z Bowdenem. Czy to możesz zaakceptować? Czy gdybyśmy tam wpadli i zadali kilka pytań, uznałbyś, że takie metody są do przyjęcia?

* * *

Po paru próbach udało mi się dodzwonić do Corwi. Z początku próbowaliśmy się trzymać swojego głupiego kodu, ale szybko nam się odechciało.

– Przepraszam, szefie. Nie jestem najgorsza w te klocki, ale nie ma szans, żebym wydestała osobiste dane Dhatta z serwerów *military*. Sprowokowalibyśmy międzynarodowy incydent. Co właściwie chcesz wiedzieć?

– Chciałem tylko poznać jego historię.

- Ufasz mu?
 - Kto wie? Tutejsze gliny są raczej staromodne.
 - To znaczy?
 - Lubią energiczne metody przesłuchiwania.
 - Powiem o tym Naustinowi. Będzie zachwycony i postara się o przeniesienie. Robisz wrażenie wkurzonego, szefie.
 - Zrób mi przysługę i spróbuj się czegoś dowiedzieć, dobra?
- Rozłączyłem się i wziąłem do ręki *Między miastem a miastem*, ale szybko ją odłożyłem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Nie poszczęściło się wam z furgonetką? – zapytałem.

– Żadna z naszych kamer jej nie zarejestrowała – odparł Dhatt. – I nikt jej nie widział. Gdy tylko opuściła Halę Łącznikową i wjechała do naszego miasta, zamieniła się w mgłę.

Obaj wiedzieliśmy, że wygląd samochodu i beszańskie tablice rejestracyjne sprawiały, że każdy, kto zauważył go w Ul Qomie, dochodził do wniosku, że furgonetka znajduje się za granicą i pośpiesznie ją przeoczał.

Gdy Dhatt pokazał mi na planie, jak blisko jest z posterunku do mieszkania Bowdena, zasugerowałem, byśmy pojechali metrem. Poznałem już przedtem paryskie, moskiewskie i londyńskie. Ulqomańskie było ongiś utrzymane w znacznie bardziej brutalistycznym stylu. Spełniało to swoje zadanie i mogło niektórym imponować, ale cały ten beton wywierał dość przytłaczające wrażenie. Nieco ponad dziesięć lat temu metro odnowiono, przynajmniej stacje położone w wewnętrznych strefach miasta. Do każdej przydzielono innego artystę albo projektanta. Każdemu z nich powiedziano, że pieniądze nie mają znaczenia. Była to przesada, ale nie aż tak wielka, jak mogłoby się zdawać.

Rezultaty były niespójne, niekiedy olśniewające, różnorodne w stopniu przyprawiającym o zawrót głowy. Najbliższy przystanek za hotelem zdobiła kiczowata imitacja *art nouveau*. Pociągi były czyste, szybkie i pełne. Na niektórych trasach, w tym również na tej, poruszały się bez maszynisty. Stację Ul Yir, położoną kilka przecznic od sympatycznej, nudnej okolicy, w której mieszkał Bowden, udekorowano konstruktywistycznymi liniami połączonymi z kolorami w stylu Kandinsky'ego. W gruncie rzeczy zaprojektował ją beszański artysta.

– Bowden wie, że przyjedziemy?

Dhatt uniósł rękę, każąc mi poczekać. Wyszliśmy już na ulicę i przycisnął komórkę do ucha, słuchając nagranej wiadomości.

– Ehe – potwierdził po chwili, zamykając klapkę. – Czeka na nas.

Mieszkanie Davida Bowdena znajdowało się na pierwszym piętrze. Budynek był tak wąski, że zajmowało całą kondygnację. Wypełnił je dziełami sztuki, pamiątkami, antykami z dwóch miast, a także – przynajmniej na moje ignoranckie oko – z epoki poprzedników. Powiedział nam, że nad nim mieszka pielęgniarka z synem, a na dole lekarz z Bangladeszu, przebywający w Ul Qomie jeszcze dłużej od niego.

– Dwóch imigrantów w jednym domu? – zdziwiłem się.

– To właściwie nie jest przypadek – wyjaśnił. – Na górze mieszkała kiedyś była pantera, ale umarła. – Wytrzeszczyliśmy oczy ze zdziwienia. – Kobieta z Czarnych Panter – wyjaśnił. – Uciekła z kraju po zabójstwie Freda Hamptona. Najczęściej wyjeżdżali do Chin, na Kubę albo do Ul Qomy. Kiedy pierwszy raz tu przybyłem, jeśli człowiek dowiedział się od przydzielonego mu urzędnika, że zwolniło się mieszkanie, brał je bez pytania, i niech mnie szlag, jeśli wszystkie budynki, w których się zatrzymywaliśmy, nie były pełne cudzoziemców. Słyszeliście o marmite? Nie? To znaczy, że nigdy nie spotkaliście brytyjskiego szpiega na wygnaniu. – Nieproszony nalał nam obu po kieliszku czerwonego wina. Rozmawialiśmy po illitańsku. – No wiecie, to było wiele lat temu. Ul Qoma była biedna jak mysz kościelna. Musieliśmy jakoś sobie radzić. W każdym z tych budynków zawsze mieszkał jeden ulqomanin. Jednej osobie znacznie łatwiej było mieć oko na kilku cudzoziemców, jeśli wszyscy mieszkali w tym samym miejscu.

Dhatt spojrział mu w oczy. Jego twarz mówiła: „Pierdol się, nie boję się tych prawd”. Bowden uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

– Czy to nie było lekko obraźliwe? – zapytałem. – Poddawać takiej obserwacji szanowanych gości i sympatyków?

– Niektórzy mogli się poczuć urażeni – przyznał Bowden. – Prawdziwi zwolennicy systemu, ulqomańscy odpowiednicy Kima Philby’ego, zapewne czuli się nieco rozczarowani. Ale z drugiej strony byli skłonni więcej przełknąć. Osobiście nigdy nie miałem nic przeciwko tej obserwacji. Mieli rację, że mi nie ufali. – Pociągnął łyk wina. – Jak panu idzie z moją książką, inspektorze?

Beżowe i brązowe ściany mieszkania wymagały ponownego pomalowania. Pełno na nich było zastawionych książkami półek, dzieł sztuki ludowej w ulqomańskim i beszańskim stylu oraz antycznych planów obu miast. Na półkach stały figurki, fragmenty ceramiki i maleńkie przedmioty przypominające mechanizmy zegarowe. Salon nie był zbyt duży i nadmiar tych wszystkich drobiazgów wywierał przytłaczające wrażenie.

– Był pan tutaj, gdy zabito Mahalię – zauważył Dhatt.

– Nie mam alibi, jeśli o to pan pyta. Sąsiadka mogła słyszeć, jak łażę po mieszkaniu. Możecie ją zapytać, ale nie mam pewności.

– Jak długo już pan tu mieszka? – zapytałem. Dhatt wyduł wargi, nie spoglądając na mnie.

– Boże, od lat.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Nie rozumiem.

– O ile potrafię to określić, ma pan tu rzeczy z obu miast. – Wskazałem na jedną z wielu wiszących na ścianach beszańskich ikon, oryginałów i reprodukcji. – Czy jest jakiś powód, dla którego wybrał pan Ul Qomę, nie Beszel? Albo jakieś inne miejsce?

Bowden odwrócił dłonie, kierując je wewnętrznymi powierzchniami do sufitu.

– Jestem archeologiem. Nie wiem, jak dobrze się pan orientuje w naszej dziedzinie. Większość wartych uwagi artefaktów, w tym również te, które obecnie wyglądają dla nas na wykonane przez beszańskich rzemieślników, odkrywa się w ulqomańskiej ziemi. Zawsze tak było. Sytuacji nie łagodziła też idiotyczna skwapliwość, z jaką beszanie sprzedawali swe nieliczne zabytki każdemu, kto chciał je nabyć. Ulqomanie zawsze mieli więcej rozumu w tej sprawie.

– Mimo że zgadzali się na wykopaliska takie jak Bol Ye'an?

– Chodzi panu o to, że kierują nimi cudzoziemcy? Jasne. Formalnie rzecz biorąc, Kanadyjczycy nie są właścicielami niczego. Mogą tylko zarządzać wykopaliskami i katalogować znaleziska. Oczywiście zyskują też sławę i powszechne uznanie, a także przywileje przy zwiedzaniu muzeów. Uwierzcie mi, piekielnie się cieszą z amerykańskiego embarga. Jeśli chcecie zobaczyć wyjątkowo jaskrawą zieleń, powiedzcie amerykańskiemu archeologowi, że pracujecie w Ul Qomie. Widzieliście miejscowe prawa dotyczące eksportu antyków? – Złożył dłonie, splatając ciasno palce. – Każdy, kto chce pracować w Ul Qomie albo w Beszel, łąduje tutaj, o ile tylko go wpuszczą, zwłaszcza jeśli interesuje go epoka poprzedników.

– Mahalia była Amerykanką... – zaczął Dhatt.

– Doktorantką – przerwał mu Bowden. – Po obronieniu pracy trudno by jej było tu zostać. Zajrzałem do jego gabinetu.

– Czy mogę? – zapytałem, wskazując palcem.

– Hm... jasne.

Był wyraźnie zażenowany panującą tam ciasnotą. Pokoik był jeszcze bardziej zagracony antykami niż salon. Na biurku panował chaos zasługujący na własnego archeologa. Widziałem stosy papierów, komputerowe kable oraz stary, wytarty plan Ul Qomy. Niektóre z kartek pokrywało dziwne, starożytne pismo, nie ulqomańskie ani beszańskie. Przedrozmowe. Nie umiałem go odczytać.

– Co to jest?

– Och... – Wzniósł oczy ku niebu. – Przysłali mi to wczoraj rano. Wciąż jeszcze dostaję listy od świrów. Pamiętają o *Między miastem a miastem*. Wymyślają jakieś bzdury, twierdzą, że to alfabet Orciny i chcą, żebym go dla nich odczytał. Może te biedne przygłupy rzeczywiście wierzą, że coś znalazły.

– Nie potrafi pan tego odcyfrować?

– Żartuje pan? Pewnie, że nie. To nic nie znaczy. – Zamknął drzwi. – Nadal nie ma żadnych wieści o Yolandzie? To mnie niepokoi.

– Obawiam się, że nie ma – potwierdził Dhatt. – Zajmuje się tym Wydział Osób Zaginionych. To świetni fachowcy. Blisko z nimi współpracujemy.

– Bezwzględnie trzeba ją odnaleźć. To... ma kluczowe znaczenie.

– Wie pan, czy miała jakichś wrogów?

– Yolanda? Boże, nie. To słodka dziewczyna. Nikt nie przychodzi mi do głowy. Mahalia to co innego. Chciałem powiedzieć... To, co ją spotkało, jest przerażające... absolutnie przerażające. Była inteligentna, wyjątkowo inteligentna, i pewna swoich opinii. Była też odważna, więc to... Chodzi mi o to, że mogłaby kogoś rozgniewać. To się jej często zdarzało. Była tego rodzaju osobą, uważam to za komplement. Zawsze się obawiałem, że któregoś dnia może wkurzyć niewłaściwą osobę.

– A kto mógł być tą niewłaściwą osobą?

– Nie mam na myśli nikogo konkretnego, starszy detektywie. Nie wiem. Nie spotykaliśmy się z Mahalią zbyt często. Właściwie ledwie ją znałem.

– To mały kampus – zauważyłem. – Z pewnością wszyscy się znacie.

– To prawda. Szczerze mówiąc, unikałem jej. Nie rozmawialiśmy ze sobą już od dawna. Nasza znajomość nie zaczęła się zbyt szczęśliwie. Za to Yolandę znałem dobrze. Ona w niczym nie przypomina Mahalii. Może nie jest tak inteligentna, ale nie znam nikogo, kto by jej nie lubił. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby chcieć ją skrzywdzić. Wszyscy są przerażeni. Również tubylcy pracujący w Bol Ye'an.

– Czy nie byli również przerażeni śmiercią Mahalii? – zapytałem.

– Szczerze mówiąc, wątpię, by któryś z nich ją znał.

– Jeden ze strażników z pewnością ją znał. Pytał nas o nią. Pomyślałem, że może to jej chłopak albo coś.

– Jeden ze strażników? Wykluczone. Przepraszam, to zabrzmiało zbyt obcesowo. Chciałem powiedzieć, że, znając Mahalię, byłbym zdumiony.

– Sam pan powiedział, że nie znał jej zbyt dobrze.

– To prawda, ale, wie pan, można się zorientować, co dana osoba może zrobić. Niektórzy studenci, na przykład Yolanda, kolegują się z ulqomańskim personelem, ale Mahalia do nich nie należała. Zawiadomcie mnie, jeśli dowiedzie się czegoś o Yolandzie? Musicie ją odnaleźć. Może macie jakieś teorie? Proszę. To jest straszne.

– Jest pan promotorem Yolandy? – zapytałem. – Jaki jest temat jej pracy?

– Och. – Machnął ręką. – „Reprezentacja genderu oraz Innego w artefaktach z epoki poprzedników”. Nadal wolę słowo „przedroźlamowych”, ale po angielsku brzmi to niezbyt fortunnie*, więc ostatnio przyjęła się forma „epoka poprzedników”.

– Mówi pan, że Yolanda nie jest zbyt inteligentna?

– Tego nie powiedziałem. Jest bardzo bystra. Niczego jej nie brakuje. Ale... takich doktorantów jak Mahalia rzadko się spotyka.

– To dlaczego nie chciał pan zostać jej promotorem?

Wbił we mnie spojrzenie, jakbym z niego żartował.

– Z powodu bzdur, jakie głosiła, inspektorze – odpowiedział po chwili. Wstał i odwrócił

* W ang. *pre-cleavage* od *cleavage* – 1. rowek między piersiami; 2. rozłam (przyp. red.).

się do mnie plecami. Chyba miał ochotę pospacerować po pokoiku, ale było tu za mało miejsca. – Tak, to właśnie były niefortunne okoliczności naszego pierwszego spotkania. – Ponownie zwrócił się ku nam. – Starszy detektywie Dhatt, inspektorze Borlú, czy wiecie, ilu mam doktorantów? Tylko jedną Yolandę. Dlatego, że nikt inny jej nie chciał. Biedactwo. Nie mam gabinetu w Bol Ye’an. Nie mam stałego etatu na uniwersytecie i nie grozi mi jego dostanie. Wiecie, jak brzmi mój oficjalny tytuł na Uniwersytecie Księcia Walii? Jestem wykładowcą korespondentem. Nie pytajcie mnie, co to znaczy. Właściwie, to mogę wam odpowiedzieć. To znaczy: „Jesteśmy najlepszą na świecie instytucją zajmującą się badaniami nad Beszel, Ul Qomą i epoką poprzedników. Dlatego musimy zgromadzić wszelkie możliwe nazwiska, a twoje może zainteresować programem paru bogatych świrów. Niemniej, nie jesteśmy aż tacy głupi, by dać ci prawdziwą robotę”.

– Z powodu pańskiej książki?

– Tak, z powodu *Między miastem a miastem*. Byłem wtedy wiecznie naćpanym młodzieńcem zafascynowanym tajemnicami, a promotor nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi. Nie ma znaczenia, że wkrótce potem oznajmiłem: „Mea culpa, spieprzyłem sprawę, nie ma żadnego Orciny, przepraszam”. Nie ma znaczenia, że osiemdziesiąt pięć procent moich wyników się broni i ludzie nadal z nich korzystają. Słyszycie? Nic, co mógłbym zrobić, nie ma znaczenia. Pomimo wszelkich starań nigdy się od tego nie uwolnię. Dlatego, kiedy, co zdarza się często, zjawia się ktoś, kto mówi, że książka, która spieprzyła mi karierę, jest rewelacyjna i bardzo chciałby ze mną pracować... no wiecie, tak właśnie zrobiła Mahalia, kiedy ją poznałem na tej konferencji w Beszel, oznajmiła też, że to skandal, że w obu miastach nadal zabrania się głoszenia prawdy, i dodała, że jest po mojej stronie. Czy wiedzieliście, że nie tylko przemyciła wtedy do Beszel egzemplarz *Między miastem a miastem*, lecz również zamierzała ustawić go na półce z dziełami historyków w Bibliotece Uniwersyteckiej? Jezu, po co? Żeby ludzie go tam znaleźli? Oznajmiła mi to z dumą. Kazałem jej natychmiast się go pozbyć, bo inaczej zawiadomię *policzai*. Kiedy słyszę takie rzeczy, naprawdę się wkurzam. Spotykam podobne osoby prawie na każdej konferencji. Mówię im, że się pomyliłem, a one myślą, że mnie przekupiono albo boję się o własne życie. Albo że zastąpili mnie robotem czy coś w tym rodzaju.

– Czy Yolanda rozmawiała czasem z panem o Mahalii? Czy to nie było trudne, biorąc pod uwagę, co pan sądził o jej najlepszej przyjaciółce?

– Nic o niej nie sądziłem, inspektorze. Powiedziałem, że nie będę jej promotorem, a ona oskarżyła mnie o kapitulację, tchórzostwo albo coś w tym rodzaju, nie pamiętam dokładnie. I to był koniec. Jak rozumiem, odkąd zaczęła pracować dla programu, przestała gadać o Orciny. Pomyślałem, że z tego wyrosła i tyle. Słyszałem też, że była bardzo zdolna.

– Odniosłem wrażenie, że profesor Nancy czuła się nią nieco rozczarowana.

– Możliwe. Nie wiem. To nie byłby pierwszy przypadek, gdy ktoś w piśmie wypada gorzej. Niemniej jednak, miała dobrą reputację.

– Yolanda nie interesowała się Orciny? Nie dlatego została pańską doktorantką?

Usiadł z westchnieniem. Jego ospałe ruchy nie wyglądały zbyt imponująco.

– Nie sądziłem, by się tym interesowała. W przeciwnym razie nie zgodziłbym się jej przyjąć. I z początku rzeczywiście tak było... ale ostatnio zaczęła o nim wspominać. Mówiła o *dissensi*, o tym, że może się w nich ukrywać Orciny i tak dalej. Wiedziała, co na ten temat sądzę, więc przedstawiała to wszystko jako hipotezy. To brzmiało śmiesznie, ale naprawdę nie przyszło mi na myśl, że powodem tego może być wpływ Mahalii. Rozmawiała z nią na ten temat? Wiecie coś o tym?

– Niech nam pan opowie o *dissensi* – zażądał Dhatt. – Wie pan, gdzie one są?

Bowden wzruszył ramionami.

– Pan też to wie, starszy detektywie. Większość z nich nie jest tajemnicą. Opuszczony budynek, kilka kroków od podwórka na zapleczu tego domu. Pięć centralnych metrów Parku Nuistu. To również *dissensus*. Oba miasta roszczą sobie do niego prawa. Takie miejsca i w Ul Qomie, i w Beszel uważa się za przepłotowe albo zakazane. Cały czas trwają o nie targi. Nie ma w tym nic szczególnie ekscytującego.

– Czy mógłby nam pan sporządzić ich listę?

– Jeśli pan sobie życzy, ale szybciej dostanie ją pan drogą służbową, a w dodatku moja pewnie będzie o dwadzieścia lat przestarzała. Te spory od czasu do czasu się rozwiązują, pojawiają się też nowe. Może słyszał pan też o tajnych *dissensi*?

– Chciałbym dostać tę listę... Chwileczkę, tajnych? Jeśli nikt o nich nie wie, jak można się o nie spierać?

– No właśnie. To są tajne spory, starszy detektywie Dhatt. Do takich głupot trzeba sobie wyrobić odpowiedni sposób myślenia.

– Doktorze Bowden... – zacząłem. – Czy ma pan powody, by sądzić, że ktoś może mieć coś przeciwko panu?

– Dlaczego pan pyta? – Zaniepokoił się nagle. – Słyszeliście o czymś?

– Nie. Rzecz w tym... – umilkłem na chwilę. – Wysunięto przypuszczenie, że ktoś może polować na ludzi zajmujących się badaniami nad Orciny. – Dhatt nie próbował mi przerywać.

– Być może powinien pan uważać.

– Dlaczego? Ja nie badam Orciny. Nie robiłem tego od lat...

– Sam pan powiedział, doktorze, że gdy ktoś raz zacznie... Obawiam się, że jest pan uważany za lidera tej dziedziny, czy chce pan tego, czy nie. Czy dotarło do pana coś, co można by uznać za groźbę?

– Nie...

– Włamano się do pana – odezwał się Dhatt. – Przed kilkoma tygodniami.

Obaj spojrzeliśmy na niego. Nie sprawiał wrażenia zażenowanego moim zaskoczeniem. Bowden poruszył ustami.

– Ale to było tylko włamanie – sprzeciwił się. – Nawet nic nie ukradziono...

– Tak, ale zapewne dlatego, że ich pan zaskoczył – zauważył Dhatt. – Tak przynajmniej pan wtedy zeznał. Niewykluczone, że wcale nie chcieli niczego zabierać.

Bowden rozejrzał się po pokoju – i ja również, choć bardziej ukradkowo – jakby gdzieś mógł się nagle ujawnić jakiś czarnoksiężski amulet, elektroniczny aparat podsłuchowy albo namalowany symbol oznaczający groźbę.

– Panowie, to nonsens. Orciny nie istnieje.

– Ale istnieją świry – zauważył Dhatt.

– I niektórzy z nich – dodałem – mogli się z jakiegoś powodu zainteresować teoriami wysuwanymi przez pana, pannę Rodriguez, pannę Geary...

– Nie sądzę, by któraś z nich wysuwała jakieś teorie.

– Nieważne – odparł Dhatt. – Rzecz w tym, że przyciągnęły czyjąś uwagę. Nie, nie jesteśmy pewni dlaczego. Nie wiemy, czy w ogóle istniał jakiś powód.

Bowden gapił się na nas, dogłębnie przerażony.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dhatt kazał otrzymaną od Bowdena listę uzupełnić jednemu ze swych podwładnych, a potem wysłał ludzi do wymienionych na niej opuszczonych budynków, podwórek, chaszczy i kawałków nadrzecznej promenady, by dokładnie obejrzeni granice spornych, a w praktyce przeplotowych, obszarów. Wieczorem znowu zadzwoniłem do Corwi – oznajmiła żartem, iż ma nadzieję, że linia jest bezpieczna – ale nie mieliśmy sobie do powiedzenia nic użytecznego.

Profesor Nancy przysłała mi do hotelu wydruk istniejących rozdziałów pracy Mahalii. Dwa były mniej lub bardziej ukończone, a dwa dalsze nieco fragmentaryczne. Szybko dałem sobie spokój z jej czytaniem i zająłem się przeglądaniem fotokopii stron podręczników o upstrzonych notatkami marginesach. Dawał się zauważyć silny kontrast między spokojnym, nieco nudnym tonem pracy a pełnymi wykrzykników i podkreśleń bazgrołami, w których Mahalia spierała się z wcześniejszymi wersjami samej siebie i z tekstem podręcznika. Marginalia były nieporównanie bardziej interesujące, o ile dało się z nich cokolwiek zrozumieć. W końcu odłożyłem również fotokopie i wróciłem do książki Bowdena.

Między miastem a miastem było tendencyjnym dziełem. Łatwo było to zauważyć. W Beszel i w Ul Qomie nie brakuje tajemnic, o których wszyscy wiedzą. Nie ma potrzeby wprowadzać innych, nieznanych. Niemniej stare opowieści, mozaiki i płaskorzeźby wymieniane w książce bywały niekiedy zdumiewające. Piękne i niezwykle. Opinie Bowdena na temat niektórych wciąż jeszcze nierozwiązanych tajemnic epoki poprzedników, czy inaczej przedrozmowej, brzmiały oryginalnie, a niekiedy nawet przekonująco. Przedstawił zgrabne uzasadnienie tezy, że niezrozumiałe mechanizmy, zwane eufemistycznie „zegarami”, nie były żadnymi machinami, a tylko podzielonymi na drobne przedziały puzderkami, służącymi wyłącznie do przechowywania znalezionych wewnątrz przekładni. Niestety, wyciągane przez niego wnioski często były szalone, jak sam dzisiaj przyznawał.

Rzecz jasna byłem w tym mieście gościem i nie mogłem uniknąć związanej z tym paranoi, gdy tubylcy gapili się na mnie, jawnie i ukradkiem, a do tego obserwowała Przekroczeniówka, a jej spojrzenia nie przypominały niczego, co do tej pory znałem.

Potem, kiedy zasnąłem, zadzwoniła komórka. To był mój beszański telefon, a rozmowa była międzynarodowa. Będzie piekielnie droga, ale przecież rozmawiałem na koszt państwa.

– Borlú – odezwałem się.

– Inspektorze...

Akcent rozmówcy był illitański.

– Kto mówi?

– Borlú, nie wiem, dlaczego pan... Nie mogę rozmawiać długo. Dziękuję panu.

– Jaris. – Usiadłem, stawiając nogi na podłodze. To był młody unif. – Czy...

– Kurwa, nie jesteśmy towarzyszami, rozumie pan.

Tym razem nie mówił po staroillitańsku. Przemawiał szybko, w ojczystym języku.

– Dlaczego mielibyśmy nimi być?

– Słusznie. Nie mogę rozmawiać długo.

– W porządku.

– Wiedział pan, że to byłem ja, prawda? Że to ja dzwoniłem z Beszel?

– Nie byłem pewien.

– Słusznie. Ta kurewska rozmowa nigdy się nie wydarzyła. – Nie skomentowałem tego ani słowem. – Dziękuję, że pan nic nie powiedział. Poznałem Maryę, kiedy tu przybyła. – Nie nazywałem jej tym imieniem już od dłuższego czasu, pomijając chwilę, gdy Dhatt przesłuchiwał unifów. – Powiedziała mi, że zna naszych braci i siostry z drugiej strony granicy. Że współpracowała z nimi. Ale ona nie była jedną z nas, wie pan?

– Wiem. To pan naprowadził mnie na trop w Beszel.

– Niech pan się zamknie. Proszę. Z początku myślałem, że jest z nami, ale pytała o rzeczy, które... O których pan nawet nie słyszał. – Nie chciałem mu przerywać. – O Orciny. – Nadal milczałem. Z pewnością uznał, że jestem zdumiony. – Gównu ją obchodziła unifikacja. Naraziła nas wszystkich na niebezpieczeństwo, by móc korzystać z naszych bibliotek i list kontaktów... Naprawdę ją lubiłem, ale ona oznaczała kłopoty. Nie obchodziło jej nic oprócz Orciny. I znalazła, Borlú... Słyszysz mnie pan? Rozumie pan? Znalazła je.

– Skąd pan wie?

– Powiedziała mi o tym. Nikt z moich towarzyszy o tym nie wie. Kiedy sobie uświadomiliśmy, że jest... niebezpieczna, zabroniliśmy jej przychodzić na spotkania. Myśleliśmy, że jest agentką albo czymś w tym rodzaju. Ale to nieprawda.

– Ale pan nadal utrzymywał z nią kontakt. – Nic nie powiedział. – Dlaczego, jeśli była tak...

– Nie... Ona...

– Dlaczego zadzwonił pan do Beszel?

– Zastugiwała na coś lepszego niż Pole Garncarza.

Zdziwiłem się, że zna to określenie.

– Czy byliście ze sobą, Jaris? – zapytałem.

– Wiedziałem o niej bardzo niewiele. Nie zadawałem żadnych pytań. Nigdy nie spotkałem żadnego z jej znajomych. Byliśmy bardzo ostrożni. Ale to ona powiedziała mi o

Orciny. Pokazała mi swoje notatki na ten temat. Była... niech pan posłucha, Borlú, udało się jej nawiązać kontakt. Są miejsca...

– *Dissensi?*

– Nie, niech pan się zamknie. Nie sporne miejsca. Takie, o których wszyscy w Ul Qomie myślą, że leżą w Beszel, a wszyscy w Beszel uważają, że są w Ul Qomie. Ale w rzeczywistości nie znajdują się w żadnym z tych miast, tylko w Orciny. Znalazła je. Mówiła mi, że próbuje pomóc.

– W czym?

– Nie wiem zbyt wiele. Chciała ich uratować. Chcieli czegoś od niej. Tak powiedziała. Coś w tym rodzaju. Ale gdy ją kiedyś zapytałem: „Skąd wiesz, że Orciny jest po naszej stronie?“, roześmiała się i odpowiedziała: „Wiem, że nie jest”. Nie chciała mi zdradzić zbyt wiele, a ja wolałem nie wiedzieć. Rzadko mówiła na ten temat. Myślałem, że może przechodzić na drugą stronę w niektórych z tych miejsc, ale...

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Nie pamiętam. Kilka dni przed... przed tym. Niech pan posłucha, Borlú. Musi się pan dowiedzieć jednego. Wiedziała, że ma kłopoty. Kiedy na tym ostatnim spotkaniu wspomniałem o Orciny, zrobiła się naprawdę zła i zdenerwowana. Powiedziała, że nic nie rozumiem. Że nie wie, czy to, co robi, jest ratunkiem czy zbrodnią.

– Co to miało znaczyć?

– Nie mam pojęcia. Powiedziała, że Przekroczeniówka jest niczym. Byłem wstrząśnięty. Wyobraża pan to sobie? Oznajmiła, że każdemu, kto zna prawdę o Orciny, grozi niebezpieczeństwo. Mówiła, że tacy ludzie są nieliczni, ale żaden z nich nie zdaje sobie sprawy, że ma poważne kłopoty, a nawet nie potrafiłby w to uwierzyć. Zapytałem: „Ja też?“, a ona odpowiedziała: „Być może. Niewykluczone, że zbyt wiele ci powiedziałam”.

– Jak pan myśli, co to miało znaczyć?

– Co pan wie o Orciny, Borlú? Kurwa, czemu ktokolwiek miałby myśleć, że znajomość z jego mieszkańcami jest bezpieczna? Jak pana zdaniem zdołali się ukrywać przez tyle stuleci? Dlatego, że byli mili dla wszystkich? Światło! Myślę, że dała się wciągnąć w wykonywanie jakichś zadań dla nich. Podejrzewam, że są jak pasożyty. Wmawiali jej, że im pomaga, ale ona czegoś się dowiedziała i dlatego ją zabili. – Wziął się w garść. – Pod koniec nosiła ze sobą nóż. Dla obrony przed Orciny. – Roześmiał się z przygnębieniem. – Zabili ją, Borlú, i tak samo potraktują każdego, kto może im przysporzyć kłopotów. Każdego, kto przyciąga do nich uwagę.

– A co z panem?

– Mam przejebane i tyle. Ona zniknęła i ja też muszę się ulotnić. Sram na Ul Qomę, Beszel i pierdolone Orciny. To moje pożegnanie. Słyszysz pan stukot kół? Za chwilę wyrzucę ten kurewski telefon przez okno i sayonara. Ta rozmowa to prezent pożegnalny. Robię to dla niej.

Ostatnie słowa wypowiedział szeptem. Gdy się zorientowałem, że przerwał połączenie, spróbowałem do niego zadzwonić, ale numer był zablokowany.

* * *

Pocierałem powieki przez kilka dobrych sekund. Za długo. Zrobiłem trochę notatek na hotelowym papierze, wiedząc, że już nigdy na nie, nie spojrzę. Chciałem po prostu uporządkować myśli. Zrobiłem listę ludzi, spojrzałem na zegar, policzyłem różnicę czasu i zadzwoniłem za granicę z hotelowego telefonu.

– Pani Geary?

– Kto mówi?

– Pani Geary, mówi Tyador Borlú z beszańskiej policji. – Nie odpowiedziała. – Chciałem... Czy pan Geary dobrze się czuje?

Podszedłem boso do okna.

– Wszystko w porządku – odparła po chwili. – Jest zły.

Była bardzo ostrożna. Nadal nie potrafiła zdecydować, co o mnie sądzić. Rozchyliłem grube kotary i wyjrzałem na zewnątrz. Choć minęła już północ, na ulicy jak zwykle widziało się kilka sylwetek. Od czasu do czasu przejeżdżał też samochód. O tak późnej porze trudno było określić, kto jest tubylcem, a kto cudzoziemcem i za dnia byłby niewidzialny. W świetle latarni nie sposób było odróżnić kolorów stroju, a do tego nocą wszyscy poruszają się szybko i chodzą pochyleni, co zamazuje język ciała.

– Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, i upewnić się, że wszystko z wami w porządku.

– Ma mi pan coś do powiedzenia?

– Pyta pani, czy złapaliśmy zabójcę? Niestety, jeszcze nie, pani Geary. Chciałem panią zapytać... – umilkłem na chwilę, ale nie odłożyła słuchawki ani nic nie powiedziała. – Czy Mahalia wspominała, że spotykała się z kimś tutaj? – Ze słuchawki dobiegł jakiś nieokreślony dźwięk. – Zna pani Yolandę Rodriguez? – podjąłem po kilku sekundach. – I dlaczego to beszańskich nacjonalistów szukał pan Geary, kiedy przekroczył? Mahalia mieszkała w Ul Qomie.

Znowu usłyszałem ten sam dźwięk. Uświadomiłem sobie, że kobieta płacze. Otworzyłem usta, ale mogłem jedynie jej słuchać. Poniewczasie uświadomiłem sobie, że trzeba było zadzwonić z innego telefonu, na wypadek, gdyby podejrzenia moje i Corwi okazały się prawdziwe. Pani Geary nie przerwała połączenia, dlatego po chwili wypowiedziałem jej nazwisko.

– Dlaczego pyta mnie pan o Yolandę? – odezwała się wreszcie, biorąc się w garść. – Pewnie, że ją znam. Była przyjaciółką Mahalii. Czy...

– Staramy się ją odszukać, ale...

– O mój Boże, czy zaginęła? Mahalia się jej zwierzała. Czy dlatego...

– Spokojnie, pani Geary. Zapewniam, że nie ma żadnych dowodów wskazujących na podejrzenie okoliczności. Może po prostu wzięła sobie kilka dni wolnego. Proszę.

Kobieta znowu zaczęła płakać, ale szybko zapanowała nad sobą.

– Podczas lotu prawie się do nas nie odzywali – zaczęła. – Mąż obudził się dopiero przed lądowaniem i zrozumiał, co się stało.

– Pani Geary, czy Mahalia spotykała się z kimś tutaj? To znaczy w Ul Qomie?

– Nie – westchnęła. – Na pewno myśli pan: „Skąd matka mogłaby wiedzieć”, ale ja bym wiedziała. Mahalia nie podała mi szczegółów, ale... – Zapanowała nad sobą. – Ktoś się koło niej kręcił, ale nie podobał się jej w ten sposób. Powiedziała, że to zbyt skomplikowane.

– Jak się nazywał?

– Gdybym wiedziała, na pewno bym panu powiedziała. Nie mam pojęcia. Chyba poznali się przez politykę.

– Wspominała pani o Qoma Najpierw.

– Och, moja dziewczyna rozwścieczyła ich wszystkich – Zaśmiała się krótko. – Ludzi stojących po każdej ze stron. Nawet unifikatorów, czy jak tam się nazywają. John chciał sprawdzić wszystkich. Znacznie łatwiej było znaleźć nazwiska i adresy w Beszel, bo tam właśnie byliśmy. Miał zamiar porozmawiać ze wszystkimi po kolei, bo... któryś z nich to zrobił.

Złożyłem jej wszystkie obietnice, jakich się domagała, pocierając czoło i wpatrując się w sylwetki ulqomańskich przechodniów.

Po pewnym czasie obudził mnie telefon od Dhatta.

– Kurwa, jeszcze śpisz? Wstawaj.

– Kiedy będziesz mógł...

Było rano, wcale nie takie wczesne.

– Jestem na dole. Pośpiesz się. Ktoś przysłał bombę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W Bol Ye'an zastaliśmy ludzi z ulqomańskiej brygady antyterrorystycznej, przykucniętych pod maleńkim pokojem pocztowym. Ubrani w stroje ochronne mężczyźni żuli gumę, rozmawiając z mocno przejętymi ochroniarzami. Wszyscy unieśli zasłony hełmów na czoła.

– Pan Dhatt? Wszystko w porządku, starszy detektywie – rzekł jeden z nich, spoglądając na epolety mojego towarzysza. – Możecie wejść.

Przyjrzał mi się z uwagą i otworzył drzwi maleńkiej klitki.

– Kto ją odkrył? – zapytał Dhatt.

– Jeden z ochroniarzy. Nazywa się Aikam Tsueh. Bystry chłopak. Powiedział, że list wydał mu się jakiś dziwny, więc poszedł do stojących na zewnątrz funkcjonariuszy i poprosił, żeby mu się przyjrzeni. – Na ścianach było pełno przegródek, w kątach, w plastikowych koszach oraz na stołach leżały paczki, otwarte i zamknięte. Pośrodku stał taboret, otoczony fragmentami podartej koperty oraz podeptanymi listami. Leżała na nim zawartość przesyłki. Przewody sterczały z niej na różne strony jak słupki kwiatu. – To jest mechanizm – oznajmił mężczyzna. Przeczytałem illitański napis na jego kevlarowej kurtce. Miał na imię Tairo. Mówił do Dhatta, nie do mnie, wskazując na wszystko małym piórem laserowym. – Koperta miała dwie warstwy. – Przesunął czerwonym punkcikiem po papierze. – Jeśli otworzyć pierwszą, nic się nie stanie. W środku jest druga. Po jej otworzeniu... – Strzelił palcami, wskazując na przewody. – Niezła robota. Klasyczna.

– Staromodna?

– Nie, po prostu zwyczajna. Nieźle wykonana. I to nie było tylko *son et lumière*. Nie chodziło o to, żeby kogoś przestraszyć, ale wykończyć. Pokażę wam coś jeszcze. Widzicie? Zapalnik połączono z zamknięciem. – Na strzępach wewnętrznej koperty można było przeczytać napis po beszańsku: „Pociągnij, żeby otworzyć”. – Ten, kto by to zrobił, dostałby prosto w twarz i zwałił się na ziemię, ale ktoś, kto stałby obok, musiałby tylko poprawić sobie fryzurę, chyba żeby miał wyjątkowego pecha. Podmuch był ściśle ukierunkowany.

– Jest rozbrojona? – zapytałem Taira. – Mogę jej dotknąć?

Nie spojrział na mnie, tylko na Dhatta, który skinął głową w odpowiedzi.

– Odciski palców – przypomniał sobie antyterrorysta, ale wzruszył ramionami. Wziąłem

leżący na półce długopis i wyjąłem z niego wkład, żeby nie zostawić znaków. Potem dotknąłem lekko kartki, wygładzając wewnętrzną powierzchnię. Choć saperzy podarli kopertę, nazwisko łatwo można było odczytać. David Bowden.

– Niech pan zobaczy to – odezwał się Tairo, przesuwając lekko kartki. Pod spodem, na wewnętrznej powierzchni zewnętrznej koperty, ktoś napisał po illitańsku „serce wilka”. Słyszałem gdzieś tę frazę, ale nie potrafiłem jej zlokalizować. Tairo zanucił z uśmiechem kilka taktów.

– To stara piosenka patriotyczna – wyjaśnił Dhatt.

– Nie chodziło im o zastraszenie ani o ogólną masakrę – rzekł cicho do mnie starszy detektyw. Siedzieliśmy w gabinecie, który zagarnęliśmy na swoje potrzeby. Naprzeciwko nas spoczął Aikam Tsueh, uprzejmie starając się nie podsłuchiwać. – To była próba zabójstwa. Dlaczego, kurwa?

– List wysłano z Beszel, ale napisy były po illitańsku – dodałem.

Odciski palców nic nam nie powiedziały. Na zewnętrznej kopercie nabazgrano adres, a na wewnętrznej nazwisko Bowdena. List wysłano z beszańskiej poczty położonej grostopicznie blisko wykopalisk, choć rzecz jasna dotarł tu okreśną drogą przez Halę Łącznikową.

– Nasi eksperci się tym zajmą – zapewnił Dhatt. – Zobaczymy, czy uda się prześledzić trasę listu, choć rzecz jasna nie mamy żadnych dowodów przeciwko nikomu. Może wasi ludzie coś odkryją.

Szansę odtworzenia trasy listu przez beszańskie i ulqomańskie urzędy pocztowe były bliskie zeru.

– Posłuchaj – zacząłem szeptem, by mieć pewność, że Aikam nic nie usłyszy. – Wiemy, że Mahalia wkurzyła w Beszel kilku radykalnych nacjonalistów. Rozumiem, że w Ul Qomie podobne organizacje nie mogą działać, ale jeśli przez jakiś przypadek ktoś taki się tu znalazł, jego również mogła rozwścieczyć, tak? Sprawy, którymi się zajmowała, wydają się wręcz stworzone do irytowania podobnych typów. No wiesz, podważanie pozycji Ul Qomy, tajne stowarzyszenia, dziurawe granice i tak dalej.

Przyglądał mi się z twarzą bez wyrazu.

– Masz rację – przyznał po chwili.

– Dwie studentki interesujące się Orciny zniknęły, a teraz ktoś przysłał bombę autorowi *Między miastem a miastem*.

Popatrzyliśmy na siebie nawzajem.

– Dobra robota, Aikam – odezwałem się po chwili. – Naprawdę świetnie się pan spisał.

– Miał pan kiedyś w rękach bombę? – zainteresował się Dhatt.

– Słucham? Nie.

– Nawet w wojsku?

– Jeszcze nie byłem w wojsku.

– To jak pan ją rozpoznał?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie wiem. Z tym listem coś było nie tak. Był za ciężki.

– Założę się, że przysyłają tu pocztą mnóstwo książek – odezwałem się. – I może komputerowych nośników też. Wszystko to sporo waży. Skąd pan wiedział, że to co innego?

– List był cięższy. I twardy w dotyku. Pod kopertą. Można było poznać, że to nie papier, tylko metal albo coś w tym rodzaju.

– Jeśli już o tym mowa, czy sprawdzanie poczty wchodzi w skład pańskich obowiązków?
– ciągnąłem.

– Nie, ale akurat się tam znalazłem i pomyślałem sobie, że mógłbym przynieść listy. Miałem zamiar to zrobić, a kiedy wziąłem w rękę ten... było w nim coś dziwnego.

– Instynkt pana nie zawiódł.

– Dziękuję.

– Nie pomyślał pan, żeby otworzyć list?

– Nie! To nie było moje zadanie.

– A czyje?

– Właściwie niczyje. Na zewnętrznej kopercie nie było nazwiska odbiorcy, tylko adres wykopalisk. To kolejny powód, dla którego wydało mi się to dziwne.

Naradziliśmy się z Dhattem.

– W porządku, Aikam – rzekł starszy detektyw. – Podał pan swój adres moim ludziom, na wypadek, gdybyśmy chcieli się z panem skontaktować? Niech pan po drodze przyśle tu swojego szefa i profesor Nancy, dobra?

Zawahał się w drzwiach.

– Czy macie już jakieś informacje o panie Geary? Wiecie, kto to zrobił?

Powiedzieliśmy mu, że nie.

Kai Buidze, szef ochrony, muskularny pięćdziesięciolatek, zapewne były wojskowy, wszedł do środka razem z Isabelle Nancy. To ona, nie Rochambeaux, zaoferowała nam swą pomoc. Co chwila pocierała powieki.

– Gdzie Bowden? – zapytałem Dhatta. – Czy już wie?

– Profesor Nancy zadzwoniła do niego, gdy brygada antyterrorystyczna otworzyła zewnętrzną kopertę i znalazła na wewnętrznej jego nazwisko. – Wskazał głową na kobietę. – Słyszała, jak jeden z ludzi je odczytał. Ktoś po niego poszedł. Profesor Nancy? – Uniosła wzrok. – Czy Bowden dostaje dużo listów?

– Nieszczególnie. Nawet nie ma gabinetu. Ale trochę tego jest. Większość od cudzoziemców, czasami od kandydatów na studentów, ludzi, którzy nie wiedzą, gdzie mieszka, i sądzą, że najłatwiej go znaleźć tutaj.

– Przesyłacie mu je?

– Nie, co kilka dni przychodzi odbierać pocztę. Większość listów wyrzuca.

– Ktoś naprawdę... – powiedziałem cicho do Dhatta. Zawahałem się. – Ktoś stara się nas

wyprzedzić, wie, co robimy.

Po ostatnich wydarzeniach Bowden mógł traktować ostrożnie wszelkie przesyłki dostarczone do domu, ale po zdjęciu zewnętrznej koperty z zagranicznymi znaczkami zobaczyłby tylko coś, na czym wypisano jego nazwisko i mógłby dojść do wniosku, że to jakaś wewnętrzna przesyłka od któregoś z archeologów.

– Jakby ktoś wiedział, że go ostrzegaliśmy. – Przerwałem na chwilę. – Przywiozą go tutaj?

Dhatt skinął głową.

– Panie Buidze, mieliście tu już kiedyś podobne kłopoty?

– Nie tego rodzaju. Pewnie, że dostajemy, no wie pan, listy od pojebów. Przepraszam. – Zerknął na Isabelle Nancy, ale ta zachowała obojętność. – No wie pan, pogróżki od tych, którzy chcą, by przeszłość zostawiono w spokoju, ludzi twierdzących, że zdradzamy Ul Qome i tak dalej, ufologów i ćpunów. Ale coś takiego? Prawdziwa bomba? Potrząsnął głową.

– Nieprawda – zaprzeczyła profesor Nancy. Wszyscy spojrzeliśmy na nią. – To już się wydarzyło. Nie tutaj. Ale jemu. Na Bowdena już raz dokonano zamachu.

– Kto to zrobił? – zapytałem.

– Nic nikomu nie udowodniono, ale jego książka rozgniewała wielu ludzi. Prawicę. Tych, którzy uważali, że nie okazuje należnego szacunku.

– Nacjonalistów – dodał Dhatt.

– Nie pamiętam, z którego miasta nadeszła przesyłka. W obu istniały grupy pragnące go dorwać. Zapewne to był jedyny punkt, w którym się ze sobą zgadzały. Ale to było wiele lat temu.

– Ktoś o nim pamiętał – stwierdziłem. Dhatt spojrział mi w oczy i odciągnął na bok.

– Z Beszel – warknął. – I z małym „pierdol się” wypisanym po illitańsku.

Wzniósł ręce nad głowę: „Jakieś pomysły?”.

– Jak się nazywają ci ludzie? – zapytałem po chwili milczenia. – Qoma Najpierw?

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Jaka Qoma Najpierw? To była przesyłka z Beszel.

– Może mają tam jakiś kontakt.

– Agent? Qomański nacjonalista w Beszel?

– Jasne. Nie patrz tak na mnie. Wcale nie tak trudno w to uwierzyć. Wysłali list od nas, żeby zmylić ślady.

Dhatt pokręcił głową bez przekonania.

– Może i tak... – mruknął. – Ale to byłoby piekielnie trudno zorganizować, a u was...

– Nigdy nie lubili Bowdena. Może doszli do wniosku, że jeśli wyczuł, że coś mu grozi, może się mieć na baczności, ale nie w przypadku przesyłki z Beszel?

– Mam pomysł – oznajmił.

– Gdzie się spotykają ludzie z Qoma Najpierw? – zapytałem. – Tak się nazywają, zgadza

się? Może powinniśmy ich odwiedzić...

– To właśnie próbuję ci powiedzieć – przerwał mi. – Nie ma takiego miejsca. Nie istnieje żadna „Qoma Najpierw”, nie w tym sensie. Nie wiem, jak to wygląda w Beszel, ale...

– W Beszel wiem dokładnie, gdzie się spotykają nasi odpowiednicy takich typów. Niedawno złożyłem im wizytę w towarzystwie mojej posterunkowej.

– Gratulacje, ale tutaj tak to nie wygląda. To nie pierdolony gang, który ma legitymacje członkowskie i dom, w którym mieszkają wszyscy członkowie. To nie są unifi ani The Monkees.

– Nie próbuj mi wmówić, że nie ma u was skrajnych nacjonalistów...

– Dobra, tego nie powiedziałem. Jest ich tu od cholery, ale problem w tym, że nie wiemy, kim są ani gdzie mieszkają, a oni, bardzo rozsądnie, starają się zachować ten stan rzeczy. Qoma Najpierw to tylko nazwa wymyślona przez jakiegoś bubka z prasy.

– Dlaczego unifikacjoniści się spotykają, a oni nie chcą tego robić? Albo nie mogą?

– Dlatego, że unifi to durnie. Czasami niebezpieczni, przyznaję, ale zawsze durnie. Ludzie, o których mówimy, podchodzą do sprawy poważnie. To starzy żołnierze i inni tacy. No wiesz, trzeba to... uszanować.

Nic dziwnego, że nie pozwalano im na publiczne spotkania. Radykalni nacjonaści mogliby zaatakować Ludową Partię Narodową na gruncie jej własnej ideologii, a do tego rządzący nie mogli dopuścić. W przeciwieństwie do nich unifi mogli w miarę swobodnie jednoczyć miejscowych w nienawiści do siebie.

– Co możecie nam o nim powiedzieć? – Dhatt podniósł głos, zwracając się do dwojga przyglądających się nam świadków.

– O Aikamie? – zapytał Buidze. – Właściwie nic. To dobry pracownik, ale głupi jak but. No dobra, tak bym powiedział przedtem, ale po tym, co zrobił dzisiaj, muszę zmienić zdanie. Wcale nie jest takim twardzielem, na jakiego wygląda. To mięśniak bez zębów. Lubi towarzystwo studentów, z przyjemnością kręci się wokół inteligentnych cudzoziemców. Dlaczego pan pyta, starszy detektywie? Chyba nie chcecie go oskarżyć? Tę paczkę przysłano z Beszel. Jak, do licha...

– Oczywiście – przerwał mu Dhatt. – Nikt tu nikogo nie oskarża, a już szczególnie bohatera chwili. To tylko rutynowe pytania.

– Mówi pan, że Tsueh dobrze się dogaduje ze studentami? – W przeciwieństwie do Taira, Buidze nie prosił o pozwolenie, zanim mi odpowiedział. Spojrzał mi w oczy i skinął głową. – Z kimś szczególnie? Czy przyjaźnił się z Mahalią Geary?

– Z Geary? Kurde, nie. Zapewne nawet nie znała jego nazwiska. Niech spoczywa. – Wykonał lewą ręką znak Długiego Snu. – Aikam przyjaźnił się z niektórymi studentami, ale nie z nią. Z Jacobsem, Smith-Davis, Rodriguez, Browning...

– Ale pytał nas...

– Bardzo chciał się dowiedzieć, czy wpadliśmy na jakiś ślad w sprawie Geary – poparł

mnie Dhatt.

– Tak? – Buidze wzruszył ramionami. – Wszyscy bardzo się przejęli tą sprawą. Pewnie, że chce się czegoś dowiedzieć.

– Zastanawiam się... – zacząłem – To skomplikowane miejsce. Zauważyłem, że choć jest niemal w całości jednolite, można tu znaleźć kilka przeplotowych fragmentów. Ich pilnowanie musi być prawdziwym koszmarem. Panie Buidze, gdy rozmawialiśmy ze studentami, ani jedna osoba nie wspomniała o Przekroczeniówce. W ogóle nie poruszyli tego tematu. Grupka młodych cudzoziemców? Wie pan, jak bardzo przybysze z zagranicy interesują się takimi sprawami. W dodatku ich przyjaciółka zniknęła, a mimo to żadne z nich nie napomknęło o najślawniejszym ludojadzie Ul Qomy i Beszel. Ludojadzie, który naprawdę istnieje. Nie mogliśmy nie zadać sobie pytania, czego właściwie się boją.

Buidze gapił się na mnie ze zdumieniem. Zerknął na profesor Nancy. Potem rozejrzał się po pokoju. Po dłuższej chwili parsknął śmiechem.

– Chyba pan żartuje. No dobra. Oni naprawdę się boją, ale nie tego, że ktoś przekracza, przybywa cholera wie skąd, żeby się z nimi spotkać. Tak pomyśleliście? – Potrząsnął głową. – Boją się, że ich złapią. – Uniósł ręce w geście kapitulacji. – Zapędziliście mnie w kozi róg. Te cholerne skurczybyki przekraczają przez cały czas i nie jesteśmy w stanie ich powstrzymać. – Spojrzał nam w oczy. Nie próbował się bronić, powiedział to wszystko rzeczowym tonem. Czy miałem równie wstrząśniętą minę jak Dhatt? Profesor Nancy wyglądała raczej na zażenowaną. – Ma pan rację, oczywiście – ciągnął Buidze. – Nie da się całkowicie uniknąć przekroczeń. Nie w takim miejscu i z taką młodzieżą. To nie są tubylcy i bez względu na całe szkolenie nigdy w życiu nie spotkali się z niczym podobnym. Niech mi pan nie wmawia, że u was nie wygląda to podobnie, Borlú. Sądzi pan, że są lojalni? Że naprawdę przeoczą Beszel, kiedy chodzą po mieście? Też coś. Pewnie, że widzą drugą stronę granicy. Możemy liczyć co najwyżej na to, że nie będą tego okazywać zbyt ostentacyjnie. Nie możemy im jednak nic udowodnić i dlatego Przekroczeniówka nie interweniuje, chyba że naprawdę spieprzą sprawę. Och, to się zdarzało, ale znacznie rzadziej, niż można by sądzić. Od dłuższego czasu nie mieliśmy ani jednego przypadku. – Profesor Nancy nadal patrzyła na blat. – Myśleliście, że żaden cudzoziemiec nie przekracza? – zapytał Buidze i pochylił się nad stołem, rozpościerając na nim palce.

– Wszystko, na co możemy od nich liczyć, to odrobina uprzejmości, tak? A gdy zgromadzi się grupę młodych ludzi w jednym miejscu, z pewnością spróbują sprawdzić, jak daleko mogą się posunąć. Może nie ograniczają się do spojrzeń. Czy wy zawsze robiliście, co wam kazali dorośli? Ale to są bystre dzieciaki. – Nakreślił palcem na blacie plan Bol Ye'an. – Przeploty są tu i tu, a park tu i tu. I rzeczywiście, w tym kierunku przechodzi pod koniec w jednolite Beszel. Kiedy młodzi sobie popiją albo coś, to czy nie podpuszczają się nawzajem do stanięcia w przeplotowym obszarze parku? A gdy już tam są, kto wie, czy nie przechodzą do Beszel i z powrotem, bez słowa, a nawet bez ruchu? Jeśli jest się w przeplocie, można to

zrobić, nie stawiając ani kroku. Wszystko jest tutaj – Postukał się w czoło. – Nikt niczego nie udowodni. A gdy robią to znowu, może podniosą z ziemi jakąś pamiątkę, a potem wyprostują się i wrócą do Ul Qomy z beszańskim kamieniem albo czymś w tym rodzaju. Jeśli byli w Ul Qomie, kiedy go podnosili, to znaczy, że musiał leżeć w naszym mieście, prawda? Kto wie? Kto mógłby im coś udowodnić? Dopóki się z tym nie obnoszą, nie możemy nic zrobić. Nawet Przekroczeniówka nie może obserwować wszystkich przez cały czas. Gdyby to robiła, żaden z tych cudzoziemców by się tu nie utrzymał. Nieprawdaż, pani profesor? – Spojrzał ze współczuciem na profesor Nancy. Kobieta nie odpowiedziała, ale jej mina zrobiła się jeszcze bardziej zażenowana. – Starszy detektyw Dhatt, żadne z nich nie wspomniało o Przekroczeniówce, ponieważ wszyscy są winni jak diabli – wyjaśnił z uśmiechem Buidze. – Hej, nie zrozumcie mnie źle. To tylko ludzie. Lubię ich. Nie wyolbrzymiajmy tej sprawy.

Kiedy wychodzili, Dhatt odebrał telefon i zaczął robić notatki, mamrocząc coś pod nosem. Zamknął drzwi.

– To był jeden z mundurowych, których wysłałem po Bowdena. Nasz doktor zniknął. Dotarli do jego mieszkania, ale nikt nie otwiera drzwi. Nie ma go.

– Powiedzieli mu, że przyjadą?

– Ehe i o bombie też wiedział. Ale zniknął.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Chcę tam wrócić i porozmawiać z tym chłopakiem – oznajmił Dhatt.

– Z unifikacjonistą?

– Ehe, z Jarisem. Wiem, wiem, to nie był on. Skoro tak mówisz. Tak czy inaczej, on coś wie i chcę z nim pogadać.

– Nie znajdziesz go.

– Słucham?

– Życzę szczęścia. Zwiął.

Zwolnił, zostając kilka kroków za mną, i zadzwonił do kogoś.

– Miałeś rację. Nigdzie go nie ma. Skąd wiedziałeś? W co ty, kurwa, grasz?

– Chodźmy do twojego gabinetu.

– Pierdołę gabinet. Gabinet może zaczekać. Powtarzam: Skąd, kurwa, wiedziałeś o Jarisie?

– Posłuchaj...

– Zaczynam się trochę bać twoich nadprzyrodzonych zdolności, Borlú. Kiedy usłyszałem, że mam być twoją niańką, nie siedziałem na dupie, tylko dowiedziałem się czegoś o tobie i wiem, że trzeba się z tobą liczyć. Jestem pewien, że postąpiłeś podobnie i wiesz o mnie to samo. – Powinienem być tak zrobić. – Byłem gotowy na współpracę z detektywem. I to naprawdę niezłym. Nie spodziewałem się spotkać smętnego, wечно niezadowolonego sukinsyna. Kurwa, skąd wiedziałeś o Jarisie? Dlaczego osłaniasz tego śmierdziela?

– Dobra. Zadzwonił do mnie wczoraj z samochodu, a może raczej z pociągu, i powiedział, że wyjeżdża z miasta.

Przeszył mnie wściekłym spojrzeniem.

– Dlaczego to zrobił? I dlaczego nic mi nie powiedziałeś, do chuja? Pracujemy razem, czy nie, Borlú?

– Dlaczego do mnie zadzwonił? Może nie był zachwycony twoimi metodami przesłuchania, Dhatt. Pytasz, czy pracujemy razem? Myślałem, że moim zadaniem jest przekazywać ci grzecznie wszystko, co wiem, a potem oglądać w hotelu telewizję i czekać, aż znajdziesz winnego. Kiedy włamano się do Bowdena? Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? Nie zauważyłem też, żeby ci się śpieszyło do podzielenia się ze mną tym, czego

dowiedziałeś się od UIHuana w Bol Ye'an, a on z pewnością znał najciekawsze informacje. W końcu jest rządową wtyką, prawda? No wiesz, to nic wielkiego, we wszystkich publicznych instytucjach są agenci. Nie podoba mi się tylko, że najpierw utrzymujesz mnie w nieświadomości, a później pytasz: „Jak mogłeś?”.

Wymieniliśmy gniewne spojrzenia. Po dłuższej chwili Dhatt odwrócił się i podszedł do krawężnika.

– Wystaw nakaz aresztowania Jarisa – powiedziałem do jego pleców. – Unieważnij jego paszport, zawiadom lotniska i dworce. Ale on zadzwonił do mnie tylko dlatego, że już był w drodze. Jego telefon zapewne leży rozbity na torach w wąwozie Cucinis, a on sam jest w połowie drogi na Bałkany.

– I co jego zdaniem się wydarzyło?

– Mówi, że to Orciny.

Dhatt odwrócił się i machnął lekceważąco ręką.

– Kiedy miałeś zamiar mi o tym powiedzieć? – warknął.

– Właśnie ci powiedziałem.

– Jaris wziął i zwiął. Czy to nic ci nie mówi? Tylko winni uciekają.

– Chodzi ci o Mahalię? Daj spokój, jaki mógłby mieć motyw? – Przypomniałem sobie jednak, co usłyszałem od Jarisa. Mahalia nie należała do ich organizacji. Przegnali ją. Zawahałem się na chwilę. – A może o Bowdena? Czemu Jaris miałby to zrobić i jak, do cholery, mógłby zorganizować coś takiego?

– Nie mam pojęcia. Kto wie, co kieruje takimi skurwysynami? Na pewno mają jakieś popieprzone usprawiedliwienie, teorię spiskową albo coś w tym rodzaju.

– To nie ma sensu – stwierdziłem po dłuższym namyśle. – To było... No dobra, to rzeczywiście on zadzwonił do mnie do Beszel.

– Wiedziałem. Kurwa, osłaniałeś go.

– Nie byłem pewien. Wczoraj sam przyznał, że to był on. Chwileczkę, Dhatt, czemu miałby do mnie dzwonić, jeśli to on ją zabił?

Wbił we mnie wzrok. Po dłuższej chwili odwrócił się i zatrzymał taksówkę. Otworzył drzwi samochodu, stojącego ukośnie na jezdni. Ulqomańskie pojazdy przejeżdżały obok, trąbiąc głośno, natomiast beszańscy kierowcy omijali po cichu wtarg. Ci najbardziej praworządni nawet nie kleli pod nosem.

Dhatt stał na jezdni, wsadzając głowę do pojazdu. Taksówkarz próbował coś mu wytłumaczyć, aż w końcu starszy detektyw warknął ze złością i wyjął legitymację.

– Nie wiem, co nim kierowało – odpowiedział. – Trzeba to sprawdzić. Ale to kurewsko podejrzane, prawda? Takie nagłe zniknięcie?

– Gdyby miał coś wspólnego ze sprawą, na pewno nie chciałby przyciągać mojej uwagi. I jak mógłby przewieźć ofiarę do Beszel?

– Poprosił o pomoc kumpli z waszego miasta. Oni zrobili to za niego.

Wzruszyłem z powątpiewaniem ramionami.

– To beszańscy unifi pierwsi naprowadzili nas na ślad. Facet nazwiskiem Drodin. Słyszałem o próbach skierowania przeciwnika na mylny trop, ale my wtedy nie mieliśmy żadnego tropu. Unifom brakowało sprytu potrzebnego do kradzieży furgonetki. Nie mieli też odpowiednich kontaktów. Nie ci, których spotkałem. W dodatku większość ich członków to agenci *policzai*. Jeśli to rzeczywiście byli unifi, to z pewnością jakaś głęboko zakonspirowana grupa, o której nic nie wiemy. Rozmawiałem z Jarisem. On się bał – ciągnąłem. – Nie sprawiał wrażenia winnego. Bał się i był zasmucony. Chyba mu się podobała.

– W porządku – powiedział po chwili Dhatt i skinął dłonią, zapraszając mnie do taksówki. Sam został jeszcze chwilę na zewnątrz, wydając komuś polecenia przez telefon. Mówił za cicho i zbyt szybko, bym mógł go zrozumieć. – W porządku, zacznijmy od nowa – powtórzył cicho, gdy taksówka ruszyła. – Gównu mnie obchodzą relacje między Beszel i Ul Qomą. I to, co mój szef powiedział mi, a twój tobie. Obaj jesteśmy policjantami. Ustalmy coś. Borlú, współpracujemy ze sobą czy nie? Przydałaby mi się pomoc, bo sprawa robi się coraz bardziej popierdolona. A tobie? Swoją drogą, UlHuan chuja wie.

Zaprowadził mnie do lokalu nieopodal komendy. Nie było tam tak ciemno jak w uczęszczanych przez gliniarzy barach w Beszel. Atmosfera była zdrowsza, ale i tak nie urządziłbym tu przyjęcia weselnego. Choć godziny pracy jeszcze się nie skończyły, bar był w ponad połowie wypełniony. Niemożliwe, by wszyscy goście byli funkcjonariuszami *militysi*, choć poznałem kilku ludzi spotkanych na miejscowej komendzie. Oni również mnie poznali. Dhatt wszedł do środka, wymieniając pozdrowienia. Podążyłem za nim, odprowadzany przez szepty i czarująco nieskrywane ulqomańskie spojżenia.

– Jedno morderstwo i jak dotąd dwa zaginięcia – zacząłem, przyglądając się mu z uwagą.
– A wszystko to ludzie, którzy zajmowali się badaniami nad tą sprawą.

– Kurwa, nie ma żadnego Orciny.

– Dhatt, nie mówię, że jest. Sam powiedziałeś, że istnieją kultury i świry.

– Pierdol się. Najbardziej ześwirowany kultysta, jakiego spotkaliśmy, przed chwilą uciekł z miejsca zbrodni, a ty mu na to pozwoliłeś.

– Powinienem być powiedzieć ci o tym rano. Przepraszam.

– Powinieneś być zadzwonić w nocy.

– Nawet gdybyśmy go znaleźli, wątpię, by były podstawy do aresztowania. Niemniej przepraszam.

Uniosłem otwarte dłonie, przyglądając się przez chwilę Dhattowi. Z jakiegoś powodu walczył ze sobą.

– Chcę rozwiązać tę sprawę – oznajmił po chwili. W tle słychać było przyjemnie brzmiący szmer prowadzonych po illitańsku rozmów. Usłyszałem cmoknięcia, gdy parę osób zauważyło moją odznakę gościa. Dhatt postawił mi piwo, ulqomańskie, z najróżniejszymi dodatkami. Do nadejścia zimy zostało jeszcze kilka tygodni, ale choć w Ul Qomie nie mogło

być zimniej niż w Beszel, marzę tu bardziej. – Co ty na to? Kurwa, jeśli mi nie zaufasz...

– Dhatt, mówiłem ci już o rzeczach, które... – ściszyłem głos. – Nikt oprócz ciebie nie wie o pierwszym telefonie. Nie mam pojęcia, co tu jest grane. Nic z tego nie rozumiem. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Ktoś mnie wykorzystuje z jakiegoś powodu, o którym wiem równie mało co ty. Przekazano mi kupę informacji, z których nie potrafię zrobić użytku. Mam nadzieję, że kryje się w tym coś więcej, ale na razie nic nie wiem.

– A co sądził o tym Jaris? Muszę wytropić skurwysyna.

Nie miał na to szans.

– Powinienem był zadzwonić, ale mogłem... To nie jego szukamy. Wiesz o tym, Dhatt. Wiesz. Jak długo pracujesz w policji? Czasem pewne rzeczy po prostu się wie.- Uderzyłem się w pierś. Miałem rację, spodobało mu się to. Skinał głową. Powtórzyłem mu wszystko, co usłyszałem od Jarisa.

– Kurwa, co za bzdury – skwitował Dhatt.

– Może i tak.

– O co chodzi z tym Orciny? To przed nim uciekał? Czytasz tę podejrzaną książkę Bowdena. Co o niej sądzisz?

– Jest w niej mnóstwo różnych rzeczy. Sam nie wiem. Oczywiście to śmieszne, jak powiedziałeś. Sekretne moce ukrywające się za kulisami, jeszcze potężniejsze od Przekroczeniówki, władcy marionetek, ukryte miasta.

– Brednie.

– Tak, ale rzecz w tym, że wielu ludzi w nie wierzy. I – rozpostarłem dłonie – dzieje się coś ważnego, a my nie mamy pojęcia, co to jest.

– Może później też przyjrę się tej książce – stwierdził Dhatt. – Kurwa, nigdy nic nie wiadomo.

To ostatnie słowo wypowiedział z lekką emfazą.

– Qussim. – Dwóch jego kolegów, mężczyzn w przedziale wieku między jego a moim, uniosło szklanki ku niemu i w pewnym stopniu również ku mnie. Ich oczy miały osobliwy wyraz. Poruszali się jak zaciekawione zwierzęta. – Qussim, nie mieliśmy jeszcze okazji poznać naszego gościa. Ukrywasz go przed nami.

– Cześć, Yura. Cześć, Kai. Jak leci? – przywitał ich Dhatt. – Borlú, to są detektywi bla i bla.

Pomachał rękami, wskazując na nich i na mnie. Jeden z nich spojrział na niego, unosząc brew.

– Chciałem tylko zapytać, jak się inspektorowi Borlú podoba w Ul Qomie – odezwał się mężczyzna zwany Kaiem.

Dhatt prychnął pogardliwie i dopił piwo.

– Nie pierdol – w głosie starszego detektywa gniew mieszał się z wesołością. – Chcecie się upić i sprowokować kłótnię, a ty, Yura, może nawet bójkę, jeśli będziesz wystarczająco

zalany. Mogą z tego wyniknąć niefortunne międzynarodowe incydenty albo i pierdolona wojna. Może nawet wspomnisz o swoim tacie. Jego tata służył w Marynarce Ulqomańskiej – wyjaśnił mi Dhatt. – Nabawił się szumów usznych podczas debilnej potyczki z beszańskim holownikiem o jakieś sporne więcierze do połowu homarów czy coś w tym rodzaju. – Zerknąłem na obu rozmówców, ale żaden nie sprawiał wrażenia szczególnie oburzonego. Na twarzy Kaia pojawił się nawet ślad rozbawienia. – Oszczędzę wam kłopotów – ciągnął Dhatt. – On rzeczywiście jest takim beszańskim koniotrzepem, za jakiego go macie. Możecie to powtórzyć wszystkim w robocie. Chodźmy, Borlú.

Weszliśmy do garażu komendy i Dhatt podszedł do swojego samochodu.

– Hej... – Wskazał na kierownicę. – Nie przyszło mi do głowy, że może chciałbyś spróbować poprowadzić w Ul Qomie.

– Nie, dziękuję. Zbyt łatwo byłoby stracić orientację. – Prowadzenie samochodu w Beszel czy Ul Qomie jest wystarczająco trudne, nawet gdy jest się w rodzinnym mieście. Trzeba sobie radzić zarówno z miejscowym, jak i z cudzoziemskim ruchem ulicznym. – Wiesz, jak to jest – ciągnąłem. – Kiedy pierwszy raz w życiu prowadziłem samochód... tutaj na pewno wygląda to tak samo. Trzeba nie tylko widzieć miejscowe samochody, ale też przeoczyć te, które są za granicą, i to wystarczająco szybko, by usunąć się im z drogi. – Dhatt skinął głową. – Tak czy inaczej, kiedy byłem młodym chłopakiem, musieliśmy się nauczyć omijać wszystkie te stare ulqomańskie gruchoty, a w niektórych dzielnicach nawet wozy zaprzężone w osły i tak dalej. Przeoczałem je, ale... no wiesz. Po latach przeoczone pojazdy nas prześcignęły.

Dhatt parsknął śmiechem, ale pobrzmiwała w nim nuta zawstydenia.

– Fortuna kołem się toczy – stwierdził. – Za jakieś dziesięć lat karta się odwróci.

– Wątpię.

– Daj spokój, zawsze tak się dzieje. To już się zaczęło.

– Mówisz o naszych wystawach? To tylko garstka małych inwestycji, poczynionych z litości. Myślę, że wilk długo zachowa przewagę.

– Nałożyli na nas blokadę!

– Nie zauważyłem, żeby to wam zaszkodziło. Nas Waszyngton kocha i nie mamy z tego nic poza coca-colą.

– Nie lekceważ jej – sprzeciwił się Dhatt. – Piłeś kiedyś colę Canuck? Cały ten syf to zabytek zimnej wojny. Kogo, kurwa, obchodzi, z kim chcą się bawić Amerykanie? Życzę im szczęścia. *Oh Canada...* – zanucił kawałek. – Jakie żarcie dają w hotelu?

– W porządku. Paskudne, ale nie gorsze niż w innych.

Zakręcił kierownicą i zjechał ze znanej mi trasy.

– Kochanie? – powiedział do telefonu. – Mogłabyś wykombinować coś więcej na kolację? Dziękuję, śliczna. Chciałbym, żebyś poznała mojego nowego partnera.

Miała na imię Yallya. Była ładna, znacznie młodsza od męża. Przywitała mnie z

wdziękiem, z radością grając wyznaczoną rolę. Czekala u drzwi i dała mi na powitanie trzy całusy, zgodnie z ulqomańskim zwyczajem.

Po drodze Dhatt zerknął na mnie i zapytał:

– Wszystko w porządku?

Szybko stało się oczywiste, że mieszkał grostopicznie niespełna półtora kilometra od mojego domu. Po wejściu do salonu zorientowałem się, że okna naszych mieszkań wychodzą na ten sam obszar zieleni, zwany w Beszel Skwerem Majdlyna, a w Ul Qomie Parkiem Kwaidso. To ściśle zrównoważony przepłot. Często spacerowałem po Majdlynie. W niektórych miejscach nawet pojedyncze drzewa są przepłotowe. Ulqomańskie i beszańskie dzieci włączają tam na siebie, słuchając szeptów rodziców, każących im przeoczyć te drugie. Dzieci są nieustannym źródłem infekcji. W ten właśnie sposób szerzą się choroby. W miastach epidemiologia zawsze była skomplikowaną dziedziną.

– Jak się panu podoba w Ul Qomie, inspektorze?

– Proszę mi mówić Tyador. To bardzo piękne miasto.

– Chrzani głupoty. Uważa nas wszystkich za zbirów i idiotów. Sądzi też, że najechały nas niewidzialne armie z ukrytych miast. – W śmiechu Dhatta słyszało się nutę drwiny. – Zresztą nie mieliśmy czasu na zwiedzanie.

– Jak idzie sprawa?

– Nie ma żadnej sprawy – poinformował żonę Dhatt. – Jest tylko seria przypadkowych, niewiarygodnych incydentów, które nie mają żadnego sensu, chyba żeby uwierzyć w najbardziej dramatyczne z możliwych wyjaśnień. A na końcu tego wszystkiego jest martwa dziewczyna.

– Czy to prawda? – zapytała mnie Yallya. Zaczęli znosić na stół jedzenie. Wszystko zostało kupione gotowe, ale i tak smakowało lepiej niż to, co podawali w hotelu. Było też bardziej ulqomańskie, co miało również złe strony. Niebo nad przepłotowym parkiem ciemniało. Nadciągała noc, a wraz z nią chmury deszczowe.

– Brakuje ci ziemniaków – domyśliła się Yallya.

– Mam to wypisane na twarzy?

– To wszystko, co jecie, prawda? – Najwyraźniej uważała to za zabawne. – Czy to dla ciebie za ostre?

– Ktoś nas obserwuje z parku.

– Jak możesz to stąd zauważyć? – Wyrzała przez okno, spoglądając nad moim ramieniem. – Mam nadzieję, że jest w Ul Qomie. Dla jego dobra.

Była redaktorką w zajmującym się finansami czasopiśmie i – sądząc po książkach, jakie widziałem, oraz plakatach w łazience – fanką japońskich komiksów.

– Jesteś żonaty, Tyador? – Próbowałem odpowiadać na jej pytania, choć zadawała je za szybko. – Jesteś tu po raz pierwszy?

– Nie, ale dawno tu nie byłem.

– A więc nie znasz miasta.

– Nie. Kiedyś mogłem twierdzić, że znam Londyn, ale to było dawno.

– Podróżowałeś po świecie! A teraz musisz się użerać z wchodźcami i przekraczającymi?

– Te słowa nie przypadły mi do gustu. – Qussim mówi, że spędzasz czas tam, gdzie wykopują starożytne talizmany.

– To miejsce jak każde inne. Jest w nim znacznie więcej biurokracji, niżby się zdawało, nawet jeśli opowiadają o nim ekscytujące historie.

– To śmieszne. – Nagle zrobiła skruszoną minę. – Nie powinnam sobie z tego żartować. Wszystko przez to, że nic nie wiem o zabitej dziewczynie.

– Bo nigdy nie pytasz – zauważył Dhatt.

– No wiesz... Masz jej zdjęcie? – zapytała. Musiałem mieć zaskoczoną minę, bo Dhatt spojrzał na mnie i wzruszył ramionami. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, ale przypomniałem sobie, że mam tylko jedno zdjęcie – małą odbitkę odbitki wykonanej w Beszel, którą trzymałem w portfelu – i że zrobiono je pośmiertnie. Tego nie chciałem pokazać.

– Przykro mi, ale nie mam.

Na chwilę zapadła cisza. Uświadomiłem sobie, że Mahalia była tylko kilka lat młodsza od Yallyi.

Zostałem u nich dłużej, niż się spodziewałem. Yallya była dobrą gospodynią, zwłaszcza od chwili, gdy pozwoliła mi nakierować rozmowę na inne tematy. Słuchałem, jak kłócą się żartobliwie z Dhattem. Bliskość parku i demonstracja uczuć innych wzruszały mnie, odwracały moją uwagę. Widok Yallyi i Dhatta przywołał myśl o Sarisce i Biszai. Przypomniałem sobie dziwne zainteresowanie Aikama Tsueha.

Kiedy wychodziłem, Dhatt odprowadził mnie i ruszył w stronę samochodu.

– Sam wrócę – powstrzymałem go.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Dziwnie się dziś zachowywałaś.

– Dobrze. Przykro mi, nie chciałem być nieuprzejmy. Byliście bardzo mili. Naprawdę czułem się u was świetnie, a Yallya... myślę, że masz szczęście. Po prostu chcę jeszcze raz przemyśleć sprawę. Posłuchaj, nic mi nie będzie. Mam pieniądze. Ulqomańskie. – Pokazałem mu portfel. – Mam wszystkie dokumenty. Odznakę gościa. Wiem, że nie lubisz, jak kręcę się sam po mieście, ale, daj spokój, lubię chodzić na piechotę. Potrzebny mi krótki spacer. Noc jest piękna.

– Kurwa, co ty gadasz? Pada deszcz.

– Lubię deszcz. Zresztą to tylko mżawka. Nie wytrzymałbyś ani jednego dnia po naszej stronie. W Beszel mamy prawdziwy deszcz.

To był stary dowcip, ale Dhatt uśmiechnął się i dał za wygraną.

– Jak sobie chcesz. Musimy jakoś to rozgryźć. No wiesz, nie posunęliśmy się zbyt daleko.

– Ehe.

– Jesteśmy najtęższymi umysłami w naszych miastach, tak? A mimo to nadal nie odnaleźliśmy Yolandy Rodriguez, a teraz Bowden również zaginął. Nie dadzą nam za to medali. – Rozejrzał się wokół. – Poważnie, co tu jest grane?

– Wiesz wszystko, co ja wiem.

– Nie gryzę się tym, że w całym tym syfie nie sposób dopatrzeć się sensu – zaczął. – Raczej podejrzeniem, że można się go dopatrzeć, ale ta myśl prowadzi w kierunku, w którym nie chcę iść. Nie wierzę w...

Zbył machnięciem ręki koncepcję złowrogich, ukrytych miast. Potem wbił spojrzenie w ulicę, przy której mieszkał. Była jednolita, a żadne z jasnych okien nie znajdowało się za granicą. Na najbliższej przecznicy, położonej przeważnie w Beszel, w świetle latarni rysowały się ludzkie sylwetki. Odniosłem wrażenie, że jeden z przechodniów gapił się na nas przez chwilę wystarczająco długą, by popełnić przekroczenie, potem jednak się oddalił.

Ruszyłem przed siebie, obserwując mokre od deszczu budynki. Nie wybierałem się w żadne konkretne miejsce. Szedłem na południe. Mijając po drodze niewidzialnych przechodniów, bawiłem się myślą o pójściu pod dom Sariski, Biszai albo nawet Corwi. Wypełniło mnie to melancholią. Wiedziały, że jestem w Ul Qomie. Mógłbym odnaleźć którąś z nich i ruszyć ulicą obok niej. Choć dzieliłyby nas od siebie tylko centymetry, nie moglibyśmy okazać, że się widzimy. Jak w tej starej opowieści.

Oczywiście nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Rzadko się zdarza, byśmy musieli przeoczyć znajomych albo przyjaciół, ale wszyscy się zgadzają, że to bardzo nieprzyjemne. Przeszedłem jednak obok własnego domu.

Niemalże spodziewałem się, że któryś z sąsiadów – chyba żaden z nich nie wiedział, że wyjechałem za granicę – przywita mnie, a dopiero potem zauważy odznakę gościa i pośpiesznie spróbuje cofnąć przekroczenie. W ich mieszkaniach paliło się światło, ale wszyscy siedzieli w domu.

W Ul Qomie znajdowałem się na ulicy Ioy, tworzącej mniej więcej wyrównany przepłot z RosidStrász, przy której mieszkałem. Dwa budynki od mojego domu znajdował się czynny do późnych godzin nocnych ulqomański sklep monopolowy. Połowa pieszych na ulicy przebywała w Ul Qomie, mogłem więc przejść grostopicznie blisko własnych drzwi. Oczywiście przeoczyłem je, ale – równie oczywiście – nie do końca. Nie potrafiłem nazwać uczucia, które mnie wówczas wypełniło. Zbliżałem się powoli, wpatrując się w wejścia znajdujące się w Ul Qomie.

Ktoś mnie obserwował. Chyba stara kobieta. Ledwie widziałem ją w mroku, a już z pewnością nie dostrzegałem szczegółów twarzy. W tym, jak stała, było coś osobliwego. Przyjrzałem się jej ubraniu i nie potrafiłem zdecydować, w którym mieście się znajduje. Taka chwila niepewności zdarza się często, ale tym razem trwała ona znacznie dłużej niż zwykle. Niepokój nie tylko nie ustępował, lecz narastał. Nadal nie potrafiłem dostrzec staruszki

wyraźnie.

Zobaczyłem też innych ludzi, równie trudnych do zdefiniowania. Zdawali się wyłaniać z cieni, ale nie zbliżali się do mnie. Właściwie nawet się nie poruszali. Po prostu zastygali w bezruchu, przez co stawali się wyraźniejsi. Staruszka nie przestawała mi się przyglądać. Postąpiła nawet krok czy dwa w moim kierunku. Albo była w Ul Qomie, albo przekraczała.

Cofnąłem się przed nią pośpiesznie. Nastąpiła nieprzyjemna przerwa. Potem kobieta i inni zrobili to samo, znikając nagle w swym mroku. Oddaliłem się, zmierzając ku lepiej oświetlonym alejom. Nie biegłem, ale szedłem bardzo szybko.

Nie skierowałem się jednak wprost do hotelu. Czekałem przez kilka minut w uczęszczanym punkcie, aż serce mi się uspokoiło. Potem poszedłem w to samo miejsce, z którego próbowałem wcześniej obserwować Bol Ye'an. Tym razem byłem znacznie ostrożniejszy i starałem się zachować ulqomańską postawę. Przyglądałem się pograżonym w ciemności wykopaliskom przez całą godzinę i *militiya* mnie nie niepokoiła. Zauważyłem, że miejscowi funkcjonariusze albo gwałtownie oznajmiają swą obecność, albo nie ma ich w ogóle. Z pewnością ulqomańscy stróże porządku znali jakieś subtelne metody interwencji, ale nigdy się z nimi nie zetknąłem.

Wróciwszy do Hiltona, zamówiłem budzenie na piątą i zapytałem recepcjonistkę, czy mogłaby wydrukować dla mnie wiadomość, ponieważ maleńki pokój zwany „centrum biznesowym” był zamknięty. Zrobiła to na firmowym papierze Hiltona.

– A czy mogłaby pani użyć zwykłej kartki? – zapytałem i mrugnąłem znacząco. – Na wypadek, gdyby ktoś przechwycił list. – Uśmiechnęła się, niepewna, w jakich intymnych rozgrywkach uczestniczy. – A mogłaby pani to przeczytać?

– Pilne. Przyjedź natychmiast. Nie dzwoń.

– Znakomicie.

Rankiem wróciłem do swojego punktu obserwacyjnego, idąc okrężną drogą przez miasto. Choć zgodnie z wymogami prawa nosiłem odznakę gościa, przypiąłem ją na samym skraju klapy, w zagięciu tkaniny. Mogli ją zobaczyć tylko ci, którzy wiedzieli, gdzie patrzeć. Marynarka autentycznego ulqomańskiego kroju nie była nowa, ale włożyłem ją po raz pierwszy, podobnie jak kapelusz. Kiedy wyszedłem z hotelu, do otwarcia sklepów zostało jeszcze parę godzin, ale zaskoczony ulqomanin stojący na końcu chodnika stał się bogatszy o kilka dinarów i uboższy o dwa elementy stroju.

Nic nie gwarantowało, że mnie nie obserwują, ale nie sądziłem, by robiła to *militiya*. Choć słońce wzeszło niedawno, na ulicy było pełno ulqoman. Nie chciałem ryzykować zbliżania się do Bol Ye'an. Poranek wypełnił ulice setkami dzieci: tych, które nosiły obowiązkowe szkolne mundurki oraz grupkami uliczników. Przyglądałem się mieszkańcom znad przesadnie długich nagłówek „Ul Qoma Nasyona”, starając się nie przyciągać niczyjej uwagi. Śniadanie kupiłem sobie w ulicznej smaźalni. Do Bol Ye'an zaczęli się schodzić ludzie. Byli zbyt daleko, bym mógł ich rozpoznać. Często przybywali małymi grupkami,

pokazując przy wejściu przepustki. Zaczekałem jeszcze chwilę.

Dziewczynka w za dużych adidasach i obciętych džinsach, do której się zwróciłem, popatrzyła na mnie sceptycznie. Pokazałem jej pięciodinarowy banknot i zamkniętą kopertę.

– Widzisz to miejsce? Widzisz bramę?

Skinęła ostrożnie głową. Takie dzieciaki chętnie podejmowały się roli kurierów.

– Skąd pan przyjechał? – zapytała.

– Z Paryża – odparłem. – Ale to tajemnica. Nie mów nikomu. Mam dla ciebie zadanie. Myślisz, że potrafiłabyś przekonać tych strażników, by kogoś zawołali? – Skinęła głową. – Podam ci nazwisko. Chcę, żebyś tam poszła, znalazła tego kogoś i przekazała mu wiadomość. Jemu i nikomu innemu.

Dziewczynka albo była uczciwa, albo na tyle bystra, by sobie uświadomić, że widzę niemal całą jej trasę aż do wejścia. Przekazała wiadomość. Śmigła przez tłum, maleńka i szybka. Im szybciej wykona korzystne zadanie, tym prędzej będzie mogła znaleźć sobie następnę. Łatwo było zrozumieć, dlaczego takie bezdomne dzieci zwie się „roboczymi myszami”.

Po kilku minutach dotarła do bramy. Po chwili ktoś z niej się wyłonił. Szedł szybkim, sztywnym krokiem, pochylając nisko głowę. Choć był daleko, widziałem, że to rzeczywiście jest Aikam Tsueh.

* * *

Robiłem to już przedtem, Mogłem sobie poradzić ze śledzeniem go, ale w nieznanym mieście trudno by mi było uniknąć zauważenia. Ułatwił mi jednak zadanie, ponieważ w ogóle nie oglądał się za siebie i, z paroma tylko wyjątkami, podążał najruchliwszymi, najbardziej przepłotowymi ulicami. Doszedłem do wniosku, że zmierza do celu najprostszą drogą.

Najtrudniejsza chwila nadeszła, gdy wsiadł do autobusu. Byłem blisko i zdołałem się schować za gazetą, nie tracąc go z oczu. Skrzywiłem się, kiedy zadzwoniła komórka, ale to nie był pierwszy taki przypadek w autobusie, Aikam na mnie więc nie spojrzał. To był Dhatt. Nie odebrałem połączenia i wyłączyłem dzwonek.

Tsueh wysiadł i poprowadził mnie do zaniedbanej, jednolitej strefy ulqomańskich blokowisk, położonej za Bisham Ko, daleko od śródmieścia. Nie widziało się tu pięknych, śrubowatych wieżowców ani zabytkowych balonów. Betonowe bloki, wznoszące się między stertami śmieci, nie były jednak opustoszałe. Pełno w nich było hałaśliwych ludzi. Okolica przypominała najbiedniejsze dzielnice Beszel, ale była jeszcze uboższa. Słyszało się tu też inny język, a dzieci i dziwki nosiły inne stroje. Dopiero gdy Tsueh wszedł do jednego z mokrych od deszczu wieżowców i ruszył schodami na górę, byłem zmuszony okazać maksymalną ostrożność. Stąpałem bezgłośnie po betonowych stopniach, mijając graffiti i zwierzęce kupy. Słyszałem kroki biegnącego Tsueha. Po chwili zatrzymał się i zapukał do

drzwi. Zwolniłem.

– To ja – odezwał się. – To ja. Jestem tutaj.

Głos, który mu odpowiedział, był pełen niepokoju, choć mogłem po prostu odnieść takie wrażenie, bo tego się spodziewałem. Nadal szedłem na górę, cicho i ostrożnie. Żałowałem, że nie mam pistoletu.

– Kazałaś mi przyjechać – upierał się Tsueh. – Tak napisałaś. Wpuść mnie. Co się stało?
– Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem i usłyszałem szept, nieco głośniejszy niż przedtem. Dzielił mnie od nich już tylko jeden brudny filar. Wstrzymałem oddech. – Przecież napisałaś...

Drzwi otworzyły się szerzej i usłyszałem, że Aikam wchodzi do środka. Wpadłem biegiem na mały pomost za jego plecami. Nie miał czasu mnie zauważyć ani się odwrócić. Popchnąłem go mocno. Wpadł na uchylone drzwi, otwierając je szeroko, a potem odepchnął na bok kogoś, kto stał za nimi, i runął na podłogę. Usłyszałem krzyk, ale wszedłem do środka i zatrasnąłem za sobą drzwi. Stałem pod nimi, blokując wyjście, i rozejrzałem się po mrocznym korytarzu. Tsueh oddychał spazmatycznie, próbując się podnieść. Młoda kobieta krzyczała przeraźliwie i cofała się przede mną. W jej oczach malowało się przerażenie.

Uniosłem palec do ust. Z pewnością przypadkiem, ale akurat w tej samej chwili zabrakło jej tchu i umilkła.

– Nie, Aikam – odezwałem się. – Nic nie napisała. List nie był od niej.

– Aikam – wybełkotała.

– Cicho. – Znowu uniosłem palec do ust. – Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale oboje wiemy, że są tacy, którzy mogą to zrobić. Pragnę ci pomóc, Yolando.

Znowu się rozpląkała, nie wiem, czy ze strachu, czy z ulgi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Aikam wstał i spróbował mnie zaatakować. Był muskularny i unosił ręce w sposób sugerujący, że trenował boks, jeśli jednak rzeczywiście tak było, najwyraźniej nie nauczył się zbyt wiele. Zbiłem go z nóg, wcisnąłem mu twarz w brudny dywan i wykręciłem rękę za plecami. Yolanda wykrzyknęła jego imię. Spróbował się wyrwać, mimo że siedziałem mu na plecach, walnąłem więc jego twarzą o podłogę, aż krew popłynęła mu z nosa. Cały czas trzymałem się między nimi dwojgiem a drzwiami.

– Starczy już tego – powiedziałem. – Jesteś gotowy się uspokoić? Nie chcę jej skrzywdzić. – Był ode mnie silniejszy i z pewnością zdołałby się w końcu uwolnić, chyba żebym złamał mu rękę. Żadne z tych wydarzeń nie było pożądane. – Yolando, na Boga. – Spojrzałem na nią, nie uwalniając wierzgającego nogami Aikama. – Mam pistolet. Gdybym chciał cię skrzywdzić, użyłbym go.

Kłamiąc, przeszedłem na angielski.

– Kam – odezwała się wreszcie. Uspokoił się niemal natychmiast. Wbiła we mnie spojrzenie i cofnęła się pod ścianę na końcu korytarza, opierając się o nią rozpostartymi dłońmi.

– Coś mi się stało w rękę – poskarżył się leżący na podłodze Aikam.

– Przykro mi z tego powodu. Czy będzie grzeczny, jeśli go puszczę? – zapytałem Yolandę, znowu po angielsku. – Chcę ci pomóc. Wiem, że się boisz. Hej, Aikam? – Adrenalina znacznie mi ułatwiała przechodzenie z jednego języka na drugi. – Czy zaopiekujesz się Yolandą, jeśli cię puszczę?

Nawet nie próbował otrzeć płynącej z nosa krwi. Złapał się za obolałą rękę i, ponieważ nie mógł objąć kobiety, przytulił się do niej czule, osłaniając ją przede mną swym ciałem. Przyglądała się mi zza tej osłony, ale przerażenie przeszło już w nieufność.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Wiem, że się boisz. Nie jestem z ulqomańskiej *militysi*. Nie ufam im tak samo jak wy. Nie zawiadomię ich. Pozwól, bym ci pomógł.

* * *

Yolanda Rodriguez zaprowadziła mnie do pokoiku, który zwała salonem, i skuliła się na starym krześle, zapewne przyniesionym z opuszczonego mieszkania w tym samym bloku. Było tu kilka podobnych mebli, uszkodzonych, ale czystych. Okna wychodziły na podwórko, z którego dobiegały głosy ulqomańskich chłopaków, grających w improwizowaną postać rugby. Nic jednak nie widziałem przez pomalowane na białą szyby.

W pokoju ustawiono pudła z książkami i innymi rzeczami, a także taniego laptopa i równie taną drukarkę atramentową. Nie było tu jednak prądu, o ile potrafiłem to określić. Na ścianach nie wisały plakaty. Drzwi pokojów były otwarte. Oparłem się o framugę, spoglądając na dwa leżące na podłodze zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało Aikama, drugie, w lepszej ramce, Yolandę i Mahalię uśmiechające się nad koktajlami.

Yolanda wstała, ale zaraz usiadła znowu. Nie chciała patrzeć mi w oczy. Nie próbowała ukrywać strachu, który nie słabł, choć nie byłem już jego bezpośrednią przyczyną. Bała się okazać narastającą nadzieję. Widywałem już przedtem taki wyraz twarzy. Ludzie często marzą o ratunku.

– Aikam dobrze się spisał – odezwałem się, wracając do angielskiego. Chłopak nie prosił o tłumaczenie, choć nie znał tego języka. Stał obok krzesła Yolandy, patrząc na mnie. – Chciałaś, żeby się dowiedział, jak mogłabyś się niepostrzeżenie wydostać z Ul Qomy. Osiągnął coś?

– Jak pan do mnie trafił?

– Twój chłopak robił to, o co go prosiłaś. Próbował się dowiedzieć, co jest grane. Co go obchodziła Mahalia Geary? Nawet ze sobą nie rozmawiali. Ty jednak nie jesteś mu obojętna. A ponieważ wypytywał mnie o Mahalię, jak tego chciałaś, przyszło mi na myśl, że jest w tym coś dziwnego. Dlaczego miałby to robić? Ciebie interesował jej los, Yolando. Musiałaś też zadbać o siebie.

Znowu wstała i zwróciła się twarzą ku ścianie. Czekałem, aż coś powie. Nie zrobiła tego.

– Pochlebia mi, że kazałaś mu zwrócić się do mnie – podjąłem. – Jedyne go policjanta, który mógł nie być zamieszany w sprawę. Człowieka z zewnątrz.

– Nic pan nie wie! – Zwróciła się ku mnie. – Nie ufam panu...

– W porządku. Nie mówię, że musisz mi ufać. – To chyba jej zbytnio nie uspokoiło. Aikam przysłuchiwał się, jak mówimy w niezrozumiałym dla niego języku. – Nigdy nie opuszczasz mieszkania? – zapytałem. – Czym się żywisz? Konserwami? Twój chłopak pewnie tu przychodzi, ale nie za często...

– Częściej nie może. Jak pan mnie znalazł?

– On ci to wyjaśni. Dostał wiadomość, każącą mu tu przyjechać. To znaczy, że naprawdę dba o ciebie.

– To prawda.

– Rozumiem.

Na podwórku pogryzły się psy. Ich właściciele włączyli się do kłótni. Moja komórka

zabręczała słyszalnie, nawet z wyłączonym dzwonkiem. Yolanda poderwała się nagle i odsunęła ode mnie, jakbym mógł ją zastrzelić z telefonu. To znowu był Dhatt.

– Popatrz – odezwałem się. – Wyłączę telefon. – Jeśli Dhatt przyglądał się uważnie, zorientował się, że połączenie przełączono na pocztę głosową, nim jeszcze dzwonki wybrzmiały. – Co się stało? Kogo się przestraszyłaś? Dlaczego uciekłaś?

– Nie chciałam dać im szansy. Widział pan, co zrobili Mahalii. Była moją przyjaciółką. Próbowałam sobie powtarzać, że nic się nie stanie, ale ona nie żyje. – W jej głosie pobrzmiwało coś bliskiego zdumieniu. Nagle wykrzywiła twarz w grymasie smutku i potrząsnęła głową. – Zabili ją.

– Rodzice nie wiedzą, co się z tobą dzieje.

– Nie mogę. Nie mogę. Muszę... – Przygryzła paznokcie i uniosła wzrok. – Kiedy się stąd wydostanę...

– Udasz się prosto do ambasady w sąsiednim kraju. Za górami? Dlaczego nie tutaj? Albo w Beszel?

– Wie pan, dlaczego.

– Przypuśćmy, że nie wiem.

– Dlatego, że oni tu są. I tam też. Kierują wszystkim. Szukają mnie. Nie znaleźli mnie tylko dzięki temu, że w porę zniknęłam. Są gotowi mnie zabić, tak samo jak zabili moją przyjaciółkę. Dlatego, że o nich wiem. Wiem, że istnieją naprawdę.

Brzmienie głosu Yolandy wystarczyło, by Aikam przytulił ją mocniej.

– Kto?

Pora powiedzieć to na głos.

– Ci, którzy żyją między miastem a miastem. Orciny.

* * *

Jeszcze przed jakimś tygodniem powiedziałbym jej, że gada głupoty albo ulega paranoi. Wahanie – gdy opowiadała mi o spisku, były krótkie chwile, gdy swym milczeniem próbowałem ją zachęcić, do przyznania, że się myli – przekonywało ją tylko, że się z nią zgadzam.

Patrzyła na mnie jak na współspiskowca, a ja nie wiedząc, co się dzieje, potwierdzałem tę opinię. Nie mogłem jej powiedzieć, że jej życiu nic nie zagraża. W przypadku Bowdena – który być może już nie żył – a także moim, groźba zapewne była realna. Nie byłem w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Nie mogłem jej powiedzieć prawie nic.

Yolanda ukrywała się tutaj, w miejscu przygotowanym przez jej wiernego Aikama, w części miasta, której nigdy nie zamierzała odwiedzać i której nazwy nawet nie знаła na dzień przed przybyciem tu po trudnej, potajemnej ucieczce okrężną drogą w środku nocy. Oboje zrobili, co tylko mogli, by dało się tu jakoś żyć, nadal jednak była to opuszczona nora w

slumsach, a Yolanda nie mogła jej opuścić z obawy przed niedostrzegalnymi mocami pragnącymi jej śmierci.

Powiedziałbym, że nigdy przedtem nie widziała podobnego miejsca, ale to mogło nie być prawdą. Niewykluczone, że oglądała parę filmów dokumentalnych o tytułach takich, jak *Ciemna strona ulqomańskiego marzenia* albo *Choroba Nowego Wilka*, czy coś w tym rodzaju. Filmy o naszym sąsiedzie z reguły nie są w Beszel zbyt popularne i rzadko się je pokazuje w kinach, nie miałem więc pewności, czy nie nakręcono jakiejś superprodukcji o akcji dziejącej się wśród gangsterów z ulqomańskich slumsów. Historii, w której jakiś handlarz narkotyków na niezbyt dużą skalę schodzi ze złej drogi, a kilku innych ginie spektakularną śmiercią. Niewykluczone, że Yolanda widziała na filmie ulqomańskie slumsy, z pewnością jednak nie zamierzała ich odwiedzać.

– Znasz swoich sąsiadów?

– Z głosu – odparła bez śladu uśmiechu.

– Yolando, wiem, że się boisz.

– Załatwili Mahalię i doktora Bowdena, a teraz chcą zrobić to samo ze mną.

– Wiem, że się boisz, ale potrzebuję twojej pomocy. Jeśli mam cię stąd wydostać, muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło. W przeciwnym razie nie będę w stanie ci pomóc.

– Pomóc? – Rozejrzała się po pokoju. – Mam panu opowiedzieć, co się dzieje? Jasne. Jest pan gotowy ukryć się tu ze mną? Będzie pan musiał to zrobić, bo jeśli dowie się pan wszystkiego, pana również będą chcieli wykończyć.

– Niech i tak będzie.

Opuściła wzrok z westchnieniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją Aikam po illitańsku. Wzruszyła ramionami. „Być może”.

* * *

– Jak Mahalia odkryła Orciny?

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie się ono znajduje?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Twierdziła, że istnieją punkty wejścia. Nie mówiła nic więcej, a ja nie nalegałam.

– Dlaczego nie powiedziała nikomu więcej?

Najwyraźniej Yolanda nie wiedziała o istnieniu Jarisa.

– Nie była szalona. Widział pan, co się stało z doktorem Bowdenem? Do zainteresowania Orciny lepiej się nie przyznawać. Przyjechała tu tylko w tym celu, ale nie chciała nikomu o tym mówić. Tego właśnie chcą orcinianie. Żeby nikt nie wierzył w ich istnienie. To dla nich idealna sytuacja. Dzięki temu mogą sprawować rządy.

– Jej praca doktorska...

– Mahalia o nią nie dbała. Pisała pracę tylko po to, żeby profesor Nancy się jej nie czepiała. Przybyła tu z powodu Orciny. Wie pan, że orcinianie skontaktowali się z nią? – Wlepiała we mnie spojrzenie. – Mówię poważnie. Mahalia była trochę... Kiedy przyleciała tu po raz pierwszy, na tę konferencję w Beszel, wygadywała różne rzeczy. Było tam mnóstwo polityków i uczonych i wywołała spory...

– Narobiła sobie wrogów. Słyszałem o tym.

– Och, wszyscy wiedzieliśmy, że nacjonaliści po obu stronach mają na nią oko, ale nie na tym polegał problem. To orcinianie się wtedy z nią skontaktowali. Są wszędzie. – Mahalia z pewnością przyciągnęła wiele spojrzeń. Shura Katrinya ją zauważyła. Pamiętałem minę, jaką zrobiła na spotkaniu Komisji Nadzoru, gdy wspomniałem o incydencie. Mikhel Buric i paru innych również. Być może Syedr także ją wtedy dostrzegł. Mogli się nią też zainteresować inni, o których nic nie wiedzieliśmy. – Zaczęła o nich pisać, po tym, jak przeczytała *Między miastem a miastem* – podjęła Yolanda. – Zaczęła badać sprawę i robić te swoje szalone notatki. – Poruszyła ręką, naśladując bazgranie. – A potem dostała list.

– Pokazała ci go?

Yolanda skinęła głową.

– Nic wtedy z niego nie zrozumiałam. Napisano go w języku wyjściowym. Pismem poprzedników, starszym od beszańskiego i illitańskiego.

– I co w nim było?

– Mahalia mi powiedziała, że to było coś w rodzaju: „Obserwujemy cię. Rozumiesz prawdę. Czy chcesz się dowiedzieć więcej?”. Były też dalsze listy.

– Pokazała ci je?

– Nie od razu.

– Co jej mówili? I dlaczego?

– Dlatego, że poznała ich tajemnicę. Zrozumieli, że pragnie stać się jej częścią, więc ją zwerbowali. Musiała wykonywać dla nich różne zadania. To było coś w rodzaju inicjacji. Zdobywała dla nich różne informacje, przekazywała przesyłki. – To brzmiało zupełnie niewiarygodnie. Yolanda spojrzała na mnie, jakby chciała mnie sprowokować do drwiny. Zachowałem milczenie. – Dawali jej adresy, pod którymi miała zostawiać listy i inne rzeczy. W *dissensi*. Przenosiła wiadomości w obie strony. Pisała do nich listy. Opowiadali jej o Orciny. Powtórzyła mi część z tego i to było... Miejsca, których nikt nie widzi, ponieważ wszyscy myślą, że one leżą w drugim mieście. Beszanie uważają, że to część Ul Qomy, a ulqomanie myślą, że to Beszel. Orcinianie nie są tacy jak my. Widzą rzeczy, które...

– Czy spotkała się z nimi?

Yolanda stała przy oknie, wyglądając na zewnątrz pod kątem, który uniemożliwiał zobaczenie jej sylwetki w rozproszonym przez białą szybę świetle. Odwróciła się i spojrzała na mnie, nie odzywając się ani słowem. Uspokoila się, popadła w przygnębienie. Aikam

podszedł do niej. Cały czas przesuwiał spojrzeniem między nami, jak kibic na meczu tenisowym. Po chwili Yolanda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Powiedz, co wiesz.

– Chciała się z nimi spotkać. Nie jestem pewna. Wiem, że z początku odmówili. Powiedzieli, że jest za wcześnie. Dowiedziała się od nich różnych rzeczy o historii, o tym, czym się zajmujemy. Te zabytki z epoki poprzedników... to ich dzieło. Gdy wykopuje się je w Ul Qomie albo nawet w Beszel, zawsze zaczynają się spory na temat tego, do kogo należą i tak dalej. No wie pan. Ale one nie są własnością żadnego z dwóch miast. Zawsze należały do Orciny. Mówili jej o naszych znaleziskach rzeczy, których nie mógł wiedzieć nikt poza tymi, którzy je tam zostawili. To ich historia. Byli tu, nim Beszel i Ul Qoma oddzieliły się od siebie, czy może połączyły wokół nich. Nigdzie nie odchodzili.

– Ale wszystkie te znaleziska po prostu leżały sobie w ziemi aż do przybycia kanadyjskich archeologów...

– To oni je tam ukrywali. Te wszystkie rzeczy wcale nie zaginęły. Ziemia pod Beszel i Ul Qomą jest ich magazynem. W całości należy do Orciny. To była ich własność, a my... Mahalia chyba im opowiadała, gdzie kopujemy i co znajdujemy.

– Kradła dla nich.

– A my okradaliśmy ich... No wie pan, nigdy nie przekroczyła.

– Słucham? Myślałem, że wszyscy...

– Mówi pan o tych... zabawach? Nie Mahalia. Nie mogłaby tego robić. Miała zbyt wiele do stracenia. Ryzyko, że ktoś ją obserwuje, było zbyt wielkie. Mahalia nigdy nie przekraczała, nawet niedostrzegalnie, no wie pan, kiedy tylko się stoi. Nie chciała, by Przekroczeniówka miała szansę ją dorwać. – Znowu zadrzała. Przykucnąłem i rozejrzałem się wokół. – Aikam – powiedziała po illitańsku – mógłbyś nam zrobić coś do picia? – Nie chciał opuszczać pokoju, ale widział, że Yolanda przestała się mnie bać. – Chodziła w miejsca, gdzie kazali jej zostawiać listy – podjęła. – *Dissensi* są bramami do Orciny. Mahalia była już bardzo blisko zostania jego częścią. Tak z początku myślała... – przerwała. Czekałem cierpliwie. – Często ją o to pytałam – podjęła po chwili. – W ciągu paru ostatnich tygodni coś się gwałtownie popsło. Przestała przychodzić na wykopaliska i na zebrania. W ogóle się nie pokazywała.

– Słyszałem o tym.

– Ciągle ją pytałam, co się stało. Z początku odpowiadała, że nic, ale w końcu przyznała, że się boi. Mówiła, że coś tu nie gra. Chyba czuła się sfrustrowana, że orcinianie nie chcą jej dopuścić. Pracowała jak szalona. Nigdy nie widziałam, by poświęcała tak wiele czasu studiom. Pytałam, co się dzieje, a ona wciąż powtarzała, że się boi. Mówiła, że sprawdza raz po raz swoje notatki, bo musi rozwikłać pewne tajemnice. Groźne tajemnice. Mówiła, że mogliśmy nieświadomie dopuścić się kradzieży.

Aikam przyniósł dla nas obojga puszek ciepłej qora-oranża.

– Myślę, że zrobiła coś, co rozgniewało orcinian. Wiedziała, że ma kłopoty i Bowden również. Powiedziała to na krótko przed...

– Dlaczego mieliby go zabijać? – zapytałem. – On już nawet nie wierzy w Orciny.

– O mój Boże, pewnie, że wie o ich istnieniu. Zaprzeczał wszystkiemu, żeby nie stracić pracy. Czytał pan jego książkę. Oni próbują wyeliminować wszystkich, którzy o nich wiedzą. Mahalia mówiła mi, że jemu również grozi niebezpieczeństwo. Na krótko przed zniknięciem. Wiedział za dużo, podobnie jak ja. I teraz pan też.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zostać tu. Ukrywać się. Uciec z miasta.

– I zbliżyłaś się do tego celu? – Popatrzyła na mnie z przygnębieniem. – Twój chłopak zrobił, co mógł. Zapytał mnie, jak przestępca mógłby się wydostać z miasta. – Uśmiechnęła się. – Pozwól, bym ci pomógł.

– Nie da pan rady. Oni są wszędzie.

– Nie możesz być tego pewna.

– Jak może mnie pan obronić? Pana również załatwią.

Co chwila z klatki schodowej dobiegały odgłosy kroków, krzyki, dźwięki rapu albo ulqomańskiego techno dobiegające z przenośnych odtwarzaczy mp3, tak głośne, że graniczyło to z bezczelnością. Tego typu codzienne hałasy mogły stanowić niezły kamuflaż. Corwi przebywała w innym mieście. Gdy zacząłem się przysłuchiwać, odniosłem wrażenie, że część dźwięków zatrzymuje się pod drzwiami mieszkania.

– Nie wiemy, jak wygląda prawda – stwierdziłem. Chciałem dodać coś więcej, ale uświadomiłem sobie, że nie wiem, kogo właściwie próbuję przekonać. Zawahałem się.

– Mahalia wiedziała – przerwała mi Yolanda. – Co pan robi?

Wyjąłem komórkę, ale uniosłem ją nad głowę w obu rękach, jakbym się poddawał.

– Bez paniki – uspokoiłem ją. – Pomyślałem tylko... Musimy zdecydować, co teraz zrobimy. Są ludzie, którzy mogliby nam pomóc...

– Nie – zaprotestowała. Aikam robił wrażenie, że może znowu mnie zaatakować. Przygotowałem się do uskoczenia na bok, ale pomachałem telefonem, by zobaczyli, że jest wyłączony.

– Jest jeszcze inna możliwość, której nie rozważyłaś – ciągnąłem. – Mogłabyś wyjść na dwór, przejść kawałek ulicą i wyjść na YahudStrász. To w Beszel. – Popatrzyła na mnie jak na wariata. – Zatrzymać się tam i pomachać rękami. Mogłabyś przekroczyć.

Schodami przeszedł kolejny głosny mężczyzna. Wszyscy troje umilkliśmy.

– Nie przyszło ci do głowy, że warto spróbować? Kto mógłby zadzierać z Przekroczeniówką? Jeśli orcinianie rzeczywiście chcą cię załatwić... – Yolanda gapiała się na książki, zamknięte w pudełkach jak ona w mieszkaniu. – Tak mogłoby być nawet bezpieczniej.

– Mahalia mówiła, że oni są wrogami – głos kobiety brzmiał, jakby dobiegał z oddali. – Powiedziała kiedyś, że cała historia Beszel i Ul Qomy to dzieje walki między Orciny a Przekroczeniówką. Beszel i Ul Qomę stworzono po to, by służyły jako figury szachowe w tej wojnie. Nie wiadomo, co ze mną zrobią.

– Daj spokój – sprzeciwiłem się. – Wiesz, że większość cudzoziemców, którzy przekroczą, po prostu się deportuje...

– Niech pan pomyśli – przerwała mi jednak. – Nawet gdybym wiedziała, co ze mną zrobią, a przecież nikt z nas tego nie wie, ta tajemnica ukrywała się między Beszel a Ul Qomą od z górą tysiąca lat. Orcinianie cały czas nas obserwują, nawet jeśli o tym nie wiemy. Mają własne cele. Myśli pan, że byłabym bardziej bezpieczna w rękach Przekroczeniówki? W Przekroczeniu? Nie jestem Mahalią. Wcale nie jestem pewna, czy Przekroczeniówka i Orciny rzeczywiście są wrogami. – Spojrzała na mnie, ale nie dostrzegła u mnie lekceważenia. – Może ze sobą współpracują. A może, gdy przywołujecie Przekroczeniówkę, w rzeczywistości oddajecie władzę Orciny, choć powtarzacie sobie, że to tylko bajka. Myślę, że Orciny to nazwa, którą nadała sobie Przekroczeniówka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Przedtem Yolanda nie chciała mnie wpuścić, a teraz nie pozwalała mi odejść.

– Zobaczą pana! Wytropią. Załatwią pana, a potem przyjdą po mnie.

– Nie mogę tu zostać.

– Dorwą pana.

Przyglądała się, jak spaceruję po pokoju, między oknem a drzwiami.

– Nie może pan stąd dzwonić.

– Musisz przestać ulegać panice. – Schowałem jednak telefon, ponieważ nie byłem pewien, czy Yolanda nie ma racji. – Aikam, czy z budynku są inne wyjścia?

– Inne niż to, którym weszliśmy? – W jego oczach pojawił się na chwilę wyraz skupienia.

– Niektóre mieszkania na dole są puste. Może dałoby się wyjść przez któreś z nich.

– Dobra.

Zaczął padać deszcz. Krople bębniły o nieprzezroczyste szyby. Okna pociemniały tylko lekko, zachmurzenie zapewne nie było zatem pełne. Być może chmury przesłoniły tylko słońce. Niemniej zapewne lepiej będzie uciec w takiej chwili niż przy słonecznej pogodzie, jaka panowała rano. Nadal spacerowałem po pokoju.

– Jest pan sam w Ul Qomie – zauważyła Yolanda. – Co pan może zrobić?

– Ufasz mi? – zapytałem, wreszcie na nią spoglądając.

– Nie.

– To fatalnie. Nie masz wyboru. Wydostanę cię stąd. Nie jestem tu w swoim żywiole, ale...

– Co pan zamierza?

– Wydostanę cię stąd i przewiozę na mój teren, gdzie mam wpływ na wydarzenia. Do Beszel. – Sprzeciwiła się, mówiąc, że nigdy tam nie była, a Orciny kontroluje oba miasta, ponieważ oba nadzoruje Przekroczeniówka. Przerwałem jej. – Cóż innego ci pozostaje? Beszel to moje miasto. Znam tamtejszy system. Tutaj nie mam kontaktów. Nie wiem, do kogo się zwrócić. Ale potrafię cię przetransportować do Beszel, a ty możesz mi pomóc.

– Nie...

– Zamknij się, Yolando. Aikam, nie ruszaj się z miejsca. – Nie było czasu na bierność. Yolanda miała rację. Nie mogłem jej obiecać nic poza tym, że spróbuję. – Mogę cię

wydostać, ale nie w tej chwili. Daj mi dzień. Zaczekaj tu. Aikam, musisz rzucić robotę w Bol Ye'an. Od tej chwili twoim zadaniem jest siedzieć tu i pilnować Yolandy. – Nie będzie zbyt dobrym obrońcą, ale w Boi Ye'an jego zachowanie przyciągnęło już moją uwagę i wkrótce za mną podążyliby inni. – Wróć. Rozumiesz? Wróć i wydostanę was stąd. – Yolanda miała zapas puszek wystarczający na kilka dni. W mieszkaniu był ten pokój, służący za salon i sypialnię, a także drugi, jeszcze mniejszy i pełen wilgoci, oraz kuchnia bez gazu i prądu. Łazienka nie funkcjonowała, ale przeżyją to przez jakiś czas. Aikam napełnił w jakimś hydrancie kilka wiader wodą do spłukiwania. Przyniósł też sporo odświeżaczy powietrza, które przynajmniej zmieniały ton smrodu. – Zostańcie tu – powtórzyłem. – Wróć. – Aikam rozpoznał cytaty ze Schwarzeneggera, mimo że mówiłem po angielsku. Powtórzyłem dla niego to słowo z austriackim akcentem. Yolanda nie załapała, o co chodzi. – Wydostanę was – zapewniłem ją raz jeszcze.

Zszedłem na parter i sprawdziłem kilka kolejnych drzwi, aż wreszcie znalazłem puste mieszkanie. Pożar uszkodził je już dawno, ale w środku nadal cuchnęło węglem. Wszedłem do kuchni i przyglądałem się przez wybite okna najbardziej upartym dzieciom, niechcącym zejść z deszczu. Stałem tam przez dłuższy czas, zaglądając we wszystkie cienie, które zdołałem zauważyć. Nie widziałem nikogo poza dziećmi. Schowałem dłonie w rękawach na wypadek, gdyby w ramach zostały okruchy szyb i wyskoczyłem na dwór. Jeśli nawet któreś z dzieci mnie zauważyło, nie zareagowało w żaden sposób.

Wiedziałem, jak się upewnić, że nikt mnie nie śledzi. Szedłem szybko krętymi, bocznymi uliczkami blokowiska, mijając puszek na śmieci i samochody, graffiti i place zabaw, aż wreszcie dotarłem do uliczki, która była ślepa na planie zarówno Ul Qomy, jak i Beszel. Odetchnąłem lekko z ulgi, widząc, że nie jestem tu jedynym przechodniem, a potem ruszyłem przed siebie, jak wszyscy wkoło poruszając się szybkim krokiem kogoś, kto ucieka przed deszczem. Wreszcie włączyłem komórkę. Telefon wyświetlił długą, wyglądającą jak wyrzut, listę nieodebranych wiadomości. Wszystkie były od Dhatta. Byłem piekielnie głodny i nie bardzo wiedziałem, jak wrócić na starówkę. Kręciłem się przez pewien czas po okolicy, szukając stacji metra. Nie znalazłem jej, ale za to trafiłem na budkę telefoniczną.

– Dhatt.

– Mówi Borlú.

– Kurwa, gdzie jesteś? Gdzie się podziewałeś? – Był zły, ale mówił konspiracyjnym głosem, z każdą chwilą coraz cichszym, a nie głośniejszym. To był dobry znak. – Kurwa, próbowałem się do ciebie dodzwonić już od paru godzin. Czy wszystko... Nic ci się nie stało? Co tu jest grane, do chuja?

– Ze mną wszystko w porządku, ale...

– Coś się wydarzyło?

W jego głosie słyszałem gniew, ale nie tylko.

– Ehe, coś się wydarzyło. Nie mogę o tym mówić.

– Nie pierdol.

– Słuchaj. Tylko posłuchaj. Muszę z tobą porozmawiać, ale nie mam teraz czasu. Chcesz się dowiedzieć, co się stało, to spotkaj się ze mną, hm – przyjrzałem się swojemu planowi – na Kaing Shé, na placu przy dworcu. I, Dhatt, nie przyprowadzaj nikogo ze sobą. To poważna sprawa. Kryje się za nią więcej, niż ci się zdaje. Nie wiem, z kim mogę bezpiecznie rozmawiać. Pomożesz mi czy nie?

Kazałem mu czekać całą godzinę, obserwując go z za rogu. Z pewnością spodziewał się, że tak zrobię. Dworzec Kaing Shé jest największy w mieście, a na placu przed nim roi się od gości siedzących w kawiarniach, ulicznych artystów oraz klientów kupujących płyty DVD oraz elektroniczne akcesoria w ulicznych budkach. Beszański miejscowótór placu również nie był zupełnie pusty, dlatego w grostopicznej bliskości znajdowali się również niedostrzegalni obywatele Beszel. Zatrzymałem się w cieniu jednego z kiosków z papierosami, ukształtowanego na podobieństwo prowizorycznego ulqomańskiego szałas, jakie często ongiś widywano na mokradłach, gdzie biedacy szukali odpadków w przepłotowych błotach. Zauważyłem, że Dhatt szuka mnie wzrokiem, ale nie pokazywałem się mu, dopóki nie zrobi się ciemno, by sprawdzić, czy do kogoś zadzwoni – nie zrobił tego – albo czy przekaze komuś ręczne sygnały – tego również nie zrobił. Jego twarz zasepiała się coraz bardziej. Pił kolejne herbaty, wpatrując się w cienie. W końcu wyszedłem z ukrycia i wykonałem kilka regularnych ruchów ręką, przyciągając jego uwagę. Potem wezwałem go skinieniem.

– Co tu, kurwa, jest grane? – zapytał. – Dzwonił do mnie twój szef. I Corwi. Kim ona właściwie jest, do cholery? Co się dzieje?

– To zrozumiałe, że się gniewasz. Mimo to mówisz cicho, a to znaczy, że jesteś ostrożny i chcesz się dowiedzieć, co jest grane. Masz rację. Coś się wydarzyło. Znalazłem Yolandę.

Kiedy mu oznajmiłem, że nie zdradzę miejsca jej pobytu, wściekł się tak bardzo, że groził mi międzynarodowym incydentem.

– Kurwa, to nie twoje miasto – mówił. – Przyjechałeś do nas i korzystasz z naszych zasobów, więc musisz się z nami dzielić wynikami, do chuja.

Niemniej nadal mówił cicho i szedł obok mnie. Poczekalem, aż jego gniew trochę osłabnie, i wyjaśniłem mu, czego się boi Yolanda.

– Obaj wiemy, że nie możemy jej zapewnić bezpieczeństwa – dodałem. – Daj spokój, żaden z nas nie wie, co naprawdę jest grane. Jaką rolę w tym grają unifi, nacjonałści, bomba i Orciny. Kurwa, Dhatt, niewykłuczone... – Wlepił we mnie zdziwione spojrzenie. – O cokolwiek tu chodzi – dodałem więc, rozglądając się wokół, by zademonstrować, że chodzi mi o wszystko, co się dzieje – ślady prowadzą w jakieś paskudne miejsce.

Obaj umilkliśmy na chwilę.

– To dlaczego mi o tym mówisz?

– Dlatego, że kogoś potrzebuję. Ehe, masz rację, to może okazać się błędem. Jesteś jedyną osobą zdolną zrozumieć... skalę tego, co może się dziać. Chcę wydostać stąd Yolandę.

Posłuchaj, tu nie chodzi o Ul Qomę. Naszym władzom wcale nie ufam bardziej. Chcę wydostać tę dziewczynę z obu miast. A tutaj tego nie zrobię. To nie mój teren. Tu ją obserwują.

– Może ja mógłbym to zrobić?

– Zgłaszasz się na ochotnika? – Nie odpowiedział. – Rozumiem. Ja się zgłaszam. U siebie mam kontakty. Jeśli ktoś jest gliną tak długo jak ja, wyrabia sobie różne lewe dojsčia. Potrafię ukryć Yolandę. W Beszel będę mógł z nią porozmawiać i może znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Nie chodzi o to, że macie ją nam oddać. Wręcz przeciwnie. Jeśli przeniesiemy ją w bezpieczne miejsce, będziemy mieli większe szanse uniknąć nieprzyjemnych zaskoczeń. Może wreszcie się dowiemy, co jest grane.

– Mówiłeś, że Mahalia narobiła sobie wrogów w Beszel. Myślałem, że chcesz ich za to dorwać.

– Nacjonalistów? To chyba już nie ma sensu. Po pierwsze, dlatego, że cała ta sprawa wykracza poza możliwości Syedra i jego chłopaków, po drugie, bo Yolanda nie może mieć wrogów w Beszel. Nigdy tam nie była. U siebie będę mógł wykonać swoją robotę. – „Mógłbym nawet wykroczyć poza jej granice, pociągnąć za odpowiednie sznurki i wykorzystać znajomości”. – Nie chodzi o to, że chcę cię wykluczyć ze śledztwa, Dhatt. Powiem ci o wszystkim, czego się od niej dowiedziałem. Może nawet wrócę tu i razem dorwiemy winnych, ale najpierw chcę zabrać stąd tę dziewczynę. Ona się śmiertelnie boi, Dhatt, i czy rzeczywiście możemy powiedzieć, że nie ma powodu?

Starszy detektyw cały czas potrząsał głową. Nie zgadzał się z moimi słowami ani im nie zaprzeczał.

– Wysłałem ludzi do unifów – odezwał się po dłuższej chwili. – Jaris zniknął bez śladu. Nawet nie znamy prawdziwego nazwiska tego skurwysynka. Jeśli któryś z jego kumpli wie, gdzie się podział, albo słyszał, że się spotykał z Mahalią, to nic nam nie powiedział.

– Wierzysz im?

Wzruszył ramionami.

– Sprawdzamy wszystkich, ale nic nie możemy znaleźć. Chyba gównowo wiedzą. Łatwo zauważyć, że paru z nich znało „Maryę”, ale większość nigdy nie widziała jej na oczy.

– To wszystko wykracza poza ich możliwości.

– Bez obaw, z pewnością coś kombinują. Nasze wtyki informują nas, że planują zrobić to czy tamto, zlikwidować granice, rozpocząć rewolucję...

– Nie o tym mówimy. Takie rzeczy słyszy się ciągle.

Umilkł, słuchając, jak ponownie wyliczałem mu wszystko, co się stało. Zwalnialiśmy w mroku i przyspieszaliśmy w blasku latarni. Kiedy powiedziałem, że według Yolandy Mahalia uważała, że Bowdenowi również grozi niebezpieczeństwo, zatrzymał się nagle. Staliśmy przez chwilę bez ruchu, nie odzywając się ani słowem.

– Dzisiaj, kiedy spędzałeś czas na rozmówkach z tą małą paranoiczką, my przeszukaliśmy

mieszkanie Bowdena. Nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania ani walki. Absolutnie nic. Jedzenie odłożone na później, otwarta książka leżąca na krześle grzbietem do góry. A na biurku list.

– Od kogo?

– Yallya powiedziała, że możesz coś wiedzieć na ten temat. Autor się nie podpisał. List nie jest po illitańsku. To tylko jedno słowo. Z początku myślałem, że to dziwnie wyglądający alfabet beszański, ale się myliłem. To pismo poprzedników.

– Co? I co to za słowo?

– Pokazałem je profesor Nancy. Powiedziała, że to stara wersja pisma i nigdy takiej nie widziała, więc nie może niczego przysiąc i bla, bla, bla. Była jednak przekonana, że to ostrzeżenie.

– Przed czym?

– Po prostu ostrzeżenie. Coś jak czaszka i piszczele. Słowo, które symbolizuje groźbę.

Zrobiło się już tak ciemno, że nie widzieliśmy wyraźnie swych twarzy. Nieświadomie zaprowadziłem nas blisko skrzyżowania z jednolicie beszańską ulicą. Na przeoczane przeze mnie przysadziste budynki padało brązowe światło latarni, a nad głowami spowitych w długie płaszcze przechodniów kołysały się szyldy barwy sepilii. Na tle ulqomańskiej ulicy skapaniej w blasku sodowych lamp, gdzie na oszklonych wystawach spoczywały importowane towary, beszańska przecznica wyglądała jak cień odległej przeszłości.

– A kto mógłby użyć takiego...

– Kurwa, nie próbuj mi mówić o tajemnych miastach. Tylko nie to. – Dhatt wyglądał jak człowiek udreńczony, wręcz zaszczuty. Jakby zbierało mu się na mdłości. Odwrócił się i wcisnął w kąt drzwi, kilkakrotnie uderzając pięścią w otwartą dłoń. – Co to wszystko znaczy, do chuja? – zapytał, spoglądając w ciemność.

Co żyło tak, jak żyliby orcinianie, jeśli uwierzyć słowom Yolandy i Mahalii? Coś małego, ale potężnego, ukrytego w zakamarkach większego organizmu. Coś gotowego zabijać. Pasożyt. Bezlitosne miasto-kleszcz.

– Nawet jeśli... Nawet jeśli, powiedzmy, coś jest nie w porządku z moimi i z twoimi ludźmi... – zaczął po chwili Dhatt.

– Jeśli ktoś ma ich w ręku. Przekupił ich.

– Ehe. Nawet jeśli.

Nasze szepty zagłuszało dobiegające zza granicy zgrzytanie beszańskich drzwiczek, poruszających się na wietrze nad naszymi głowami.

– Yolanda jest przekonana, że Przekroczeniówka to Orciny – stwierdziłem. – Nie chcę powiedzieć, że się z nią zgadzam, sam nie wiem, co właściwie chcę powiedzieć, ale obiecałem, że ją stąd wydostanę.

– Przekroczeniówka zrobiłaby to szybciej.

– Jesteś gotowy przysiąc, że Yolanda nie ma racji? Zapewnić z całą szczerością, że nic jej

z tej strony nie grozi? – pytałem szeptem. To były niebezpieczne słowa. – Na razie Przekroczeniówka nie ma pretekstu do ingerencji, bo nikt jeszcze nie przekroczył, i Yolanda wolałaby, żeby tak zostało.

– Co w takim razie chcesz zrobić?

– Wydostać ją stąd. Nie twierdzę, że ktokolwiek tu ma ją na celowniku. Nie upieram się, że cokolwiek z tego, co mówiła, jest prawdą, ale ktoś zabił Mahalię i ktoś też dobrał się do Bowdena. W Ul Qomie coś się dzieje. Proszę cię o pomoc, Dhatt. Pomóż mi. Nie możemy tego zrobić oficjalnie. Yolanda odmawia współpracy z oficjalnymi czynnikami. Obiecałem się nią zaopiekować, ale to nie jest moje miasto. Pomożesz mi? Nie możemy zaryzykować zrobienia tego w zgodzie z przepisami. Pomożesz mi? Muszę ją przetrzymać do Beszel.

* * *

Tej nocy nie wróciliśmy do Hiltona. Nie poszliśmy też do mieszkania Dhatta. Nie ulegliśmy lękowi, ale braliśmy go pod uwagę, zachowując się tak, jakby wszystko to mogło być prawdą. Spacerowaliśmy po ulicach.

– Kurwa, nie potrafię uwierzyć, że to robię – powtarzał raz po raz Dhatt. Niemniej oglądał się za siebie częściej ode mnie.

– Możemy znaleźć jakiś sposób, by zwalić winę na mnie – uspokajałem go. Choć podjąłem ryzyko i powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, nie spodziewałem się, że zgodzi się włączyć do sprawy, narazić na niebezpieczeństwo. – Trzymajmy się miejsc, gdzie są tłumy – powiedziałem. – I przepłotów. – W miejscach, gdzie można spotkać więcej ludzi i dwa miasta są blisko siebie, przewidywanie efektów ich wzajemnego oddziaływania następuje z większą trudnością. To coś więcej niż miasto i miasto. To elementarna arytmetyka miejskiego życia. – Moja wiza pozwala mi wyjechać w każdej chwili – poinformowałem Dhatta. – Możesz załatwić przepustkę Yolandzie?

– Mogę dostać jedną dla siebie. Dla pierdolonego gliny, Borlú.

– Sformułujmy to inaczej. Czy możesz załatwić wizę wyjazdową dla policjantki Yolandy Rodriguez?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. Nadal rozmawialiśmy szeptem.

– Ona nawet nie ma ulqomańskiego paszportu...

– Możesz ją przeprowadzić na drugą stronę czy nie? Nic nie wiem o waszej straży granicznej.

– Niech to chuj strzeli! – warknął. W miarę jak liczba przechodniów na ulicach spadała, fakt, że poruszaliśmy się na piechotę, przestawał być kamuflażem. Wkrótce mógł się przerodzić w jego przeciwieństwo. – Znam lokal, do którego możemy pójść – oznajmił. Właściciel klubu przywitał starszego detektywa z niemal przekonującym zadowoleniem. Lokal mieścił się w piwnicy naprzeciwko brzegu rzeki na skraju ulqomańskiej starówki. Było

tam pełno dymu i przyglądających się z uwagą Dhattowi mężczyzn. Nie ulegało wątpliwości, że wiedzą, kim jest, mimo że był po cywilnemu. Przez chwilę sprawiali wrażenie, że myślą, iż przyszedł tu zamknąć ich za przebieraną, ale dał im gestem do zrozumienia, by sobie nie przeszkadzali. Potem skinął na właściciela, wskazując na telefon. Mężczyzna zacisnął usta z niezadowolenia, ale podał mu go nad barem. Starszy detektyw podał telefon mnie. – Święte Światło, zrobmy to – rzekł. – Potrafię ją przeprowadzić przez granicę.

Grała muzyka i słyszeliśmy też donośne głosy skonsternowanych gości. Przynalęm telefon do siebie, maksymalnie rozciągając przewód, a potem przykucnąłem przy barze, aż moja głowa znalazła się na wysokości żołądków otaczających mnie mężczyzn. Musiałem zadzwonić do centrali, by uzyskać połączenie międzynarodowe, czego nie lubiłem robić.

– Corwi, mówi Borlú.

– Jezu. Daj mi chwilę. Jezu.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. Słyszysz mnie?

– Jezu. Która godzina? Gdzie jesteś? Ni cholery nie słyszę, straszny...

– Jestem w barze. Posłuchaj, przepraszam, że dzwonię tak późno. Chcę, żebyś coś dla mnie zorganizowała.

– Jezu, szefie, chyba, kurwa, żartujesz?

– Nie. Posłuchaj, Corwi, jesteś mi potrzebna.

Widziałem oczyma wyobraźni, jak pociera twarz, spaceruje sennie po mieszkaniu z telefonem w ręce, może zagląda do kuchni, żeby napić się zimnej wody. Po chwili odezwała się znowu i jej głos był bardziej skupiony.

– Co się stało?

– Wracam.

– Poważnie? Kiedy?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Dhatt, facet, z którym tu współpracuję, pojedzie ze mną do Beszel. Chcę, żebyś wyszła nam na spotkanie. Czy możesz wszystko zorganizować tak, by sprawa się nie wydała? Corwi, to tajna operacja. Mówię poważnie. Ściany mają uszy.

Nastąpiła długa przerwa.

– Dlaczego ja, szefie? I dlaczego o wpół do trzeciej w nocy?

– Dlatego, że jesteś świetnym fachowcem i wcieleniem dyskrecji. To musi się odbyć po cichu. Chcę, żebyś przyjechała samochodem i wzięła broń. Zabierz też drugi pistolet dla mnie. To wszystko. Chcę też, żebyś zarezerwowała pokój w hotelu dla dwóch osób. Nie jeden z tych, z których zwykle korzystamy. – Znowu zapadła długa cisza. – I posłuchaj... Będzie z nim jeszcze jedna osoba.

– Słucham? Kto?

– Nie mogę ujawniać jej tożsamości. Jak myślisz? Chciała się za darmo przejechać do Beszel. – Zerknąłem przepraszająco na Dhatta, choć w koszmarnej hałasie z pewnością mnie nie słyszał. – Zachowaj dyskrecję, Corwi. To tylko krótka przerwa w śledztwie, tak? Będę

również potrzebował twojej pomocy w wysłaniu z Beszel pewnej przesyłki. Rozumiesz?

– Chyba tak, szefie. Aha, szefie, ktoś próbuje się do ciebie dodzwonić. Pyta, jak idzie śledztwo.

– Kto to jest? Jak to, jak idzie?

– Nie wiem kto, nie chciał się przedstawić. Pytał o śledztwo. Kogo aresztowałeś? Kiedy wracasz? Czy znalazłeś zaginioną dziewczynę? Jak wyglądają twoje plany? Nie wiem, skąd ma mój telefon, ale nie ulega wątpliwości, że coś wie.

Dotknąłem Dhatta, by przyciągnąć jego uwagę.

– Ktoś zadaje pytania – oznajmiłem mu. – Nie chce podać nazwiska? – zapytałem Corwi.

– Nie chce i nie poznaję go po głosie. Połączenie jest do dupy.

– A jak brzmi ten głos?

– Mówi z cudzoziemskim akcentem. Amerykańskim. Chyba się boi.

„Kiepskie, międzynarodowe połączenie”.

– Niech to szlag – powiedziałem do Dhatta, zasłaniając ręką słuchawkę. – Bowden próbuje mnie odnaleźć. Na pewno nie chciał dzwonić na nasze numery, bo boi się podsłuchu... To kanadyjski akcent, Corwi. Posłuchaj, kiedy on dzwonił?

– Codziennie. Wczoraj i dzisiaj. Nie chce podać żadnych danych.

– W porządku. Posłuchaj, jeśli odezwie się znowu, powiedz mu coś. Przekaż mu wiadomość ode mnie. Powiedz, że będzie miał jedną szansę. Chwileczkę, daj mi się zastanowić. Powiedz mu, że... że postaram się zapewnić mu bezpieczeństwo. Mogę go wydostać z Ul Qomy. Musimy to zrobić. Wiem, że się boi po tym wszystkim, co się stało, ale sam nie będzie miał szans. Zachowaj to dla siebie, Corwi.

– Jezu, zdecydowanie chcesz mi spierdolić karierę.

W jej głosie pobrzmiwało znużenie. Zaczekałem chwilę, aż się upewniłem, że spełni moją prośbę.

– Dziękuję. Zaufaj mi, on to zrozumie. Nie pytaj o nic. Powiedz mu, że wiemy teraz więcej. Cholera, nie mogę mówić dłużej. – Skrzywiłem się, usłyszawszy głośny trzask pękającej wyszywanej cekinami sukni sobowtóra Ute Lemper. – Powiedz mu, że wiemy teraz więcej i musi do nas zadzwonić. – Rozejrzałem się wkoło, jakbym szukał natchnienia. Znalazłem je. – Podaj mi numer na komórkę Yallyi – poprosiłem Dhatta.

– He?

– Nie chce dzwonić do mnie ani do ciebie, więc... – Wyrecytował numer mnie i Corwi. – Powiedz swemu tajemniczemu rozmówcy, żeby zadzwonił pod ten numer, a będziemy mogli mu pomóc. Do mnie też dzwoń od teraz pod ten sam numer, dobra?

– Co to ma znaczyć, do chuja? – oburzył się Dhatt. – Co ty odpierdalasz?

– Będziesz musiał pożyczyć od niej telefon. Potrzebujemy go, żeby Bowden mógł się z nami skontaktować. Boi się, a my nie wiemy, czy ktoś nie założył podsłuchu w naszych. Jeśli do nas zadzwoni, może będziesz zmuszony... – zawahałem się.

– Do czego?

– Jezu, Dhatt, nie w tej chwili, dobra? Corwi?

Nie słyszała mnie. Odłożyła słuchawkę albo stara centrala przerwała połączenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nazajutrz zgodziłem się nawet pojechać z Dhattem do jego biura.

– Im rzadziej będziesz się pokazywał, tym bardziej ludzie będą się zastanawiać, co tu jest grane. W ten sposób tylko przyciągniesz uwagę – stwierdził. I tak wielu jego współpracowników gapiło się na mnie otwarcie. Przywitałem skinieniem głowy dwóch, którzy niedawno bez większego przekonania próbowali wszcząć ze mną sprzeczkę.

– Zaczynam popadać w paranoję – poskarżyłem się.

– Nie, nie, naprawdę się na ciebie gapią. Masz. – Wręczył mi komórkę Yallyi. – Chyba już więcej nie zaprosi cię na kolację.

– Co powiedziała?

– A jak myślisz? To jej telefon, była zdrowo wkurzona. Powiedziałem jej, że go potrzebujemy, ale kazała mi spierdalać. Błagałem, ale nic to nie dało. W końcu po prostu go jej zabrałem i powiedziałem, że to twoja wina.

– Czy możemy znaleźć jakiś mundur? Dla Yolandy... – Obaj pochylaliśmy się nad jego komputerem. Miał nowszą wersję Windowsa niż u mnie w pracy. – To może ułatwić przeprowadzenie jej przez granicę.

Gdy pierwszy raz zadzwonił telefon Yallyi, zamarliśmy w bezruchu i popatrzyliśmy na siebie. Wyświetlił się numer, którego żaden z nas nie znał. Odebrałem połączenie bez słowa, nadal patrząc Dhattowi w oczy.

– Yall? Yall? – Kobieta mówiła po illitańsku. – Mówi Mai, czy... Yall?

– Halo, właściwie to nie Yallya...

– Cześć, Qussim? – Jej głos ucichł. – Kto mówi?

Dhatt wziął ode mnie telefon.

– Halo? Cześć, Mai. Ehe, to mój kolega. Nie, masz rację. Musiałem pożyczyć telefon Yallyi na parę dni. Próbowalaś zadzwonić do domu? Dobra, uważaj na siebie. – Zakończył połączenie i oddał mi telefon. – To kolejny powód, żebyś to ty chodził z tym syfem. Będziesz dostawał od cholery telefonów od jej przyjaciółek, pytających, czy nadal chce iść do kosmetyczki albo czy widziała ostatni film z Tomem Hanksem.

Po paru podobnych telefonach nie podrywaliśmy się już nerwowo, usłyszawszy sygnał. Nie było ich jednak zbyt wiele – wbrew temu, co mówił Dhatt – i żaden nie dotyczył

podobnych tematów. Wyobraziłem sobie, że Yallya siedzi przy telefonie w biurze i dzwoni do kolejnych przyjaciółek, winiąc o tę komplikację męża i jego partnera.

– Musimy zakładać jej mundur? – zapytał cicho Dhatt.

– Ty będziesz w mundurze, tak? Jeśli chce się coś ukryć, najlepiej zrobić to na widoku.

– Ty też chcesz dostać mundur?

– A czy to zły pomysł?

Potrząsnął z namysłem głową.

– W pewnym zakresie ułatwi nam zadanie. Myślę, że na naszej granicy wystarczy mi legitymacja. – W Ul Qomie *militiya*, zwłaszcza oficerowie, była ważniejsza od straży granicznej. – Zgoda.

– Ja pogadam z beszańskimi strażnikami.

– Czy z Yolandą wszystko w porządku?

– Został z nią Aikam. Nie mogę tam wrócić... Każdy powrót...

Nie mieliśmy pojęcia, kto może nas obserwować.

Dhatt za dużo się ruszał i gdy trzeci albo czwarty raz warknął na któregoś ze współpracowników z powodu jakiegoś wyimaginowanego wykroczenia, zaproponowałem, żebyśmy poszli gdzieś na wczesny obiad. Łypnął na mnie spode łba, nie odzywając się ani słowem. W lokalu gapił się ze złością na wszystkich, którzy przechodzili obok stolika.

– Przystaniesz? – zapytałem.

– Kurwa, bardzo się ucieszę, kiedy wreszcie wyjedziesz.

Zadzwoił telefon Yallyi. Uniosłem go bez słowa do ucha.

– Borlú? – usłyszałem.

Zastukałem palcami w blat, by przyciągnąć uwagę Dhatta, i wskazałem na telefon.

– Bowden, gdzie pan jest?

– W bezpiecznym miejscu, Borlú – odpowiedział po beszańsku.

– Nie mówi pan jak człowiek, który czuje się bezpiecznie.

– No pewnie. To dlatego, że wcale nie czuję się bezpiecznie, tak? Pytanie brzmi, jak poważne mam kłopoty – odpowiedział z napięciem w głosie.

– Mogę pana wydostać. – Czy rzeczywiście mogłem? Dhatt wzruszył ramionami w przesadnym geście. – Są na to sposoby. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest.

Wydał z siebie dźwięk przypominający śmiech.

– Jasne. Powiem panu, gdzie jestem.

– Co więc pan proponuje? Nie może się pan ukrywać przez całe życie. Jeśli wydostaniemy pana z Ul Qomy, może będę mógł coś zrobić. Beszel to mój teren.

– Nawet pan nie wie, co jest grane...

– Ma pan jedną szansę.

– Pomoże mi pan tak samo jak Yolandzie?

– Ona nie jest głupia – odparłem. – Pozwala sobie pomóc.

– Słucham? Znaleźliście ją? Gdzie...

– Powiedziałem jej to samo, co panu. Tutaj nie mogę pomóc żadnemu z was. W Beszel może mi się to udać. Cokolwiek się dzieje, ktokolwiek wam grozi... – Spróbował coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliłem. – W Beszel mam znajomości. Tutaj jestem bezradny. Gdzie pan się ukrywa?

– Nigdzie. Nieważne. Nie... A gdzie pan jest? Nie chcę...

– To świetnie, że udało się panu ukrywać tak długo, ale nie może pan tego robić przez całe życie.

– Nie. Nie. Znajdę pana. Czy... przechodzi pan teraz przez granicę?

– Wkrótce to zrobię – odparłem, mimo woli rozglądając się wokół i ścisząc głos.

– Kiedy?

– Wkrótce. Zawiadomię pana, gdy tylko się dowiem. Jak mogę się z panem skontaktować?

– Nie może pan, Borlú. Ja skontaktuję się z panem. Niech pan zatrzyma ten telefon.

– A jeśli zadzwoni pan za późno?

– Będę musiał próbować co parę godzin. Obawiam się, że nie dam panu spokoju.

Przerwał połączenie. Przez chwilę gapiłem się jeszcze na telefon Yallyi, nim wreszcie spojrzałem na Dhatta.

– Kurwa, czy wiesz, jak bardzo mnie wścieka, że nie wiem, do kogo mogę się zwrócić? – wyszeptał Dhatt. – Komu mogę zaufać? – Przerzucił papiery. – Co powinienem komu powiedzieć?

– Wiem.

– Co jest grane? Czy on też chce się wydostać?

– Tak. Boi się. Nie ufa nam.

– Nie mam do niego pretensji.

– Ja też nie.

– Nie mam dla niego żadnych papierów. – Spojrzałem mu w oczy i czekałem. – Święte Światło, Borlú, chyba, kurwa... – szeptał ze złością. – Już dobra, dobra. Spróbuję coś wykombinować.

– Powiedz mi, co mam robić – zacząłem, nie odrywając spojrzenia od jego oczu – do kogo zadzwonić, w którym miejscu można pójść na skróty. Wtedy będziesz mógł mieć do mnie pretensję. Miej ją, Dhatt. Proszę bardzo. Ale na wszelki wypadek weź mundur dla Bowdena.

Biedak nadal nie mógł się zdecydować.

Corwi zadzwoniła do mnie po dziewiętnastej.

– Zrobione – oznajmiła. – Załatwiłam formalności.

– Corwi, mam wobec ciebie dług. Naprawdę.

– Wydaje ci się, że o tym nie wiem, szefie? Ty, twój partner Dhatt i jego, hm, koleżanka,

zgadza się? Będę na was czekała.

– Zabierz legitymację i bądź gotowa poprzeć mnie w rozmowach ze strażą graniczną. Kto jeszcze o tym wie?

– Nikt. Znowu przydzielono mnie do ciebie jako kierowcę. O której?

Pytanie brzmiało, jak najłatwiej jest zniknąć? Z pewnością istniał jakiś wykres, starannie wykreślona krzywa. Czy trudniej jest kogoś zauważyć, gdy wokół nie ma nikogo innego, czy raczej wtedy, gdy jest jednym z wielu?

– Nie za późno. Nie o drugiej w nocy.

– Cholernie mnie to cieszy.

– Wtedy bylibyśmy na przejściu zupełnie sami. Ale też nie pośrodku dnia. Zbyt wielkie ryzyko, że ktoś nas pozna. – Po zmierzchu. – O ósmej – zdecydowałem. – Jutro wieczorem.

Była zima i szybko robiło się ciemno. Na przejściu nadal będą tłumy, ale wszystko spowije senny półmrok. Łatwo umkniemy uwadze innych.

* * *

Nasza praca nie ograniczała się do lewych sztuczek. Niektóre zadania musieliśmy wykonać. Przygotować raporty o stanie śledztwa i skontaktować się z rodzinami. Przyglądałem się Dhattowi przy pracy, od czasu do czasu udzielając mu sugestii pomagających skomponować uprzejmy, beztreściowy list z wyrazami żalu, adresowany do państwa Geary. Kontaktowanie się z nimi było obecnie zadaniem ulqomańskiej *militysi*. Nie poczułem się lepiej na myśl, że mój duch znajduje się w tym liście, obserwuje ich zza słów przypominających szkło weneckie, a oni nie mogą zobaczyć mnie, jednego z jego autorów.

Opowiedziałem Dhattowi o miejscu – nie znałem adresu, ale opisałem mu w przybliżeniu topografię i rozpoznał je – położonym w parku w niewielkiej odległości od mieszkania, w którym ukrywała się Yolanda. Powiedziałem mu, żeby spotkał się tam ze mną jutro wieczorem.

– Jeśli ktoś będzie pytał, powiedz, że siedzę nad papierami w hotelu. Wyjaśnij, że w Beszel musimy się użerać z mnóstwem nedorzecznej biurokracji, więc mam co robić.

– Kurwa, cały czas mówimy tylko o tym, Tyad. – Dhatt był tak pobudzony, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Gryzł się faktem, że nie wie, komu można zaufać, nie ma do kogo się zwrócić. – Może to twoja wina, a może nie, ale podejrzewam, że do końca kariery będę wygłaszał pierdolone pogadanki w szkołach.

Obaj się zgodziliśmy, że Bowden najprawdopodobniej już nie zadzwoni, ale pół godziny po północy telefon biednej Yallyi znowu się odezwał. Byłem pewien, że to Bowden, chociaż nic nie powiedział. Tuż przed siódmą rano zadzwonił znowu.

– Pana głos nie brzmi najlepiej, doktorze.

– Co się dzieje?

– I jak pan zdecydował?

– Jedziecie do Beszel? Yolanda jest z wami? Ona też tam będzie?

– Ma pan jedną szansę, doktorze. – Zapisalem w notesie umówione czasy. – Jeśli nie chce pan, żebym po pana przyjechał, proszę czekać pod głównym wejściem do Hali Łącznikowej o siódmej wieczorem.

Przerwałem połączenie. Próbowałem robić notatki, nakreślić plan na papierze, ale nie byłem w stanie pracować. Bowden już więcej nie dzwonił. Zjadłem wczesne śniadanie, cały czas trzymając telefon w ręce albo kładąc go na blacie tuż obok. Nie wymeldowałem się z hotelu. Lepiej nie zdradzać swoich planów. Przerzuciłem ubrania, by sprawdzić, czy nie ma wśród nich czegoś, czego wolałbym nie zostawiać. Nic takiego nie znalazłem. Zabrałem tylko swój nielegalny egzemplarz *Między miastem a miastem* i na tym koniec.

Na dotarcie do kryjówki Yolandy i Aikama poświęciłem niemal cały dzień. Swój ostatni dzień w Ul Qomie. Kilkakrotnie pojechałem taksówkami aż na krańce miasta.

– Długo pan tu zostanie? – zapytał ostatni taksówkarz.

– Parę tygodni.

– Spodoba się tu panu – zapewnił, mówiąc po illitańsku z entuzjazmem początkującego. – To najlepsze miasto na świecie.

Był Kurdem.

– To niech mi pan pokaże swoje ulubione miejsca. Nie będzie pan miał kłopotów? – zapytałem. – Słyszałem, że nie wszyscy tu lubią cudzoziemców...

Prychnął lekceważąco.

– Mnóstwo tu durniów, ale to i tak najlepsze miasto.

– Długo już pan tu jest?

– Cztery lata z kawałkiem. Jeden rok w obozie...

– Obozie dla uchodźców?

– Ehe, w obozie, a potem trzyletni kurs, żeby dostać obywatelstwo. Nauka illitańskiego i, no wie pan, przeoczania tego drugiego miejsca, żeby nie przekroczyć.

– Nie chciał się pan wybrać do Beszel?

Znowu prychnął pogardliwie.

– A co tam jest? Ul Qoma jest najlepsza. – Zabrał mnie pod orchidarium i pod stadion Xhincis Kann. Z pewnością nieraz już woził turystów w te miejsca, ale gdy zapytałem go, co sam lubi najbardziej, zaczął mi pokazywać ogródki działkowe, w których oprócz rodowitych ulqoman siedzieli zajęci grą w szachy ci spośród Kurdów, Pakistańczyków, Somalijszczyków i przybyszy z Sierra Leone, którym udało się spełnić surowe warunki uzyskania wstępu do miasta. Członkowie różnych społeczności spoglądali na siebie nawzajem z uprzejmą niepewnością. Na skrzyżowaniu kanałów taksówkarz, uważając, by nie powiedzieć nic jednoznacznie nielegalnego, pokazał mi miejsce, gdzie jednostki z dwóch miast, statek wycieczkowy z Ul Qomy i kilka niezauważalnych beszańskich barek transportowych,

wymijały się na wodzie. – Widzi pan? – zapytał.

Mężczyzna stojący po drugiej stronie pobliskiej śluzy, na wpół ukryty wśród tłumu i niskich, miejskich drzewek, patrzył prosto na nas. Spojrzałem mu w oczy – przez chwilę nie byłem pewien, ale potem zdecydowałem, że na pewno przebywa w Ul Qomie, więc nie popełniłem przekroczenia – lecz zaraz odwrócił wzrok. Próbowałem śledzić go wzrokiem, ale szybko zniknął mi z oczu.

Dokonując wyboru między różnymi proponowanymi przez kierowcę atrakcjami, pamiętałem, by trasa za każdym razem przecinała całe miasto. Przyglądałem się w lusterku jego zachwyconej nieoczekiwanym zarobkiem twarzy. Jeśli śledzili nas jacyś agenci, musieli być bardzo zręczni i ostrożni. Po trzech godzinach zapłaciłem absurdalną cenę w walucie znacznie twardszej od tej, w której sam zarabiałem, i kazałem się wysadzić w miejscu, gdzie dziwki stały pod tanimi sklepami ze starzyzną. Za rogiem zaczynało się blokowisko, w którym ukrywali się Yolanda i Aikam.

Przez chwilę myślałem, że zwiali. Zamknąłem oczy, ale nie przestałem powtarzać szeptem pod drzwiami:

– To ja, Borlú, to ja.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Aikam wpuścił mnie do środka.

– Przygotuj się – poleciłem Yolandzie. Wydawała mi się jeszcze brudniejsza niż wtedy, gdy widziałem ją poprzednio, a także chudsza i bardziej podobna do wystraszonego zwierzęcia. – Weź dokumenty. Bądź gotowa zgadzać się ze wszystkim, co ja i mój partner powiemy straży granicznej. I niech twój chłopak pogodzi się z myślą, że nie jedzie z nami, bo nie zamierzamy urządzać sceny pożegnania w Hali Łącznikowej. Wywozimy cię z miasta.

* * *

Kazała Aikamowi zostać w pokoju. Z początku wyglądało na to, że jej nie posłucha, ale w końcu go zmusiła. Nie ufałem mu, nie byłem pewien, czy nie narobi kłopotów.

Raz po raz dopytywał się, dlaczego nie może jechać z nami. Yolanda pokazała mu, że zapisała jego numer, i obiecała, że zadzwoni do niego z Beszel, a potem z Kanady. Dopiero po kilku takich zapewnieniach zgodził się zostać. Stał jak coś porzuconego i przyglądał się z przygnębieniem, jak zamykamy za sobą drzwi. Potem ruszyliśmy szybko przez ciemniejszy park ku miejscu, gdzie czekał na nas Dhatt w nieoznakowanym policyjnym samochodzie.

– Witaj, Yolando. – Siedzący za kierownicą starszy detektyw przywitał ją skinieniem głowy. – Narobiłaś mi od cholery kłopotów. – Potem kiwnął głową do mnie i ruszył. – O co tu chodzi, do cholery? Kto cię tak wkurzył, panno Rodriguez? Spieprzyłaś całe moje życie. Przez ciebie zgodziłem się współpracować z tym cudzoziemskim świrem. Ubrania są z tyłu – oznajmił. – Oczywiście wyrzucą mnie za to z roboty. – Całkiem możliwe, że nie przesadzał. Yolanda gapiała się na niego, aż wreszcie zerknął w lusterko i warknął: – Wydaje ci się, że

będę podglądał, do cholery? – Skuliła się na tylnym siedzeniu i zaczęła ściągać ubranie, by je zastąpić nawet nieźle pasującym mundurem *militysi*. – Panno Rodriguez, proszę słuchać poleceń i trzymać się blisko. Może się zjawić jeszcze jeden gość i dla niego również mamy takie ładne ubranko. A to dla ciebie, Borlú. Może nam oszczędzić kłopotów. – Na kurtce naszyto godło *militysi*. Rozprostowałem materiał, by było wyraźnie widoczne. – Kurwa, szkoda, że nie ma epoletów. Mógłbym cię zdegradować.

Nie próbował kluczyć, nie popełnił błędu typowego dla tych, którzy są czegoś winni i mają powody do obaw. Jechał wolniej i ostrożniej niż otaczające nas samochody. Wybierał główne ulice, a także migał reflektorami, gdy inni kierowcy mu przeszkadzali, zgodnie z ulqomańskim zwyczajem. Te sygnały agresywnego gniewu przypominały uliczny alfabet Morse’a: błysk, błysk, zajechałeś mnie, błysk, błysk, błysk, zdecyduj się.

– Zadzwoił jeszcze raz – poinformowałem cicho Dhatta. – Może się zjawić. W takim przypadku...

– No dobra, powiedz to jeszcze raz, niszczycielu mojej kariery. W takim przypadku przejdzie granicę z nami, tak?

– Musi się stąd wydostać. Masz dla niego dokumenty?

Zaklął i walnął pięścią w kierownicę.

– Kurwa, naprawdę żałuję, że nie przyszedł mi do głowy żaden pomysł na wykręcenie się od tego pierdolonego syfu. Mam nadzieję, że skurwysyn się nie zjawi. Że dorwie go Orciny. – Yolanda gapiła się na niego ze zdumieniem. – Sprawdź, kto ma służbę. Bądź gotowy sięgnąć do portfela. Kurwa, w ostateczności dam mu swoje dokumenty.

Zobaczyliśmy Halę Łącznikową, widoczną ponad dachami budynków, za przewodami telefonicznymi i zaporami balonowymi na kilka dobrych minut przed dotarciem na miejsce. Najpierw minęliśmy, przeocząc ją najlepiej, jak potrafiliśmy, zwróconą tyłem do Ul Qomy beszańską część budynków. Kolejki beszan i wracających do domu ulqoman posuwały się naprzód z pełną irytacji cierpliwością. Gdzieś błyskał kogut beszańskiego radiowozu. Byliśmy zobowiązani przeoczyć to wszystko i robiliśmy to, ale nie mogliśmy zapomnieć, że wkrótce znajdziemy się po tamtej stronie. Okrążyliśmy ogromny gmach, docierając do alei Ul Maidin i wejścia położonego naprzeciwko Świątyni Nieuniknionego Światła. Kolejka jadących do Beszel pojazdów posuwała się powoli naprzód. Dhatt zaparkował krzywo, wjeżdżając na krawężnik z typową dla *militysi* ostentacją, a potem wysiadł, machając kluczykami. Wmieszaliśmy się w tłum zmierzający na wielki plac przed Halą Łącznikową.

Funkcjonariusze na pierwszym posterunku nie pytali nas o nic. Nie odezwali się ani słowem, gdy przedzieraaliśmy się przez szeregi ludzi i omijaliśmy stojące samochody. Przeprowadzili nas przez służbowe przejście do wnętrza Hali Łącznikowej. Pochłonął nas ogromny budynek.

Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, rozejrzałem się na wszystkie strony. Obaj nie zatrzymywaliśmy spojrzeń nawet na chwilę. Szedłem za Yolandą. Mundur wyraźnie

kępował jej ruchy. Przyglądałem się handlarzom sprzedającym żywność i ciuchy, strażnikom, turystom, bezdomnym oraz milicjantom. Wybraliśmy najbardziej dostępne z wielu wejść, szerokie i proste, nakryte starym, ceglany sklepieniem. Dobrze było stamtąd widać ogromne wnętrze hali oraz tłumy napierające z obu stron na posterunek graniczny. Tych, którzy chcieli przejść z Beszel do Ul Qomy, było wyraźnie więcej.

Po dotarciu do tego punktu obserwacyjnego po raz pierwszy od dłuższego czasu nie musieliśmy przeoczyć sąsiedniego miasta. Mogliśmy się gapić na drogę łączącą je z Ul Qomą, granicę, pas ziemi niczyjej, drugą granicę, a potem samo Beszel. Leżało na wprost przed nami. Czekały na nas niebieskie światła, siny odcień Beszel, ledwie widoczny za opuszczonym szlabanem dzielącym od siebie oba państwa, ten sam radiowóz, który przeoczyliśmy przed kilkunastoma minutami. Gdy ruszyliśmy przed siebie, zauważyłem stojącą na podwyższeniu, z którego beszańscy pogranicznicy obserwowali tłum, kobietę w mundurze *policzai*. Była jeszcze bardzo daleko, po beszańskiej stronie szlabanów.

– Corwi. – Nie zdawałem sobie sprawy, że wypowiedziałem jej nazwisko na głos, dopóki Dhatt na mnie nie spojrzał.

– To ona? – zapytał. Chciałem mu odpowiedzieć, że kobieta jest za daleko, bym mógł mieć pewność. – Chwileczkę – dodał jednak. Oglądał się za siebie. Oddzieliliśmy się nieco od zmierzającego do Beszel tłumy, staliśmy między kolejkami pieszych a szeregiem powoli posuwających się naprzód pojazdów. Dhatt miał rację. W jednym ze stojących za nami mężczyzn było coś podejrzanego. Jego wygląd nie przyciągał uwagi. Nieznajomy kulił się na zimnie, spowity w bury ulqomański płaszcz. Niemniej zbliżał się ukradkiem do nas, przecinając pod kątem kolejkę pieszych. Zauważyłem za jego plecami niezadowolone twarze. Przepychał się ku nam. Yolanda zobaczyła, że na niego patrzymy, i jęknęła cicho. – Ruszaj – warknął Dhatt. Wsparł dłoń na plecach kobiety i popchnął ją w stronę wejścia do tunelu. Zauważyłem jednak, że śledząca nas postać również próbuje przyspieszyć, w takim stopniu, w jakim pozwalała na to otaczający ją tłum. Nieznajomy zbliżał się do nas. Odwróciłem się i podążyłem ku niemu.

– Przeprowadź ją na drugą stronę granicy – poleciłem Dhattowi, nie oglądając się na niego. – Yolando, idź w stronę tej kobiety *zpoliczai*. – Przyspieszyłem kroku. – Ruszaj.

– Niech pan zaczeka – sprzeciwiła się dziewczyna, ale usłyszałem, że Dhatt ją skarcił. Skupiłem uwagę na zbliżającym się mężczyźnie. Z pewnością zauważył, że idę ku niemu. Zawahał się i wsadził rękę za pazuchę. Sięgnąłem do pasa, ale przypomniałem sobie, że w tym mieście nie wolno mi nosić broni. Tamten cofnął się o krok albo dwa. Potem uniósł ręce i odwinął zasłaniający twarz szalik. Zawołał mnie po nazwisku. To był Bowden.

Wyciągnął coś – pistolet, zwisający mu w palcach, jakby Bowden był na niego uczulony. Skoczyłem ku niemu i usłyszałem za plecami nagły wydech. Potem rozległ się drugi, a za nim krzyki. Dhatt wołał mnie po nazwisku.

Bowden kierował spojrzenie w jakiś punkt położony za mną. Obejrzałem się. Dhatt

przykucnął między samochodami w odległości kilku metrów. Pochylał się nisko, wrzeszcząc na cały głos. Ludzie w samochodach również pochylali głowy. Ich krzyki rozprzestrzeniały się na kolejki pieszych w Beszel i w Ul Qomie. Dhatt pochylał się nad leżącą bezwładnie na ziemi Yolandą. Nie widziałem jej wyraźnie, ale na twarzy miała krew. Starszy detektyw trzymał się za bark.

– Oberwałem! – zawołał. – Yolanda... Światło, Tyad, zastrzelili ją...

Gdzieś daleko doszło do nagłego zamieszania. Beszański tłum kłębiący się na drugim końcu ogromnej hali ogarnęła zwierzęca panika. Ludzie uciekali od kogoś, kto opierał się na czymś, nie, unosił to w obu rękach. Celował z karabinu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rozległ się kolejny cichy, nagły dźwięk, ledwie się przebijający przez krzyki. Strzał, wyciszony przez tłumik albo akustykę hali. Gdy jednak go usłyszałem, skoczyłem już na Bowdena i przewróciłem go na ziemię. Dźwięk uderzającego w ścianę pocisku był głośniejszy od samego strzału. Odłamki muru posypały się na wszystkie strony. Spanikowany Bowden dyszał ciężko. Ścisnąłem mocno jego nadgarstek, aż wypuścił broń. Nie pozwalałem mu wstać, uniemożliwiając snajperowi celny strzał.

– Padnij! Wszyscy padnij! – krzychałem. Tłum osuwał się na kolana, tak ospale, że trudno w to było uwierzyć. W miarę jak ludzie uświadamiali sobie niebezpieczeństwo, kulili się i krzyczeli coraz głośniej. Usłyszałem odgłos hamującego gwałtownie samochodu, a potem kolejne zbiorowe westchnienie, gdy kula uderzyła w cegły.

Przycisnąłem Bowdena do nawierzchni.

– Tyad! – zawołał Dhatt.

– Mów do mnie – odkrzyknąłem. Wszędzie zaroilo się od strażników. Unosili broń, rozglądali się wokół, wykrzykiwali do siebie bezsensowne polecenia.

– Postrzelił mnie, ale to nic groźnego – odparł. – Yolanda dostała w głowę.

Uniosłem wzrok. Strzały umilkły. Wyprostowałem się nieco, spoglądając na ściskającego ranę Dhatta i martwą Yolandę. Uniosłem głowę jeszcze wyżej i ujrzałem, że *militysa* zmierza już do strzegącego trupa Dhatta. Po drugiej stronie granicy policjanci biegli ku miejscu, z którego padły strzały. Hamował ich jednak rozhisteryzowany tłum. Corwi rozglądała się na wszystkie strony. Czy mnie widziała? Krzychałem. Zabójca uciekał.

Ludzie jemu również blokowali drogę, ale, gdy było to konieczne, wywijał karabinem jak maczugą i tłum się rozpraszał. Z pewnością wydano już rozkaz zablokowania wyjścia, ale jak szybko dotrą na miejsce? Zbieg dotarł już do części tłumu, która nie widziała, jak strzelał. Był dobry, zapewne więc porzuci broń, by zniknąć w ciżbie.

– Niech to diabli.

Ledwie widziałem zabójcę. Nikt nie próbował go zatrzymać. Do wyjścia został mu jeszcze spory kawałek drogi. Przyjrzałem się uważnie jego włosom i ubraniu, zapamiętując każdy szczegół: ostrzyżony na jeża; szary dres z położonym kapturem, czarne spodnie. Nic z tego nie przyciągało uwagi. Czy zostawił już broń? Zagłębił się w tłumie.

Wstałem, trzymając w ręku pistolet Bowdena, śmieszny P38, ale naładowany i w dobrym stanie. Ruszyłem w stronę posterunku granicznego, lecz nie było szans, bym zdołał się przedostać w tym chaosie. Co gorsza, obie grupy pograniczników były podekscytowane i wymachiwały bronią. Nawet jeśli mundur pozwoli mi przejść przez ulqomański posterunek, beszanie z pewnością mnie zatrzymają. Zresztą zabójca był już zbyt daleko, bym zdołał go doścignąć. Zawahałem się.

– Dhatt, sprowadź pomoc przez radio – zawołałem. – Pilnuj Bowdena.

Potem odwróciłem się i pobiegłem w drugą stronę, do czekającego w Ul Qomie samochodu Dhatta.

Tłum usuwał mi się z drogi, zauważając mundur *militysi* i pistolet, który trzymałem w dłoni, funkcjonariusze zaś widzieli, że jeden z nich kogoś ściga, dlatego nie próbowali mnie powstrzymywać. Włączyłem sygnał i ruszyłem w drogę.

Wcisnąłem gaz do dechy i pomknąłem wokół Hali Łącznikowej, omijając miejscowe i zagraniczne pojazdy. Syrena zbijała mnie z tropu. Nie byłem przyzwyczajony do ulqomańskiego sygnału. Jego „ya, ya, ya” brzmiało bardziej jękliwie od naszego alarmu. Zabójca z pewnością przedzierał się przez tunel wypełniony przerażonymi, dezorientowanymi ludźmi. Światła i dźwięk syreny otwierały mi drogę. W Ul Qomie ustępowano mi ostentacyjnie, na beszańskim miejscowóturze ulicy zaś z niewypowiedzianą paniką, zwykle towarzyszącą u nas zagranicznym dramatom. Poruszyłem gwałtownie kierownicą. Samochód skręcił w prawo, podskakując na beszańskich torach tramwajowych.

Gdzie była Przekroczeniówka? Ale przecież nie popełniono przekroczenia.

Nie popełniono przekroczenia, mimo że zamordowano kobietę na oczach wszystkich, strzałem zza granicy. To było zabójstwo i usiłowanie zabójstwa, ale pociski przemknęły nad przejściem granicznym w Hali Łącznikowej. To było okrutne, podłe, wyrefinowane morderstwo, ale zamachowiec podjął wszelkie możliwe kroki, by uniknąć przekroczenia. Wybrał miejsce, w którym mógł legalnie patrzeć z Beszel na Ul Qomę, i wycelował wzdłuż jedynej trasy łączącej ze sobą oba miasta. Można powiedzieć, że zbrodnię zaplanowano z wręcz przesadnym poszanowaniem dla granic miast, membrany dzielącej od siebie Ul Qomę i Beszel. Nie było przekroczenia i Przekroczeniówka nie miała prawa się wtrącać. Tylko beszańska policja znajdowała się w tym samym mieście, co zabójca.

Ponownie skręciłem w prawo i wróciłem w miejsce, gdzie znajdowałem się przed godziną. W Ul Qomie była to ulica Weipay, stanowiąca przeplot z beszańskim wejściem do Hali Łącznikowej. Podjechałem tak blisko wejścia, jak tylko pozwolił mi tłum, a potem zahamowałem gwałtownie. Wysiadłem i wskoczyłem na dach samochodu. Wkrótce ulqomańscy funkcjonariusze zapytają mnie – swego domniemanego kolegę – co właściwie robię, ale na razie stałem na dachu. Po chwili wahania postanowiłem, że nie będę się gapił na uciekających z tunelu beszan. Rozglądałem się wkoło, obserwując Ul Qomę. Dopiero po chwili skierowałem wzrok w kierunku hali, nie zmieniając wyrazu twarzy ani w żaden inny

sposób nie zdradzając, że interesuje mnie drugie miasto. Nikt nie mógłby się do mnie przyczepić. Na moje nogi padały czerwone i niebieskie światła alarmowe.

Pozwoliłem sobie zauważyć, co się dzieje w Beszel. Nadal znacznie więcej ludzi próbowało wejść do Hali Łącznikowej, niż ją opuścić, ale w miarę narastania paniki pojawił się niebezpieczny przeciwprąd. Doszło do zamieszania, obie grupy mieszały się ze sobą, ludzie niewiedzący, co zobaczyli albo usłyszeli, blokowali drogę tym, którzy świetnie wiedzieli, co się stało, i próbowali uciekać. Ulqomanie przeoczali beszańską kotłowaną, odwracali wzrok i przechodzili na drugą stronę ulicy, omijając szerokim łukiem zagraniczne kłopoty.

– Cofać się, cofać...

– Wpuście nas, co jest...?

Pośród grupek spanikowanych uciekinierów wypatrzyłem śpieszącego się mężczyznę. Przyciągnął moją uwagę, ponieważ bardzo się starał nie biec zbyt szybko ani nie unosić głowy za wysoko. Pomyślałem, że to zabójca, potem, że to nie on, a na koniec znowu, że on. Przepchnął się przez ostatnią rozwrzeszczaną rodzinę i przez chaotyczny kordon beszańskiej *policzai*. Funkcjonariusze usiłowali przywrócić porządek, nie wiedząc, co właściwie powinni robić. Mężczyzna przeszedł obok nich, odwrócił i oddalił szybkim, ale nie nazbyt szybkim krokiem.

Z moich ust musiał się wyrwać jakiś dźwięk, bo odległy o kilkadziesiąt metrów zabójca obejrzał się za siebie. Zauważyłem, że mnie zobaczył, a potem instynktownie przeoczył, z powodu mojego munduru, dlatego że byłem w Ul Qomie. Musiał coś jednak spostrzec, gdyż odwracając wzrok, przyspieszył kroku. Widziałem go już kiedyś, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć gdzie. Rozejrzałem się rozpaczliwie wokół, ale żaden z beszańskich policjantów nie wiedział, że to ścigany człowiek, a ja byłem w Ul Qomie. Zeskoczyłem z samochodu i ruszyłem szybko za mordercą.

Ulqoman odpychałem na boki, beszanie zaś próbowali mnie przeoczyć, ale byli zmuszeni odsuwać się pośpiesznie. Zarejestrowałem ich zdziwione miny. Poruszałem się szybciej niż zabójca. Nie patrzyłem na ściganego, ale na jakieś obiekty w Ul Qomie, pozwalające mi utrzymać go w polu widzenia. Śledziłem go, ale nie skupiałem na nim spojrzenia, utrzymując się na granicy legalności. Gdy szedłem przez plac, dwóch ulqomańskich milicjantów zapytało mnie o coś, ale zignorowałem ich. Zabójca z pewnością usłyszał odgłos moich kroków. Gdy byłem kilkadziesiąt metrów od niego, odwrócił się nagle i otworzył oczy ze zdumienia. Nadal jednak zachowywał ostrożność i nie skupił na mnie spojrzenia. Zarejestrował moją obecność i ponownie skierował wzrok na Beszel, przyspieszając kroku. Przetruchnął na ukos przez jezdnię, zmierzając ku ErmannStrász, ruchliwej ulicy położonej za prowadzącymi do Kolyub torami tramwajowymi. W Ul Qomie ulica, na której się znajdowaliśmy, nosiła nazwę Saq Umir. Ja również przyspieszyłem.

Znowu się obejrzał i przyspieszył jeszcze bardziej, przedzierając się przez beszański tłum.

Co chwila patrzył na boki, zaglądając do oświetlonych kolorowym blaskiem świec kawiarni albo do księgarni. W Ul Qomie to były spokojne uliczki. Powinien był wejść do jakiegoś sklepu. Być może nie zrobił tego dlatego, że na chodnikach musiałby się przedzierać przez przepłotowy tłok. A może jego ciało buntowało się przeciwko myśli o szukaniu schronienia w ślepej uliczce. Zaczął biec.

Morderca skręcił w lewo, w mniejszy zaułek. Nadal za nim podążałem. Był szybki, szybszy ode mnie. Biegł jak żołnierz. Odległość między nami rosła. Beszańscy straganiarze i przechodnie gapili się na mordercę, a ulqomańscy na mnie. Uciekinier przeskoczył przez blokujący mu drogę kosz na śmieci. Wiedziałem, że mi nie przyjdzie to tak łatwo. Uświadomiłem sobie, dokąd zmierza. Starówki obu miast tworzą ciasny przepłot, ale przy ich granicach Beszel i Ul Qoma zaczynają się rozdzielać, pojawiają się alteracje i jednolite obszary. To nie był, nie mógł być, pościg. To było dwóch przyspieszających ludzi. On uciekał w swoim mieście, a ja ścigałem go gniewnie w swoim.

Wydałem z siebie nieartykułowany krzyk. Jakaś staruszka spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Nie patrzyłem na zbiega, nadal na niego nie patrzyłem. Z gorliwą praworządnością gapilem się na Ul Qomę – na światła, graffiti, przechodniów, a wszystko to ulqomańskie. Zbliżał się do żelaznych poręczy, zakrzywionych w tradycyjnym beszańskim stylu. Był zbyt daleko. Dotarł do jednolitej ulicy, istniejącej tylko w Beszel. Obejrzał się na mnie. Dyszałem ciężko ze zmęczenia.

Przez ulotną chwilę – za krótko, by można go było o cokolwiek oskarżyć, ale z pewnością celowo – spojrzał prosto na mnie. Znałem go, ale nie wiedziałem skąd. Przyjrzał mi się z progu czysto zagranicznego lądu i rozciągnął lekko usta w triumfalnym uśmiechu. Potem ruszył ku miejscom, do których nie mógł za nim podążyć nikt przebywający w Ul Qomie.

Uniosłem pistolet i strzeliłem mu prosto w pierś.

* * *

Gdy padał na ziemię, ujrzałem zdumienie na jego twarzy. Ze wszystkich stron dobiegły mnie krzyki, najpierw spowodowane wystrzałem, potem widokiem krwi i padającego ciała, a na koniec świadomością mojego straszliwego występku.

– Przekroczeniówka.

– Przekroczeniówka.

Z początku pomyślałem, że wzywają ją wstrząśnięci świadkowie zbrodni. Potem jednak tam, gdzie jeszcze przed chwilą nie dostrzegałem żadnych regularnych ruchów, a tylko kłębiący się bez celu tłum, pojawiły się zamazane sylwetki. To ci przybysze o obliczach tak nieruchomych, że ledwie mogłem w nich rozpoznać ludzkie twarze, wypowiedzieli owo budzące lęk słowo. Przybyli na miejsce zbrodni.

– Przekroczeniówka. – Jakaś zjawa o złowrogim licu złapała mnie tak mocno, że nie

miałbym szansę się wyrwać, nawet gdybym chciał to zrobić. Zauważyłem ciemny kształt przykrywający ciało zabitego.

– Przekroczeniówka – powtórzył jakiś głos tuż przy moim uchu. Ktoś wypchnął mnie bez trudu z miejsca, w którym się znajdowałem. Bardzo szybko oddaliłem się od beszańskich świateł i ulqomańskich neonów, zmierzając w kierunku, który nie miał sensu w żadnym z tych miast.

– Przekroczeniówka – usłyszałem po raz kolejny. Poczulem dotyk i pochłonięła mnie ciemność. Wraz z brzmieniem tego słowa ucichła wszelka świadomość.

Część trzecia

PRZEKROCZENIÓWKA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ciemność nie była całkowicie bezgłówna. Coś ją mąciło. Ktoś zadawał mi pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć, pytania wydające mi się pilnymi zadaniami, którym nie byłem w stanie sprostać. Te głosy raz po raz mówiły o przekroczeniu. To, co mnie dotknęło, wysłało mnie nie w bezmyślne milczenie, ale na arenę snów, na której byłem zwierzyną łowną.

* * *

Przypomniałem sobie to wszystko później. W chwili, gdy się ocknąłem, w ogóle nie miałem poczucia minionego czasu. Zamknąłem oczy na przeplotowych ulicach starówek, a potem otworzyłem je, zaczerpnąłem tchu i rozejrzałem się po pokoju.

Był mały, szary, pozbawiony ozdób. Leżałem w łóżku – nie, na łóżku. Na pościeli. Nie poznawałem ubrania, które miałem na sobie. Usiadłem.

Szara, gumową podłogę pokrywały zadrapania. Okno wpuszczało do środka padające wprost na mnie światło. Na szarych ścianach widziałem plamy i pęknięcia. Stało tam biurko i dwa krzesła. Wysoki pokój wyglądał jak zaniedbany gabinet. U sufitu wisiał klosz z ciemnego szkła. Nic nie mąciło panującej tu ciszy.

Wstałem z łóżka i zamrugąłem. Wcale nie kręciło mi się w głowie tak mocno, jak się spodziewałem. Drzwi były zamknięte. Okno ulokowano za wysoko, bym mógł coś przez nie zobaczyć. Podskoczyłem do niego, co jednak spowodowało lekkie zawroty głowy, ale ujrzałem tylko niebo. Ubranie, w którym się obudziłem, było czyste i pozbawione wszelkich cech charakterystycznych. Pasowało całkiem nieźle. Wtedy właśnie przypomniałem sobie, co działo się ze mną w ciemności. Moje serce i oddech przyśpieszyły nagle.

Cisza była męcząca. Złapałem się dolnej krawędzi okna i podciągnąłem w górę. Ręce mi drżały. Nie miałem punktu oparcia dla nóg i nie mogłem wytrzymać w tej pozycji zbyt długo. Poniżej ciągnęły się dachy. Widziałem łupkowe dachówki, anteny satelitarne, płaskie betonowe powierzchnie, sterczące dźwigary i anteny, cebulaste kopuły, śrubowe wieże, zapory balonowe, tylne powierzchnie czegoś, co mogło być maszkaronami. Nie potrafiłem określić, gdzie jestem, nie wiedziałem też, kto może mnie obserwować zza szyb.

– Siadaj. – Spadłem nagle na podłogę. Podniosłem się i odwróciłem. Ktoś stał w drzwiach. Ze jego plecami paliło się światło i był tylko ciemną plamą rysującą się na jego tle. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że przybysz jest mężczyzną piętnaście, może dwadzieścia lat starszym ode mnie. Był krępy i żylasty, a jego ubranie było równie nieokreślone jak moje. Za nim stało dwoje ludzi, kobieta w moim wieku i drugi mężczyzna, nieco od niej starszy. Ich twarze były całkowicie pozbawione wszelkiego wyrazu. Wyglądali jak ulepiona na kształt ludzi glina na chwilę przed tym, nim Bóg tchnął w nią życie. – Siadaj. – Starszy mężczyzna wskazał na krzesło. – Wyjdź z tego kąta.

Uświadomiłem sobie, że rzeczywiście wcisnąłem się w kąt. Wyprostowałem się, starając się uspokoić oddech. Oderwałem dłonie od ścian i stanąłem jak człowiek.

– To bardzo krępujące – odezwał się po dłuższej chwili – Przepraszam. – Usiadłem na wskazanym krześle. – Jestem Tyador Borlú – odezwał się, gdy już byłem w stanie zapanować nad głosem. – A pan?

Usiadł i przyjrzał mi się, przekrzywiając głowę w geście bezosobowej, ptasiej ciekawości.

– Jestem z Przekroczeniówki – odparł.

* * *

– Z Przekroczeniówki – powtórzyłem. Zacerpnałem z drzeniem oddechu. – Tak, z Przekroczeniówki.

– A czego się spodziewałeś? – zapytał po chwili mężczyzna. – Czego się spodziewałeś? – Czy to było zbyt wiele? W innej sytuacji potrafiłbym odpowiedzieć na to pytanie. Rozglądałem się nerwowo, jakbym chciał zobaczyć coś niemal niewidzialnego, co ukrywało się w kątach. Mężczyzna uniósł prawą rękę, mierząc wskazującym i wielkim palcem w moje oczy. Potem skierował je na własne. „Patrz na mnie”. Posłuchałem go. Łypnął na mnie spod zmarszczonych brwi. – Sytuacja – rzekł. Uświadomiłem sobie, że obaj mówimy po beszańsku. Jego akcent nie był w pełni beszański ani ulqomański, ale z pewnością nie był też europejski ani północnoamerykański. Był bezbarwny. – Popeliłeś przekroczenie, Tyadorze Borlú. Gwałtowne. Zabiłeś przy tym człowieka. – Znowu na mnie spojrział. – Strzeliłeś z Ul Qomy do kogoś, kto znajdował się w Beszel. To znaczy, że przekroczyłeś. – Splótł dłonie. Jego cienkie kości poruszały się pod skórą zupełnie jak moje. – Nazywał się Yorjavic. Ten, którego zabiłeś. Pamiętasz go?

– Nie...

– Znałeś go wcześniej.

– Skąd wiecie?

– Sam nam powiedziałaś. To zależy od nas, w jaki sposób tracisz przytomność, ile czasu spędzisz w tym stanie, co wtedy zobaczysz i powiesz, a także kiedy ją odzyskasz i czy to w ogóle się stanie. Skąd go znałeś?

Potrząsnąłem przecząco głową, ale...

– Prawdziwi Obywatele – zawołałem nagle. – Był tam, gdy próbowałem ich wypytać.

To był ten, który zadzwonił po prawnika Gosza. Jeden z tych agresywnych nacjonalistów.

– Był żołnierzem – oznajmił mężczyzna. – Snajperem. Służył sześć lat w Beszańskich Siłach Zbrojnych.

To mnie nie dziwiło. Strzał był nadzwyczajny.

– Yolanda! – Uniosłem wzrok. – Jezu, Dhatt. Co się z nimi stało?

– Starszy detektyw Dhatt już nigdy nie odzyska pełnej ruchomości w prawym stawie barkowym, ale wraca do zdrowia. Yolanda Rodriguez nie żyje. – Przyglądał mi się z uwagą. – Pocisk, który zranił Dhatta, był przeznaczony dla niej. Dopiero drugi trafił ją w głowę.

– Niech to diabli. – Przez kilka sekund mogłem jedynie patrzeć na podłogę. – Czy jej rodzina wie?

– Tak.

– Czy ktoś jeszcze ucierpiał?

– Nie. Tyadorze Borlú, popełniłeś przekroczenie.

– On ją zabił. Nie wiecie, co jeszcze...

Mężczyzna wyprostował się na krześle. Nim jeszcze zdążył odpowiedzieć, pokiwałem głową w geście pozbawionych nadziei przeprosin.

– Yorjavic nie przekroczył, Borlú. Strzelił przez granicę, w Hali Łącznikowej. To nie było przekroczenie. Prawnicy mogą się spierać, czy zbrodnię popełniono w Beszel, gdzie nacisnął spust, czy w Ul Qomie, gdzie kule uderzyły w cel. A może w obu miastach jednocześnie? – Rozpostarł dłonie w eleganckim geście mówiącym „kogo to obchodzi?”. – On nie przekroczył, ale ty to zrobiłeś. Dlatego jesteś teraz w Przekroczeniu.

* * *

Kiedy wyszli, przyniesiono posiłek. Chleb, mięso, owoce, ser i wodę. Zjadłem wszystko, a potem zacząłem szarpać drzwi, lecz nawet nie drgnęły. Dotknąłem koniuszkami palców pokrywającej je farby, ale znaczyły ją tylko zwykłe pęknięcia albo kod był zbyt wyrafinowany, bym mógł go odczytać.

Yorjavic nie był pierwszym człowiekiem, do którego strzeliłem ani nawet którego zabiłem, niemniej nie było ich zbyt wielu. Nigdy też nie zastrzeliłem kogoś, kto nie mierzył z broni do mnie. Czekałem, aż zacznę drzeć. Serce waliło mi wściekle, ale dlatego, że byłem w tym miejscu, nie z powodu wyrzutów sumienia.

Byłem sam przez długi czas. Spacerowałem po całym pokoju, przyglądałem się ukrytej w kloszu kamerze. Znowu podciągnąłem się do okna, żeby popatrzeć na dachy. Gdy drzwi otworzyły się ponownie, zapadł już półmrok. Do środka weszła ta sama trójka.

– Yorjavic w pewnym sensie przekroczył – oznajmił starszy mężczyzna, nadal mówiąc po

beszańsku. – Kiedy go zastrzeliłeś. Ofiary przekroczenia zawsze również przekraczają. Wywarł znaczący wpływ na wydarzenia w Ul Qomie. W ten sposób się o nim dowiedzieliśmy. Ktoś wydał mu polecenia. Nie byli to Prawdziwi Obywatele. Tak to wygląda – skwitował. – Przekroczyłeś i w związku z tym należysz do nas.

– I co teraz będzie?

– To, co zdecydujemy. Ten, kto przekroczył, należy do nas.

Mogli bez trudu sprawić, że zniknę. Na temat tego, co by to w praktyce oznaczało, krążyły tylko pogłoski. Nikt nigdy nie słyszał relacji tych, których zabrała Przekroczeniówka, i nie było wiadomo, co się z nimi działo, po tym, jak już... Właściwie co? Odsiedzieli wyrok? Albo musieli być zdumiewająco dyskretni, albo nigdy ich nie wypuszczano.

– Nawet jeśli nie dostrzegasz sprawiedliwości w tym, co robimy, to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy niesprawiedliwi, Borlú. Możesz to uznać za swój proces. Powiedz nam, co i dlaczego zrobiłeś, a może będziemy mogli coś postanowić. Musimy zakończyć sprawę przekroczenia. Trzeba przeprowadzić dochodzenia. Możemy rozmawiać z ludźmi, którzy nie przekroczyli, jeśli potrafimy udowodnić, że to ma znaczenie dla sprawy. Rozumiesz? Istnieją surowsze i mniej surowe sankcje. Mamy twoje dane. Jesteś z policji. – Co próbował mi powiedzieć? Że jesteśmy kolegami po fachu? Nie odzywałem się ani słowem. – Dlaczego to zrobiłeś? Powiedz nam. Opowiedz nam o Yolandzie Rodriguez i o Mahalii Geary.

Nie odzywałem się przez bardzo długi czas, ale nie miałem żadnego planu.

– Słyszeliście o nich? Co wiecie?

– Borlú.

– Co tam jest? – zapytałem, wskazując na drzwi. Zostawili je uchylone.

– Wiesz, gdzie jesteś – odparł mężczyzna. – Wkrótce zobaczysz to na własne oczy. Na jakich warunkach, to już zależy od tego, co powiesz i zrobisz. Opowiedz nam, jak tu trafiłeś. Ten głupi spisek powrócił po raz pierwszy od długiego czasu. Opowiedz nam o Orciny, Borlú.

* * *

Jedynym źródłem światła była wąska strużka barwy sepii wpadająca przez uchylone drzwi. To stanowczo nie wystarczało. Mój rozmówca cały czas był ukryty w cieniu. Potrzebowałem kilku godzin, by opowiedzieć im o całej sprawie. Niczego nie ukrywałem, bo na pewno i tak wszystko wiedzieli.

– Dlaczego przekroczyłeś? – zapytał mężczyzna.

– Nie zamierzałem tego robić. Chciałem się tylko dowiedzieć, dokąd pójdzie zabójca.

– To przekroczenie. On był w Beszel.

– Tak, ale przecież wiecie, że to się zdarza cały czas. A kiedy się uśmiechnął... Jego mina... Pomyślałem o Mahalii i Yolandzie.

– Skąd wiedział, że tam będziecie?

– Nie mam pojęcia. Był nacjonalistycznym świrem, ale najwyraźniej miał kontakty.

– A co ma z tym wspólnego Orciny?

Popatrzyliśmy na siebie.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem – odparłem i ukryłem twarz w dłoniach, spoglądając nad koniuszkami palców. Odniosłem wrażenie, że dwoje stojących w drzwiach ludzi w ogóle na mnie nie patrzy. Zerwałem się z krzesła i pobiegłem w ich stronę. Któreś z nich, nawet nie zauważyłem które, złapało mnie w biegu i cisnęło pod przeciwległą ścianę. Potem ktoś mnie uderzył, z pewnością kobieta, bo, gdy uniosłem głowę, młodszy mężczyzna nadal opierał się o framugę. Starszy siedział spokojnie na krześle.

Kobieta usiadła mi na plecach i zacisnęła ręce na szyi.

– Borlú, popełniłeś przekroczenie. W tym pokoju odbywa się twój proces – oznajmił starszy mężczyzna. – I tu może się zakończyć. Znalazłeś się poza zasięgiem prawa. Wszelkie decyzje należą do nas. Powtarzam, powiedz nam, co ci ludzie i te morderstwa mają wspólnego z opowieścią o Orciny.

Minęła krótka chwila.

– Co mu robisz? – zapytał kobietę.

– On się nie dusi – odpowiedziała.

Śmiałem się, na ile pozwalał mi na to jej chwyt.

– Nie chodzi wam o mnie – rzekłem, odzyskawszy zdolność mowy. – Mój Boże, to śledztwo w sprawie Orciny.

– Nie ma żadnego Orciny – oznajmił mężczyzna.

– Wszyscy mi to powtarzają. A mimo to dzieją się różne rzeczy, ludzie giną albo znikają, a słowo „Orciny” wypływa w związku ze sprawą raz po raz.

Kobieta mnie puściła. Siedziałem na podłodze, potrząsając głową ze zdziwienia.

– Wiecie, dlaczego się do was nie zwróciła? – zapytałem. – Yolanda? Myślała, że to wy jesteście Orciny. Gdyby ktoś ją zapytał: „Jak może istnieć miejsce między miastem a miastem”, odpowiedziałyby: „Wierzysz w Przekroczeniówkę? Gdzie ona się kryje?”. Ale nie miała racji, prawda? Wy nie jesteście Orciny.

– Nie ma żadnego Orciny.

– To dlaczego zadajecie mi te wszystkie pytania? Przed czym uciekałem od wielu dni? Widziałem, jak Orciny albo coś bardzo do niego podobnego postrzeliło mojego partnera. Wiecie, że przekroczyłem, co was obchodzi reszta? Dlaczego po prostu mnie nie ukarzecie?

– Jak mówimy...

– Co to właściwie ma być? Miłosierdzie? Sprawiedliwość? Dajcie spokój. Jeśli między Beszel a Ul Qomą istnieje coś jeszcze, w jakim położeniu to was stawia? Ścigacie Orciny, ponieważ niespodziewanie wróciło. Nie wiecie, gdzie się ukrywa ani co właściwie jest grane. To znaczy... – „Do diabła z tym”. – Boicie się.

* * *

Młodszy mężczyzna i kobieta przynieśli stary projektor filmowy z ciągnącym się za nim przewodem. Włączyli go i rozległo się buczenie. Jako ekran służyła jedna ze ścian. Wyświetlano sceny z przesłuchania. Odsunąłem się dalej, by lepiej widzieć, ale nie wstałem z podłogi.

Przesłuchiowano Bowdena. Rozległ się szum, a potem usłyszałem głos doktora. Mówił po illitańsku. Zorientowałem się, że przesłuchujący są z *militysi*.

– ...nie wiem, co się stało. Tak, tak, ukrywałem się, bo ktoś mnie ścigał. Ktoś próbował mnie zabić. A potem się dowiedziałem, że Borlú i Dhatt opuszczają miasto. Nie wiedziałem, czy mogę im zaufać, ale pomyślałem sobie, że mógłbym się wydostać razem z nimi.

– ...nosił broń?

Głos przesłuchującego był stłumiony.

– Dlatego, że ktoś próbował mnie zabić. Tak, miałem pistolet. Jak świetnie wiecie, we wschodniej Ul Qomie broń można kupić na połowie rogów ulicznych. A ja mieszkam tu od lat.

Coś niezrozumiałego.

– Nie.

– Dlaczego nie?

To usłyszałem wyraźnie.

– Dlatego, że nie ma żadnego Orciny – odpowiedział Bowden.

Coś niezrozumiałego.

– Nic mnie nie obchodzi, co pan myśli, w co wierzyła Mahalia, co powiedziała Yolanda, czy co insynuuje Dhatt. Nie, nie mam pojęcia, kto do mnie zadzwonił. Ale Orciny nie istnieje.

Rozległ się głośny trzask i na obrazie pojawił się Aikam. Chłopak łkał niepowstrzymanie. Padały kolejne pytania, ale on je ignorował.

Obraz znowu się zmienił. Miejsce Aikama zajął Dhatt. Był po cywilnemu i miał rękę na temblaku.

– Kurwa, nie wiem – krzychał. – Po chuja mnie o to pytacie? Zapytajcie Borlú. On najwyraźniej wie o tym całym pierdolonym syfie znacznie więcej od mnie. Orciny? Nie, kurwa, nie wierzę w Orciny. Nie jestem dzieckiem. Problem w tym, że choć jest cholernie oczywiste, że Orciny to totalna bzdura, coś nadal się dzieje. Ludzie zdobywają informacje, do których nie powinni mieć dostępu, a innym ludziom strzelają w głowę nieznani sprawcy. Pierdolonym dzieciakom. Dlatego właśnie zgodziłem się pomóc Borlú i w dupę z prawem. Jeśli chcecie zabrać mi za to odznakę, to proszę bardzo. Możecie sobie nie wierzyć w Orciny. Kurwa, sam w nie nie wierzę. Ale lepiej trzymajcie głowy nisko, żeby to nieistniejące miasto was nie zastrzeliło. Gdzie Tyador? Co z nim zrobiliście?

Obraz znieruchomiał na ścianie. Przesłuchujący popatrzyli na mnie w blasku bijącym od czarno-białej, wykrzywionej w gniewnym grymasie twarzy Dhatta.

– I co? – zapytał starszy mężczyzna, wskazując głową na ścianę. – Słyszałeś, co powiedział Bowden? Co tu jest grane? Co wiesz o Orciny?

* * *

Przekroczeniówka jest niczym. Sprawa jest prosta. Nie ma ambasad ani armii, nie znajdzie się tu turystycznych atrakcji. Nie posiada waluty. Jeśli ktoś popełni przekroczenie, znika tu bez śladu. To pustka pełna gniewnych policjantów.

Ślad, raz po raz prowadzący do Orciny, sugerował systemowe nadużycia, tajne zasady, miasto-pasożyta egzystujące tam, gdzie nie powinno istnieć nic poza Przekroczeniówką. Skoro Przekroczeniówka nie była Orciny, mogła być jedynie parodią samej siebie, jeśli przez stulecia tolerowała taki stan rzeczy. Dlatego, gdy przesłuchujący pytał mnie, czy Orciny istnieje, znaczyło to: „Czy jesteśmy w stanie wojny?”.

Zwróciłem ich uwagę na fakt, że mamy wspólny cel. Ośmieliłem się targować z nimi.

– Pomogę wam... – powtarzałem ze znaczącą pauzą na końcu, sugerując słowa „pod warunkiem”. Wiedzieli, że chcę dorwać morderców Mahalii Geary i Yolandy Rodriguez, ale nie byłem zbyt szlachetny, by uciec się do targów. Istniało miejsce na zawarcie transakcji, a myśl, że mógłbym się wydostać z rąk Przekroczeniówki, przyprawiała o zawrót głowy.

* * *

– Raz już o mało mnie nie zatrzymaliście – zauważyłem. Obserwowali mnie, gdy zbliżyłem się grostopicznie do własnego domu. – Czy to znaczy, że jesteśmy partnerami? – zapytałem.

– Popełniłeś przekroczenie. Ale jeśli nam pomożesz, możesz liczyć na łagodne potraktowanie.

– Naprawdę myślisz, że to Orciny je zabiło? – zapytał drugi mężczyzna.

Czy byli gotowi zakończyć moją sprawę, jeśli istniała choć niewielka możliwość, że Orciny ukrywa się wśród nas? Że jego mieszkańcy chodzą po ulicach, niedostrzegalni dla obywateli Beszel i Ul Qomy, ponieważ i ci, i tamci uważają ich za mieszkańców drugiego miasta? Że ukrywają się jak książki w bibliotece?

– Co się stało? – zapytała kobieta, zauważywszy moją minę.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Nie ma tego zbyt wiele. To Mahalia naprawdę wiedziała, co się dzieje, a ona nie żyje. Ale zostawiła coś po sobie. Powiedziała Yolandzie, że uświadomiła sobie prawdę, przeglądając swe notatki. My nie znaleźliśmy tam niczego w tym rodzaju, ale wiem, jak ona pracowała. I wiem, gdzie można je znaleźć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Budynek ten – można by go nazwać komendą – opuściłem rankiem w towarzystwie starszego z dwóch mężczyzn. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, w którym mieście się znajduję.

Większą część nocy poświęciłem na oglądanie filmów z przesłuchań prowadzonych w Ul Qomie i w Beszel. Strażników granicznych z obu miast, przechodniów, którzy nie wiedzieli nic poza tym, że ludzie nagle zaczęli krzyczeć. Kierowców, którym kule przelatowały nad głowami.

– Corwi – odezwałem się, gdy na ścianie pojawiła się jej twarz.

– Gdzie on jest? – Coś w nagraniu sprawiało, że jej głos zdawał się dobiegać z daleka. Była wściekła, ale panowała nad sobą. – W co mój szef się wdał, do cholery? Tak chciał, żebym pomogła mu przeprowadzić kogoś przez granicę.

To było wszystko, co udało się ustalić beszańskim przesłuchującym. Grozili jej zwolnieniem z pracy, ale zareagowała na to z taką samą pogardą jak Dhatt, choć używała mniej obrazowego języka. Nic nie wiedziała.

Pokazali mi też krótkie ujęcia z przesłuchań Biszai i Sariski. Biszaya płakała.

– W ten sposób mi nie zaimponujecie – stwierdziłem. – To po prostu okrutne.

Najciekawsze były materiały z przesłuchań towarzyszy Yorjavica, członków skrajnych ugrupowań nacjonalistycznych z Beszel. Niektórych z nich pamiętałem ze spotkania pod ich siedzibą. Gapili się ponuro na przesłuchujących ich policjantów. Kilku nie chciało nic powiedzieć bez adwokata. To były intensywne przesłuchania. W pewnym momencie policjant pochylił się nad blatem i walnął przesłuchiwanego w twarz.

– Niech cię chuj – zawołał krwawiący mężczyzna. – Jesteśmy po tej samej stronie, ty pierdolony skurwysynu. Jesteś besżaninem, nie jesteś z pierdolonej Ul Qomy ani z pierdolonej Przekroczeniówki.

Nacjonaści demonstrowali arogancję, obojętność, złość, a często również chęć współpracy, wszyscy jednak zapewniali, że nic nie wiedzieli o czynie Yorjavica.

– Kurwa, nigdy nie słyszałem o tej cudzoziemce. Nie wspomniał o niej ani słowem. Była studentką? – zapytał jeden z przesłuchiwanym. – No wie pan, robimy to, co jest dobre dla Beszel. Nie musimy znać powodów. Ale... – Załamywał rozpaczliwie ręce, próbując się

wytłumaczyć tak, by nikogo nie oskarżyć. – Kurwa, jesteście żołnierzami. Tak samo jak wy. Walczymy dla Beszel. Jeśli usłyszymy, że trzeba coś zrobić, jeśli wydaje się nam polecenia, bo na przykład trzeba kogoś ostrzec, czerwonych, unifów, zdrajców, ulqoman albo pierdolonych przydupasów Przekroczeniówki czy kogoś w tym rodzaju, i trzeba coś zrobić, to wszystko w porządku, wie pan, jak to jest. Nie zadajemy pytań, tylko robimy, co trzeba. Przynajmniej na ogół. Ale nie wiem, dlaczego ta Rodriguez... Nie wierzę, żeby to zrobił, a jeśli rzeczywiście tak było, nie... – Wykrzywił twarz w gniewnym grymasie. – Nie mam pojęcia dlaczego.

– Oczywiście mają kontakty w wysoko postawionych kręgach – oznajmił przesłuchujący mnie mężczyzna. – Ale w tak trudnej do zrozumienia sytuacji musimy wziąć pod uwagę ewentualność, że Yorjavic mógł wcale nie być Pierwszym Obywatelem. A przynajmniej nie tylko. Mógł reprezentować w ich szeregach jakąś bardziej tajną organizację.

– Albo raczej tajne miejsce – zauważyłem. – Myślałem, że obserwujecie wszystko.

– Nikt nie przekroczył. – Położył przede mną swoje papiery. – To są wyniki przeszukania mieszkania Yorjavica przeprowadzonego przez beszańską *policzai*. Nic nie wiąże go z niczym w rodzaju Orciny. Jutro wyjdziemy wcześniej rano.

– Skąd zdobyliście to wszystko? – zapytałem, gdy on i jego towarzysze wstali. W odpowiedzi wlepił tylko we mnie nieruchome, pogardliwe spojrzenie, a potem wyszedł.

* * *

Wrócił po krótkiej nocy i tym razem byłem gotowy na spotkanie.

Pomachałem papierami.

– Zakładając, że moi koledzy wykonali dobrą robotę, nie ma tu nic ciekawego. Kilka opłat, napływających od czasu do czasu, ale sumy nie były zbyt wielkie. To mogło być cokolwiek. Parę lat temu zdał egzamin i mógł przechodzić przez granicę. To nic nadzwyczajnego, choć biorąc pod uwagę jego poglądy... – Wzruszyłem ramionami. – Prenumeraty, książki na półkach, znajomi, przebieg służby wojskowej, kryminalna przeszłość, miejsca, w których można go było spotkać, wszystko to sugeruje, że był po prostu zwyczajnym, agresywnym nacjonalistą.

– Przekroczeniówka go obserwowała. Podobnie jak wszystkich dysydentów. Nic nie świadczyło o niezwykłych kontaktach.

– Masz na myśli Orciny?

– Nic nie znaleźliśmy.

W końcu wyprowadził mnie z pokoju. Na korytarzu zobaczyłem taką samą obłazłą farbę, wytarty, bezbarwny dywan oraz serię drzwi. Usłyszałem czyjeś kroki i gdy dotarliśmy do schodów, minęła nas jakaś kobieta. Mój towarzysz pozdrowił ją krótko. Potem obok nas przeszedł mężczyzna, a w następnym korytarzu spotkaliśmy kilku kolejnych ludzi. Ich

ubrania byłyby legalne zarówno w Beszel, jak i w Ul Qomie.

Słyszałem rozmowy w obu językach, a także w trzecim – archaicznym albo mieszanym – który łączył ich cechy. Ktoś pisał na maszynie. Przyznaję, że nawet nie przyszło mi do głowy, by zaatakować towarzysza i spróbować ucieczki. Nie wątpiłem, że mnie obserwują.

Na ścianach mijanego przez nas gabinetu zobaczyłem tablice obwieszone notatkami oraz półki pełne aktówek. Jakaś kobieta wyciągała papier z drukarki. Dzwonił telefon.

– Chodź – ponaglił mnie mężczyzna. – Powiedziałeś, że wiesz, gdzie jest prawda.

Przed nami były dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na zewnątrz. Wyszliśmy, a gdy padło na mnie światło słońca, uświadomiłem sobie, że nie wiem, w którym mieście się znajdujemy.

* * *

Gdy minęła przeplotowa panika, zrozumiałem, że z pewnością jesteśmy w Ul Qomie, bo tam właśnie leżał nasz cel. Ruszyłem ulicą za swym strażnikiem.

Oddychałem ciężko. Ranek był wietrzny i hałaśliwy. Niebo przesłaniały chmury, ale nie było deszczu. Westchnąłem, poczuwszy chłód. Ogarnęła mnie przyjemna dezorientacja spowodowana przez spowitych w płaszcze ulqoman, warczące samochody, krzyki ulicznych sprzedawców ubrań, książek i żywności. Wszystko inne przeoczałem. Z góry dobiegał furkot lin. To jeden z ulqomańskich balonów kołysał się na wietrze.

– Nie muszę ci mówić, żebyś nie próbował uciekać ani nie krzyczał – odezwał się mężczyzna. – Wiesz, że mogę cię powstrzymać. I wiesz również, że nie ja jeden cię obserwuję. Jesteś w rękach Przekroczeniówki. Mów mi Ashil.

– Wiesz, jak mam na imię.

– Kiedy jesteś ze mną, nazywasz się Tye.

Tye, podobnie jak Ashil, nie jest typowo beszańskim albo ulqomańskim imieniem. Można je uznać za pochodzące z dowolnego z obu języków. Ashil przeprowadził mnie przez podwórze, gdzie fasady budynków zdobiły posągi i dzwony, a na ulicznych ekranach wyświetlano dane z giełdy. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Na pewno jesteś głodny – stwierdził.

– Mogę zaczekać.

Skierował mnie w boczną ulicę. Ona również była przeplotem. W ulqomańskich budkach stojących pod supermarketem sprzedawano oprogramowanie i bibeloty. Złapał mnie za ramię i pociągnął. Zawahałem się, ponieważ nie widziałem w okolicy nic do jedzenia, i opierałem mu się przez chwilę. Były tu kioski z kluskami i budki z pieczywem, ale znajdowały się w Beszel.

Starłem się je przeoczyć i nie czuć zapachu, ale nie ulegało wątpliwości, że właśnie ku nim zmierzamy.

– Chodź – polecił i przeprowadził mnie przez membranę między miastami. Uniosłem

nogę w Ul Qomie i postawiłem ją na ziemi w Beszel, gdzie czekało śniadanie.

Za nami stała ulqomanka z malinowymi włosami ostrzyżonymi na punka, sprzedająca kody odblokowujące do komórek. Spojrzała na nas z zaskoczeniem przechodzącym w konsternację. Potem przeoczyła nas pośpiesznie, gdy Ashil kupił jedzenie w Beszel.

Zapłacił markami beszańskimi, wsunął mi papierowy talerz w rękę i poprowadził mnie na drugą stronę ulicy, do supermarketu znajdującego się w Ul Qomie. Kupił za dinary opakowanie soku pomarańczowego i również mi je wręczył.

W jednej ręce trzymałem talerz, a w drugiej sok. Ashil powiódł mnie na środek przepłotowej ulicy.

Mój wzrok pogrążył się w chaosie. Czułem się, jakbym oglądał film Hitchcocka, z nagle zmieniającymi się ujęciami i iluzją głębi. Ulica wydłużała się, a punkt skupienia wzroku zmieniał. Wszystko, co próbowałem przeoczyć, zbliżało się nagle do mnie.

Z Beszel dobiegły mnie dźwięki i zapachy, bicie zegarów na wieżach, metaliczny stukot i zgrzyt tramwajów, odór kominowego dymu i inne znajome zapachy. Wszystko to mieszało się z ulqomańskim aromatem korzeni i krzykami po illitańsku, warkotem helikoptera *militysi* oraz warczeniem niemieckich samochodów. Barwy ulqomańskiego światła i plastikowych okien nie tłumili już ochrowej barwy kamiennych fasad sąsiedniego miasta, które było moją ojczyzną.

– Gdzie jesteś? – zapytał Ashil, tak cicho, że tylko ja mogłem go usłyszeć.

– Nie...

– Jesteś w Beszel czy w Ul Qomie?

– Ani tu, ani tu. Jestem w Przekroczeniu.

– A ja jestem tu z tobą. – Ruszyliśmy przez przepłotowy, poranny tłum. – W Przekroczeniu. Nikt nie wie, czy nas widzi, czy przeocza. Bez obaw. To nieprawda, że nie jesteś w żadnym z miast. Jesteś w obydwu. – Stuknął mnie palcem w pierś. – Oddychaj.

* * *

Pojechaliśmy ulqomańskim metrem. Siedziałem absolutnie nieruchomo, jakby resztki Beszel przylegały do mnie niczym pajęczyna i mogły przstraszyć innych pasażerów. Potem wysiedliśmy i wsiedliśmy do beszańskiego tramwaju. Tam poczułem się lepiej, jakbym wrócił do domu. Następnie ruszyliśmy na piechotę, wędrując przez oba miasta jednocześnie. Beszańskie poczucie swojskości ustąpiło miejsca zakrojonej na większą skalę niezwykłości. Zatrzymaliśmy się przed stalowo-szklanym frontonem Ulqomańskiej Biblioteki Uniwersyteckiej.

– Co byś zrobił, gdybym teraz spróbował uciec? – zapytałem.

Ashil nie odpowiedział. Wyjął pozbawiony znaków skórzany futerał i pokazał strażnikowi odznakę Przekroczeniówki. Mężczyzna gapił się na nią przez parę sekund, a

potem wyprostował się nagle.

– Mój Boże – rzekł. Był imigrantem, sądząc po akcencie, z Turcji, ale spędził tu już wystarczająco długi czas, by zrozumieć, co widzi. – W czym...

Ashil kazał mu gestem wracać na krzesło i wszedł do środka.

Biblioteka była nowsza od beszańskiej.

– Nie będzie sygnatury – zauważył Ashil.

– W tym właśnie rzecz – odparłem. Sprawdziliśmy plan budynku. Dzieła traktujące o historii Beszel i Ul Qomy starannie oddzielono od siebie, ale ulokowano w sąsiedztwie, na trzecim piętrze. Siedzący w boksach studenci spoglądali na przechodzącego obok Ashila. Otaczała go aura autorytetu, przywodząca na myśl rodziców albo wykładowców. Wielu książek, które tu widzieliśmy, nie przetłumaczono. Dostępne były tylko angielskie albo francuskie oryginały. *Tajemnice epoki poprzedników czy Literalny litoral. Beszel, Ul Qoma i nadmorska semiotyka*. Poświęciliśmy na poszukiwania kilkanaście minut. Było tu mnóstwo półek. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem – na przedostatniej półce od góry, w trzecim rzędzie od głównego przejścia. Odepchnąłem na bok zaskoczonego studenta, jakbym to ja reprezentował tu władzę, i sięgnąłem po książkę wyróżniającą się tym, że jej grzbietu nie zdobił symbol kategorii. – Mam ją. – To było to samo wydanie, które czytałem. Psychodeliczne ilustracje symbolizujące otwarcie drzwi percepcji, długowłosa mężczyzna idący ulicą, przy której stały domy w dwóch wyraźnie różnych, i całkowicie zmyślonych, stylach architektonicznych, a w cieniach kryły się obserwujące wszystko oczy. Otworzyłem książkę przed nosem Ashila. *Między miastem a miastem*. Egzemplarz był mocno wyczytany. – Jeśli to wszystko jest prawdą, obserwują nas nawet w tej chwili – powiedziałem cicho, wskazując na jedną z par oczu na okładce.

Przerzuciłem strony. Większość z nich pokrywały maleńkie notatki: czerwone, czarne i niebieskie. Mahalia pisała bardzo drobnymi literkami, a jej gromadzące się przez lata notatki przypominały splątane włosy. Obejrzałem się za siebie i Ashil zrobił to samo. Nikogo tam nie było.

NIE – przeczytaliśmy w jej zapiskach. NIEPRAWDA i CZYŻBY? C.F. HARRIS I IN., a potem OBŁĘD! SZALEŃSTWO!!! i inne tego typu uwagi. Ashil wyjął mi książkę z rąk.

– Mahalia rozumiała Orciny lepiej niż ktokolwiek inny – stwierdziłem. – I tu właśnie ukryła prawdę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Oboje próbują się dowiedzieć, co się z tobą stało – oznajmił Ashil. – Corwi i Dhatt.

– I co im powiedzieliście?

Obrzucił mnie znaczącym spojrzeniem. „Nie rozmawiamy z nimi”. Wieczorem przyniósł mi kolorowe odbitki wszystkich stron oraz okładek egzemplarza *Między miastem a miastem* z uwagami Mahalii. To był jej notatnik. Choć wymagało to sporego wysiłku i skupienia, byłam w stanie prześledzić jej rozumowanie na każdej z zabazgranych stron.

Wieczorem Ashil zaprowadził mnie na spacer po obu miastach. Bizantyńskie łuki i zakrętasy Ul Qomy sąsiadowały ze środkowoeuropejskimi, średniowiecznymi budynkami z cegły, typowymi dla Beszel, z ich płaskorzeźbami przedstawiającymi kobiety w chustach na głowach i bombardierów. Woń beszańskich gotowanych posiłków i razowego chleba mieszała się z gorącymi zapachami Ul Qomy, jej barwne światła i ubiory odbijały się od szarobazaltowego tła drugiego miasta. Słyszałem jednocześnie urywane, pełne zredukowanych samogłosek dźwięki i gardłowe tony przywodzące na myśl odgłosy połykania. Nie miałem już wrażenia, że jestem jednocześnie i w Beszel, i w Ul Qomie. Znajdowałem się w trzecim miejscu, które było nigdzie, a zarazem i tu, i tam. W Przekroczeniu.

Wszyscy – i w Beszel, i w Ul Qomie – sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Po wędrówce przez przepłotowe miasta wróciliśmy nie do gmachu, w którym się obudziłem – zdążyłem się już zorientować, że znajduje się on przy Rusai Bey w Ul Qomie albo przy TushasProspekta w Beszel – ale do innego, umiarkowanie eleganckiego domu z budką konsjerża przy wejściu, położonego niezbyt daleko od głównej komendy. Ulokowane na najwyższym piętrze pokoje z pewnością rozciągały się na sąsiednie budynki. Kręciło się tam wielu ludzi z Przekroczeniówki. Widziałem pełno anonimowo wyglądających sypialni, kuchni, gabinetów, staroświeckich komputerów i zamkniętych szafek, a także małomównych mężczyzn i kobiet.

Gdy dwa miasta zrosły się ze sobą, pojawiły się między nimi miejsca, których żadna ze stron nie uważała za swoje albo które były budzącymi kontrowersje *dissensi*. W nich właśnie żyła Przekroczeniówka.

– A co, jeśli ktoś się tu włamie? Czy to się nie zdarza?

– Od czasu do czasu.

– I..

– Włamywacze są w Przekroczeniu i należą do nas.

Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zajętych, a podczas rozmów używali na przemian wszystkich trzech języków – beszańskiego, illitańskiego i swego mieszanego narzecza. Ashil zaprowadził mnie do bezosobowej sypialni. W oknach były kraty, z pewnością gdzieś ukryto też kamerę. Przy wejściu była mała toaleta. Ashil nie wyszedł. Dołączyło do nas kilka innych osób.

– Popatrzcie na siebie – zacząłem. – Jesteście dowodem na to, że to wszystko może być prawdą.

Międzymiejski charakter Orciny, sprawiający, że większości obywateli Beszel i Ul Qomy wydawało się ono absurdem, był czymś nie tylko możliwym, lecz również nieuniknionym. Dlaczego Przekroczeniówka nie miałaby uwierzyć, że w tych wąskich lukach kwitnie życie? Ich niepokój sugerował mi raczej: „Nigdy ich nie zauważyliśmy”, a to była zupełnie inna sprawa.

– To niemożliwe – sprzeciwił się Ashil.

– Zapytaj swoich zwierzchników. Tych, którzy mają władzę. Nie wiem kogo. – Jakie inne ośrodki władzy, wyższe lub niższe, istniały w Przekroczeniówce? – Wiesz, że ktoś nas obserwuje. A przynajmniej obserwował Mahalię, Yolandę i Bowdena.

– Nie ma żadnych dowodów łączących zabójcę z podobnymi sprawami – odezwał się po illitańsku jeden z pozostałych.

– W porządku. – Wzruszyłem ramionami. – A więc to był przypadkowy, bardzo fartowny prawicowy bojówkarz. – Mówiłem po beszańsku. – Jeśli tak uważacie. A może myślicie, że winni są wchodzić? – Żadne z nich nie zaprzeczyło istnieniu legendarnych międzymiejskich uciekinierów. – Wykorzystali Mahalię, a kiedy przestała im być potrzebna, zabili ją. Zamordowali też Yolandę, celowo wybierając sposób, który uniemożliwił wam ich ściganie. To sugeruje, że ze wszystkiego w Beszel, Ul Qomie, czy gdziekolwiek indziej, najbardziej boją się Przekroczeniówki.

– Ale – kobieta wskazała na mnie palcem – popatrz, co sam zrobiłeś.

– Przekroczyłem? – To otworzyło im drogę do ingerencji w tej tajemniczej wojnie. – Tak. Co wiedziała Mahalia? Ustaliła coś na temat ich planów. Dlatego ją zabili.

Przez okno padał słaby blask nocnych świateł Beszel i Ul Qomy. Moich złowrogich słów słuchała coraz większa liczba ludzi z Przekroczeniówki. Ich twarze kryły się w mroku jak oblicza sów.

Zamknęli mnie na noc w pokoju. Zająłem się czytaniem notatek Mahalii. Potrafiłem zauważyć kolejne fazy, choć chronologia nie odpowiadała kolejności stron. Wszędzie nowsze zapiski pokrywały starsze, tworząc palimpsest ewoluujących interpretacji. Musiałem stać się archeologiem.

We wczesnym okresie, w dolnych warstwach zapisków, pismo Mahalii było staranniejsze, a notatki dłuższe i bardziej wygładzone. Zawierały też więcej odnośników do tekstów innych autorów oraz do jej własnych esejów. Specyficzny język Mahalii i używane przez nią nieortodoksyjne skróty utrudniały mi zadanie. Studiowałem stronę po stronie, próbując odczytać i przetłumaczyć jej wczesne myśli. Na pierwszy plan wysuwał się w nich gniew.

Czułem, że nad nocnymi ulicami unosi się coś nieokreślonego. Chciałem pogadać ze znajomymi z Beszel albo z Ul Qomy, ale mogłem tylko wyglądać przez okno.

Nie wiem, czy Ashil rozmawiał z jakimiś ukrywającymi się w trzewiach Przekroczeniówki zwierzchnikami, ale rano wrócił sam i zastał mnie nadal ślęczącego nad notatkami. Poszliśmy do pokoju na drugim końcu korytarza. Nasunęła mi się myśl o ucieczce. Nie widziałem, by ktoś nas obserwował. Z pewnością jednak by mnie powstrzymali. A nawet gdybym zdołał się wymknąć, dokąd mógłby się udać ścigany, międzymiejski zbieg?

W ciasnym pokoiku było kilkanaście osób. Ludzie z Przekroczeniówki stali albo siedzieli niepewnie na skraju biurek, rozmawiając cicho w dwóch albo w trzech językach. Najwyraźniej trwała dyskusja. Dlaczego mi to pokazano?

– ...Gosharian mówi, że nie, dzwonił przed chwilą...

– A co z SusurStrąsz? Czy nie mówiono...

– Tak, ale nikogo nie zgubiliśmy.

To była narada kryzysowa. Ludzie mruczeli coś do telefonów, pośpiesznie sprawdzali wykazy.

– Zaczęło się – poinformował mnie Ashil.

Do pokoju schodzili się wciąż nowi ludzie.

– I co teraz? – zapytała młoda kobieta mająca na głowie chustę noszoną przez beszańskie mężatki z tradycjonalistycznych rodzin. Zwracała się do mnie: więźnia, skazańca, konsultanta. Pamiętałem ją z wczorajszego wieczoru. W pokoju zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie. – Opowiedz mi jeszcze raz o tym, co spotkało Mahalię.

– Próbujecie wytropić Orciny? – zapytałem. Nie potrafiłem jej nic zasugerować, choć miałem wrażenie, że coś jest już na wyciągnięcie ręki.

Wznowili rozmowę, posługując się skrótami i slangiem, których nie rozumiałem, widziałem jednak, że toczą debatę i próbowałem pojąć, o co im chodzi – kwestie strategii albo wyboru kursu. Każde z nich od czasu do czasu szeptało coś, co brzmiało jak ostateczne rozstrzygnięcie sprawy, a potem przerywało na chwilę, unosiło rękę albo jej nie unosiło i rozglądało się, by policzyć głosy.

– Musimy zrozumieć, z czym mamy do czynienia – odezwał się Ashil. – Co jesteście gotowi zrobić, by dowiedzieć się tego, co wiedziała Mahalia? – Jego towarzysze robili się coraz bardziej podekscytowani. Przerywali sobie nawzajem. Przypomniałem sobie, że Jaris i Yolanda mówili, że pod koniec Mahalia była wściekła. Wyprostowałem się gwałtownie na

krześle. – Co się stało? – spytał mnie.

– Musimy pojechać na wykopaliska.

Przyjrzał mi się z uwagą.

– Wybiorę się tam z Tyem – oznajmił. – Kto za?

Trzy czwarte obecnych uniosło na chwilę ręce.

– Już powiedziałam, co o nim sędzę – sprzeciwiła się kobieta w chustce, która nie poparła wniosku.

– Słyszałem – odparł Ashil. – Ale...

Zatoczył krąg palcem, wskazując na cały pokój. Przegrała głosowanie.

Wyszedłem z Ashilem. Nadal odnosiłem wrażenie, że na ulicach czai się aura groźby.

– Czujesz to? – zapytałem. Skinął głową. – Muszę... Czy mogę zadzwonić do Dhatta?

– Nie. Nadal jest na zwolnieniu. A jeśli go zobaczysz...

– To co wtedy?

– Jesteś w Przekroczeniu. Lepiej będzie dla niego, jeśli zostawisz go w spokoju. Zobaczysz wielu ludzi, których znasz. Nie stawiaj ich w trudnej sytuacji. Muszą wiedzieć, gdzie się znajdujesz.

– Bowden...

– Obserwuje go *militasya*. Dla jego bezpieczeństwa. Nikt w Beszel ani w Ul Qomie nie potrafi odkryć żadnego związku między nim a Yorjavicem. Ktokolwiek próbował go zabić...

– Nadal uważamy, że to nie było Orciny? Że Orciny nie istnieje?

– ...może spróbować znowu. Przywódców Prawdziwych Obywateli przesłuchała *policzai*, ale jeśli nawet Yorj i grupa innych członków organizacji utworzyli jakąś tajną komórkę, oni najwyraźniej nic o tym nie wiedzą. Są wściekli z tego powodu. Widziałeś film.

– Gdzie jesteśmy? Którędy do wykopalisk?

* * *

Ashil zawiózł nas tam, korzystając z różnych środków transportu w serii zdumiewających przekroczeń. Przedzieraliśmy się przez dwa miasta, zostawiając za sobą przekroczeniowy tunel w kształcie naszej trasy. Zastanawiałem się, gdzie ma schowaną broń. Strażnik przy bramie Bol Ye'an poznał mnie i uśmiechnął się, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. Być może słyszał o moim zniknięciu.

– Nie będziemy zwracać się do uczonych ani przesłuchiwać studentów – oznajmił Ashil.

– Musisz zrozumieć, że przybyliśmy tu zbadać okoliczności popełnionego przez ciebie przekroczenia.

Byłem policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie własnej zbrodni.

– Byłoby łatwiej, gdybyśmy mogli porozmawiać z profesorem Nancy.

– Żadnych rozmów z naukowcami ani studentami. Zaczynajmy. Wie pan, kim jestem? –

zapytał strażnika.

Weszliśmy do gabinetu Buidzego. Mężczyzna stał zwrócony plecami do ściany, gapiąc się na Ashila z potężnym, czystym strachem, na mnie zaś ze strachem mieszającym się z oszołomieniem. Łatwo było odczytać z twarzy jego myśli. „Czy mogę wspomnieć o tym, o czym mówiliśmy wcześniej? Kim on właściwie jest?”. Ashil zaprowadził mnie w głąb pokoju i obaj stanęliśmy w plamie cienia.

– Ja nie przekroczyłem – raz po raz powtarzał szeptem Buidze.

– Domaga się pan dochodzenia? – zapytał Ashil.

– Pana zadaniem jest powstrzymanie przemytu – stwierdziłem. Buidze skinął głową. Kim byłem? Żaden z nas tego nie wiedział. – I jak pan sobie z tym radzi?

– Święte Światło... To nonsens. Gdyby któreś z tych dzieciaków chciało ukraść jakieś znalezisko, musiałyby schować je do kieszeni zaraz po wykopaniu, nim jeszcze zostanie skatalogowane, a to niemożliwe, bo przed opuszczeniem wykopalisk wszystkich poddaje się rewizji. Zresztą nikt nie mógłby sprzedać takich obiektów. Jak już mówiłem, studenci łążą po terenie i może się zdarzyć, że przekraczają, stojąc nieruchomo. Cóż można na to poradzić? Nie sposób niczego im udowodnić. To jeszcze nie znaczy, że są złodziejami.

– Mahalia powiedziała Yolandzie, że mogą nimi być, nie wiedząc o tym – poinformowałem Ashila. – Pod sam koniec. – Co zginęło? – zapytałem Buidzego.

– Nic! – Zaprowadził nas do magazynu artefaktów. Pragnął być pomocny tak bardzo, że aż się potykał. Po drodze zauważyło nas dwoje studentów, których pamiętałem. Zatrzymali się nagle, to było coś w kroku Ashila, który starałem się naśladować, i cofnęli pośpiesznie. W pomieszczeniu stały szafki, w których przechowywano wykopane z ziemi i oczyszczone znaleziska. Szuflady wypełnione niewiarygodną różnorodnością odpadków z epoki poprzedników, cudownymi i uparcie niepojętymi fragmentami butelek, modeli układu słonecznego i kamiennych toporów oraz skrawkami pergaminu. – Gdy ludzie wracają z wykopalisk, dyżurny pilnuje, by schowali wszystko do szafek, a potem zostawili klucz. Nikt nie opuszcza terenu bez przeszukania. Nie zdarza się, żeby ktoś protestował z tego powodu. Wszyscy wiedzą, że tak już jest.

Skinąłem na Buidzego, każąc mu otworzyć szafkę, a potem przyjrzałem się schowanej wewnątrz kolekcji. Każdy z obiektów spoczywał w odrębnym polistyrenowym przedziale szuflady. Górnych szuflad jeszcze nie wypełniono. Dolne były pełne. Niektóre z bardziej kruchych znalezisk owinięto w bezkłaczkową tkaninę. Otwierałem kolejne szuflady, przyglądając się ponumerowanym przedmiotom. Ashil zatrzymał się obok mnie i zajrzał do ostatniej szuflady, jakby była filizanką, a artefakty liśćmi herbaty, z których mógł coś wywróżyć.

– Kto przechowuje klucze nocą?

– Hm, to zależy. – Buidze bał się nas coraz mniej, ale nie sądziłem, by miał kłamać. – Wszystko jedno. To nieważne. Wszyscy czasem się tym zajmują. Ten, kto zostaje dłużej w

pracy. Mamy grafik, ale oni zawsze go ignorują.

– A po oddaniu klucza strażnikom wychodzą?

– Tak.

– Natychmiast?

– Ehe. Na ogół. Mogą jeszcze zajrzeć na chwilę do gabinetu, pospacerować po terenie, ale z reguły nie siedzą już długo.

– Po terenie?

– To jest park. Całkiem... ładny. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Ale nie ma innej drogi wyjścia. Kilka metrów dalej zaczyna się alteracja. Muszą wchodzić tędy i zawsze ktoś ich sprawdza.

– Kiedy Mahalia ostatnio oddawała klucz?

– Nie pamiętam. Robiła to bardzo często.

– Ostatnio...

– W noc swego zniknięcia – odpowiedział po chwili namysłu.

– Niech pan pokaże mi listę mówiącą, kto kiedy to robił.

– Nie da rady! Mamy grafik, ale, jak już mówiłem, oni ciągle się zamieniają. – Otworzyłem najniższe szuflady. Między maleńkimi, prymitywnymi figurkami, lingamami poprzedników i starożytnymi pipetkami leżały owinięte w tkaninę drobiazgi. Dotykałem ich delikatnie. – Te są stare – stwierdził Buidze, patrząc na mnie. – Wykopano je dawno temu.

– Widzę – odparłem, czytając etykiety. Wszystkie przedmioty pochodziły z wczesnego okresu wykopalisk. Odwróciłem się, usłyszawszy, że ktoś wchodzi do pokoju. To była profesor Nancy. Zatrzymała się gwałtownie, gapiąc się na Ashila i na mnie. Spędziła w Ul Qomie wiele lat i potrafiła dostrzegać drobne szczegóły. Zdała sobie sprawę, co widzi. – Dzień dobry, pani profesor – powiedziałem. Skinęła głową. Popatrzyła na Buidzego, a on na nią. Skinęła głową i wyszła. – Kiedy Mahalia opiekowała się kluczami, zawsze po ich oddaniu wybierała się na spacer, prawda? – zapytałem. Buidze wzruszył ramionami ze zdziwioną miną. – I często proponowała, że to zrobi, choć to nie była jej kolej. Na pewno częściej niż jeden raz.

Wszystkie małe artefakty spowito w tkaninę. Nie grzebałem w szufladzie, ale pomacałem jej tył, zapewne nie zachowując przepisanej ostrożności.

Buidze przestępował nerwowo z nogi na nogę, ale nie próbował mnie powstrzymać.

Z tyłu trzeciej szuflady od góry, gdzie spoczywały przedmioty wydobyte przed z górą rokiem, jedno z zawiniątek ustąpiło nagle pod moim palcem. Zamarłem w bezruchu.

– Powinno się wkładać rękawiczki – zaprotestował Buidze.

Odwinąłem tkaninę i znalazłem w środku owinięte w kawałek gazety drewnienko, pokryte farbą i naznaczone śladami śrub. Nie starożytna rzeźba, lecz całkowicie bezwartościowy kawałek drzewa.

Buidze wytrzeszczył oczy. Uniosłem znalezisko pod światło.

– Która to dynastia? – zapytałem.

– Przestań – skarcił mnie Ashil. Wyszliśmy razem z magazynu. Buidze podążył za nami.

– Jestem Mahalią – oznajmiłem. – Właśnie zamknąłem magazyn. Zgłosiłem się na ochotnika, że to zrobię, chociaż kolej przypadała dzisiaj na kogoś innego. A teraz chodźmy się przejść.

Wyszedłem na dwór, omijając wykop o starannie oznakowanych warstwach. Pracujący w nim studenci gapili się na nas ze zdziwieniem. Potem wyszliśmy na pokryte gruzami historii pustkowia. Za nimi znajdowała się brama, którą otwierała uniwersytecka legitymacja. Przed nami również się otworzyła, z uwagi na to, kim byliśmy i gdzie się znajdowaliśmy. Weszliśmy do parku. Tak blisko wykopalisk rosły w nim tylko chaszczce i nieliczne drzewa. Widzieliśmy garstkę ulqoman, ale żaden nie był za blisko. Między wykopaliskami a zasadniczą częścią znajdującego się w Ul Qomie parku nie było nieprzerwanej ulqomańskiej przestrzeni. Wciskało się w nią Beszel.

Na granicach bezdrzewnego obszaru widzieliśmy beszan siedzących na głazach albo przy przepłotowym stawie. Tylko niewielkie obszary parku leżały w Beszel – kilkumetrowy pas biegnący wzdłuż granicy drzew, przepłotowa wstęga ścieżek i krzaków oraz jednolita plama oddzielająca od siebie dwie ulqomańskie sekcje. Mapy jasno tłumaczyły przechodniom, dokąd wolno im chodzić. To właśnie tu, w przeplocie, studenci mogli się zatrzymywać skandalicznie blisko drugiego państwa, napawając się pornografią separacji.

– Przekroczeniówka obserwuje podobne pogranicza – zapewnił mnie Ashil. – Mamy kamery. Zauważylibyśmy każdego, kto pojawił się w Beszel, a nie przyszedł stamtąd.

Buidze trzymał się z tyłu. Ashil mówił cicho, by szef straży nas nie słyszał, tamten zaś starał się na nas nie patrzeć. Spacerowałem w kółko.

– Orciny... – zacząłem. W Ul Qomie nie było stąd innego wyjścia niż przez teren wykopalisk. – *Dissensi?* Absurd. Nie tak przekazywała towar. Oto, co robiła. Widziałeś *Wielką ucieczkę?* – Podeszedłem do skraju przepłotowej strefy, gdzie na odcinku kilkunastu metrów kończyła się Ul Qoma. Oczywiście byłem teraz w Przekroczeniu, i mogłem przejść do Beszel, jeśli chciałem. Zatrzymałem się jednak na granicy wspólnej przestrzeni, jakbym nadal przebywał w Ul Qomie. Podeszedłem do samej granicy pasa jednolitego Beszel, dzielącego nas od reszty ulqomańskiego parku. Upewniłem się, że Ashil mnie obserwuje, a potem udałem, że wkładam drewnienko do kieszeni, choć w rzeczywistości wsunąłem je pod spodnie. – Miała dziurę w kieszeni. – Postąpiłem kilka kroków naprzód, nie opuszczając przepłotu. Drewnienko zsunęło się wzdłuż mojej nogi, na szczęście nie zostawiając w niej drzazgi. Zatrzymałem się w chwili, gdy spadło na ziemię. Udając, że kontempluję horyzont, poruszyłem lekko nogą, by wbić przedmiot w ziemię i przykryć go zdeptaną trawą oraz piaskiem. Kiedy się oddaliłem, nie oglądając się za siebie, nikt nie znalazłby drewnienka, gdyby nie wiedział, gdzie go szukać. – A po jej odejściu zjawiał się ktoś przebywający w Beszel albo przynajmniej robiący takie wrażenie, by nie przyciągać niczyjej uwagi –

zaczęłam. – Zatrzymywał się i spoglądał na niebo. Grzebał butem w ziemi i coś z niej wykopywał. Potem siadał na chwilę na kamieniu, dotykał ziemi i chował coś do kieszeni. Mahalia nie zabierałaby najświeższych znalezisk, bo to mogłoby przyciągnąć uwagę. Ale zamykając magazyn, otwierała stare szuflady, tylko na króciutką chwilę.

– Jak wybierała łupy?

– Może przypadkowo. A może wydawano jej jakieś instrukcje. Strażnicy codziennie wszystkich przeszukiwali, czemu więc mieliby podejrzewać, że któreś z nich kradnie? Nigdy nie miała nic przy sobie. Zostawiała towar w przeplocie.

– A potem ktoś przychodził z Beszel i go zabierał. – Odwróciłem się i rozejrzałem uważnie na wszystkie strony. – Czujesz się obserwowany? – zapytał Ashil.

– A ty?

Zapadła bardzo długa cisza.

– Nie wiem.

– Orciny. – Znowu się odwróciłem. – Mam już tego dość. – Znieruchomiałem. – Naprawdę. – Raz jeszcze się odwróciłem. – To męczące.

– Co o tym myślisz? – zapytał Ashil.

Między drzewami rozszczękał się pies. Obaj unieśliśmy wzrok. Pies był w Beszel. Byłem gotowy go przeoczyć, ale oczywiście nie musiałem tego robić.

To był labrador. Przyjaźnie nastawione, czarne zwierzę węszące po krzakach przytruchtało do nas i Ashil wyciągnął do niego rękę. Właściciel wyszedł z krzaków i uśmiechnął się do nas, a potem poderwał się nagle i odwrócił wzrok z wyraźną dezorientacją. Przywołał psa do siebie. Zwierzę posłuchało, oglądając się na nas. Mężczyzna próbował nas przeoczyć, ale nie potrafił się powstrzymać przed zerknięciem na nas ukradkiem. Zapewne zastanawiał się, dlaczego zaryzykowaliśmy zabawę z psem w tak niestabilnej części miasta. Gdy Ashil spojrzał mu w oczy, beszanin odwrócił wzrok. Na pewno uświadomił sobie, kim jesteśmy i gdzie przebywamy.

* * *

Według katalogu fragment drzwi zastąpił mosiężną rurkę zawierającą przekładnie unieruchomione przez rdzę już przed wieloma stuleciami. Zniknęły jeszcze trzy artefakty. Wszystkie pochodziły z wczesnego okresu wykopalisk i owinięto je w tkaninę. Zastąpiono je zwitkiem papieru, kamykiem i nogą lalki. Miały to być pozostałości karabińczyka zawierające jakiś prymitywny mechanizm zegarowy, skorodowane urządzenie przypominające maleńki sekstans oraz garść gwoździ i śrub.

Przeszukaliśmy ziemię w pogranicznej strefie i znaleźliśmy dziury, stare otarcia oraz pozostałości zmarzniętych kwiatów, ale nigdzie nie było płytko zakopanych bezcennych skarbów z epoki poprzedników. Zabrano je stąd już dawno temu. Nikt nie mógłby ich

sprzedać.

– A więc to przekroczenie – stwierdziłem. – Bez względu na to, skąd przyszli domniemani orcinianie, zabrali towar z Ul Qomy i przenieśli go do Beszel. No cóż, może z ich punktu widzenia nigdy nie opuszczał Orciny, ale w oczach większości przeszedł z jednego miasta do drugiego, a to znaczy, że mamy do czynienia z przekroczeniem.

* * *

Kiedy wracaliśmy na kwaterę, Ashil do kogoś zadzwonił i gdy dotarliśmy na miejsce, ludzie z Przekroczeniówki kłócili się i głosowali w typowy dla siebie szybki, swobodny sposób. Tematy dyskusji były jednak dla mnie obce. Ludzie wchodzili do pokoju w środku niezwyklej debaty, rozmawiali przez komórki, przerywali raptownie mówiącym. Atmosfera była nerwowa, choć twarze zebranych jak zwykle nic nie wyrażały.

Z obu miast napłynęły raporty, wspierane mamrotaniem ludzi trzymających w rękach telefony i odbierających wiadomości od innych agentów.

– Wszyscy mają się na baczności – powtarzał Ashil. – Zaczęło się. – Bali się strzałów w głowę i przekraczających morderców. Liczba małych przekroczeń rosła. Interweniowali, gdzie tylko mogli, ale wiele przypadków umykało ich uwadze. Ktoś powiedział, że na ulqomańskich domach pojawia się graffiti w stylu sugerującym beszańskich artystów. – Nie było tak źle od czasu, hm... – odezwał się Ashil. Podczas dyskusji wyjaśniał mi wszystko szeptem: – To jest Raina. Jest w tej sprawie szczególnie nieprzejednana. Samun uważa, że samo wspomnienie o Orciny jest przyznaniem się do porażki. Byon jest przeciwnego zdania.

– Musimy być przygotowani – ciągnął mówca. – Coś odkryliśmy.

– To Mahalia coś odkryła – sprzeciwił się Ashil. – Nie my.

– W porządku, Mahalia. Kto wie, kiedy coś się wydarzy? Nie mamy pojęcia, co się dzieje. Wiemy, że zaczęła się wojna, ale nie widzimy przeciwnika.

– Nie mogę za tym nadażyć – oznajmiłem Ashilowi. Zaprowadził mnie z powrotem do pokoju. Kiedy się zorientowałem, że zamknął mnie w nim, zaprotestowałem głośno.

– Musisz pamiętać, dlaczego tu jesteś – odpowiedział mi przez drzwi.

Usiadłem na łóżku i zacząłem czytać notatki Mahalii w nowy sposób. Nie próbowałem podążać śladem danego długopisu, tonem charakterystycznym dla jakiegoś okresu dociekań, by odtworzyć tok jej myśli. Czytałem wszystkie notatki na każdej stronie, zmieniające się przez lata opinie zgromadzone w jednym miejscu. Próbowałem stać się archeologiem jej marginaliów, oddzielającym poszczególne warstwy. Każdą stronę traktowałem jako odrębną całość, ignorując chronologię, śledziłem spór, jaki Mahalia toczyła sama ze sobą.

Na wewnętrznej stronie tylnej okładki, pośród warstw gniewnego teoretyzowania, znalazłem wypisane wielkimi literami na dawniejszych mniejszych: ALE C.F. SHERMAN. Linia łączyła te słowa z napisem: KONTRARGUMENT ROSENA na przeciwległej stronie.

Znałem te nazwiska ze swych poprzednich dociekań. Cofnąłem się o kilka stron. Za pomocą tego samego długopisu Mahalia napisała tam swym późnym, pośpiesznym pismem NIE – ROSEN, VIJNIC.

Na dawniejszych notatkach wyrażających aprobatę pisała krytyczne uwagi, wsparte coraz liczniejszymi wykrzyknikami. NIE, a potem strzałka łącząca to słowo nie z oryginalnym, drukowanym tekstem, ale z wcześniejszymi, pełnymi entuzjazmu notatkami. Prowadziła dyskusję z samą sobą. DLACZEGO TEST? KTO?

– Hej – zawołałem. Nie wiedziałem, gdzie jest kamera. – Hej, Ashil. Sprowadźcie Ashila.
– Nie przestawałem krzyczeć, dopóki się nie zjawił. – Potrzebny mi dostęp do sieci.

Zaprowadził mnie do pokoju komputerowego. Stojąca tam maszyna wyglądała, jakby miała procesor 486 albo coś równie antycznego. Systemu operacyjnego nie znałem, to była jakaś domorośla imitacja Windowsa. Mimo to połączenie było bardzo szybkie. Oprócz nas dwóch w pomieszczeniu przebywało kilka innych osób. Ashil stał za moimi plecami i patrzył, co piszę. Obserwował moje poszukiwania, a z pewnością chciał się też upewnić, że nie wyślę nikomu e-maila.

– Możesz wejść wszędzie – zapewnił.

Miał rację. Aby wejść na płatne strony chronione hasłami, wystarczyło wcisnąć enter.

– Co to za połączenie? – zapytałem, choć nie liczyłem na odpowiedź. Wpisałem w wyszukiwarkę „Sherman, Rosen, Vijnic”. Na forum, które niedawno odwiedzałem, trójkę autorów poddawano miażdżącej krytyce. – Popatrz. – Znalazłem nazwy ich najważniejszych dzieł i przeczytałem recenzje na Amazonie, by w przybliżeniu zapoznać się z ich tezami. Zajęło mi to kilka minut. Potem wyprostowałem się na krześle. – Popatrz. Popatrz. Sherman, Rosen i Vijnic są totalnie znienawidzeni na fracturedcity.org. Dlaczego? Dlatego, że w swych książkach twierdzą, że Bowden pisał bzdury, a jego argumenty są do dupy.

– Sam to przyznaje.

– Nie w tym rzecz. Popatrz, Ashil. – Przerzuciłem strony *Między miastem a miastem*, pokazując mu wcześniejsze, a potem późniejsze notatki Mahalii. – Chodzi o to, że ona ich cytuje. Pod sam koniec. W swych ostatnich uwagach.

Pokazałem mu kolejne strony.

– A więc zmieniała zdanie – stwierdził wreszcie. Patrzyliśmy na siebie przez długi czas.

– Wspominała o pasożytach, mówiła, że się myliła i że przekonała się, iż jest złodziejką. Niech to szlag. Nie zabito jej dlatego, że była jedną z garstki cholernych wybranych znających straszliwą tajemnicę o istnieniu trzeciego miasta. Ani dlatego, że zorientowała się, że orcinianie ją okłamywali i wykorzystywali. Nie o takich kłamstwach mówiła. Mahalia zginęła, ponieważ w ogóle przestała wierzyć w Orciny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Choć błagałem i się wściekałem, Ashil i jego współpracownicy nie pozwolili mi zadzwonić do Corwi ani do Dhatta.

– Cholera, czemu nie? – pytałem. – Oni mogliby wykonać to zadanie. Dobra, w takim razie zróbcie, co tam właściwie robicie, i dowiedzcie się prawdy. Yorjavic nadal jest naszym najlepszym śladem. On albo jacyś jego towarzysze. Wiemy, że był w to zamieszany. Spróbujcie ustalić, w które dokładnie dni Mahalia zamykała magazyn, a potem sprawdźcie, czy można się dowiedzieć, gdzie się podziewał w te wieczory Yorjavic. Musimy sprawdzić, czy to on odbierał towar. *Policzai* obserwuje Prawdziwych Obywateli, może się czegoś dowiedzieć. Niewykluczone, że przywódcy organizacji sami nam wszystko powiedzą, jeśli poczują się zagrożeni. Sprawdźcie też, co robił Syedr. W sprawę jest zamieszany ktoś, kto ma dostęp do materiałów z Hali Łącznikowej.

– Nie zdołamy ustalić wszystkich dat. Słyszałeś, co mówił Buidze. W połowie przypadków brała klucze poza kolejnością.

– Pozwólcie mi zadzwonić do Corwi i Dhatta. Oni potrafią przefiltrować informacje.

– To ty jesteś w Przekroczeniu – odparł Ashil. – Nie zapominaj o tym. Nie możesz niczego żądać. Wszystko, co robimy, służy śledztwu w twojej sprawie. Rozumiesz?

Nie chcieli mi dać komputera do celi. Obserwowałem wschód słońca, patrzyłem, jak za oknem robi się jasno. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest już tak późno. W końcu udało mi się zasnąć. Obudziłem się, gdy do pokoju wrócił Ashil. Pociągnął łyk jakiegoś napoju – pierwszy raz widziałem, żeby coś jadł albo pił. Potarłem powieki. Był już dzień. Ashil nawet w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Rzucił mi na kolana papiery i wskazał na kawę oraz pigułkę czekające na stoliku.

– To wcale nie było takie trudne – oznajmił. – Kiedy oddają klucze, muszą składać podpis, więc mamy wszystkie daty. Tu masz oryginalne grafiki, a tu listy z podpisami. Jest tego mnóstwo. Nie ma mowy, byśmy mogli sprawdzić, co robił Yorjavic przez tyle wieczorów, nie wspominając już o Syedrze. To trwało ponad dwa lata.

– Chwileczkę. – Ułożyłem obie listy obok siebie. – Mniejsza o planowane daty. Nie zapominajmy, że Mahalia wykonywała rozkazy swego tajemniczego kontaktu. Musimy sprawdzić te dni, gdy nie musiała oddawać kluczy, ale to zrobiła. Nikt nie lubi tego zadania,

bo trzeba dłużej siedzieć w pracy, a czasami się zdarzało, że niespodziewanie mówiła wyznaczonemu na dany dzień studentowi: „Zrobię to za ciebie”. Wtedy właśnie otrzymywała wiadomość, że ma przekazać towar. Te daty są ważne. I nie ma ich znowu tak wiele.

Ashil skinął głową, licząc podejrzane dni.

– Cztery, pięć. A zniknęły trzy artefakty.

– To znaczy, że w dwóch przypadkach nic się nie wydarzyło. Może zamieniła się z kimś z legalnych powodów, bez żadnych instrukcji. Ale i tak musimy sprawdzić wszystkie pięć. – Ashil skinął głową. – Dowiedzieć się, co wtedy robili nacjonaliści.

– Jak mogli to zorganizować? I po co?

– Nie mam pojęcia.

– Zaczekaj tutaj.

– Łatwiej by było, gdybyś pozwolił mi pójść ze sobą. Czego się jeszcze boisz?

– Zaczekaj.

Znowu zamknął mnie w pokoju i choć nie krzychałem do kamery, łypałem ze złością na wszystkie ściany kolejno, żeby mnie zobaczyła.

– Nie – z niewidocznego głośnika dobiegł mnie głos Ashila. – Podczas dwóch z wymienionych nocy Yorjavic był pod obserwacją *policzai*. Nie zbliżał się do parku.

– A co z Syedrem? – zapytałem pustkę.

– Nic z tego. Ma alibi na cztery noce. To mógł być jakiś inny wysoko postawiony nacjonalista, ale sprawdziliśmy, co ma *policzai* na nich wszystkich i nie znaleźliśmy nic interesującego.

– Cholera. A jak wygląda to jego alibi?

– Wiemy, co wtedy robił. Nie zbliżał się do parku. Uczestniczył w spotkaniach, w te dni, a także w następne.

– W jakich spotkaniach?

– Jest członkiem Izby Handlowej. Wtedy były targi. – Umilkłem na dłuższą chwilę. – O co chodzi? – zapytał wreszcie Ashil.

– Przyjeliśmy błędne założenia. – Poruszyłem palcami w powietrzu, jakbym próbował coś złapać. – Dlatego, że to Yorjavic strzelał i wiedzieliśmy, że Mahalia wkurzyła nacjonalistów. Ale czy to nie bardzo dziwny zbieg okoliczności, że targi przypadały akurat w te wieczory, gdy Mahalia zgłaszała się na ochotniczkę do zamknięcia magazynu? – Znowu zapadła długa cisza. Przypomniałem sobie, jak długo musiałem czekać na spotkanie z Komisją Nadzoru z powodu podobnych targów. – Po imprezie urządza się przyjęcia dla gości, prawda?

– Gości?

– Dla korporacji. Tych, którym Beszel liże dupę. Po to właśnie organizuje się te targi. Użerają się na nich o kontrakty. Ashil, dowiedz się, kto był wtedy w mieście.

– W Izbie Handlowej...

– Sprawdź listę gości na każdym przyjęciu. Przejrzyj prasę z kilku następnych dni i dowiedz się, kto dostał kontrakty. Bierz się do roboty. – Po kilku minutach, spacerując wkoło po celi, odezwał się na głos: – Jezu Chryste! Ja pierdolę! Dlaczego po prostu mnie nie wypuścicie, do chuja? Jestem z *policzai*, do cholery, to moja robota. Wy świetnie sobie radzicie w charakterze straszaka, ale w tym jesteście do dupy.

– Popełniłeś przekroczenie – odezwał się Ashil, otwierając drzwi. – W tej właśnie sprawie prowadzimy śledztwo.

– Jasne. Czy czekałeś pod drzwiami, aż powiem coś, co zapewni ci dobre wejście?

– Tu masz listę. – Wziąłem od niego kartkę. Wypisano na niej nazwy firm: kanadyjskich, francuskich, włoskich, brytyjskich, a także paru mniejszych amerykańskich, obok rozmaitych nazw. Pięć dat podkreślono na czerwono. – Reszta uczestniczyła w jednej albo dwóch imprezach, ale te podkreślone były obecne za każdym razem, gdy Mahalia zamykała magazyn – oznajmił Ashil.

– ReddiTek produkuje oprogramowanie. Burnley... Nie wiem, czym się zajmują.

– To firma konsultancka.

– CorIntech to części elektroniczne. Co jest napisane obok nazwy?

Ashil spojrzał na kartkę.

– Człowiek kierujący ich delegacją nazywał się Gorse. Pracuje dla ich spółki macierzystej, Sear & Core. Przyjechał spotkać się z miejscowym szefem CorIntech-u, kierującym filią w Beszel. Obaj chodzili na przyjęcia z Nyisemu, Buricem i resztą członków izby.

– Cholera – mruknąłem. – Czy... Za którym razem był tutaj?

– Za każdym.

– Za każdym? Dyrektor spółki macierzystej? Sear & Core? Cholera...

– Powiedz mi – ustąpił wreszcie.

– Nacjonałści nie daliby rady dokonać czegoś takiego. Zaczekaj. – Zastanawiałem się chwilę. – Wiemy, że mają informatora w Hali Łącznikowej, ale... Co, do licha, Syedr mógł zrobić dla tych ludzi? Corwi ma rację. To bałwan. A co on mógł z tego mieć? – Potrząsnąłem głową. – Ashil, w jaki sposób to działa? Wyciągacie informacje z obu miast. Czy możecie... Jaki jest wasz status międzynarodowy? To znaczy Przekroczeniówki.

– Musimy przyjrzeć się tej firmie.

* * *

Ashil powiedział, że jest awatarem Przekroczeniówki i tam, gdzie doszło do przekroczenia, może zrobić wszystko. Mimo to musiałem się z nim męczyć bardzo długo. Stał się nagle sztywny i nieprzenikniony. Nie wiedziałem, co myśli, nie byłem nawet pewien, czy mnie słyszy. Nie sprzeciwiał się moim słowom ani nie zgadzał się z nimi. Stał spokojnie,

podczas gdy wygłaszałem swój tekst.

Mówiłem, że to prawda, iż nie mogą ich sprzedać, ale nie o to w tym chodzi. Wszyscy słyszeliśmy pogłoski o artefaktach poprzedników. O ich tajemniczych właściwościach, gwałcących prawa fizyki. Chcą sprawdzić, czy to prawda. Mają Mahalię, która je dla nich ukradnie, lecz w tym celu muszą ją przekonać, że nawiązała kontakt z Orciny. Ale ona ich przejrzała.

Corwi wspominała kiedyś o wycieczkach po Beszel, które musieli odbywać przedstawiciele korporacji. Kierowcy mogli ich zawieźć w dowolne jednolite albo przepłotowe miejsce, na przykład do ładnego parku, w którym mogliby rozprostować nogi.

Stał za tym dział badań i rozwoju Sear & Core.

Ashil gapił się na mnie ze zdumieniem.

– To nie ma sensu – oznajmił. – Kto inwestowałby pieniądze w absurdalne przesady?

– Czy rzeczywiście jesteś pewien, że nie ma w tym ziarna prawdy? A nawet jeśli masz rację, CIA zapłaciło miliony dolarów ludziom próbującym zabijać kozy przez patrzeć na nie. Cała ta sprawa kosztowała Sear & Core najwyżej kilka tysięcy. Nie muszą wierzyć w ani jedno słowo z tych legend. Mogą sobie pozwolić, by wydać takie sumy na sprawdzenie nieprawdopodobnych pogłosek, choćby tylko po to, by zaspokoić ciekawość.

Ashil wyjął komórkę i zaczął dzwonić do kolejnych ludzi. Była wczesna noc.

– Musimy urządzić konklawe – mówił. – Sprawa jest ważna. Tak, postaraj się. W zwyczajowym miejscu.

Wielokrotnie powtarzał te same słowa.

– Możecie coś zrobić? – zapytałem.

– Tak. Tak... Potrzebna będzie demonstracja siły. Siły Przekroczeniówki.

– To znaczy, że mi uwierzyłeś? Prawda, Ashil?

– Jak mogliby to zrobić? W jaki sposób ludzie z zewnątrz przekazywali wiadomość Mahalii?

– Nie mam pojęcia. To właśnie musimy sprawdzić. Przekupili paru miejscowych. Stąd pochodziły pieniądze napływające do Yorja.

To były niewielkie sumy.

– To niemożliwe, by stworzyli dla niej Orciny.

– Dyrektor całej korporacji nie przyjeżdżałby tu dla tej grupki obleśnych lizusów, a już zwłaszcza nie przy każdej okazji, gdy Mahalia zamykała magazyn. Daj spokój, gospodarka Beszel jest w opłakanym stanie. Robią nam łaskę przez sam fakt, że tu są. Musi istnieć jakiś związek...

– Och, zbadamy tę sprawę. Ale to nie są obywatele ani obywatele, Tye. Oni nie czują...

– Strachu – dokończyłem. Panicznego lęku przed Przekroczeniówką, odruchowego posłuszeństwa okazywanego przez wszystkich w Ul Qomie i Beszel.

– Nie reagują na nas odruchowo i jeśli mamy coś osiągnąć, musimy zademonstrować siłę.

Będziemy potrzebowali wielu ludzi, by nasza obecność dała się odczuć. A jeśli to wszystko prawda, będzie to oznaczało zamknięcie dużej firmy działającej w Beszel. Kryzys dotknie całego miasta. Skutki okażą się katastrofalne. Nikt nie będzie z tego zadowolony. Zdarzało się już, że miasto albo miasto spierały się z Przekroczeniówką, Tye. A nawet toczyły z nią wojny... – przerwał na chwilę, czekając, aż dotrą do mnie implikacje jego słów. – Nikt na tym nie skorzysta. Dlatego trzeba, byśmy silnie zaznaczyli swą obecność.

Przekroczeniówka musiała wszystkich zastraszyć. Rozumiałem to.

– Chodźmy – odezwałem się wreszcie. – Szybko.

Niestety, narada awatarów Przekroczeniówki przybywających ze swych posterunków, próba poskromienia chaosu za pomocą rozproszonego autorytetu, nie była zbyt skuteczna. Ludzie odpowiadali na telefony, zgadzali się albo nie zgadzali, mówili, że się stawiają albo nie, zapewniali, że wysłuchają Ashila. Tak przynajmniej wyglądało to w jego relacji.

– Ilu ludzi potrzebujecie? – zapytałem. – Na co czekacie?

– Mówiłem już, że musimy silnie zademonstrować swą obecność.

– Czujesz, co się dzieje? – zapytałem. – Co unosi się w powietrzu? – Trwało to przeszło dwie godziny. Pobudzony przez coś, co podali mi w posiłku albo napoju, chodziłem po pokoju, uskarżając się głośno, że mnie zamknięto. Do Ashila dzwoniło coraz więcej ludzi. Nie tylko ci, których zawiadomił. Wieści się rozeszły. Z korytarza dobiegały jakieś hałasy – szybkie kroki, głosy, krzyki i odpowiedzi na nie. – Co się dzieje?

Ashil słuchał telefonu, nie dźwięków słyszalnych za drzwiami.

– Nie – rzekł głosem, który niczego nie zdradzał. Powtarzał to słowo kilka razy, aż wreszcie przerwał połączenie i spojrzał na mnie. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że jego nieruchoma twarz wygląda jak unik. Musiał mi coś powiedzieć i nie wiedział, jak to zrobić.

– Coś się stało?

Na korytarzu krzyczano coraz głośniej. Wkrótce usłyszałem również głosy dobiegające z ulicy.

– Zderzenie.

– Samochodów?

– Autobusów. Dwóch autobusów.

– Przekroczyły?

Skinał głową.

– Są w Beszel. Złożyły się wpół na placu Finna. – To był wielki przeplotowy plac. – A potem uderzyły w mur w Ul Qomie. – Nie odzywałem się ani słowem. Każdy wypadek prowadzący do przekroczenia wymagał interwencji Przekroczeniówki. Grupa awatarów pojawiała się nagle, otaczała miejsce incydentu, określała parametry, wyprowadzała na zewnątrz niewinnych, zatrzymywała winnych i najszybciej jak tylko można przekazywała kontrolę policji z obu miast. Wypadek uliczny z pewnością nie powinien stać się powodem hałasów, jakie słyszałem. Musiało w tym być coś więcej. – To były autobusy wiozące

uchodźców do obozów. Wszyscy wydostali się na zewnątrz. Nie przeszli szkolenia i ciągle przekraczają. Wędrują między miastami, nie mając pojęcia, co robią.

Potrafiłem sobie wyobrazić panikę gapiów i przechodniów, nie wspominając już o niewinnych kierowcach z Beszel i Ul Qomy, którzy rozpaczliwie omijali zderzające się ze sobą pojazdy, z konieczności wjeżdżając na miejscowótórowy teren, nim zdołali odzyskać kontrolę nad pojazdem i wrócić do rodzinnego miasta. A potem opadły ich dziesiątki rannych, przerażonych intruzów, którzy wcale nie chcieli naruszać zasad, ale nie mieli wyboru. Nie znali języka i nie mogli poprosić o pomoc, wydobywali się z rozbitych autobusów, trzymając w ramionach płaczące dzieci, i przesączaali się przez granice. Zwracali się do ludzi, których zobaczyli, ślepi na niuanse narodowości – ubrania, kolory, włosy, pozy – i ciągle przechodzili z jednego państwa do drugiego.

– Zarządziliśmy blokadę – oznajmił Ashil. – Całkowitą. Oczyszcziliśmy ulice. Przekroczeniówka pozostanie na nich, dopóki to się nie skończy.

– Słucham?

Stan przekroczeniowy. Nie ogłaszano go za mojego życia. Zakaz wstępu do obu miast i przechodzenia między nimi, absolutne wymuszanie wszystkich zasad dotyczących przekraczania. Policja w obu miastach była gotowa do działań zgodnych z poleceniami Przekroczeniówki przez cały czas zamknięcia granic. To właśnie były dźwięki, które słyszałem, mechaniczne głosy przebijające się przez zawodzenie syren. Głośniki ogłaszające w obu językach stan przekroczeniowy, nakazujące ludziom opuścić ulice.

– Z powodu wypadku autobusowego?

– Sprowokowano go celowo – wyjaśnił Ashil. – To była zasadzka. Unifikacjonistów. Kiedy nastąpił wypadek, nagle się od nich zaroilo. Zewsząd napływają meldunki o przekroczeniach.

Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

– Unifikacjoniści z którego miasta?

Mój głos ucichł stopniowo, gdy uświadomiłem sobie, jak brzmi odpowiedź.

– Z obu. Współpracują ze sobą. Nawet nie wiemy, czy to beszańscy unifi zatrzymali autobusy. – Oczywiście, że ze sobą współpracowali. Wiedzieliśmy o tym. Czy jednak nieliczne grupki utopijnych entuzjastów mogłyby dokonać czegoś takiego? Sprowokować całkowite załamanie porządku? – Są wszędzie w obu miastach. To ich powstanie. Chcą doprowadzić do zjednoczenia.

* * *

Ashil się wahał. To właśnie kazało mi mówić dalej – fakt, że siedział w pokoju wiele minut dłużej, niż było to konieczne. Sprawdzał zawartość kieszeni, przygotowując się do pełnienia obowiązków żołnierza. Wezwano wszystkie awatary Przekroczeniówki.

Spodziewano się go. Syreny nadal wyły, głosy nie milkły.

– Ashil, wysłuchaj mnie, na Boga. Wysłuchaj mnie. Myślisz, że to przypadek? Daj spokój, nie otwieraj tych drzwi. Kurwa, naprawdę wierzysz, że w chwili, gdy zaszliśmy tak daleko, gdy ustaliliśmy tak wiele faktów, nagle wybuchło powstanie? Ktoś nam to zrobił, Ashil. Żeby unieszkodliwić ciebie i całą Przekroczeniówkę. W jaki sposób się dowiedziałeś, które firmy były tu obecne, gdy Mahalia przekazywała towar?

Znieruchomiał.

– Jesteśmy Przekroczeniówką – odpowiedział po chwili. – Możemy zrobić wszystko, co potrzeba...

– Niech cię szlag, Ashil. Nie jestem jakimś oskarżonym, którego trzeba zastraszyć. Muszę się tego dowiedzieć. Jak zdobywacie informacje?

– Podśluchy. Informatorzy – ustąpił wreszcie i zerknął w stronę okna. Dobiegające zza niego hałasy z każdą chwilą stawały się głośniejsze. Zatrzymał się przy drzwiach, czekając, aż powiem coś więcej.

– Agenci albo systemy podsłuchowe ulokowane w gabinetach w Beszel i w Ul Qomie mówią wam wszystko, co chcecie wiedzieć, tak? Ktoś sprawdzał bazy danych w poszukiwaniu informacji o poczynaniach członków Beszańskiej Izby Handlowej. To przyciągnęło czyjąś uwagę, Ashil. Kazaliście komuś ściągnąć informacje i ktoś inny to zauważył. To wystarczający dowód na to, że coś odkryliśmy. Znasz unifów. Oni są niczym. I w Beszel, i w Ul Qomie, wszystko jedno. To tylko maleńka garstka idealistycznych smarkaczy. Jest wśród nich więcej agentów niż agitatorów. Ktoś wydał im rozkaz. Ktoś to zorganizował, ponieważ zorientował się, że go tropimy. Ale chwileczkę – ciągnąłem. – Ta blokada... Ona nie ogranicza się do Hali Łącznikowej, tak? Wszystkie granice są zamknięte. Lotniska również, mam rację?

– BeszAir i Illitania mają zakaz lotów. Lotniska nie przyjmują zagranicznych samolotów.

– A co z prywatnymi lotami?

– Instrukcje są takie same, ale nie mamy nad nimi władzy, jak nad państwowymi liniami, więc to trudniejsze...

– W tym właśnie rzecz. Nie zdołacie ich powstrzymać na czas. Ktoś próbuje uciec. Musimy się dostać do budynku Sear & Core.

– Tam właśnie...

– Tam właśnie dzieją się najważniejsze rzeczy. To... – Wskazałem na okna. Słyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła, krzyki, dźwięki pędzących pojazdów, odgłosy walki. – To jest tylko zmyłka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Na ulicach mogliśmy obserwować śmiertelne konwulsje małej rewolucji, która umarła, nim zdążyła się narodzić, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Te ostatnie drgawki były jednak niebezpieczne i musieliśmy zachowywać się jak żołnierze. Godzina policyjna mogła nie wystarczyć, by zapanować nad paniką.

W obu miastach ludzie biegali bezładnie po ulicach, a głościki ostrzegały ich po beszańsku i illitańsku, że Przekroczeniówka ogłosiła blokadę. Wybijano okna. W ruchach niektórych biegnących postaci wyczuwało się raczej ekscytację niż przerażenie. To nie byli unifi. Byli za młodzi i zanadto niezorganizowani: rzucające kamieniami nastolatki popełniające najgroźniejsze występki w swoim życiu, drobne przekroczenia polegające na wybijaniu szyb w mieście, w którym nie mieszkały. Usłyszałem piskliwą syrenę ulqomańskiej straży pożarnej. Jej samochód przemknął obok nas, kierując się tam, gdzie nocne niebo rozświetliła luna. Kilka sekund po nim pojawił się drugi, beszański. Strażacy nadal starali się zachowywać podział. Ulqomańscy walczyli z ogniem po jednej stronie łączonego budynku, a beszańscy po drugiej.

Dzieciaki naprawdę powinny szybko zmiatać do domów. Przekroczeniówka była wszędzie. Nadal działała ukradkiem i większość ludzi chodzących ulicami o tak późnej porze ją przeoczała. Biegając, zauważyłem grupkę awatarów poruszających się w sposób mogący przypominać panikę mieszkańców Beszel i Ul Qomy, lecz zarazem nieco inaczej, bardziej celowo, jak skradające się ku ofierze drapieżniki – podobnie jak ja i Ashil. Mogłem ich zobaczyć dzięki niedawno zdobytej wprawie i oni również mnie widzieli.

Zauważyliśmy bandę unifów. Nawet po kilku dniach międzymiejskiego życia przeżyłem szok, widząc, że obie grupy biegają razem, a ich ubrania, pomimo internacjonalistycznych, punkowo-rockerskich kurtek oraz naszywek, wbrew woli posiadaczy jednoznacznie określają ich – dla ludzi uwrażliwionych na miejską semiotykę – jako pochodzących albo z Beszel, albo z Ul Qomy. Niemniej skupili się w jedną grupę, ciągnąc za sobą pas oddolnego Przekroczenia. Przechodzili od budynku do budynku, malując sprayem slogany w zręcznej kombinacji beszańskiego i illitańskiego. Filigranowe, szeryfowe pismo było dość łatwe do odczytania. Napisy w obu językach głosiły: RAZEM! JEDNOŚĆ!

Ashil wyciągnął broń, którą przygotował przed wyjściem. Nie przyjrzałem się jej

wówczas zbyt dokładnie.

– Nie mamy czasu... – zacząłem, ale z otaczających powstańców cieni nie tyle się wyłoniła, co skonkretyzowała grupa ludzi z Przekroczeniówki. – Jak to robicie? – zapytałem. Awatarów nie było zbyt wielu, ale zaatakowali przeciwnika bez obaw i za pomocą niezbyt spektakularnych, lecz bardzo brutalnych chwytów unieruchomili trzech unifów. Niektórzy z pozostałych stanęli do walki, ale Przekroczeniówka miała broń. Nie słyszałem strzałów. Dwóch unifów zważyło się na ziemię. – Jezu – mruknąłem.

Pobiegliśmy dalej.

Ashil wyjął kluczyki i szybkim, wprawnym ruchem otworzył drzwi przypadkowo wybranego samochodu.

– Wsiadaj. – Obejrzał się za siebie. – Przerwanie czynności życiowych odbyło się w niewidocznym miejscu. Przeniosą ich gdzie indziej. To sytuacja kryzysowa. Oba miasta są teraz w Przekroczeniu.

– Jezu...

– W obecnej sytuacji to nieuniknione. Robimy to tylko dla obrony miast i Przekroczeniówki.

– A co z uchodźcami?

– Istnieją inne metody.

Włączył silnik.

Po ulicach poruszało się niewiele samochodów. Odnosiłem wrażenie, że kłopoty zawsze są za rogiem. Widzieliśmy niewielkie grupki awatarów. Kilkakrotnie któryś nich wyłaniał się z chaosu i zdawało się, że spróbuje nas zatrzymać, ale za każdym razem Ashil tylko gapił się na niego albo pokazywał swą odznakę i bębnił palcami tajny kod, by potwierdzić swój status, i pozwalano nam ruszać w drogę.

Błagałem go, żeby zabrał więcej awatarów.

– Nie zgodzą się – odpowiedział. – Nie uwierz mi. Powinienem być z nimi.

– Nie rozumiem.

– Wszyscy są zajęci walką z kryzysem. Brak mi czasu, by ich przekonać.

Gdy to powiedział, stało się dla mnie absolutnie jasne, jak niewielu jest awatarów. Bardzo cienka linia dzieliła Przekroczeniówkę od zagłady. Prymitywna demokracja jej metodyki i decentralizacja sprawiająca, że każdy sam sobie wydawał rozkazy, sprawiały, że Ashil mógł wykonać tę misję, ponieważ przekonałem go o jej znaczeniu, ale kryzys spowodował, że byliśmy sami.

Ashil zmieniał pasy autostrady, przekraczając nadweryżone granice, by uniknąć ognisk anarchii. Na rogach stały *militysa* i *policzai*. Gdzeniegdzie z mroku wyłaniała się Przekroczeniówka. Jej poruszające się niesamowitym krokiem, który tak świetnie opanowały, awatary kazały miejscowym policjantom coś zrobić – zabrać zatrzymanego unifa albo usunąć ciało – po czym znowu zniknęły. Dwukrotnie widziałem, jak eskortowały przerażonych

mężczyzn i kobiety o północnoafrykańskim wyglądem, uchodźców, którzy stali się narzędziem służącym wywołaniu chaosu.

– To niemożliwe, nie mamy... – Ashil przerwał nagle, dotykając słuchawki w uchu. Napływały kolejne wiadomości.

Po tych wydarzeniach obozy wypełnią się unifikacjonistami. Wszystko było już rozstrzygnięte, ale unifi nie zaprzestawali prób zmobilizowania populacji, głęboko niechętniej ich celom. Być może wspomnienia o wspólnej akcji dodadzą sił tym spośród nich, którzy przetrwają dzisiejszą noc. Z pewnością czuli się oszołomieni tym, że mogą przekroczyć granicę i przywitać towarzyszy z sąsiedniego miasta, którzy nagle znaleźli się na tej samej ulicy, połączyć z nimi siły choćby tylko na krótką chwilę pośrodku nocy, pod nabazgranym na ścianie sloganem i wybitym oknem. Z pewnością wiedzieli już, że masy ich nie poparły, lecz mimo to nie wycofali się do swych miast. Jak mogliby teraz zawrócić? Honor, desperacja albo odwaga kazały im walczyć dalej.

– To niemożliwe – powtórzył Ashil.- Nie wyobrażam sobie, by dyrektor Sear & Core, jakiś cudzoziemiec, mógł to zorganizować... Straciliśmy... – Wysłuchał kolejnej wiadomości z twarzą bez wyrazu. – Straciliśmy awatary.

Wybuchła wojna, krwawa wojna między tymi, którzy chcieli zjednoczyć miasta, a siłami, których zadaniem było zachować ich odrębność.

Napis JEDNOŚĆ, stanowiący połowę sloganu, był widoczny na ścianie Hali Ungira, która była również Pałacem Sul Kibai, ale teraz stracił swój sens. Beszańskie dzielnice biznesowe nie mogły się równać ze swymi ulqomańskimi odpowiednikami. Siedziba firmy Sear & Core znajdowała się przy brzegu rzeki Colinin. To była jedna z nielicznych udanych prób ożywienia umierających nadrzecznych dzielnic Beszel. Jechaliśmy wzdłuż czarnej rzeki.

Obaj unieśliśmy wzrok, usłyszawszy warkot dobiegający z opróżnionego przez blokadę nieba. Helikopter był jedynym poruszającym się na nim obiektem. Jego potężne światła padły na nas z góry.

– To oni – stwierdziłem. – Spóźniliśmy się. – Helikopter nadlatywał jednak z zachodu, zmierzając ku brzegowi rzeki. Nie oddalał się od budynku, lecz zmierzał ku niemu. – Szybciej. – Nawet w tak pełnej napięcia sytuacji Ashil prowadził samochód z biegłością budzącą mój podziw. Przemknął po pogrążonym w mroku moście, skręcił w jednolitą, jednokierunkową ulicę znajdującą się w Beszel, przeciął przepłotowy plac i wjechał w kolejną ulicę, jednolicie ulqomańską. Wychylałem się przez okno, by obserwować helikopter, lądujący na dachu budynku niespełna kilometr przed nami. – Wylądował – poinformowałem Ashila. – Śpiesz się.

Na dachu znajdował się przebudowany magazyn, po obu jego stronach unosiły się zapory balonowe umieszczone nad ulqomańskimi budynkami. Na placu nie było nikogo, ale pomimo późnej pory w budynku Sear & Core paliły się światła, a w wejściu stali ochroniarze. Gdy weszliśmy do środka, ruszyli agresywnie w naszą stronę. W środku były marmurowe

posadzki i światło jarzeniówek, na ścianach niczym dzieła sztuki zawieszono loga S&C z nierdzewnej stali. Na stołach ustawionych przy sofach leżały czasopisma i przypominające je wyglądem korporacyjne sprawozdania.

– Kurwa, spływajcie stąd – zawołał mężczyzna, były beszański wojskowy, sięgając w stronę kabury. Ruszył ku nam ze swymi ludźmi, ale zaraz się zatrzymał. Zauważył, jak się porusza Ashil.

– Odsuńcie się – rozkazał ten, łypiąc spode łba na strażnika, by go zastraszyć. – Całe Beszel jest dzisiaj w Przekroczeniu. – Nie musiał pokazywać odznaki. Strażnicy się cofnęli. – Odblokujcie windę, dajcie mi klucze do lądowiska helikopterów i wycofajcie się. Nikt więcej z nami nie pojedzie.

Gdyby ochroniarze byli cudzoziemcami, gdyby przyjechali z rodzinnego kraju Sear & Core albo zostali zwerbowani w Europie lub w Ameryce Północnej, mogliby nie wykonać rozkazu. To jednak było Beszel i strażnicy byli miejscowi. Zrobili, co im kazano. W windzie Ashil wyciągnął broń, wielki pistolet nieznaney mi konstrukcji. Na jego lufę założono spektakularnie wyglądający tłumik. Zrobił użytek z klucza, który dali nam ochroniarze, i pojechał na samą górę.

* * *

Drzwi się otworzyły. Do środka wtargnął zimny powiew. Ujrzeliśmy przed sobą kopulaste dachy i anteny, a także sznury mocujące ulqomańskie zapory balonowe do dachów odległych o kilka przecznic biurowców o zwierciadlanych fasadach, wieże świątyni z obu miast, a tam, w mroku, za gąszczem zabezpieczających poręczy, lądowisko. Czekał na nim czarny helikopter. Jego śmigło obracało się bardzo powoli, niemal bezgłośnie. Zebrała się przed nim grupka ludzi.

Nie słyszeliśmy zbyt wiele poza warkotem silnika oraz dobiegającym z dołu wyciem syren towarzyszącym tłumieniu unifikacjonistycznych zamieszek. Stojący przy helikopterze mężczyźni nie usłyszeli naszych kroków. Zbliżyliśmy się ukradkiem, pochylając nisko głowy. Ashil prowadził mnie w stronę helikoptera. Mężczyzn było czterech. Dwaj byli potężnie zbudowani i mieli ogolone głowy. Wyglądali na ultranacjonalistów. Prawdziwych Obywateli wysłanych z tajną misją. Stali po obu stronach nieznanego mi faceta w garniturze oraz kogoś, kogo twarzy nie widziałem, bo był odwrócony. Wszyscy pograżyli się w ożywionej rozmowie.

Nic nie powiedziałem, ale jeden z nich nas zauważył. Wszyscy poderwali się nagle, zwracając się ku nam. Pilot helikoptera skierował na nas policyjny reflektor. Zebrani ludzie poruszyli się i zobaczyłem twarz ostatniego mężczyzny.

To był Mikhel Buric, socjaldemokrata, przedstawiciel opozycji w Izbie Handlowej.

Oślepiony przez blask reflektora, poczułem, że Ashil złapał mnie za rękę i pociągnął za

grubą, żelazną rurę wentylacyjną. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Czekałem na strzał, ale żaden nie padł.

– Buric – powiedziałem Ashilowi. – Buric. Wiedziałem, że Syedr nie byłby w stanie czegoś takiego zorganizować. – To on wszystkim kierował, on nawiązywał kontakty. Wiedział o poglądach Mahalii, widział ją podczas jej pierwszej wizyty w Beszel, gdy rozgniewała wszystkich na konferencji demonstracją młodzieńczej opozycyjności. Buric był pomysłodawcą. Znał prace Mahalii i wiedział, że pragnęła fikcyjnej historii, pociechy niesionej przez paranoję, względów człowieka ukrytego za zasłoną. Jako członek Izby Handlowej mógł jej to wszystko zapewnić. Znaleźć zbyt na to, co kradła na jego polecenie dla wymyślonemu Orcyny. – Kradziono tylko artefakty z przekładniami – zauważyłem. – W Sear & Core prowadzono nad nimi badania. To był eksperyment naukowy. – Jak wszyscy beszańscy politycy Buric miał swoich informatorów i zawiadomili go oni, że ktoś prowadzi dochodzenie w sprawie Sear & Core, że zbliżamy się do prawdy. Być może sądził, że wiemy więcej niż w rzeczywistości i byłby wstrząśnięty, gdyby usłyszał, jak niewiele się domyśliliśmy. Człowiek o jego pozycji mógł bez większego trudu wprowadzić policyjnych prowokatorów w szeregi biednych, głupich unifikacjonistów, by pokrzyżować szyki Przekroczeniówce i ułatwić sobie ucieczkę. – Są uzbrojeni?

Ashil zerknął na nich i skinął głową.

– Mikhel Buric? – zawołałem. – Buric? Dlaczego prawdziwi Obywatele towarzyszą liberalnemu sprzedawcy, takiemu jak ty? Wysyłasz na śmierć dobrych żołnierzy takich jak Yorj? Każesz zabijać studentki mogące wykryć twoje przekręty?

– Spływaj, Borlú – powiedział głosem, w którym nie słyszało się gniewu. – Wszyscy jesteśmy patriotami. Znają moją historię.

Do hałasów nocy dołączył warkot przyspieszającego obrotu silnika.

Ashil popatrzył na mnie i wyszedł na otwartą przestrzeń.

– Buric – oznajmił swym budzącym lęk głosem. Unosił pistolet nieruchomo przed sobą i szedł w stronę helikoptera, chowając się za bronią, jakby go prowadziła. – Odpowiadasz przed Przekroczeniówką. Pójdiesz ze mną.

Podążyłem za Ashilem, który zerknął na mężczyznę towarzyszącego politykowi.

– To Ian Croft, kierownik miejscowej filii CorIntech-u – poinformował Ashila Buric, krzyżując ramiona na piersi. – Jest tu gościem. Zwracaj się do mnie. I pierdol się.

Prawdziwi Obywatele wyjęli broń. Buric ruszył w stronę helikoptera.

– Nie ruszaj się z miejsca – ostrzegł go Ashil. – Cofnijcie się – zawołał do Pierwszych Obywateli. – Jestem z Przekroczeniówki.

– I co z tego? – zadrwił Buric. – Od lat pracowałem w rządzie tego miasta. Powstrzymywałem unifów. Zapewniałem Beszel inwestycje. Kradłem te cholerne błyskotki ulqomanom spod nosa, a co robią tchórze z Przekroczeniówki? Bronią Ul Qomy!

Ashil rozdziawił usta ze zdumienia.

– Mówi do Prawdziwych Obywateli – wyszeptałem do niego.

– Unifi pod jednym względem mają rację – ciągnął Buric. – Jest tylko jedno miasto i gdyby cholerna Przekroczeniówka nie zastraszała przesądnej i tchórzliwej ludności, wszyscy byśmy o tym wiedzieli. I to miasto nazywa się Beszel. A wy próbujecie zmusić patriotów do posłuszeństwa? Ostrzegałem ich, ostrzegałem swoich towarzyszy, że możecie się zjawić, choć powiedziano wam jasno, że to nie wasz interes.

– Dlatego ujawniłeś film o furgonetce – domyśliłem się.- Żeby nie dopuścić Przekroczeniówki do sprawy i przekazać cały syf *militysi*.

– Pierdolić Przekroczeniówkę – oznajmił, starannie wypowiadając te słowa. – Jej priorytety nie są priorytetami Beszel. Tutaj uznajemy tylko jedną władzę, ty zaszczone ni to, ni sio. Władzę Beszel.

Skinął na Crofta, polecając mu, by wsiadł pierwszy do helikoptera. Prawdziwi Obywatele wytrzeszczali oczy. Nie byli gotowi strzelić do Ashila i sprowokować wojnę z Przekroczeniówką. Na ich twarzach już teraz malowało się oszołomienie wywołane bluźnierstwem, jakim było sprzeciwienie się Przekroczeniówce choćby w tak niewielkim stopniu. Nie opuszczali też jednak broni. Jeśli Ashil wystrzeli, odpowiedzą ogniem, a było ich dwóch. Niosła ich fala posłuszeństwa Buricowi. Nie musieli wiedzieć, dokąd leci ich mocodawca ani co go do tego skłoniło. Płacił im za to, żeby strzegli jego pleców, gdy będzie to robił. Byli naładowali cholerną odwagą.

– Ja nie jestem z Przekroczeniówki – odezwał się. Buric odwrócił się i spojrzał na mnie. Prawdziwi Obywatele wlepili we mnie spojrzenia. Poczulem, że Ashil się zawahał. Nie opuszczał jednak broni. – Nie jestem z Przekroczeniówki. – Zacerpnałem głęboko tchu. – Jestem inspektor Tyador Borlú z beszańskiej Brygady Najpoważniejszych Zbrodni. Nie reprezentuję tu Przekroczeniówki, Buric. Reprezentuję beszańską *policzai*, a ty złamałeś beszańskie prawo. Przemyt to nie moja działka. Możesz przemycać, co chcesz. Nie interesuję się też polityką i nie obchodzi mnie, czy zadarłeś z Ul Qomą. Przyszedłem tu dlatego, że jesteś mordercą. Mahalia nie była ulqomanką ani wrogiem Beszel. A jeśli nawet mogło się zdawać, że nim jest, to tylko z powodu bzdur, jakie jej powtarzałeś, by zaopatrywała cię w towar. Który potem sprzedawałeś wydziałowi badań i rozwoju zagranicznej firmy. Nie pierdol, że robiłeś to dla Beszel. Byłeś po prostu paserem pracującym dla cudzoziemców. – Prawdziwi Obywatele mieli zmieszane miny. – Ale Mahalia zorientowała się, że ją okłamywałeś. Że nie naprawiała dawnych krzywd ani nie poznawała ukrytej prawdy. Zorientowała się, że zrobiłeś z niej złodziejkę. Dlatego kazałeś Yorjavicowi pozbyć się jej. Ale tamtą zbrodnię popełniono w Ul Qomie, więc nie mógłbym nic ci zrobić, nawet gdybyśmy udowodnili, że jesteś z nią powiązany. Na tym jednak nie koniec. Kiedy usłyszałeś, że Yolanda się ukrywa, pomyślałeś, że Mahalia coś jej powiedziała. Nie mogłeś ryzykować, że wszystko wygada. Kazałeś Yorjowi załatwić ją z tej strony granicy. To był sprytny plan, zapobiegający ingerencji Przekroczeniówki. Z drugiej strony strzał padł w

Beszel i tu też wydałeś rozkaz. A to znaczy, że należysz do mnie. Ministrze Mikhelu Buric, zgodnie z uprawnieniami przyznanymi mi przez rząd i sądy Wspólnoty Beszańskiej, aresztuję cię pod zarzutem spisku w celu zamordowania Yolandy Rodriguez. Pójdiesz ze mną.

* * *

Na kilka sekund zapadła pełna zdumienia cisza. Ruszyłem powoli w stronę Mikhela Burica, mijając Ashila.

To nie potrwa długo. Prawdziwi Obywatele mieli dla miejscowej policji, którą uważali za słabą, niewiele więcej szacunku niż dla bezwolnych beszańskich mas. To jednak były poważne zarzuty i wygłosiłem je w imieniu Beszel. Zgodzili się uczestniczyć w politycznej sprawie, a ta na taką nie wyglądała. Z pewnością też podano im inne motywy tych zabójstw, o ile w ogóle o nich wiedzieli. Obaj nacjonaści popatrzyli na siebie niepewnie.

Ashil ruszył się z miejsca. Wpuściłem powietrze z płuc.

– Niech to chuj – warknął Buric. Wyjął z kieszeni mały pistolecik, uniósł go i wycelował we mnie. Powiedziałem: „Och” albo coś w tym rodzaju, a potem zatoczyłem się do tyłu. Usłyszałem strzał, ale nie brzmiał on tak, jak się spodziewałem. To nie był huk, lecz raczej głośny wydech, powiew wiatru. Pamiętam, że tak właśnie pomyślałem, dziwiąc się, że zauważam podobną rzecz w chwili śmierci.

Buric zatoczył się sztywno do tyłu, machając szaleńczo rękami. Na jego piersi pojawiła się czerwona plama. Nie ja oberwałem, tylko on. Wpuścił z ręki pistolet, jakby odrzucał go celowo. To wyciszony przez tłumik strzał z broni Ashila usłyszałem przed chwilą. Buric runął na dach.

Rozległy się kolejne strzały. Dwa, szybko jeden po drugim, a potem trzeci. Ashil padł na ziemię. Prawdziwi Obywatele strzelili do niego.

– Stać, stać! – krzyknąłem. – Kurwa, nie strzelać! – Podkradłem się bokiem do Ashila, który leżał na betonie, krwawiąc i warcząc z bólu. – Kurwa, aresztuję was – wrzasnąłem. Prawdziwi Obywatele popatrzyli na siebie nawzajem, na mnie, a na koniec na martwego Burica. Rzekomo proste zadanie stało się nagle skomplikowane i pełne przemocy. Ich twarze jasno świadczyły, że uświadomili sobie rozmiary pajęczyny, w którą wpadli. Jeden z nich mruknął coś do drugiego i obaj podążyli truchtem w stronę windy. – Stać! – krzyknąłem, ale zignorowali mnie. Ukłęknałem przy charczącym Ashilu. Croft nadal stał nieruchomo przy helikopterze. – Nie ruszać się! – zawołałem jeszcze. Prawdziwi Obywatele otworzyli drzwi i zjechali na dół.

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest – wydyszał Ashil. Dotknąłem go, by poczuć obrażenia. Miał pod ubraniem jakiś pancerz, który zatrzymał potencjalnie śmiertelny strzał. Drugi pocisk trafił jednak w ramię. Mężczyzna krwawił i jęczał z bólu. – Hej, ty – zdołał zawołać do człowieka z Sear & Core. – W Beszel możesz być pod ochroną, ale mam prawo ci

powiedzieć, że nie jesteś w Beszel. Jesteś w Przekroczeniu.

Croft zajrzał do wnętrza helikoptera i powiedział coś pilotowi. Ten skinął głową i przyspieszył obroty wirnika.

– Skończyłeś? – zapytał Croft.

– Wsiadaj. Helikopter ma zakaz odlotu – zażądał Ashil, choć zaciskał zęby z bólu, a pistolet wypadł mu z rąk.

– Nie jestem obywatelem Beszel ani Ul Qomy – oznajmił Croft. Mówił po angielsku, choć nie ulegało wątpliwości, że nas rozumie. – Nic mnie nie obchodziecie ani się was nie boję. Odlatuję. „Przekroczeniówka”. – Potrząsnął głową. – Banda świrów. Wydaje ci się, że obchodziecie kogokolwiek poza tymi dwoma miasteczkami? Tutejsi was finansują, robią, co im każecie, i może nawet się was boją, ale nikt inny się wami nie przejmuje. – Usiadł obok pilota i zapiął pasy. – I tak nie możecie mnie zatrzymać, ale stanowczo nie radzę wam próbować. „Zakaz odlotu”. Jak wam się zdaje, co by się stało, gdybyście sprowokowali mój rząd? Myśl, że Beszel albo Ul Qoma mogłyby toczyć wojnę z prawdziwym państwem, jest śmieszna, a o Przekroczeniówce nawet nie warto wspominać.

Zatrzasnął drzwi. Obaj na razie nie próbowaliśmy wstawać z dachu. Ashil leżał, a ja klęczałem obok niego. Helikopter warczał coraz głośniejsze, aż w końcu wzbił się w górę, jak zawieszony na sznurku. Podmuchał naszymi ubraniami, poruszając trupem Burica. Maszyna przemknęła między wieżowcami obu miast, poruszając się w przestrzeni powietrznej Beszel i Ul Qomy jako jedyny obiekt na niebie.

Śledziłem ją wzrokiem. Inwazja na Przekroczeniówkę. Spadochroniarze lądujący w obu miastach, szturmujący tajne posterunki w spornych budynkach. By je zaatakować, musieliby najpierw rozbić Beszel i Ul Qomę.

– Ranny awatar – powiedział Ashil przez swoje radio i podał nasze położenie. – Proszę o pomoc.

– Wkrótce nadejdzie – zapewnił go głos z maszyny.

Ashil usiadł, wspierając się o ścianę. Na wschodzie niebo zaczynało lekko blednąć. Z dołu nadal dobiegały odgłosy przemocy, ale było ich coraz mniej. Wciąż słyszeliśmy syreny, beszańskie i ulqomańskie. *Policzai* i *militsya* odzyskiwały kontrolę nad swymi ulicami, a Przekroczeniówka wycofywała się, gdzie tylko było to możliwe. Blokada potrwła jeszcze dobie, by wyłapać resztki unifów, przywrócić normalność i zagonić pozostałych uchodźców z powrotem do obozów, ale najgorsze było już za nami. Chmury na wschodzie przybrały lekko czerwona barwę. Przeszukałem ciało Burica, lecz nie znalazłem nic interesującego.

* * *

Ashil coś powiedział. Jego głos brzmiał słabo i musiałem prosić o powtórzenie.

– Nadal nie potrafisz uwierzyć, że mógłby tego dokonać.

– Kto?

– Buric. Którykolwiek z nich.

Oparłem się o komin i spojrzałem na rannego. Patrzył w kierunku wschodzącego słońca.

– Ehe – przyznałem po chwili. – Była zbyt inteligentna. Młoda, ale...

– Tak. W końcu wszystkiego się domyśliła, ale nie sądzę, by Buric był skłonny zaangażować kogoś takiego.

– Jest jeszcze sposób, w jaki to zrobiono – dodałem. – Gdyby Buric kazał kogoś zabić, nigdy nie znaleźlibyśmy ciała. – Do pierwszego brakowało mu kompetencji, a do drugiego był zbyt kompetentny. To nie miało sensu. Siedziałem nieruchomo. Robiło się coraz jaśniej, a my czekaliśmy na pomoc. – Była specjalistką – odezwałem się po dłuższej chwili. – Znała historię. Buric był bystry, ale nie w takich sprawach.

– Co o tym myślisz, Tye?

Od strony wejścia na dach dobiegł odgłos kroków. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wyszła z nich kobieta, którą niejasno rozpoznawałem jako awatara Przekroczeniówki. Ruszyła ku nam, mówiąc coś przez radio.

– Skąd wiedzieli, gdzie będzie Yolanda?

– Znali twoje plany – odparł. – Podsluchiwali telefon twojej przyjaciółki Corwi – zasugerował.

– Dlaczego strzelali do Bowdena? – zapytałem. Ashil spojrzał na mnie. – W Hali Łącznikowej. Myśleliśmy, że to Orciny próbowało go załatwić, bo nieświadomie poznał prawdę. Ale to nie było Orciny. To... – Spojrzałem na ciało Burica. – On kazał to zrobić. Dlaczego chciał zabić Bowdena?

Ashil skinął głową.

– Myśleli, że Mahalia powiedziała Yolandzie wszystko, co wiedziała, ale... – zaczął powoli.

– Ashil – przerwałem mu.

– Już dobra, dobra. Ja tylko... – Zamknął oczy. Kobieta przyśpieszyła kroku. Nagle rozchylił powieki i spojrzał na mnie. – Bowden od początku mówił ci, że Orciny nie istnieje.

– To prawda.

– Wstań – poleciła kobieta. – Muszę cię stąd zabrać.

– A co ja mam zrobić? – zapytałem.

– Wstawaj, Ashil – popędziła go. – Jesteś słaby.

– Ehe, jestem – przerwał jej. – Ale...

Rozkaszał się. Spojrzał na mnie, a ja na niego.

– Trzeba go stąd zabrać – oznajmiłem. – Musimy powiedzieć awatarom, że...

Ale Przekroczeniówka nadal była zajęta wydarzeniami kończącej się nocy i nie mieliśmy czasu, by kogokolwiek przekonać.

– Chwileczkę – rzekł do kobiety. Wyjął z kieszeni odznakę i wręczył mi ją razem z

pękiem kluczy. – Autoryzuję to – oznajmił. – Uniosła brwi, ale się nie sprzeciwiła. – Mój pistolet chyba gdzieś tam leży. Reszta awatarów nadal...

– Daj mi komórkę. Jaki masz numer? A teraz ruszajcie. Trzeba go stąd zabrać. Zrobię to, Ashil.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kobieta odprowadzająca Ashila nie prosiła o pomoc. Przegoniła mnie nawet.

Znalazłem jego broń. Była ciężka, a tłumik miał niemal organiczny wygląd, jakby lufę pokrywała warstwa flegmy. Potrzebowałem stanowczo zbyt wiele czasu, by odnaleźć blokadę zabezpieczającą. Nie ryzykowałem wyjmowania magazynka, by sprawdzić, czy jest nabit. Schowałem broń i ruszyłem na dół.

Po drodze sprawdzałem numery zapisane w telefonie. Wszystkim przypisano pozbawione znaczenia ciągi liter. Wprowadziłem ręcznie numer, którego potrzebowałem. Instykt podpowiedział mi, by nie poprzedzać go kodem kraju. Miałem rację. Udało się uzyskać połączenie. Telefon zadzwonił, gdy wszedłem do holu. Ochroniarze popatrzyli na mnie niepewnie, ale pokazałem odznakę Przekroczeniówki i wycofali się.

– Halo... Kto mówi?

– Dhatt, to ja.

– Święte Światło, Borlú? Co... Gdzie jesteś? Gdzie się podziałeś? Co się dzieje?

– Dhatt, zamknij się i słuchaj. Wiem, że jest jeszcze noc, ale chcę, byś się obudził. Potrzebuję twojej pomocy. Posłuchaj.

– Światło, Borlú, wydaje ci się, że śpię? Myśleliśmy, że jesteś z Przekroczeniówką. Gdzie się podziałeś? Wiesz, co się dzieje?

– Jestem z Przekroczeniówką. Posłuchaj. Nie wróciłeś jeszcze do pracy, zgadza się?

– Kurwa, zgadza się. Nadal mam przesrane.

– Potrzebuję twojej pomocy. Gdzie jest Bowden? Przesłuchaliście go, tak?

– Bowdena? Ehe, ale potem go puściliśmy. Dlaczego pytasz?

– Gdzie teraz jest?

– Święte Światło, Borlú. – Usłyszałem, że usiadł, biorąc się w garść. – U siebie w domu. Bez paniki, obserwujemy go.

– Każ waszym ludziom go zatrzymać, dopóki się nie zjawię. Zrób to, proszę. Natychmiast. Dziękuję. Zadzwon do mnie, gdy już będziecie go mieli.

– Chwileczkę. Z jakiego numeru dzwonisz? Nie wyświetla się na mojej komórce.

Podaliśmy mu numer. Zatrzymałem się na placu, obserwując jaśniejące niebo i krążące nad obydwoma miastami ptaki. Chodziłem w tę i we w tę, jako jedna z nielicznych, ale nie jedyna

osoba obecna tu o tak wczesnej godzinie. Przyglądałem się innym, którzy przechodzili obok ukradkiem: Beszel, Ul Qoma, Beszel, trudno wyczuć. Wychodzili z potężnego Przekroczenia, które wreszcie dogasało powoli wokół nich.

– Borlú? On zniknął.

– Jak to zniknął?

– Przydzieliliśmy kilku funkcjonariuszy do jego mieszkania, tak? Dla ochrony, po zamachu na niego. No więc, gdy po zmierzchu zaczęło się szaleństwo, potrzebowaliśmy wszystkich ludzi, więc odwołaliśmy ich do jakiegoś innego zadania. Nie znam szczegółów. Przez jakiś czas nikogo tam nie było. Odesłałem ich z powrotem, bo sytuacja trochę się uspokoiła. *Militsya* i wasi ludzie próbują przywrócić granice, ale na ulicach nadal trwa pierdolony obłęd. Tak czy inaczej, odesłałem ich i właśnie przed chwilą okazało się, że Bowdena nie ma.

– Niech to szlag.

– Tyad, co tu, kurwa, jest grane?

– Już tam jadę. Czy mógłbyś... nie wiem, jak to się nazywa po illitańsku... wysłać za nim list gończy?

Powiedziałem tę nazwę po angielsku, jak na filmach.

– Ehe. Mówimy na to „rozesłać halo”. Zrobię to, ale, Tyad, widziałeś ten kurewski chaos na ulicach? Myślisz, że ktokolwiek go zauważy?

– Musimy spróbować. Próbuje zwiać.

– Dobra, w takim razie ma przejebane. Wszystkie granice są zamknięte, więc nie pozwolą mu wyjechać. Nawet gdyby przeszedł przedtem do Beszel, wasi ludzie nie są aż tak niekompetentni, by kogoś wypuścić.

– Dobra, ale wyślij za nim halo, zgoda?

– Roześlij, nie wyślij. W porządku. Ale i tak go nie znajdziemy.

Po ulicach obu miast mknęły kolejne pojazdy ratownicze zmierzające ku miejscom, gdzie nadal trwał kryzys. Tu i ówdzie widziało się też cywilne samochody. Ich kierowcy ostentacyjnie przestrzegali przepisów drogowych swych miast, omijali się nawzajem z niezwykle praworządną starannością. Nieliczni przechodnie zachowywali się podobnie. Wszyscy musieli mieć legalne, możliwe do udowodnienia powody, by opuszczać domy. Oni również manifestacyjnie widzieli i przeoczali to, co należało. Przeplot może znieść wiele.

Było zimno. Świt jeszcze nie nadszedł. Miałem uniwersalne kluczyki otrzymane od Ashila i choć brakowało mi jego tupetu, włamałem się do ulqomańskiego samochodu. W tej samej chwili Dhatt zadzwonił znowu. Jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Słyszałem w nim coś w rodzaju podziwu. Nie potrafiłem określić tego inaczej.

– Myliłem się. Znaleźliśmy go.

– Słucham? Gdzie?

– W Hali Łącznikowej. Strażnicy graniczni to jedyni funkcjonariusze, których nie

skierowano na ulice. Mówią, że siedział w hali od wielu godzin. Na pewno poszedł do niej, gdy zaczęła się rozróżba. Był tam też wcześniej, razem ze wszystkimi, którzy nie zdążyli przekroczyć granicy przed jej zamknięciem. Słuchaj dalej.

– Co on tam robi?

– Tylko czeka.

– Zatrzymali go?

– Tyad, posłuchaj. Nie mogą go zatrzymać. Wynikł pewien problem.

– Co jest grane?

– Nie... nie sądzą, żeby przebywał w Ul Qomie.

– Przeszedł na drugą stronę? To znaczy, że trzeba pogadać z beszańskim patrolem...

– Nie, posłuchaj. Nie potrafią określić, gdzie on jest.

– Co? Co? Co on robi, do licha?

– On po prostu... po prostu tam stał, tuż za wejściem. Widzieli go wyraźnie, a kiedy ruszyli ku niemu, zaczął się oddalać... ale sposób, w jaki się porusza, ubranie, które ma na sobie... nie potrafią określić, czy jest w Ul Qomie, czy w Beszel.

– Niech sprawdzą, czy przeszedł przez granicę przed jej zamknięciem.

– Tyad, tam panuje pierdolony chaos. Nikt nie śledzi papierów, zapisów w komputerze, czy co tam właściwie mają. Nie wiemy, czy to zrobił.

– Musisz im kazać...

– Tyad, posłuchaj, ledwie mi się udało wycisnąć z nich choć tyle. Boją się jak cholera, że już przez to, że go zobaczyli i powiedzieli mi o tym, popełnili przekroczenie. I, kurwa, nie myślą się, bo wiesz co? To całkiem możliwe. Dzisiejszej nocy Przekroczeniówka jest wszędzie, ogłoszono pierdoloną blokadę, Tyad. W takiej chwili nikt nie chce ryzykować przekroczenia. Nie dostaniesz więcej informacji, chyba że Bowden przeniesie się w miejsce znajdujące się jednoznacznie w Ul Qomie.

– A gdzie jest teraz?

– Skąd mam wiedzieć? Nie chcą ryzykować patrzenia na niego. Powiedzieli tylko, że zaczął chodzić. Tylko chodzić, ale w taki sposób, że nikt nie wie, w którym mieście się znajduje.

– Nikt go nie zatrzymuje?

– Nawet nie wiedzą, czy mogą go zobaczyć. On nie przekroczył, po prostu... nie wiedzą.

– Przerwał na chwilę. – Tyad?

– Jezu, oczywiście. Czeka, aż ktoś go zauważy.

Skierowałem samochód w stronę odległej o kilka kilometrów Hali Łącznikowej.

– Słucham? Co jest, Tyad?

– Tego właśnie chce. Sam to powiedziałeś, Dhatt. Nie może przejść granicy, bo zatrzymają go strażnicy miasta, w którym przebywa. To znaczy którego?

Przez chwilę znowu panowała cisza.

– Niech mnie chuj – warknął Dhatt.

W tym stanie niepewności nikt nie zatrzyma Bowdena. Nikt się nie odważy.

– Gdzie jesteś? Daleko od Hali Łącznikowej?

– Mogę tam dotrzeć za dziesięć minut, ale...

Ale on również nie zatrzyma Bowdena. Choć Dhatt był wściekły, nie zaryzykuje przekroczenia, zauważając człowieka, który mógł nie przebywać w jego mieście. Chciałem mu powiedzieć, żeby się tym nie przejmował, miałem ochotę go błagać, ale czy rzeczywiście mogłem go zapewnić, że się myli? Nie miałem pewności, że nikt go nie obserwuje i nie ma niebezpieczeństwa.

– A czy *militysa* go aresztuje, jeśli zapewnisz, że na sto procent jest w Ul Qomie?

– Pewnie, ale jak mają go śledzić, jeśli nie mogą zaryzykować zobaczenia go?

– Idź tam. Dhatt, proszę. Posłuchaj. Nic cię nie powstrzymuje przed wybraniem się na spacer, tak? Pójdź do Hali Łącznikowej i pokręć się tam, a jeśli ktoś w pobliżu zdradzi się w jakiś sposób, że przebywa w Ul Qomie, będziesz mógł go aresztować. Tak? – Nie musiał niczego przyznawać, nawet przed sobą. O ile nie wejdzie w żadne interakcje z Bowdenem, dopóki jego sytuacja pozostanie niejasna, będzie mógł wszystkiemu zaprzeczyć. – Dhatt, proszę.

– W porządku. Ale posłuchaj, jeśli pójdę na pierdolony spacer, i ktoś, kto będzie blisko, być może grostopicznie, nie przejdzie jednoznacznie do Ul Qomy, nie będę mógł go aresztować.

– Chwileczkę. Masz rację. – Nie mogłem go prosić, by zaryzykował przekroczenie. Istniała możliwość, że Bowden przeszedł przez granicę i przebywał teraz w Beszel, a w takim przypadku Dhatt był bezsilny. – Dobra. Idź na ten spacer. Zawiadom mnie, jak już będziesz w Hali Łącznikowej. Muszę wykonać jeszcze jeden telefon.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem pod kolejny numer. Tym razem również nie korzystałem z kodu, mimo że łączyłem się z innym krajem. Pomimo wczesnej pory telefon odebrano niemal natychmiast, a głos, który usłyszałem, był w pełni przytomny.

– Cześć, Corwi.

– Szef? Jezu, gdzie jesteś? Co się dzieje? Wszystko z tobą w porządku? Co się dzieje?

– Corwi, wszystko ci opowiem, ale w tej chwili to niemożliwe. Chcę, żebyś szybko ruszyła w drogę, nie zadając żadnych pytań, i robiła dokładnie to, co ci powiem. Potrzebuję cię w Hali Łącznikowej.

* * *

Zerknąłem na zegarek, a potem spojrzałem na niebo. Poranek nie śpieszył się z przyjściem. Dhatt i Corwi zmierzali już do granicy, każde w swoim mieście. To Dhatt zadzwonił pierwszy.

– Jestem na miejscu, Borlú.

– Widzisz go? Znalazłeś go? Gdzie on jest? – Cisza. – No dobra, Dhatt, posłuchaj. – Nie chciał zobaczyć kogoś, kto mógł nie przebywać w Ul Qomie, ale nie dzwoniłby do mnie, gdyby nie miał powodu nawiązywać kontaktu. – Gdzie jesteś?

– Na rogu Illya i Suhash.

– Jezu, chciałbym wiedzieć, jak urządzić telekonferencję na tym ustrojstwie. Wiem już, jak sobie poradzić z rozmową oczekującą, więc bądź pod cholernym telefonem. – Połączyłem się z Beszel. – Corwi? Posłuchaj. – Musiałem się zatrzymać przy krawężniku i porównać plan Ul Qomy ukryty w schowku z moją wiedzą o Beszel. Większa część starówek tworzyła przepłot. – Corwi, chcę, żebyś pojechała na róg ByulaStrasz i... i WarszaStrasz. Widziałas zdjęcia Bowdena, tak?

– Ehe...

– Wiem, wiem. – Ruszyłem. – Jeśli nie jesteś pewna, że przebywa w Beszel, nie możesz do dotknąć. Jak już mówiłem, proszę cię tylko o to, byś się wybrała na spacer. Jeśli okaże się, że ktoś jest w Beszel, będziesz mogła go aresztować. Zawiadom mnie, gdzie jesteś, dobra? I uważaj.

– Na co, szefie?

To było celne pytanie. Nie wydawało się prawdopodobne, by Bowden zaatakował Dhatta albo Corwi. Gdyby to uczynił, stałby się przestępcą w jednym z miast. A gdyby zaatakował oboje, byłoby to przekroczenie. O dziwo, do tej pory go nie popełnił. Poruszał się, zachowując równowagę między miastami. Pieszy Schrödingera.

– Gdzie jesteś, Dhatt?

– W połowie długości ulicy Teipei.

– Ta ulica dzieli grostopicznie miejsce z MirandiStrasz w Beszel. Zawiadomiłem Corwi, dokąd powinna się udać. – Wkrótce będę na miejscu.

Minąłem już rzekę. Na ulicy pojawiało się coraz więcej pojazdów.

– Dhatt, gdzie on jest? To znaczy, gdzie ty jesteś? – Odpowiedział mi. Bowden musiał się trzymać przepłotowych ulic. Gdyby wszedł na jednolity obszar, byłby skazany na wybrane miasto i miejscowa policja mogłaby go zatrzymać. W śródmieściach najstarsze ulice są zbyt wąskie i kręte, bym dzięki samochodowi mógł zyskać wiele czasu. Dlatego porzuciłem go i pobiegłem po bruku pod wystającymi ponad ulicę gontami beszańskiej starówki, mijając zdobne mozaiki i kopuły ulqomańskiej. – Z drogi! – krzychałem do nielicznych przechodniów, w jednej ręce trzymając odznakę Przekroczeniówki, a w drugiej komórkę.

– Jestem na końcu MirandiStrasz, szefie.

Głos Corwi zmienił barwę. Nie chciała przyznać, że widzi Bowdena. Nie dostrzegła go w pełni, ale też nie przeoczała całkowicie. Znajdowała się w pośrednim stanie, ale nie ograniczała się już do wykonywania moich rozkazów. Była blisko Bowdena. Być może nawet ją zauważył.

Po raz kolejny przyjrzałem się pistoletowi Ashila, ale nie potrafiłem zrozumieć zasad jego działania. Na nic mi się nie zda. Schowałem broń do kieszeni i skierowałem się w miejsce, gdzie w Beszel czekała Corwi, w Ul Qomie Dhatt, a Bowden chodził po ulicach i nikt nie był pewien, w którym mieście przebywa.

* * *

Najpierw zobaczyłem Dhatta. Włożył kompletny mundur, miał rękę na temblaku i trzymał telefon przy uchu. Przechodząc obok, klepnałem go w ramię. Poderwał się gwałtownie, zobaczył, że to ja i wciągnął powietrze. Wyłączył komórkę i przelotnie wskazał oczyma kierunek. Gapił się na mnie z trudnym do zidentyfikowania wyrazem twarzy.

Nie musiałem wypatrywać Bowdena. Rzucił się w oczy, mimo że garstka ludzi odważyła się już zapuścić na przepłotową ulicę. Ten krok. Dziwny, niewiarygodny. Nie sposób go dobrze opisać, ale dla każdego, kto przywykł do fizycznych cech charakterystycznych Beszel i Ul Qomy, wydawał się wykorzeniony i oderwany, celowy i pozbawiony ojczyzny. Przyjrzałem się jego plecom. Nie wałęsał się bez celu, lecz oddalał się z patologiczną neutralnością od centrów miast, zmierzając ku granicom, górcom i reszcie kontynentu leżącej za nimi.

Kilkoro zaciekawionych tubylców przyglądało mu się z wyraźnym zmieszaniem. Na wpół odwracali wzrok, niepewni, na co powinni patrzeć. Wskazałem na nich kolejno i skinąłem dłonią, nakazując im zejść mi z drogi. Wszyscy mnie posłuchali. Być może jacyś ludzie obserwowali Bowdena z okien, ale nie sposób by było im tego udowodnić. Ruszyłem ku niemu, idąc w cieniu Beszel pod krętymi rynnami Ul Qomy.

Corwi patrzyła na mnie. Dzielilo ją od niego tylko kilka metrów. Schowała telefon i wyciągnęła broń, ale nadal nie chciała patrzeć bezpośrednio na Bowdena. Niewykluczone, że gdzieś ukrywała się obserwująca nas Przekroczeniówka. Ścigany do tej pory nie przekroczył, więc nie mogli go tknąć.

Idąc, wyciągnąłem rękę. Nie zwolniłem, ale Corwi złapała mnie za nią i przez chwilę spoglądaliśmy sobie nawzajem w oczy. Obejrzałem się i zobaczyłem, że kobieta i Dhatt stoją w dwóch różnych miastach, oddaleni od siebie zaledwie o kilka metrów, i spoglądają na mnie. Wreszcie nadszedł świt.

* * *

– Bowden.

Odwrócił się. Jego twarz zastygła w nerwowym grymasie. W ręce trzymał jakiś przedmiot, którego kształtu nie widziałem dokładnie.

– Inspektor Borlú. Kto by pomyślał, że spotkam pana... tutaj?

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to za dobrze.

– Tutaj, to znaczy gdzie? – zapytałem. Wzruszył ramionami. – To, co pan robi, jest naprawdę imponujące – ciągnąłem. Raz jeszcze wzruszył ramionami, w geście, który nie był ani beszański, ani ulqomański. Będzie potrzebował co najmniej doby, by dotrzeć do granicy, ale Beszel i Ul Qoma są małymi państwami. Mógł to zrobić. Musiał być niezwykle biegłym obywatelem, niewiarygodnie wprawnym obserwatorem i znawcą miast, by poznać milion ledwo widocznych nawyków odróżniających od siebie mieszkańców Beszel oraz Ul Qomy i uniknąć połączenia ich w możliwą do zidentyfikowania całość. Wycelował we mnie trzymany w ręce przedmiotem.

– Jeśli mnie pan zastrzeli, dorwie pana Przekroczeniówka.

– Zakładając, że nas obserwuje – odparł. – Myślę, że jest pan tu jej jedynym przedstawicielem. Po dzisiejszej nocy będą musieli naprawić istniejące od stuleci granice. Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Jaka zbrodnia by to była? Gdzie pan się znajduje?

– Próbował pan odciąć jej twarz. – To właśnie była ta rana pod brodą. – Czy... Nie, to był jej nóż. Ale nie mógł pan tego zrobić. Dlatego zadowolili się pan grubą warstwą makijażu. – Zamrugał, ale nic nie powiedział. – Jakby to mogło ukryć jej tożsamość. Co to jest?

Pokazał mi na chwilę przedmiot, a potem cofnął rękę i znowu we mnie wycelował. Zaśniedziałe ze starości urządzenie było brzydkie i stukało, gdy nim ruszano. Połączono je w całość nowymi taśmami z metalu.

– Rozbiło się. Kiedy.

To nie brzmiało, jakby się zawahał. Po prostu przestał mówić.

– Jezu, tym ją pan uderzył. Kiedy pan sobie uświadomił, że przejrzała te wszystkie kłamstwa. – Złapał ciężkie narzędzie i walnął nim w chwili wściekłości. Mógł się teraz przyznać do wszystkiego. Dopóki pozostawał w stanie niepewności, czyje prawo mogło go dosięgnąć? Zobaczyłem, że rękojeść przedmiotu, zwrócona w stronę Bowdena, kończy się ostrym, paskudnym kolcem. – Chwycił pan to, zdzielił ją w głowę i upadła na ziemię. – Wykonałem ruch naśladujący dźgnięcie. – To stało się pod wpływem chwili, mam rację? Tak? To znaczy, że nie umie pan z tego strzelać. Czyżby to była prawda? Wszystkie te pogłoski o „dziwnej fizyce”? Czy to jest jeden z przedmiotów, o które chodziło Sear & Core? Dlatego jeden z ważniejszych gości targów chodził na spacer po parku jak zwykły turysta?

– Nie nazwałbym tego bronią – odparł. – Ale... Chce pan zobaczyć jego działanie?

Pomachał przedmiotem.

– Nie kusilo pana, by sprzedać to na własną rękę? – Zrobił obrażoną minę. – Skąd pan wie, jak to działa?

– Jestem archeologiem i historykiem – odpowiedział. – I to niewiarygodnie dobrym. A teraz stąd odchodzę.

– Z miasta? – Pokiwał głową. – Z którego miasta?

Pochylając głowę, pomachał przecząco przedmiotem.

– Wie pan, nie chciałem tego zrobić. Ona była...

Tym razem jego głos rzeczywiście ucichł. Bowden przełknął ślinę.

– Na pewno się wściekła, gdy sobie uświadomiła, że ją pan okłamywał.

– Zawsze mówiłem prawdę. Słyszał mnie pan, inspektorze. Powtarzałem to wiele razy.

Nie ma żadnego Orciny.

– Czy schlebiał jej pan? Mówił, że jest jedyną osobą, której może wyznać prawdę?

– Borlú, mogę pana w każdej chwili zabić i nikt nawet nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy. Gdyby był pan w jednym albo w drugim miejscu, mogliby mnie zatrzymać, ale tak nie jest. Rzecz w tym, że obaj wiemy, iż tak się nie stanie, ale wyłącznie dlatego, że nikt tutaj, nawet Przekroczeniówka, nie przestrzega zasad, które sami stworzyli. Gdyby ich przestrzegano, tak właśnie by się stało. Gdyby nikt nie wiedział, w którym miejscu przebywał pański zabójca i pan również, pańskie ciało zgniłoby tutaj. Ludzie musieliby je omijać. Ponieważ nikt nie przekroczył. Ani Beszel, ani Ul Qoma nie zaryzykowałyby uprzątnięcia ciała. Zasmradzałyby oba miasta, aż zostałyby z niego tylko plama. Odchodzę, Borlú. Myśli pan, że Beszel po pana przyjdzie, jeśli pana zastrzelę? Albo Ul Qoma?

Corwi i Dhatt z pewnością go słyszeli, nawet jeśli starali się tego nie robić. Bowden patrzył tylko na mnie, nie ruszając się z miejsca.

– Mój, hm, partner z Przekroczeniówki miał rację – stwierdziłem. – Nawet gdyby Buric wymyślił to wszystko, brakowało mu wiedzy i cierpliwości potrzebnych, by oszukać Mahalię. Była inteligentna. Potrzebny był ktoś, kto znał archiwa, tajemnice i pogłoski o Orciny. Nie tylko pobieżnie, ale w pełni. Kto był ekspertem. Jak pan zauważył, mówił pan prawdę. Raz po raz powtarzał, że Orciny nie istnieje. O to właśnie chodziło. To nie Buric wystąpił z tym pomysłem, prawda? Po konferencji, na której Mahalia narobiła takiego zamieszania? I z pewnością nie było to Sear & Core. Oni opłaciliby kogoś, kto przemyciłby towar w prostszy sposób. To była tania operacja i po prostu wykorzystali sposobność. Rzecz jasna potrzebował pan kontaktów Burica, a on nie zamierzał zmarnować okazji do okradzenia Ul Qomy i wylansowania Beszel. Ciekawe, ile inwestycji było z tym powiązanych? Oczywiście sam też trochę na tym zarobił, ale to był pański pomysł, a panu nie chodziło o pieniądze. Brakowało panu Orciny. Chciał pan mieć ciastko i je zjeść. Tak, mylił się pan w sprawie Orciny, ale można było spowodować, by okazało się, że jednocześnie miał pan rację. – W Bol Ye'an wykopywano cenne artefakty. Dotyczące ich szczegóły znali tylko archeolodzy albo ci, którzy je tam umieścili, jak myślała biedna Yolanda. I nagle domniemani orcinianie wysłali swej domniemanej agentce polecenia nakazujące jej bez zwłoki, by nie miała czasu do namysłu, odzyskać dla nich to, co do nich należało. – Przekonał pan Mahalię, że może wyjawic prawdę tylko jej. Powiedział pan, że odciął się od swojej książki z powodów politycznych? Czy raczej, że to było tchórzostwo? To mogłoby wzbudzić sympatię. Idę o zakład, że tak właśnie pan zrobił. – Podeszedłem bliżej. Mina Bowdena zmieniła się nagle. – „Wstydzę się tego, Mahalio, ale naciski były zbyt silne. Masz więcej odwagi ode mnie. Nie poddawaj się, jeste

już bardzo blisko prawdy. Poznasz ją...”. Ten syf zmarnował panu karierę i nie mógł już pan odzyskać straconego czasu. Mógł pan jednak udowodnić, że miał rację. Jestem pewien, że płacili nieźle, proszę mi nie wmawiać, że tak nie było, Buric miał swoje powody, Sear & Core swoje, a nacjonaliści są gotowi pracować dla każdego, kto ma forsy i gadane. Dla pana jednak najważniejsze było Orciny, mam rację? Ale Mahalia zrozumiała, że to nonsens, doktorze Bowden. – Za drugim razem ta fałszywa historia zabrzmiała znacznie bardziej przekonująco. Mógł przedstawić nie tylko fragmenty znalezionych w archiwach, błędnie zinterpretowanych dokumentów, lecz również dodawać lipne dowody, podsuwać jej stronicze źródła, a nawet pisać fałszywe wiadomości z nieistniejącego miasta, w tym również do samego siebie, przeznaczone dla oczu Mahalii, a potem również dla naszych. A jednocześnie mógł zgodnie z prawdą utrzymywać, że to wszystko nonsens. Ale ona i tak go przejrzała. – To musiało być dla pana bardzo nieprzyjemne – skwitowałem.

Jego wzrok nie kierował się w żadne określone miejsce.

– Było... Właśnie dlatego...

Powiedziała mu, że nie będzie więcej przekazywała towaru, a tym samym skrywane zyski się skończą, ale nie to wprawiło go we wściekłość.

– Czy myślała, że pan również dał się nabrać? Czy może zrozumiała, że to pan za tym wszystkim stał? – To zdumiewające, że tego rodzaju szczegół był właściwie pozbawiony znaczenia. – Myślę, że nie wiedziała. Szyderstwo nie leżało w jej charakterze. Na pewno sądziła, że pana chroni. Przypuszczam, że dlatego właśnie chciała tego spotkania. Żeby panu powiedzieć, że ktoś oszukał was oboje. Że grozi wam niebezpieczeństwo. – Za jego atakiem stał straszliwy szal. Plany usprawiedliwienia *post facto* zdyskredytowanego projektu spełzły na niczym. Stracił szansę udowodnienia oponentom, że miał rację. Mahalia po prostu go przechrzyła, nawet o tym nie wiedząc, przejrzała jego wymysły, choć tak bardzo starał się je uwiarygodnić. Zmiażdżyła go, nie czując złości i nie uciekając się do podstępów. Dowody po raz kolejny obaliły jego teorię, jej ulepszoną wersję, Orciny 2.0, tak samo jak poprzednim razem, gdy naprawdę w nią wierzył. Mahalia zginęła, ponieważ udowodniła Bowdenowi, że był głupcem, wierząc w legendę, którą sam stworzył. – Co to za przedmiot? Czy Mahalia...

Nie mogłaby jednak wynieść obiektu sama, a gdyby komuś go przekazała, to z pewnością nie Bowdenowi.

– Mam go od lat – wyjaśnił. – Sam go znalazłem. Kiedy zacząłem tu pracować. Ochrona nie zawsze była tak ścisła.

– Gdzie się pan z nią spotkał? Czy to był jakiś lipny *dissensus*? Stary, pusty budynek, w którym Orcinianie rzekomo odprawiali swe czary?

To nie miało znaczenia. Popułnił zbrodnię w jakimś odludnym miejscu i tyle.

– Czy uwierzyłyby mi pan, gdybym powiedział, że nie pamiętam tej chwili? – zapytał z ostrożnością w głosie.

– Tak.

– To był tylko moment, tylko...

Rozumowanie, które zniszczyło jego dzieło. Być może pokazał jej artefakt, jakby to był dowód, a ona odpowiedziała: „To nie jest Orciny. Musimy się zastanowić. Kto mógłby pragnąć ukraść te znaleziska?”. I wtedy nadeszła furia.

– Rozbił go pan.

– Nie poza możliwość naprawy. Jest solidny. Jak wszystkie te artefakty.

Mimo że zatłukł ją nim na śmierć.

– Przewiezienie ciała przez granicę było dobrym pomysłem.

– Kiedy zadzwoniłem do Burica, nie miał ochoty wysłać kierowcy, ale zrozumiał, dlaczego to konieczne. *Militsya* ani *policzai* nie były problemem. Nie mogliśmy pozwolić, by zauważyła nas Przekroczeniówka.

– Ale pańskie plany są przestarzałe. Widziałem je wtedy na biurku. Wszystkie te śmieci, które zebrał pan albo Yorj... czy pochodziły z miejsca zbrodni?... były bezużyteczne.

– Kiedy zdążyli tam wybudować skatepark? – Na moment udało mu się nadać swemu głosowi ton autentycznej wesołości. – Ta droga miała prowadzić prosto nad rzekę.

„Gdzie obciążone żelastwem ciało zatonełoby błyskawicznie”.

– Czy Yorjavic nie znał własnego miasta? Co z niego za żołnierz?

– Nigdy nie miał powodu jeździć do Pocost, a ja nie byłem w Beszel od czasu konferencji. Kupiłem ten plan już dość dawno i poprzednim razem wszystko się zgadzało.

– Wszystko przez cholerną rewaloryzację zabudowy, tak? Przyjechał do Pocost z ciałem i nagle okazało się, że od rzeki dzielą go rampy i półrury, a świt był już blisko. Wtedy właśnie wszystko się popsło i doszło do... konfliktu między panem a Buricem.

– To właściwie nie był konflikt. Wymieniliśmy kilka ostrych słów, ale myśleliśmy, że sprawa przyschnie. Nie, zaczął się niepokoić dopiero, gdy wysłano pana do Ul Qomy. Wtedy sobie uświadomił, że ma kłopoty.

– A więc... w pewnym sensie jestem panu winien przeprosiny.

Bowden spróbował wzruszyć ramionami. Nawet ten gest nie należał do żadnego z miast. Co chwila przełykał ślinę, ale jego tiki również nie zdradzały, gdzie się znajduje.

– Skoro tak pan mówi – zaczął. – Wtedy właśnie wysłał swych Prawdziwych Obywateli na łowy. A nawet przysłał tę bombę, by skierować podejrzenia na Qoma Najpierw. Chyba myślał, że w to uwierzyłem. – Bowden skrzywił się z niesmakiem. – Na pewno słyszał o poprzednim przypadku.

– Nie tylko to. Wszystkie te groźby w języku poprzedników, które wysyłał pan do siebie, by odwrócić naszą uwagę. Fałszywe włamania. Wszystko to miało uwiarygodnić pańskie Orciny. – Spojrzał na mnie z wyrzutem, dlatego powstrzymałem się przed powiedzeniem „pańskie brednie”. – A co z Yolandą?

– Bardzo... bardzo mi przykro z jej powodu. Buric na pewno myślał, że ona i ja byliśmy... Że ja albo Mahalia coś jej powiedzieliśmy.

– Ale pan tego nie zrobił. I Mahalia również nie. Próbowwała ją chronić przed tym wszystkim. W gruncie rzeczy Yolanda była jedyną osobą, która przez cały czas wierzyła w Orciny. Była pańską największą zwolenniczką. Ona i Aikam. – Wbił we mnie wzrok. Jego twarz nic nie wyrażała. Wiedział, że wspomniana przeze mnie para nie należała do najinteligentniejszych ludzi. Przez dłuższą chwilę nie odzywałem się ani słowem. – Chryste, ależ pan kłamie, Bowden – zacząłem wreszcie. – Nawet teraz. Jezu. Wydaje się panu, że nie wiem, że to pan zawiadomił Burica, kiedy Yolanda przejdzie granicę? – Usłyszałem, że nagle zaczerpnął drżący oddech. – Wysłał ich pan tam na wypadek, gdyby coś wiedziała. A, jak już mówiłem, nie wiedziała. Zabił ją pan bez powodu. Ale dlaczego pan się tam zjawił? Wiedział pan, że spróbują załatwić i pana. – Znowu zapadła długa cisza. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. – Musiał się pan upewnić, tak? I oni również.

Nie zleciliby Yorjavicowi tego nadzwyczajnego, ponadgranicznego zamachu tylko z powodu samej Yolandy. Nawet nie mieli pewności, czy rzeczywiście coś wiedziała. Byli jednak pewni, że Bowden wie wszystko.

Przed chwilą powiedział mi: „chyba myślał, że w to uwierzyłem”.

– Zawiadomił ich pan, że Yolanda tam będzie, i dodał, że chce przekroczyć granicę razem z nią, bo Qoma Najpierw próbuje pana załatwić? Naprawdę myśleli, że pan w to wierzy? Ale przecież mogli to sprawdzić – odpowiedziałem sam sobie. – Wszystko zależało od tego, czy się pan pokaże. Musiał się pan tam znaleźć, bo w przeciwnym razie zorientowaliby się, że zostali oszukani. Gdyby Yorjavic pana nie zobaczył, zorientowałby się, że pan coś knuje. Musiał ujrzyć oba cele. – Stąd brały się dziwny krok i zachowanie Bowdena w hali. – Dlatego musiał się pan zjawić i postarać się, by ktoś pana osłaniał... – przerwałem. – Czy były trzy cele? – zapytałem. W końcu to przeze mnie plan zakończył się niepowodzeniem. Potrząsnąłem głową. – Wiedział pan, że spróbują pana zabić, ale warto było podjąć to ryzyko, żeby się pozbyć Yolandy. Kamuflaż.

Któż podejrzewałby Bowdena o współudział, jeśli Orciny próbowało go zabić?

Jego mina zwarzyła się powoli.

– Gdzie jest Buric?

– Nie żyje.

– Dobrze. Dobrze...

Podszedłem bliżej. Skierował artefakt w moją stronę, jakby był jakąś krótką różdżką z epoki brązu.

– Dlaczego to pana obchodzi? – zapytałem. – Co pan teraz robi? Ile lat mieszkał pan w miastach? I co teraz? Wszystko się skończyło. Orciny legło w gruzach. – Postąpiłem kolejny krok. Nadal mierzył we mnie, oddychając przez usta i wybaluszając oczy. – Została panu tylko jedna opcja. Był pan w Beszel. Mieszkał pan w Ul Qomie. Jest jeszcze tylko jedno miejsce. Czy chce pan zamieszkać anonimowo w Stambule? W Sewastopolu? Dotrzeć do Paryża? Myśli pan, że to wystarczy? Orciny to bzdura. Chce pan zobaczyć, co naprawdę kryje

się między miastami?

Minęła chwila. Wahał się wystarczająco długo, by zachować pozory.

Wredny, złamany człowiek. Jedyńm, co zasługiwało na większą pogardę niż jego czyny, była ledwie skrywana skwapliwość, z jaką przystał na moją propozycję. Zgodził się pójść ze mną, ale to nie była odwaga. Podał mi ciężki artefakt i przyjąłem go od niego. Przedmiot zagrzechotał. To była rura pełna przekładni i starych zegarowych mechanizmów, które zraniły Mahalię w głowę, gdy metal pękł.

Bowden oklapł. Wydał z siebie cichy jęk: przeprosiny, błaganie, ulga? Nie słuchałem go i nie pamiętam, co to było. Nie aresztowałem go. Nie byłem policjantem, nie w tamtej chwili. Byłem z Przekroczeniówki, a Przekroczeniówka nikogo nie aresztuje. Zatrzymałem go jednak i wypuściłem z płuc długi oddech. Było po wszystkim.

* * *

Bowden nadal nie zdecydował, gdzie się znajduje.

– W którym mieście pan jest? – zapytałem. Dhatt i Corwi stali obok, gotowi do działania. To z nich, które dzieliło z nim miejsce, aresztowałoby go, gdyby powiedział to na głos.

– W obu – odpowiedział.

Złapałem go za kołnierz, odwróciłem i odprowadziłem na bok. W zgodzie z przyznanymi mi uprawnieniami przyprowadziłem ze sobą Przekroczenie, otoczyłem go nim, przeprowadziłem z obu miast do żadnego. Do przekroczenia. Corwi i Dhatt przyglądali się, jak go zabieram poza ich zasięg. Skinąłem do nich głową ponad granicami na znak podziękowania. Nie patrzyli na siebie nawzajem, ale oboje odwzajemnili się takim samym gestem.

Gdy ciągnąłem za sobą powłóczącego nogami Bowdena, nasunęła mi się myśl, że to ja popełniłem przekroczenie, w którego sprawie prowadziłem śledztwo i którego był dowodem.

Koda

PRZEKROCZENIÓWKA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie widziałem już więcej tej maszyny. Pochłonęła ją biurokracja Przekroczeniówki. Nie zobaczyłem też, co właściwie potrafiło zrobić, czego pragnęło Sear & Core i czy w ogóle cokolwiek robiło.

Po Nocy Zaburzeń Ul Qomę wypełniło napięcie. *Militsya*, nawet gdy już ostatni unifi zostali aresztowani albo zdjęli opaski i zniknęli, utrzymywała stan podwyższonej gotowości, ingerując we wszystko. Obrońcy praw obywatelskich skarżyli się głośno. Ulqomański rząd ogłosił nową akcję, Czujne Sąsiedztwo. Chodziło zarówno o sąsiadów zza drzwi – co oni kombinują? – jak i o sąsiednie miasto – widzicie, jakie ważne są granice?

W Beszel zaburzenia doprowadziły do przesadnej apatii. Mogłoby się zdawać, że ludzie uważają, iż wspomnianie o nich przynosi pecha. Gazety drastycznie minimalizowały ich znaczenie. Politycy, jeśli w ogóle cokolwiek mówili, używali eufemizmów takich jak „niedawne wydarzenia” albo coś w tym rodzaju. Na całe miasto opadł całun. Zapanowało przygnębienie. Populacja unifów została zdziesiątkowana w takim samym stopniu jak w Ul Qomie i podobnie jak tam, ci, którzy ocaleli, zachowywali ostrożność, starając się nie przyciągać uwagi.

W obu miastach szybko przywrócono porządek. Blokada trwała trzydzieści sześć godzin i od tego czasu o niej nie wspomniano. Gwałtowna noc pochłonęła dwadzieścia dwie ofiary śmiertelne w Ul Qomie i trzynaście w Beszel, nie licząc uchodźców, którzy zginęli już po wypadku autobusowym, ani zaginionych. Na ulicach obu miast pojawiło się więcej zagranicznych dziennikarzy niż kiedykolwiek dotąd, a ich reportaże były liczniejsze i mniej subtelne. Wszyscy też próbowali załatwić wywiad – „anonimowo, oczywiście” – z przedstawicielami Przekroczeniówki.

– Czy ktoś z was kiedyś zdezerterował? – zapytałem.

– Oczywiście – potwierdził Ashil. – Ale tacy ludzie popełniają przekroczenie, są wchodźcami i w związku z tym należą do nas.

Poruszał się ostrożnie, a pod ubraniem i ukrytym pancerzem miał bandażę.

Pierwszego dnia po zamieszkach, gdy wróciłem do kwatery, ciągnąc za sobą na wpół zrezygnowanego Bowdena, zamknięto mnie w celi, ale od tego czasu otworzono drzwi. Trzy dni spędziłem z Ashilem po jego powrocie z jakiegoś tajnego szpitala, w którym leczono

awatary Przekroczeniówki. Cały ten czas poświęciliśmy na spacery po miastach, w Przekroczeniu. Uczyłem się od niego, jak się chodzi między miastami, najpierw w jednym, potem w drugim, a na koniec w obu. Robiliśmy to jednak w bardziej skryty sposób, bez ostentacji Bowdena.

– Jak się nauczył tak chodzić?

– Był badaczem miast – odparł Ashil. – Może trzeba było przybysza z zewnątrz, by zobaczyć, w jaki sposób obywatele odróżniają się od siebie i nauczyć się chodzić między miastami.

– Gdzie on teraz jest?

Wielokrotnie pytałem o to Ashila, ale unikał odpowiedzi na różne sposoby. Tym razem, jak przy kilku poprzednich okazjach, odpowiedział:

– Istnieją specjalne procedury. Zajęto się nim.

Dzień był mroczny i pochmurny. Siąpił lekki deszcz. Postawiłem kołnierz płaszcza. Znajdowaliśmy się na zachód od rzeki, przy przepłotowych torach kolejowych. Ten krótki odcinek wykorzystywały pociągi z obu miast, a rozkład jazdy uzgadniano międzynarodowo.

– Kłopot w tym, że on nigdy nie przekroczył. – Do tej pory nie dzieliłem się z Ashilem tymi wątpliwościami. Spojrzał na mnie, masując zranione miejsce. – Jakim prawem mogliśmy... Dlaczego jest teraz z nami? – Ashil poprowadził mnie wokół Bol Ye'an. Słyszałem pociągi: beszańskie na północ od nas, a ulqomańskie na południe. Nie wchodziliśmy na teren wykopalisk ani nawet nie zbliżaliśmy się do nich na tyle, żeby ktoś mógł nas zobaczyć. Ashil pokazywał mi kolejne etapy sprawy, choć nie mówił tego na głos. – No wiesz – ciągnąłem. – Zdaję sobie sprawę, że Przekroczeniówka przed nikim nie odpowiada, ale przecież... musicie przedstawiać raporty ze wszystkich waszych spraw Komisji Nadzoru. – Uniósł brwi. – Tak, wiem, że sprawa Burica zdyskredytowała komisję, ale oficjalne stanowisko brzmi tak, że winien był dobór członków, nie sama instytucja. Mechanizmy zachowujące równowagę między oboma miastami i Przekroczeniówką pozostały niezmienione, tak? One czemuś służą, nie sądzisz? Będziecie musieli jakoś usprawiedliwić zatrzymanie Bowdena.

– Bowden nikogo nie obchodzi – odpowiedział po chwili Ashil. – Ani Ul Qomy, ani Beszel, ani Kanady, ani Orciny. Niemniej przedstawimy im jakieś dokumenty. Może porzucił ciało Mahalii w Beszel i przekroczył, wracając do Ul Qomy.

– On go nie porzucił – sprzeciwiłem się. – To był Yorj...

– Może tak to zrobił – powtórzył Ashil. – Przekonamy się. A może wepchniemy go do Beszel i przyciągniemy z powrotem do Ul Qomy. Jeśli mówimy, że przekroczył, to znaczy, że przekroczył.

Popatrzyłem na niego.

Ciało Mahalii w końcu odesłano do domu. Ashil powiedział mi o tym w dniu, gdy jej rodzice urządzili pogrzeb.

Firma Sear & Core nie opuściła Beszel. Zrobienie tego po wyjściu na światło dzienne niejasnych rewelacji o zachowaniu Burica przyciągnęłoby niepotrzebną uwagę. W kontekście sprawy wymieniano nazwę korporacji oraz jej działu technicznego, ale powiązania pozostały niezdefiniowane. Niestety, nie udało się ustalić, z kim kontaktował się Buric. Popelniono błędy, ale nowo wprowadzone środki ostrożności zapewnią, że nic takiego już się nie powtórzy. Krążyły pogłoski o planowanej sprzedaży CorIntech-u.

Jeździliśmy z Ashilem tramwajami, metrem, autobusami i taksówkami, a także chodziliśmy na piechotę. Nasza trasa przechodziła między Beszel a Ul Qomą na podobieństwo fastrygi.

– A co z przekroczeniem, które ja popełniłem? – zapytałem go wreszcie. Obaj czekaliśmy już od wielu dni. Nie pytałem o to, kiedy będę mógł wrócić do domu. Wjechaliśmy kolejką linową na szczyt w parku nazwanym na jej cześć, przynajmniej w Beszel.

– Gdyby Bowden miał aktualny plan Beszel, nigdy byście jej nie znaleźli – zauważył Ashil. – Orciny. – Potrząsnął głową. – Widziałeś w Przekroczeniu jakieś dzieci? – zapytał. – Czy to by było możliwe? Gdyby jakieś się tu rodziły...

– To z pewnością się zdarza – spróbowałem mu przerwać, ale nie dał mi dojść do słowa.

– ...jak mogłyby tu żyć? – Chmury nad miastami wyglądały spektakularnie. Patrzyłem raczej na nie, nie na Ashila. – Wiesz, w jaki sposób ja tu trafiłem? – dodał.

– Kiedy będę mógł wrócić do domu? – zapytałem bezprzedmiotowo. Nawet się uśmiechnął, słysząc te słowa.

– Wykonałeś znakomitą robotę. Widziałeś, na czym polega nasza praca. Nie ma drugiego miejsca takiego jak miasta – zaczął. – Nie tylko my walczymy o zachowanie ich odrębności. Robią to wszyscy obywatele Beszel i Ul Qomy. W każdej minucie każdego dnia. My jesteśmy jedynie ostatnią zaporą. Większość pracy wykonują wszyscy mieszkańcy miast. To funkcjonuje tylko dzięki temu, że robią to bez mrugnięcia okiem. Dlatego właśnie tak ważne jest, by nie widzieć i nie czuć. Nikt nie może przyznać, że to nie działa. I dlatego właśnie działa. Ale jeśli ktoś przekroczy, nawet mimo woli, na trochę dłuższy czas... nie ma dla niego powrotu.

– A przypadkowe przekroczenia? Wypadki drogowe, pożary i tak dalej...

– Tak, oczywiście. Pod warunkiem, że natychmiast uciekają z Przekroczenia. Ci, którzy reagują w ten sposób, mogą mieć szansę. Ale nawet to oznacza kłopoty. A jeśli przekroczenie trwa dłużej niż chwilę, nie można się z niego wydostać. Ktoś taki już nigdy nie będzie przeoczał. W większości przypadków, no cóż, wkrótce się dowiesz, jakie sankcje stosujemy. Ale czasami, bardzo rzadko, istnieje też inna możliwość. Co wiesz o brytyjskiej marynarce sprzed paru stuleci? – zapytał nagle. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. – Zwerbowano mnie w taki sam sposób, jak wszystkich w Przekroczeniówce. Nikt z nas się tu nie urodził. Wszyscy żyliśmy kiedyś w jednym albo w drugim mieście. I wszyscy przekroczyliśmy.

Na wiele minut zapadła cisza.

– Chciałbym zadzwonić do paru ludzi – odezwałem się wreszcie.

* * *

Ashil miał rację. Wyobraziłem sobie, że jestem w Beszel i przeoczam ulqomańskie elementy przepłotowego krajobrazu. Że żyję tylko w połowie otaczającej mnie przestrzeni, nie dostrzegam części ludzi, budynków, pojazdów i innych elementów tego miejsca. Być może mógłbym udawać, że tak jest, ale prędzej czy później zdradziłbym się w jakiś sposób, przyciągając uwagę Przekroczeniówki.

– To było poważne śledztwo – stwierdził Ashil. – Najpoważniejsze w historii. Nigdy już nie dostaniesz podobnej sprawy.

– Jestem detektywem – odparłem. – Jezu, czy mam jakiś wybór?

– Oczywiście – odparł. – Jesteś tutaj. W Przekroczeniu. Są tu ci, którzy przekraczają, i my, którzy się nimi zajmujemy.

Nie patrzył na mnie, ale na nachodzące na siebie miasta.

– Macie jakichś ochotników?

– Jeśli ktoś zgłasza się na ochotnika, stanowi to bardzo silny dowód, że nie nadaje się do służby.

Ruszyliśmy w stronę mojego dawnego mieszkania, łapacz, który mnie zwerbował, i ja.

– Czy mogę się z kimś pożegnać? – zapytałem. – Jest kilkoro ludzi, których...

– Nie – odparł, nie zatrzymując się.

– Jestem detektywem – powtórzyłem. – Nie... kim tam właściwie jesteście. Nie pracuję tak jak wy.

– Tego właśnie chcemy. Dlatego właśnie tak się ucieszyliśmy, że przekroczyłeś. Czasy się zmieniają.

To znaczyło, że ich metody mogą nie być aż tak bardzo obce, jak się obawiałem. Inni nadal będą mogli działać w tradycyjny sposób, uciekając się do zastraszenia, udając nocną marę, podczas gdy ja – korzystając z informacji znalezionych w sieci, dostarczonych przez podsłuchy telefoniczne zamontowane w obu miastach i przez siatkę informatorów, pozostających poza prawem metod opierających się na stuleciach strachu i, tak jest, czasami również sugestii innych mocy kryjących się za nami, nieznanymi sylwetkami, których awatarami jesteśmy – miałem być śledczym, takim samym jak przedtem. Nowa miotła. Każda instytucja czasem jej potrzebuje. Ta sytuacja nie była pozbawiona ironii.

– Chcę się zobaczyć z Sariską. Pewnie wiesz, kim jest. I z Biszayą. Chcę pogadać z Corwi i z Dhattem. Choćby po to, by się pożegnać.

– Nie wolno ci z nimi rozmawiać – odparł po chwili milczenia. – Tak to już jest urządzone. Gdybyśmy nie przestrzegali tego, nie zostałoby nam nic. Ale możesz ich zobaczyć, pod warunkiem, że pozostaniesz niezauważony.

Zawarliśmy kompromis. Wysłałem listy do obu kochanek. Napisałem je ręcznie i przekazano je do rąk własnych, ale nie ja to zrobiłem. Nie powiedziałem Sarisce i Biszai nic poza tym, że będzie mi ich brak. To nie była tylko czcza uprzejmość.

Do obojga kolegów podszedłem blisko na ulicach i choć nie odezwałem się do nich, mogli mnie zobaczyć. Dhatt w Ul Qomie, a potem Corwi w Beszel, widzieli, że nie przebywam w ich mieście, a przynajmniej nie całkowicie albo nie wyłącznie. Oni również się do mnie nie odezwali. Nie mogli podjąć takiego ryzyka.

Dhatta widziałem, gdy wychodził z komendy. Zatrzymał się nagle na mój widok. Zatrzymałem się przy tablicy reklamowej pod ulqomańskim budynkiem. Zwiesiłem głowę, by poznać, że to ja, ale nie mogłem odczytać wyrazu mojej twarzy, i uniosłem rękę w geście przywitania. Wahał się przez dłuższą chwilę, a potem rozpostarł palce i pomachał dłonią w nieokreślonym geście. Wycofałem się w cienie, ale on oddalił się pierwszy.

Corwi siedziała w kawiarni, w ulqomańskiej dzielnicy Beszel. Uśmiechnąłem się na jej widok. Piła ulqomańską herbatę ze śmietanką w lokalu, do którego ją kiedyś zaprowadziłem. Przez krótką chwilę obserwowałem ją z cienistego zaułka, aż wreszcie uświadomiłem sobie, że patrzy na mnie i wie, że tu jestem. To ona pożegnała się ze mną, unosząc filiżankę w toaście. Poruszyłem ustami, wypowiadając bezgłośnie słowa podziękowania i pożegnania, mimo że nie mogła tego zobaczyć.

Muszę się bardzo wiele nauczyć. Nie mam żadnego innego wyjścia poza ucieczką, a nikogo nie ściga się z większą zajadłością niż renegata z Przekroczeniówki. Ponieważ nie czuję się gotowy na to pierwsze, a nie chcę też narażać się na zemstę mojej nowej wspólnoty wiodącej surowe, międzymiejskie życie, pozostaje mi tylko wybrać mniej odpychającą z tych alternatyw. Moje zadanie się zmieniło. Nie jestem już stróżem jednego ani drugiego prawa, lecz obrońcą powłoki, która utrzymuje prawo na miejscu. A ściślej mówiąc, dwa prawa w dwóch odrębnych miejscach.

Oto koniec sprawy Orciny i archeologów, ostatniego śledztwa inspektora Tyadora Borlú z beszańskiej Brygady Najpoważniejszych Zbrodni. Tyador Borlú już nie istnieje. Kończę tę opowieść jako Tye, awatar Przekroczeniówki w okresie próbnym, wędrujący ze swym mentorem poza Beszel i Ul Qomą. Tu, gdzie obecnie przebywam, wszyscy jesteśmy filozofami, a debaty, które między sobą toczymy, dotyczą między innymi pytania, gdzie właściwie żyjemy. W tej sprawie zaliczam się do liberałów. Mieszkam w międzymieściu, tak jest, ale to znaczy, że mieszkam jednocześnie w mieście i w mieście.